SIEĆ HERSTORYCZNA

HERSTORYCZKI

FUNDACJA
PRZESTRZEŃ
KOBIET

Herstoryczki

Copyright © Fundacja Przestrzeń Kobiet 2016

Na okładce: Zdjęcie wykonane w Zakładzie nowoczesnej fotografii de Paris przy ul. Basztowej 18 w Krakowie. Fot. ze zbiorów Archiwum Historii Kobiet.

Wydawczyni:
Fundacja Przestrzeń Kobiet
ul. Św. Krzyża 34
34-460 Szczawnica
www.przestrzenkobiet.pl
fundacja@przestrzenkobiet.pl

Kraków 2016
Wydanie I

Redakcja: Natalia Sarata, współpraca: Marta Struzik

Redakcja techniczna i korekta:
Ewa Furgał

Projekt okładki, opracowanie graficzne i skład:
bang bang design

Publikacja nieodpłatna, nie może być sprzedawana.
Publikacja została wydana na licencji Creative Commons „Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe".

Publikacja została opracowana i wydana w ramach projektu Fundacji Przestrzeń Kobiet *Historia kobiet narzędziem przeciwdziałania dyskryminacji* finansowanego ze środków Funduszy EOG w ramach programu Obywatele dla Demokracji.

ISBN 978-83-937130-8-0

SIEĆ HERSTORYCZNA

HERSTORYCZKI

pod redakcją Natalii Saraty
Fundacja Przestrzeń Kobiet

Kraków 2016

6 WSTĘP
Natalia Sarata

9 RZUCAMY ŚWIATŁO NA COŚ NOWEGO
Barbara Borowiak, Ania Urbańczyk

27 NIE MOGĘ PATRZEĆ NA ŁÓŻKA PIĘTROWE
Natalia Judzińska

39 ZRZUCIĆ KUCZALSKĄ-REINSCHMIT Z COKOŁU!
Anna Czerwińska

61 POKAZUJĘ, CO JEST WAŻNE
Sylwia Chutnik

77 SORRY, ALE TO NIE TAK
Agata Markiewicz

91 WIĘCEJ DZIAŁANIA, MNIEJ GADANIA
Małgorzata Kowalska

107 DOŚWIETLANIE CIEMNIEJSZYCH MIEJSC
Sylwia Frankowska

119 PAMIĘĆ WĘDRÓWKI, WĘDRÓWKA PAMIĘCI
Hanka Lipowska-Teutsch

129 **PO PIERWSZE, ZACIEKAWIĆ**
Ewa Kamińska-Bużałek

143 **NAJBLIŻSZE NAM HISTORIE SĄ NAJCIEKAWSZE**
Karolina Sitko, Majka Szlachta, Sylwia Wieczeryńska

157 **PRZYJEMNOŚĆ I SKARBY**
Agnieszka Sosińska

169 **CHYLĘ CZOŁA PRZED TYM BETONEM**
Agnieszka Kłos

183 **WDZIĘCZNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ**
Lena Bielska, Julita Maciocha

197 **DYNAMIT, KTÓRY ROZSADZI PATRIARCHAT**
Ewa Furgał, Natalia Sarata

211 **OPOWIEŚĆ O DOBRYCH SIOSTRACH JUŻ MI NIE WYSTARCZA**
Dobrochna Kałwa

WSTĘP

Planowałyśmy tę książkę od dawna. Początkowo miała zawierać przepisy na działania herstoryczne – myślałyśmy o niej najpierw jako swoistym „podręczniku herstorycznej aktywistki". Jednak im dłużej pracowałyśmy nad koncepcją tej książki i im dłużej trwała dyskusja w Sieci herstorycznej, tym bardziej stawało się dla nas jasne, że to nie może być podręcznik z punktami, krokami do zrealizowania, check-listami z zadaniami do odhaczenia, przykładami tzw. dobrych praktyk i „zawsze działającym" przepisem na historię kobiet. Koncepcja się zmieniła, ponieważ rozmowy w Sieci herstorycznej pokazały nam, jaką siłę budowania wzajemnego zrozumienia i współpracy ma dialog. W nim ujawnia się wiele z tego, co chciałyśmy pokazać i o czym chciałyśmy opowiedzieć. Stąd formuła książki – 15 rozmów z 20 kobietami o historii kobiet i inicjatywach herstorycznych w Polsce. W wywiadach opowiadamy o tym, jak powstawały nasze inicjatywy herstoryczne, przedstawiamy ich różnorodność, podobieństwa, cechy charakterystyczne, wyzwania. Opowiadamy także kawałki naszych własnych – herstoryczek – herstorii.
W książce znalazły się wywiady z kobietami z całej Polski, dla których herstoria jest ważna, a które są lub były zaangażowane w oddolne inicjatywy herstoryczne – to przede wszystkim działaczki organizacji pozarządowych, grup nieformalnych, oddolnych inicjatyw. Większość z nich jest skupiona w Sieci herstorycznej, w której od jesieni 2014 roku poznajemy się nawzajem, wymieniamy doświadczenia, wspólnie się uczymy, podejmujemy refleksję metodologiczną i strategiczną, a także podejmujemy wspólnymi siłami pierwsze działania – wydanie *Szlaków kobiet. Przewodniczki po Polsce emancypantek* (2015) i *Terminarza herstorycznego 2016*. Planujemy kolejne. A zawarte w tej książce rozmowy pokazują, na jak różne i podobne sposoby myślimy o historii kobiet, co nas motywuje do tej pracy, jaki w niej widzimy cel, sens i przyszłość.
Książkę zamyka rozmowa z akademiczką specjalizującą się w zagadnieniach dotyczących historii kobiet, dr Dobrochną Kałwą, która towarzyszy Fundacji Przestrzeń Kobiet od 2008 roku, wspierając nasze działania herstoryczne. Rozmowy z działaczkami pokazują pracę nad rozwojem historii kobiet robionej oddolnie, obecny stan działań w poszczególnych inicjatywach i wskazują obszary dalszej pracy. Rozmowa z akademiczką wyznacza pola do rozwoju – dla nas i innych osób zajmujących się historią kobiet, tym razem w akademii.
Książka nie wyczerpuje tematu inicjatyw herstorycznych w Polsce. Odnosi się do tych, do których udało się nam dotrzeć i z przedstawicielkami których miałyśmy przyjemność – Ewa Furgał i niżej podpisana – porozmawiać. W książce brakuje jednak wywiadów z przedstawicielkami jeszcze co najmniej dwóch inicjatyw herstorycznych, do których dotarłyśmy, ale które ze względów czasowych lub/i osobistych nie zdecydowały się na rozmowę, tj. z Lucyną Marzec z Kolektywu Aleje Bibianny z Poznania, a także ze Sławomirą Walczewską z Fundacji Kobiecej eFKa z Krakowa. Mamy nadzieję, że jeszcze znajdzie się okazja do takiego spotkania w przyszłości. Już po zakończeniu pracy

nad tą książką miałam przyjemność rozmawiać z Władysławą Magierą realizującą w Cieszynie kolejne działania w ramach Cieszyńskiego Szlaku Kobiet. Ciągle wyłaniają się nowe pomysły, inicjatywy i projekty, herstoryczny aktywizm jest żywy i dynamiczny, i – na szczęście – nie da się zamknąć i utrwalić tylko na stronach niniejszej książki.
Herstoryczki pomyślane są także jako odniesienie się do pytania, z którym zwraca się do nas – herstorycznych działaczek – wiele osób: od czego zacząć? Jak pokaże lektura, nie mamy jednej, uniwersalnej odpowiedzi, czasem nie proponujemy żadnego przepisu. Tym bardziej zapraszamy do zapoznania się z tymi różnorodnymi głosami, by stawiać sobie i nam kolejne pytania, a także – wchodzić w dialog.
Książka powstała w ramach projektu „Historia kobiet narzędziem przeciwdziałania dyskryminacji" Fundacji Przestrzeń Kobiet, realizowanego w ramach programu „Obywatele dla Demokracji" ze środków Funduszy Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Dziękujemy społeczeństwom Norwegii, Islandii i Liechtensteinu za tę możliwość, a także Fundacji im. Stefana Batorego za zaufanie i świetną, merytoryczną współpracę.

Natalia Sarata
Fundacja Przestrzeń Kobiet
Kraków, marzec 2016

fot. Bogna Kociumbas

Barbara Borowiak – psycholożka i trenerka antydyskryminacyjna. Działaczka herstoryczna i członkini grupy społecznej Metropolitanka. Twórczyni trasy śladami pracownic Stoczni Gdańskiej po terenach postoczniowych i przewodniczka po Stoczni. Redaktorka publikacji *Stocznia kobiet* wydanej przez Stowarzyszenie Arteria. W pracy naukowej zajmuje się strategiami emancypacji kobiet w tym zmaskulinizowanym zakładzie pracy. Na co dzień animatorka społeczna pracująca ze społecznościami wykluczonymi i zagrożonymi wykluczeniem przy pomocy historii mówionych. Od 10 lat tworzy i prowadzi projekty edukacyjne i warsztaty wzmacniające grupy podlegające dyskryminacji ze względu na płeć, orientację seksualną, pochodzenie oraz klasę. Współpracowała z Instytutem Kultury Miejskiej, British Council, Europejskim Centrum Solidarności i Kancelarią Premiera Rady Ministrów.

fot. Renata Dąbrowska

Ania Urbańczyk – aktywistka praw człowieka, koordynatorka projektów społecznych i trenerka. Członkini grupy społecznej Metropolitanka. Absolwentka wiedzy o kulturze (Uniwersytet Gdański), Queer Studies, Wielokulturowej Europy (Uniwersytet Adama Mickiewicza / British Council), Akademii Treningu Antydyskryminacyjnego (Stowarzyszenie Willa Decjusza), Specjalistycznej Szkoły Facylitacji Społecznej na rzecz Przeciwdziałania Dyskryminacji – poziom zaawansowany (Towarzystwo Edukacji Antydyskryminacyjnej), Akademii Treningu WenDo - Upełnomocnienie Przeciw Przemocy ze względu na Płeć (Fundacja Autonomia). Członkini Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej. W latach 2010–2011 koordynowała polską koalicję Social Watch, która wydała kompleksowy raport o ubóstwie i wykluczeniu społecznym w Polsce.

BARBARA BOROWIAK, ANIA URBAŃCZYK

RZUCAMY ŚWIATŁO NA COŚ NOWEGO

Z Barbarą Borowiak i Anią Urbańczyk z grupy społecznej Metropolitanka *z Gdańska rozmawia Natalia Sarata*

Natalia Sarata: Jakie role pełnicie w grupie Metropolitanka, jaki jest rodzaj Waszego zaangażowania?

Ania Urbańczyk: Zajmuję się tym projektem, występując w pewnym sensie „w dwóch kapeluszach". Zawodowo jako animatorka kultury w Instytucie Kultury Miejskiej w Gdańsku, gdzie koordynuję projekty społeczne. W ramach Metropolitanki koordynuję głównie tę część, którą dofinansowuje miasto. Ale także osobiście to jest dla mnie bardzo ważny projekt. Jest bliski mojej postawie feministycznej. Ten projekt nauczył mnie i zainteresował historią i herstorią, bo w czasach szkolnych była to moja znienawidzona dziedzina. Teraz czytam czasopisma historyczne, książki o Hitlerze. Zaczynam rozumieć to wszystko i to mnie bardzo mocno interesuje, ze społecznej perspektywy.

Ze strony IKM koordynuję przede wszystkim letnie spacery herstoryczne. W tym roku mamy ich pięć w tygodniu, a czasem nawet więcej. Zajmuję się też wydawnictwami Metropolitanki, np. mapkami, a także kontaktem z osobami, które przychodzą osobiście czegoś się o tych działaniach dowiedzieć. W ramach jednego z projektów, który nazywa się „Stocznia jest kobietą" i jest realizowany przez Stowarzyszenie Arteria w partnerstwie z IKM, odpowiadam także za część spacerów, które w tym roku były niezwykłe, ponieważ angażowały osoby pracujące w Stoczni Gdańskiej. Jestem też odpowiedzialna za szkolenia przewodników i przewodniczek dla dwóch rodzajów tras. W tym roku to szkolenie było bardzo mocno skierowane do grupy senioralnej, dlatego zajmowałam się też dostosowywaniem wszystkich warsztatów do możliwości percepcji osób w wieku senioralnym.

Z Martą Tymińską współtworzyłam trasę artystek i trochę oprowadzałam po Stoczni. Teraz nie mam już na to czasu, czasem zabieram tam tylko znajomych.

Barbara Borowiak: W działaniach Metropolitanki nie jestem od początku, ale od momentu spotkania strategicznego, kiedy dziewczyny zaczęły myśleć nad tym, czym się zająć jako Metropolitanka najpierw. Na spotkaniu była nas czwórka. Wtedy wspólnie wpadłyśmy na pomysł, żeby zająć się Stocznią jako ważnym i symbolicznym miejscem, o dużym znaczeniu w historii regionu,

w historii Polski. Osoby naturalnie podzieliły się między sobą obszarami zainteresowań, stąd dwie artystki i osoby zorientowane kulturalnie i artystycznie, czyli Marta Tymińska i Ania Urbańczyk, chciały zająć się trasą artystek. Ania Miler zajęła się Solidarnością i doświadczeniem działaczek solidarnościowych i opozycyjnych. A mi „zostały"... robotnice. Pamiętam, że z wielką obawą powiedziałam: „No dobrze, to jak nikt tego nie chce, to ja to wezmę". Ale strasznie się bałam, bo wiedziałam, że informacje będę zbierać głównie przez wywiady i miałam ogromny lęk przed kontaktem z grupą tak różną tożsamościowo ode mnie. Zaczęłam zbierać te wywiady z byłymi i obecnymi robotnicami na Stoczni i to był dla mnie przełomowy moment. To wtedy się zajarałam tym projektem.

Jestem autorką trasy śladami robotnic po Stoczni i przewodniczką po Stoczni, głównie trasami robotnic i solidarnościową. Robiłam też kwerendę herstoryczną na temat robotnic na Stoczni i zbierałam wywiady do pierwszych dwóch edycji naszych map. Wspólnie z Anią Urbańczyk odpowiadam za przygotowanie przewodników i przewodniczek do oprowadzania po Stoczni z poziomu wrażliwości herstorycznej. Na warsztatach rozmawiamy o tym, czym jest herstoria, co to znaczy herstoryczne oprowadzanie po Stoczni, jak tworzyć taką narrację – tu metodycznie odpowiadamy za antydyskryminacyjne podejście. W tym roku jestem także autorką trzeciej edycji mapy „Stocznia gdańska szlakami kobiet" razem z Anią Miler. A w naszych projektach siostrzanych dla Metropolitanki, czyli np. „Stocznia jest kobietą" Stowarzyszenia Arteria w partnerstwie z IKM, odpowiadam merytorycznie za redakcję publikacji, tutaj bardziej w podejściu akademickim. Dobrze się w nim czuję, w związku z tym staram się tę naszą wiedzę zbierać i uabstrakcyjniać, posyłać ją w świat w bardziej uporządkowanej formie. Jeżdżę też na konferencje. Jestem w jakimś sensie łączniczką pomiędzy światem akademickim a realnością projektową. Dla mnie to bardzo ważne: korzystanie z dorobku herstorycznego, który już istnieje w świecie, z metodologii herstorycznej. Staram się sprzedawać osobom, które działają w Metropolitance właśnie takie podejście, zachęcać je do zobaczenia, że to jest cenne.

Ania: Jeszcze dopowiem, że Ania Miler, która opracowała trasę działaczek, napisała wyróżnianą pracę magisterską o działaczkach Solidarności.

Barbara: W ogóle myślę, że jesteśmy świetnym zespołem: z Anią Miler, która mocno dba o rzetelność swoich badań, o jak największą zgodność z faktami historycznymi z jednej strony, a z drugiej strony, ma bardzo silne nastawienie na taki ludzki, relacyjny aspekt. Myślę, że to jest bardzo ważne dla samej Metropolitanki.

Ania, zbierając wywiady, bardzo zwraca uwagę na to, żeby budować relacje z osobami, z którymi pracujemy, z którymi prowadzimy wywiady. To jest jakoś też piękne, cenne w tym, co Ania robi. Doskonale łączy tę badawczą rzetelność i ludzką relacyjność. W zespole jest też Marta Tymińska, która ma wielkie doświadczenie artystyczne i kulturalne i myśli o naszych działaniach w perspektywie animacyjnej, i próbuje włączać nowe media w naszą pracę – to jest też super kompetencja. Jest też Agata Włodarczyk, która „trzyma nas" językowo i literacko. Dba o jakość i przystępność naszej narracji. Mamy do tej pracy genialny i bardzo różnorodny zespół.

Natalia: Jak to się w ogóle stało, że on się zebrał? Co było na początku?

Ania: W 2009 i 2010 roku Gdańsk kandydował do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury (ESK) 2016. Zajmowałam się wtedy w IKM facylitowaniem m.in. spotkań grup, które zajmują się mniejszościami, osobami narażonymi na wykluczenie. Szukałam takich projektów do naszej aplikacji do ESK, które dotyczyłyby wyrównywania szans. Jako zespół nie chcieliśmy ich sami tworzyć, bo bardzo ważne było dla nas zaangażowanie mieszkańców i mieszkanek. Ta grupa robocza nazywała się „Grupa ds. wykluczeń". W jej ramach zawiązała się silna frakcja feministyczno-genderowo-queerowa. W dużej mierze wywodziła się z Trójmiejskiej Akcji Kobiecej, ale też osoby zaangażowane były np. w organizację manify czy równościową działalność edukacyjną. Wiele osób wcześniej się znało, sama znałam większość osób w tej grupie z koleżeńskiej współpracy. W tej grupie padła propozycja stworzenia tras herstorycznych, wydaje mi się, że mocno inspirowana Krakowskim Szlakiem Kobiet. Pomysł ten został podchwycony w zespole, który przygotowywał aplikację do ESK. Zaczęłyśmy się spotykać roboczo, już między innymi z Basią i po prostu go realizować. Później biuro pracujące nad aplikacją zostało przekształcone w jedną z gdańskich instytucji kulturalnych – Instytut Kultury Miejskiej. I ten projekt nadal ma dla miasta duży potencjał. Opera Bałtycka zaprasza nas teraz do tworzenia oprawy premiery opery o Stanisławie Przybyszewskiej, biblioteka miejska do swojego wydarzenia literackiego z książką *Szlaki kobiet* i spacerami. Wszystkie gdańskie organizacje turystyczne nas promują, proszą nas o ulotki, mapki... I być może te osoby z organizacji turystycznych nie patrzą w ogóle na naszą działalność jako działalność feministyczną czy równościową, ale jako na alternatywne trasy, ciekawostki, ofertę spacerów za darmo.

Większość z nas nie jest licencjonowanymi przewodniczkami, przewodnikami, same wyznaczamy standardy naszych oprowadzań i dbamy na przykład o podejście do osób z niepełnosprawnością, żeby też mogły brać udział w spacerach.

Nigdy nie spotkałyśmy się z takim podejściem, że „nie, nie zapraszamy na spacer, bo to jakaś ideologia gender". Kiedy Gdańsk jedzie na targi turystyczne, to dostaję telefon i prośbę o przygotowanie ulotek, żeby można nas było promować i nasze wszystkie spacery. To jest bardzo fajne.

Natalia: Kiedy tego słucham, to sobie myślę o partnerskim podejściu i docenieniu działań. Bardzo Wam tego zazdroszczę, bo w Krakowie tak się nie wydarza. Nawet kiedy jesteśmy sporadycznie zapraszane do współpracy, to raczej dopiero po tym, jak ktoś z zewnątrz, uznana krytyczka literacka da urzędnikom sygnał, że to blamaż mieć 50 ławek z literatami na Plantach i nie skorzystać z doświadczenia i herstorycznej wiedzy Fundacji Przestrzeń Kobiet, aby były też ławki z kobietami-literatkami; żeby było ich więcej niż kilka. Potem my robimy listę pisarek, literatek, zanosimy do Krakowskiego Biura Festiwalowego, ona tam się mieli, później kilka nazwisk tych kobiet trafia na ławki. Koniec współpracy. Ostatecznie i tak jest tam 80% mężczyzn, koledzy kolegów, a do czego są tam potrzebne kobiety, to nadal nie wiadomo, przecież KBF „nie kierował się płcią przy wyborze", jak usłyszałyśmy, nie wybierał mężczyzn, wybierał pisarzy. I dlatego myślę o prawdziwej współpracy z lokalnymi urzędnikami i urzędniczkami, osobami odpowiedzialnymi za rozwój miasta i jego inicjatywy, o widzeniu tych działań jako ważnym elemencie budowania obrazu miasta jako o bardzo ważnym wątku herstorycznej działalności. Ale zastanawiam się też nad swego rodzaju pułapką bycia traktowanymi przez instytucje miejskie jako działalność niszowa, alternatywna. Czy macie wpływ na to, w jaki sposób u Was ten obraz miasta jest konstruowany – poza przekazywaniem materiałów, dawaniem wiedzy, ciekawostek o historii miasta? Czy w związku z Waszą pracą ten obraz miasta się zmienia?

Ania: Zauważam, że ogólnie zmienia się podejście. Zgłasza się do nas na przykład Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, które tworzy Wirtualny Sztetl i szuka w związku z tym postaci gdańskich, trójmiejskich Żydówek. Podaję im znane nam bohaterki z działań Metropolitanki, oni nam przekazują informacje o sobie znanych do naszych zasobów. Jednocześnie widzę, że to są Żydówki z Gdyni, które wyemigrowały, więc dzwonię do Muzeum Emigracji, żeby im informację o tych osobach przekazać. I tam nikt mi nie mówi „co ty tam znowu wymyślasz?", tylko biorą tę informację, mówią, że super.

Trudno mi mówić o wszystkich miejskich instytucjach, ale w Instytucie Kultury Miejskiej staramy się we wszystkich materiałach prasowych używać żeńskich końcówek, mamy przystosowanie do potrzeb osób niesłyszących, tj. pętlę induktofoniczną.

Nigdy nie słyszałam sprzeciwu idącego z urzędu, nie było zachęt, że mamy spacery robić odpłatnie (tu pod kątem dostępności osób o różnym statusie materialnym), raczej wszyscy mówią, że robimy świetny projekt.

Barbara: Warto dodać, że Metropolitanka jest grupą społeczną działającą przy Instytucie Kultury Miejskiej. Zawsze, gdy pojawiają się jakieś próby nacisków albo na przykład komuś coś się nie podoba w związku z naszą pracą, to Ania, Ty masz ten argument, że to jest właśnie grupa społeczna. Więc to my decydujemy i to nie jest tak, że instytucja może nas naciskać. IKM nas nie nadzoruje, choć wspiera finansowo i logistycznie.

Faktycznie jest takie ryzyko, że kiedy szkolimy przewodniczki i przewodników miejskich, to oni wezmą to, co my robimy i zrobią z tego na swój użytek anegdotyczną narrację o szpilkach i szminkach. Choć to mało prawdopodobne, bo my im takich akurat informacji nie dostarczamy. Jest to niebezpieczeństwo, że historia kobiet zostanie użyta w innym celu niż nasz, tj. że ich działania nie będą miały charakteru emancypacyjno-wzmacniającego, tylko będą odtwarzać i utwierdzać stereotypy. Ale w moim odczuciu to jest ryzyko, które warto podejmować.

Natalia: W mieście powstaje narracja historyczna o nim samym, tworzona przez różne instytucje, grupy, społeczności w mieście. Gdy one piszą, przepisują swoją opowieść, to czy obserwujecie, że włączają taką perspektywę, którą Wy proponujecie w Waszym projekcie o mieście? Czy to przenika do innych narracji? Jestem ciekawa, czy widzicie ten wpływ na sposób opowiadania o mieście.

Ania: Trudno mi to zdiagnozować. Natomiast jesteśmy dostrzegane, traktowane jako ekspertki czy partnerki w działaniach. Gdy Teatr Miejski Miniatura tworzył widowisko plenerowe o Stanisławie Przybyszewskiej, to jego dyrektor zwrócił się do nas z prośbą o zrealizowanie dla nich panelu dyskusyjnego. Europejskie Centrum Solidarności od samego początku udostępnia nam swoje zbiory, na przykład fotograficzne. Kilka dni temu gościłyśmy portugalską dziennikarkę, która przyjechała na projekt ECS. Sieć herstoryczna miała swoje warsztaty w ECS, kubańska blogerka Yoani Sanchez na prośbę ECS była przez nas oprowadzana trasą działaczek.

Natalia: Słyszę to, o czym opowiadacie, w taki sposób, że Metropolitanka jest zakotwiczona w dwóch rzeczywistościach, które się nawzajem równoważą. Jedna to jest ta sfera kontaktu, także strukturalnego, z instytucjami samorządowymi, a drugą

jest jednak przestrzeń społecznej, lokalnej inicjatywy, która na początku znalazła przestrzeń do wyłonienia się w ramach procesu aplikacyjnego, w ramach urzędniczej procedury.

Barbara: Mamy dużą wolność w robieniu tego, co robimy. Ale nie mam poczucia, że Urząd Miasta, który przez IKM faktycznie nas finansuje, ma świadomość, co to dokładnie jest. Dostają mapkę, która jest bardzo dobra merytorycznie, ale nie jest tam napisane „feminizm", „patriarchat", „opresja". Osobiście miewam taki lęk, co by było, gdybyśmy właśnie tę narrację mocno puściły w przestrzeń publiczną. Mam wrażenie, że to jednak wybór strategiczny, że się na to nie decydujemy.

Ania: Tak, ale też mówimy o dyskryminacji na rynku pracy, nazywamy to bardzo jasno, nazywamy molestowanie seksualne. Nie jesteśmy projektem, który chodzi po mieście z transparentem „patriarchat skona", ale pracujemy nad dialogiem, nad widocznością tych kwestii. Jednocześnie to, co robimy, ma przystępną formę spacerów. To też jest działanie edukacyjne.

IKM wydał wiosną tego roku książkę *Gdańskie tożsamości* pod redakcją Basila Kerskiego, dyrektora ECS. To antologia tekstów o tożsamości miasta i w tej książce wśród autorek nie było żadnej kobiety. A to, co było dla mnie wspaniałe, to wielka debata, która się na ten temat odbyła, a którą podjęły m.in. Barbara Piórkowska, pisarka i Magdalena Sacha, wykładowczyni. W jej efekcie Basil Kerski na łamach mediów odpowiadał, dlaczego kobiet w tej książce nie ma, dlaczego jako redaktor podjął taką decyzję. Tam jest tekst prezydenta Pawła Adamowicza, jest tekst wspaniałego specjalisty od kultury żydowskiej, Mieczysława Abramowicza. Jeszcze kilka lat temu nikt by pewnie tego nie zauważył, a teraz osoby zaczęły mówić głośno o tym, że w tej książce nie ma żadnej autorki. Myślę, że mamy taki niesamowity region, że jeśli w konferencji w panelu dyskusyjnym jest więcej mężczyzn, to w kobiecych inicjatywach jest to dyskutowane, jesteśmy bardzo czujne i uważne na to.

Barbara: Mam poczucie, że jako Metropolitanka mamy wpływ na politykę historyczną miasta. Kiedy powstał ECS, to nie tylko my, ale też kobiety z Trójmiejskiej Akcji Kobiecej, zaczęłyśmy pytać o kobiety na wystawie stałej, o to, czy są, a jeśli tak, to jak przedstawione. Więc myślę, że to pytanie „Czy są kobiety?" już nie jest pytaniem, które się obśmiewa. I ono znajduje odpowiedź. ECS w odpowiedzi na pytanie Trójmiejskiej Akcji Kobiecej przesłał wielki dokument ze stu czterdziestoma kilkoma nazwiskami i biogramami kobiet, którymi dysponuje w swoich zbiorach. Przejęli się. Ale myślę, że da się zrobić jeszcze więcej. Chodzi mi nie tylko

o widoczność kobiet, tzn. nie tylko o to, że po prostu pokazujemy kobiety – chodzi też o narrację, o język, jakim o nich mówimy.

Natalia: No właśnie: jaki jest cel Waszej inicjatywy? I jaki jest Wasz osobisty cel związany z historią kobiet?

Barbara: Metropolitanka ma skomplikowaną misję, której nigdy nie pamiętam [śmiech]. Chcemy tworzyć taką przestrzeń, w której mogą wybrzmieć głosy kobiet, tych działających i tworzących na Pomorzu dziś, ale i tych z przeszłości. Chcemy jednak nie tylko, żeby one wybrzmiewały, pojawiały się w przestrzeni publicznej, ale przyglądamy się im z genderowej perspektywy. I – to mamy bardzo jasno napisane w naszej misji – ta genderowa perspektywa jest dla nas istotna. Szukamy w tych narracjach, z jednej strony, mechanizmów społecznych i kulturowych, które prowadzą do wykluczenia kobiet, zatarcia ich obecności i dorobku, a z drugiej – sposobów, w jaki nasze rozmówczynie sobie z nimi radziły, jak je przekraczały. Pytamy, dlaczego jest mało kobiet w oficjalnej, mainstreamowej, narracji historycznej o Gdańsku. Przyglądamy się tym mechanizmom stereotypizacji, wykluczenia, opresji i je nazywamy.

Natalia: A jednocześnie nie nazywacie patriarchatu, nie piszecie w materiałach o feminizmie.

Barbara: Tak, pewnie czujemy, że są takie słowa, których dla nas, jako grupy i dla naszych rozmówczyń, bezpieczniej jest użyć i takie, których użyć jest ryzykowniej. To jest nasz wybór: na gender nas stać.

Natalia: To stać Was na wiele [śmiech].

Barbara: Też tak myślę. To, że jasno mówimy, że w naszej pracy jest perspektywa gender, to już jest odważne. To również jest dla nas zobowiązanie do tego, żeby zapraszając nowe osoby do Metropolitanki, wesprzeć je w uczeniu się przyjmowania tej perspektywy. Bo to zdecydowanie jest wrażliwość i umiejetność, którą trzeba w sobie wykształcić, której się trzeba nauczyć. To jest też zresztą edukacyjne dla Metropolitanki jako takiej.

Zależy nam także na tym, żeby doświadczenie rozmowy kobiety, która opowiada, i tej, która zbiera ten materiał, było dla obu doświadczeniem doceniającym. Żeby wspierało tożsamość, wzmacniało podmiotowość i poczucie sprawczości. Naszym głównym narzędziem jest historia mówiona: przede wszystkim pracujemy na wywiadach biograficznych. I w związku z tym, bardzo ważne jest w naszej inicjatywie, by to doświadczenie zbierania herstorii i opowiadania herstorii było doceniające, afirmujące

tożsamość, afirmujące te momenty, które wykraczają poza kalki patriarchalnej perspektywy. Dla mnie osobiście to również jest ważne. Bo tak sobie myślę o naszym społeczeństwie, że jest zbudowane na patriarchalnym wzorze, a najsilniejszym narzędziem jego podtrzymywania i odtwarzania jest język. Stąd dla mnie herstoria to jest taka przestrzeń, w której mogę w ramach tego patriarchatu powiedzieć coś emancypacyjnego. Tworzę taką szczelinę, w której mówię przeciwko temu systemowi, na przekór albo w taki sposób, że sprowadzam go do absurdu. Dla mnie herstoria jest takim emancypacyjnym mówieniem o doświadczeniu bycia kobietą w tym patriarchalnym społeczeństwie, mówieniem spoza kalek, ról i powinności, które ono kobietom (ale nie tylko) narzuca. Jest też zmianą perspektywy, zmianą paradygmatu, bo pozwala docenić to, czego do tej pory nie doceniono i pokazać fragmenty życia i doświadczenia, które dotąd były ukryte.

Ale choć mówię o tym, korzystając z dorobku badaczek gender studies, to w pracy Metropolitanki cenię sobie fakt, że my nie jesteśmy bardzo akademickie. Mimo tego, że mnie w tamtą stronę ciągnie. Bardzo się cieszę, że mamy mocne animacyjne podejście, dlatego że moim zdaniem zmiana paradygmatu w herstorii polega także na tym, że mogę świadomie odejść od tego, co intelektualne, skupione na logice i uchodzące za obiektywne, a co do tej pory było cenione w tym patriarchalnym wzorcu i mogę iść w stronę doświadczania przez ciało. Moim marzeniem jest, żeby herstoria nie była tylko opowieścią, czymś, co się mówi, ale żeby była doświadczeniem, które możesz obserwować w praktyce dnia codziennego. Mówię to, ale nie wiem, co to konkretnie znaczy, to bardziej intuicja niż realny pomysł. Zmiana paradygmatu z przyczynowo-skutkowego, intelektualnego, ale też logocentrycznego, na zmysłowy, cielesny, doświadczeniowy... To jest dla mnie bardzo cenne w herstorii – mogę zupełnie porzucić różne paradygmaty, różne uwikłania i kalki, i znaleźć język, który jest przeciwko temu systemowi, który ujawnia, że ten system w ogóle istnieje.

Ania: Nie chciałabym, żeby powstało takie wrażenie, że my się boimy nazywać głośno patriarchat. Te osoby, które zakładały Metropolitankę, osoby z Trójmiejskiej Akcji Kobiecej, nasze koleżanki, my wszystkie jesteśmy przeciwko patriarchatowi. Bardzo mocno. I pewnie wszystkie byśmy się nazwały feministkami. Nie wstydzimy się tego. Jednak nasze podejście określiłabym jako wsłuchanie się w głos tych osób, z którymi rozmawiamy i wsłuchanie się w realia czasów, także w język. Marzymy, żeby nazywać Walentynowicz „feministką", bo dla nas ona zdecydowanie nią jest, a jednak wiemy od fotografa Michała Szlagi, który jej robił zdjęcia, że kiedy on jej zasugerował, że jest feministką, to ona go wręcz wyrzuciła z domu. To jest ten sam przypadek, co

nazwanie Konopnickiej lesbijką czy Piotra Własta osobą transpłciową czy transgenderową.

Robiłyśmy wywiad z panią, która pracowała w Stoczni, działaczką katolicką. Udało się nam znaleźć platformę do rozmowy. Ta pani, z którą osobiście bym się pewnie na kawę nie spotkała, bo mamy różne poglądy, udzieliła nam autoryzowanego wywiadu i nie przeszkadza jej, że to jest perspektywa kobiet, ona w tym widzi wielką wartość. Dzięki temu także ona ma głos. Bo czemu miałybyśmy jej ten głos odbierać. Ona ma głos o Stoczni i o pracy kobiet.

Barbara: Naszą bardzo ważną wartością jest budowanie relacji, w których może wybrzmieć każde doświadczenie, a nie tylko to zgodne z naszą polityką. Decyzja o nieużywaniu „patriarchatu" pomaga nam tworzyć taką płaszczyznę do spotkania, bo wiemy, co może niepotrzebnie przestraszyć osoby. Pomaga nam też mocno otworzyć się na różnorodność. Oczywiście nie jest tak, że wszystkie narracje, których słuchamy, będą zgodne z naszym feministycznym dyskursem, bo część zupełnie nie jest. Niektóre kobiety z rozbawieniem opowiadają o sytuacji molestowania lub podglądania w szatni w Stoczni lub opowiadają, że to molestowanie, obłapianie to była taka forma szukania żony. Część tych relacji to takie, które po prostu powtarzają tę patriarchalną narrację o kobietach. Dlatego też dajemy sobie prawo, żeby komentować ten głos, osadzić go w kontekście społecznym i kulturowym, z którego wypłynął, nazywać to, czego czasem osoby nie potrafią albo boją się nazwać.

Ania: Dla mnie w tym projekcie ważna jest perspektywa równościowa. Dbamy o to na przykład na spacerach. Jeśli ktoś, kto oprowadza po Stoczni, nie wie, co to jest dyskryminacja na rynku pracy, o której podczas spacerów mówimy, co to jest molestowanie, które tam miało miejsce, i że tak to trzeba nazwać – to ta osoba nie oprowadza u nas w projekcie, nawet jeśli zna Stocznię jak własną kieszeń.

Ale też muszę powiedzieć, że kiedy przeprowadzam wywiad z osobą, która się śmieje z gwałtu na Stoczni, że to taki męski żart albo z molestowania, bo ją to bawi, to mam wielki dylemat i strasznego doła. Kończy się tak, że na zasadach superwizji koleżeńskiej dzwonię do Basi albo do Ani Miler. Wiem, że nie jestem od tego, żeby zmieniać postawę tej pani. Ale cenię, że ona w ogóle ujawnia takie wydarzenia.

Natalia: Słucham Was i to wszystko, co mówicie, wydaje mi się być odpowiedzią na pytanie o podstawowe założenia, o fundamenty Waszej pracy. Gdy mówiłyście o nastawieniu na relacje, o słuchaniu doświadczenia innych osób bez względu na to, czy

ono jest zgodne z Waszymi poglądami i myśleniem o świecie, to ja to tak odbieram – poprawcie mnie, jeśli się mylę – że jednym z podstawowych założeń Waszej pracy jest bycie w postawie uszu do słuchania i wyciągniętych rąk do kontaktu.

Ania: To właśnie jest nasze narzędzie pracy.

Natalia: Czy jest coś jeszcze, co jest fundamentalne dla Waszej pracy, bez czego sobie nie wyobrażacie, że ta praca miałaby postępować?

Barbara: To jest też równość – bez niej nie ruszamy.

Ania: Tak jak też Basia wcześniej mówiła, taką podstawą jest na pewno perspektywa genderowa. Przyjdzie do nas najlepsza historyczka i będzie chciała napisać biografię, ale widzimy, że ona nie ma tej perspektywy... Miałyśmy takie przypadki, że biografia jest genialna pod kątem researchu historycznego, ma wszystkie daty, miejsca, nie ma białych plam, ale brakuje genderowej refleksji. Dla mnie takim przykładem jest narracja o Przybyszewskiej: we wszystkich materiałach mainstreamowych, na które trafiam, jest takie ujęcie, że to słaba kobieta, uzależniona, przy mężu, mieszkała w suterenie, nieszczęśliwa. A my ją przedstawiamy jako genialną dramatopisarkę, która owszem, nie miała środków do życia, ale mimo to tworzyła niesamowite dramaty, korespondencję. I nie chcemy jej czytać przez pryzmat nieślubnej córki i wdowy. Dlatego, jeśli w tej najlepiej historycznie opracowanej biografii pojawi się taka perspektywa, że była to nieszczęśnica, żona i córka, to bez genderowego podejścia tekst się nie ukaże na naszym blogu.

Barbara: Myślę, że obok perspektywy genderowej mamy też sporą wrażliwość na różnorodność. Naszą uwagę zwracają także różne inne przesłanki. Silnie nam gra klasa, szczególnie na Stoczni. Dla mnie dużym wyzwaniem jest to, że w naszych słuchowiskach, kiedy mamy na przykład z jednej strony inżynierów, a z drugiej strony panie sprzątaczki, to słychać różnice w wykształceniu, w literackości języka, jakim się posługują – ta różnica jest słyszalna. I pojawia się pytanie, jak to zrobić, żeby osoby słuchające nie pomyślały sobie „no tak, wszystko jasne, sprzątaczka" i „o, wow, inżynier!". Dla mnie to jest duże wyzwanie, również etyczne. Bo nie wystarczy, żeby te narracje wybrzmiały, trzeba też zadbać o kontekst. To jest dla mnie cały czas coś, nad czym się zastanawiam. Jak to zrobić, żeby te nieuprzywilejowane narracje, te nieinteligenckie, nie były negatywnie wartościowane; żeby nie potwierdzały tego stereotypu, z którym chcemy walczyć, że są gorsze, mniej ciekawe, niemerytoryczne. Chcemy pokazywać, co jest w nich cennego.

Ania: Ważnym filarem w tym projekcie są emocje. Przez te emocje, opowieści, wspomnienia można wyrównać różnice między osobami, bo każda osoba jest w stanie o swojej dawnej codzienności opowiedzieć.

Warto też wspomnieć o naszych relacjach w grupie. Samo to, że my jesteśmy grupą, jest istotne. Mamy w tym momencie ciężki okres w dynamice grupy, ponieważ realizujemy bardzo konkretny, dofinansowany projekt, a nawet dwa. Podjęłyśmy się ogromnego zadania i mamy mniej czasu na relacje między nami, na konsultacje – po prostu robimy projekt, ale wciąż się uważamy za grupę, w której mamy przyjazne stosunki i się z nią utożsamiamy.

Natalia: Waszych bohaterek jest bardzo dużo i są bardzo różne – działaczki polonijne i pracownice Stoczni, z różnych grup, klas społecznych. Jakie macie kryteria doboru?

Barbara: Wybieramy osoby, które nas fascynują. Nie myślimy interesem publicznym, tylko fascynacjami. Wybieramy to, co nas zafascynowało i czułyśmy, że to może chwycić. Choć to nie była nasza pierwsza motywacja – żeby chwyciło. A trasa działaczek polonijnych i prekursorek była m.in. dlatego, że były szeroko dostępne materiały na ich temat, a nikt nigdy ich nie opracował herstorycznie.

Ania: W tym czasie, kiedy tworzyłyśmy nasze trasy stoczniowe, wyburzano kolejne budynki Stoczni i nie było czego pokazywać. Wtedy już od trzech lat zajmowałyśmy się kobietami w Stoczni i narodziła się przestrzeń dla nowych prac. Stwierdziłyśmy, że warto by uherstorycznić gdańskie Stare Miasto, które jest najbardziej turystyczne. Nasze dwie koleżanki, które są historyczkami, zaproponowały trasę śladami działaczek polonijnych Wolnego Miasta Gdańska. Patriotki to nie jest moja domena, ale z drugiej strony myślę, że nie tylko Młodzież Wszechpolska, nie tylko ich bohaterowie mogą być określani tym mianem. Możemy pokazać, że my też możemy operować tymi słowami i symbolami, polskością. To jest dla mnie bardzo ważne, że nie tylko agresywne, narodowe, przemocowe ruchy mogą się wykazywać patriotyzmem – my też mamy taką trasę. Osoby przychodzące na te spacery są zainteresowane krzewieniem polskości, patriotyzmem i znajdują dla siebie ciekawe informacje i wychodzą zadowolone. Słyszą, jakie wspaniałe kobiety krzewiły patriotyzm w ciężkich dla polskości w Gdańsku latach.

Jesteśmy w naszych działaniach bardzo różnorodne, mamy coś dla każdego. Dla jednego ciekawostkę o pilotce i sędzinie żużlowej, która musiała bardziej niż mężczyźni się starać, żeby sędziną zostać. I mamy działaczki polonijne, taka „prawomyślna" trasa, która mogłaby się nawet w jakimś historycznym magazynie ukazać. Nawet nie herstorycznym.

Natalia: Trochę już mówiłyście o narzędziach, jakimi pracujecie: że pracujecie wywiadami, historią mówioną, że macie wycieczki, powstają mapy, są warsztaty przewodnickie, macie audioprzewodniki. Czy jakieś narzędzia są szczególnie skuteczne, widzicie zmianę, którą one wprowadzają? Albo któreś nie zagrały i zostawiacie je na kiedyś indziej lub w ogóle już nie będziecie ich stosować?

Ania: Spacery sprawdzają się na pewno, podobnie słuchowiska i audioprzewodnik. Powiedziałabym, że jeśli coś się nie sprawdziło, to dlatego, że nie było na to czasu. Kiedy z Ewą Furgał przyjechałyście do Gdańska na warsztaty herstoryczne dla edukatorów i edukatorek w listopadzie 2012 roku, tam przyszło parę nauczycielek z zewnątrz, spoza Metropolitanki. Cała nasza grupa się przeszkoliła i te osoby są wciąż zaangażowane. Ale nigdy nie miałyśmy siły i czasu, żeby trzymać kontakt z nauczycielkami, dzwonić do nich, np. proponować nową publikację. I myślę, że tę współpracę z nauczycielami i nauczycielkami trzeba wzmocnić.

Natalia: A czy są takie rzeczy, których chcecie jeszcze spróbować?

Barbara: Bardzo bym chciała zacząć robić wywiady grupowe. Przeczuwam, że to może być bardzo cenne dla osób biorących udział w tych wywiadach, a w związku z tym, że to jest grupa jednorodna płciowo – to są same kobiety – to może być samowsparciowe doświadczenie, co by pozwoliło jednocześnie realizować nasze cele związane ze zmianą społeczną. Mam też fantazję o tym, żeby te herstorie ubierać w coś innego niż tylko narracja. Słyszałam o projekcie z okolic Szczecina, gdzie w czasie warsztatów międzypokoleniowych spotykały się starsze mieszkanki miasta po to, by opowiedzieć młodszym o ważnej dla siebie sukience i ją sfotografować. Z fotografii i fragmentów rozmów powstała wystawa. Dla mnie inspirujące byłoby „pociągnięcie" tego wątku dalej i uszycie wspólnie sukienki. To jest coś, co ja bym chciała zrobić: żeby to doświadczenie opowiadania i słuchania było też doświadczeniem tworzenia czegoś razem, jak plecenie warkoczy. Mam dużo takich utopijnych trochę fantazji, ale nie mam jeszcze konkretnych pomysłów. Jednak chciałabym pójść w doświadczanie herstorii: w to, żeby ona się działa w palcach, a nie w ustach.

Ania: Oczywiście bardzo bym chciała, żeby był parytet ulic w Gdańsku i żeby nikogo nie dziwiło, że ktoś zaczyna te ulice liczyć i mówić, że potrzebujemy więcej ulic nazwanych imieniem kobiet, żeby te ulice były bardziej w centrum, a nie gdzieś na peryferyjnych osiedlach. I myślę, że nad taką sytuacją pracujemy jako Metropolitanka, bo pracujemy nad świadomością i posta-

wami. A moje osobiste marzenie jest takie, żeby wyjść z tego organizowania i rachunków, liczenia osób i robienia zapisów na spacery i zrobić swoją trasę śladami kobiet, które rekonstruowały po 1945 roku Gdańsk, gdańskie kamienice po II wojnie światowej. Ten temat we mnie pracuje od kilku lat, kiedy znana gdańska artystka i dziennikarka Małgorzata Żerwe powiedziała mi: „No zobacz, ci panowie są we wszystkich opracowaniach, a oni tylko siedzieli pod rusztowaniem i pili wódeczkę, a ich żony gzymsy tachały na górę i rzeźbiły płaskorzeźby". Wiem, że to by była bardzo niszowa trasa dla ludzi zainteresowanych sztuką, ktoś mi też powiedział, że to nie ma żadnego potencjału turystycznego, bo co tam jest do pokazania, trzy gzymsy na kamienicy. Ale dla mnie to jest niesamowite, że właśnie młode kobiety, które przyjechały ze Lwowa, z Wilna, tu je przesiedlono, a one – żony profesorów z Państwowego Instytutu Sztuk Plastycznych w Sopocie – odbudowały miasto i nadały mu artystyczny charakter. To takie moje prywatne marzenie.

Barbara: Czuję, że po tych czterech latach działań mamy doświadczenie, którym się chcemy dzielić – myśleniem o herstorii, myśleniem o wywiadach z kobietami. Bardzo bym chciała, żebyśmy w końcu usiadły i zaczęły naszą wiedzę zbierać i systematyzować. To nie musi być artykuł naukowy, ale na przykład mapa myśli. Myślę, że to jest ten moment, kiedy możemy zacząć uabstrakcyjniać tę wiedzę i dodawać nową, naszą cegiełkę do tego, czym jest herstoria, czym jest feminizm, emancypacja. Chciałabym, żebyśmy na to znalazły czas, kiedy już skończymy projekty. Chcę już zacząć zbierać tę wiedzę i ją nazywać, to jest wielkie doświadczenie i mamy co wnieść do wiedzy osób zajmujących się herstorią w Polsce.

Ania: Jest jeszcze jedna rzecz, o której rozmawiamy z Anią Miler, odkąd wróciłyśmy ze szkolenia Ośrodka KARTA dotyczącego archiwów społecznych, czyli właśnie o archiwum. Ale to jest ogromna rzecz. Zgłosili się do nas byli pracownicy stoczniowi, którzy mają do nas zaufanie. Aż do tego stopnia, że chcieli nam na przykład przekazać ¼ kadłubu statku [śmiech], medale, dyplomy, segregatory z dokumentami, pamiątkami stoczniowymi – my fizycznie nie mamy tego gdzie trzymać ani gdzie pokazywać. Na jakich zasadach w ogóle i komu? Nad tym teraz myślimy. Najpierw musimy skończyć sprawy bieżące projektu.

Natalia: Macie ogromne doświadczenie, szerokie zasoby wiedzy, przetestowałyście różne sposoby działania, macie refleksję nad pracą w grupie. Jakie macie rekomendacje dla osób, które jeszcze nie zajęły się działalnością herstoryczną, ale mają ochotę to zrobić? Od czego zacząć?

Ania: Zaczęłyśmy chyba od zebrania osób ze świadomością feministyczno-genderową, które chciały coś takiego zrobić. Ale trudno mi mieć spójne rekomendacje, bo z jednej strony, to by było: analizujcie wszystko, mierzcie siły na zamiary, a z drugiej: róbcie spontanicznie i to, co was interesuje. One się nawzajem wykluczają [śmiech]. Nasze pierwsze działanie, stworzenie mapy, było totalnie spontaniczne i angażujące, siedziałyśmy do trzeciej, czwartej w nocy na Skypie z graficzką, która mieszka w Berlinie. Ja to jednocześnie wspominam jako piękny okres, wielką energię, byłyśmy dumne z tej mapy. A teraz mamy tak wiele różnych produktów, kilka tysięcy osób przeszło naszymi spacerami – teraz o tym myślimy, że „e, co to takiego".

Ale rekomendacja, którą na pewno chcę dać, jest taka, żeby się nie poddać różnym wpływom. Przy okazji zawiązywania się naszej inicjatywy pojawiło się dużo osób, które chciały nam mówić, jak nasz projekt ma wyglądać. I to nawet nie były osoby związane z Urzędem Miasta, tylko na przykład deweloperzy na Stoczni, którzy chcieli nas namówić, żebyśmy na zrobionych za nasze pieniądze mapkach umieszczały reklamowy prospekt nowo powstającego osiedla w Stoczni. Te osoby starały się na nas wywierać presję. Warto starać się takie sytuacje analizować, nawet jeśli działa się spontanicznie.

Barbara: Ja bym wzmocniła radę, żeby iść za tym, co kręci, co jara. Herstoria właśnie wtedy jest fajna, kiedy cię rozwija jako człowieka. Dla mnie herstoria jest pracą ze swoją tożsamością, w tym sensie warto iść za czymś, co jest kształtujące, wzmacniające, także dla mnie samej. To jest rada, którą bym dała: zadbaj o siebie, nie rób rzeczy, które nie są zgodne z Tobą, nie są autentyczne. Herstoria ma taki potencjał, żeby nie tylko zmieniać społecznie, ale też jednostkowo i warto go dla siebie wziąć. Myślę, że warto też dbać o relacje w grupie. Przy tym ogromie pracy, jaką wykonałyśmy, mam poczucie, że zawsze dbałyśmy o siebie, miałyśmy dla siebie nawzajem sporo troski i uważności, docenienia, kiedy coś nam wyszło. My same projektami herstorycznymi tworzymy herstorię i dobrze by było, gdyby to była fajna herstoria, przyjemne doświadczenie. Po dwóch latach pracy zabrałyśmy się porządnie za nasze cele, zasady, wartości i kontrakt koleżeński, który jest o wartościach bardziej niż o procedurach. Warto o tym pomyśleć, szczególnie kiedy projekt zaczyna się rozrastać.

Natalia: Czy Waszym zdaniem są jakieś różnice między historią kobiet robioną w akademii, a taką herstorią działacką, z oddolnych inicjatyw? To są znaczące różnice? Bez znaczenia?

Barbara: Dla mnie główna różnica jest taka – z zastrzeżeniem, że to jest moje wyobrażenie na temat pracy akademiczek – że ja nie myślę o herstorii jako o nowej metodologii zbierania wiedzy. Nie

zbieram wywiadów po to, żeby uzyskać nową wiedzę, żeby zwiększyć repertuar wiedzy historycznej, zbierać informacje. Nie to jest moim celem. Dla mnie herstoria ma cel emancypacyjny, jest metodą zmiany społecznej. Jakkolwiek staram się dbać o dobrą metodologię, zgodną ze standardami akademickimi, to mam też dużą swobodę w tym, żeby ją zawiesić, działać na jej skraju lub zrobić coś przeciwko – w takim sensie, że moje badania przestają być przydatne, np. dla Ośrodka KARTA, bo są niezgodne z jakąś konkretną metodologią. Dla mnie to jest w porządku, dopóki to coś zmienia, dopóki pracuję z osobą, jej tożsamością, poczuciem podmiotowości.

O badaczkach myślę, że muszą mieć takie akademickie ciśnienie, trzymać się pewnych standardów naukowości, żeby wyniki tej pracy zostały przyjęte przez środowisko naukowe jako rzetelne i trafne. Ja tak o swojej pracy nie myślę. Nie po to ją robię, żeby napisać dobry artykuł naukowy. Nie potrafię wszystkiego, co się dzieje w tej pracy, przełożyć na język naukowy albo nie umiem tego zrobić w jakiś prosty sposób. Ta różnica dotyczy też relacji w Metropolitance – o osobach udzielających wywiadów myślę jako o współtworzących tę wiedzę. One nie są dla mnie przedmiotem badań. Najchętniej bym je zapraszała do współtwórczyni tej wiedzy, którą potem wyciągam z wywiadu. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, przyglądam się, jak to się robi w etnografii, w antropologii. Myślenie o osobie jako podmiocie, współtwórczyni tej wiedzy jest dla mnie niezwykle ważne. Nie mówię, że akademicy i akademiczki tego nie robią czy też że nie mają szacunku, ale dla mnie to jest ważniejsze, niż to, żeby moja wiedza była np. trafna faktograficznie.

Jednocześnie, bardzo sobie cenię spotkania z akademiczkami, np. kiedy przyjeżdża do nas Dobrochna Kałwa, to jest moment ogromnego skoku, dla mnie osobiście, ale też dla Metropolitanki. My jako działaczki często jesteśmy w takim ciągu projektowym: realizujemy, promujemy, oprowadzamy, a czasem brakuje nam przestrzeni na refleksję nad tym, co robimy. Spotkania z akademiczkami są wspaniałą chwilą, kiedy możemy się temu wspólnie przyjrzeć. Wtedy możemy zadbać o to, czy wszystkie w grupie jesteśmy w tym samym poznawczo miejscu. To jest niesłychanie cenne. Z jeszcze jednej strony, nie chcę popełniać błędów, które już wcześniej zostały popełnione; chcę się uczyć na wiedzy i doświadczeniu, które herstoria wyniosła z Francji czy USA, czy z innych miejsc, w których jest bardzo rozwinięta. Chcę się na tym uczyć, ale nie po to, żeby powtarzać rzeczy, które tam zostały zrobione – chcę wnieść coś nowego. Dlatego z chęcią korzystam z wiedzy i doświadczenia tych osób, które mają zaplecze merytoryczne i mogą mi je streścić.

Natalia: A wyobrażacie sobie przekazywanie w drugą stronę? Że akademiczki biorą coś od Was, od nas i to jakoś zasila ich pracę?

Ania: Wydaje mi się, że unikalne jest nasze podejście do wywiadów – osoby z nami faktycznie rozmawiają. Przychodzą do mnie studentki i studenci, którzy już nie funkcjonują poza internetem, a poza tym nie umieją rozmawiać, nie biorą pod uwagę np. kontekstu kulturowego rozmowy. Potrafimy też zarazić fascynacją.

Barbara: My wnosimy też mocno antydyskryminacyjne podejście, które pozwala zauważać różne grupy wykluczone. Akademia chyba już też tę pracę wykonała, ale mam takie przeczucie, że jesteśmy bardziej wyczulone na wykluczenia i w związku z tym szybciej je wyłapujemy. Naszą fascynacją i entuzjazmem zdecydowanie umiemy zarazić. Także tym, że dużo gadamy o emocjach, ujawniamy je – to jest też coś, co wnosimy. Tym samym zmieniamy paradygmat, bo do tego intelektualno-akademickiego, racjonalnego dodajemy coś bardziej emocjonalnego. Wnosimy myślenie o nauce jako czymś, co można tworzyć, nie udając, że jest obiektywna, tylko mówiąc bardzo z siebie, ze świadomością swojego miejsca w społeczeństwie, ale i z osadzeniem w emocjach.

Ania: Wprowadzamy herstorię do mainstreamu, popularyzujemy. Jeśli uczelnie wyższe chcą być atrakcyjne, powinny zajmować się interesującymi tematami.

Barbara: Tak, umiemy tę wiedzę, którą akademiczki też mają, sprzedać ludziom. Mamy dobre kompetencje popularyzatorskie i to jest coś, co możemy wnieść w herstorię, żeby posłać ją w świat. Myślę też, że ruszamy rzeczy, których akademia by nie ruszyła. Rzucamy światło na coś nowego, czego akademia jeszcze nie widzi.

Rozmowa odbyła się 6 września 2015 roku za pośrednictwem komunikatora Skype.

Metropolitanka to grupa społeczna realizująca projekt pod tą samą nazwą. Naszymi działaniami chcemy tworzyć przestrzeń, w której wybrzmią głosy i doświadczenie kobiet z przeszłości i teraźniejszości Pomorza. Skupiamy się więc na zbieraniu narracji kobiecych i na ich podstawie prowadzimy edukację. Narracjom tym przyglądamy się i prezentujemy szerszej publiczności z perspektywy płci społeczno-kulturowej. Pracując z narracjami kobiet, staramy się z jednej strony odsłaniać mechanizmy wykluczenia kobiet z historii i sfery publicznej. Z drugiej zaś strony chcemy, aby rozmowy i spotkania z nami, dzielenie się narracjami wzmacniało podmiotowość i sprawczość naszych rozmówczyń. Jednocześnie prowadzimy działania edukacyjne i popularyzatorskie: mówimy o roli kobiet na przestrzeni dziejów i o tym, co znaczyło być kobietą w danym czasie i miejscu.

Od 2010 roku zbieramy herstorie z terenów Pomorza. Pierwsze kroki Metropolitanki skierowałyśmy ku dawnej Stoczni Gdańskiej. Stworzyłyśmy trzy szlaki, które umożliwiają zwiedzanie tych terenów śladami związanych z zakładem kobiet. Jeden z nich umożliwia poznanie realiów pracy kobiet w stoczni. Opowiadamy o zawodach kobiecych, o sytuacji socjalnej i ekonomicznej robotnic. Drugi szlak pozwala na ujrzenie strajku z sierpnia 1980 roku z perspektywy jego uczestniczek. Tutaj mówimy o konkretnych osobach, bohaterkami tej trasy są m.in. Anna Walentynowicz i Alina Pienkowska. Trzecia trasa to szlak śladem artystek, które pojawiły się na terenie stoczni po upadku zakładu. Szlaki powstały na podstawie wywiadów z robotnicami, działaczkami opozycyjnymi oraz artystkami. Przez trzy lata oprowadziłyśmy szlakami kobiecymi po terenach postoczniowych ponad 1600 osób.

W 2013 roku rozszerzyłyśmy naszą działalność i stworzyłyśmy również trasy po Starym i Głównym Mieście śladami działaczek polonijnych i prekursorek. Oprócz alternatywnych tras turystycznych prowadzimy również blog, edukujemy o przeszłości Stoczni i Gdańska w ramach dwóch edycji Akademii Stoczni w Gdańsku oraz Akademii Dawnego Gdańska, prowadziłyśmy spotkania w ramach Czytelni Herstorycznej oraz współpracujemy z Akademią Sztuk Pięknych i dr Bogną Burską, pod kierunkiem której studentki i studenci przygotowują wystawę prac inspirowanych naszym projektem. Naszym partnerem od początku działalności jest Instytut Kultury Miejskiej.
Strona internetowa projektu: www.metropolitanka.ikm.gda.pl.

fot. Joanna Tomiak

Natalia Judzińska – skończyła politologię i studiowała kulturoznawstwo Europy Środkowo-Wschodniej na Wydziale Lingwistyki Stosowanej UW. Wraz z Joanną Tomiak koordynowała międzypokoleniowe projekty herstoryczne „My, Kobiety Muranowa" (2009–2010) oraz „Warkocze M" (2011–2012) realizowane przez Fundację Centra – Kolektyw UFA w ramach programu „Seniorzy w akcji". Zaangażowana w projekty Stowarzyszenia Praktyków Kultury skierowane do młodych uchodźców i uchodźczyń (od 2014 roku). Od 2014 współpracowniczka Zespołu Archiwum Kobiet przy Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk i członkini Sieci herstorycznej. Autorka trasy warszawskiej po Muranowie w: *Szlaki Kobiet. Przewodniczka po Polsce emancypantek* (red. Ewa Furgał, Fundacja Przestrzeń Kobiet 2015). Instruktorka na Karioka Girls Rock Camp Beskidy oraz Pozytywne Zmiany Women's Rock Camp (od 2015 roku).

NATALIA JUDZIŃSKA

NIE MOGĘ PATRZEĆ NA ŁÓŻKA PIĘTROWE

Z Natalią Judzińską, współautorką herstorycznych projektów na Muranowie, badaczką w projekcie „Archiwum Kobiet: Piszące", rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Jaka była Twoja droga do herstorii?

Natalia Judzińska: W 2009 roku zrealizowałam wspólnie z Asią „Bordową" Tomiak mój pierwszy projekt herstoryczny – „My, kobiety Muranowa". Od tamtego czasu, czyli w ciągu ostatnich 6 lat przebyłam długą drogę do miejsca, którego się nie spodziewałam. I ta droga mnie definiuje obecnie. W 2009 roku zajmowałyśmy się z Bordową historią kobiet w ramach UFY[1], a teraz w tym temacie pracuję w akademii i mieszkam na Muranowie. Tu mnie przyprowadziła długa, kręta droga [śmiech].

Natalia S.: Gdzie się zaczęła?

Natalia J.: Ten pierwszy projekt herstoryczny, „My, kobiety Muranowa", koordynowałyśmy z Asią Tomiak w ramach UFY. Uczyłyśmy się wtedy pracy w organizacji pozarządowej, to nas kręciło. Obie chciałyśmy się zajmować historią kobiet, rzeczami queerowymi[2] i działać w grupie feministycznej. Ale od bardzo długiego czasu, od 14 lat zajmuję się też punk rockiem, który bardzo na mnie wpłynął, stał się elementem mojej tożsamości. Grałam w punkowych zespołach kobiecych, feministycznych, anarchofeministycznych, queerowych – z potrzeby reprezentowania grup, z którymi się utożsamiam. Punk rock jest zaangażowany politycznie, zaangażowany przeciwko antysemityzmowi, feministyczny, przeciwko homofobii, wspiera wegetarianizm, weganizm – to cały pakiet wolnościowych wartości, który otrzymałam, który sobie sama wzięłam. A potem zadziała się UFA.

Jako kolektyw UFA wynajmowałyśmy ogromny lokal, za który co miesiąc płaciłyśmy bardzo dużo pieniędzy, ponad 3,5 tys. złotych. W kolektywie aktywnie działało od pięciu do piętnastu osób, trudno było w ciągu miesiąca wygenerować taką kwotę. Zajęłyśmy się szukaniem finansowania, grantów, w ramach

1 UFA była „otwartą kobieco-queerową centrą kulturalno-społeczną non-profit, działającą na zasadach niehierarchicznych, prowadzoną przez kolektyw" (fragment opisu ze strony www.u-f-a.pl). Siedziba UFY mieściła się w Warszawie.
2 Queer – określenie używane generalnie na ujęcie szerokiej grupy osób, zjawisk, działań, nurtów teoretycznych itp., które pozostają poza normą heteronormatywności i cispłciowości.

których mogłybyśmy opłacać także lokal. Furja[3] znalazła konkurs „Seniorzy w akcji" prowadzony przez Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę". Chciałyśmy, żeby nasz projekt pomógł nam zakorzenić się w tej dzielnicy, dlatego postanowiłyśmy zrobić coś bardzo lokalnego. A ponieważ na Muranowie miałyśmy dużo starszych sąsiadek, chciałyśmy zrobić coś z nimi, coś feministycznego. W takim kontekście pojawił się pomysł projektu „My, kobiety Muranowa". Trwał długo, 9 miesięcy, a budżet – zresztą bardzo niedoszacowany – zamknął się chyba w 8 tys. złotych. Zależało nam, żeby w działaniach iść dwutorowo, tzn. obok warsztatów z umiejętności praktycznych, czyli m.in. obsługi aparatu fotograficznego i rysowania, odbywały się także wykłady dotyczące historii kobiet Muranowa, tych odbudowujących Muranów po II wojnie światowej, był pokaz filmu „Przygoda na Mariensztacie"[4], a po nim dyskusja z Ewą Toniak[5]. Udało nam się też zorganizować wystawę fotografii „Mój Muranów", gdzie uczestniczki projektu prezentowały swoje zdjęcia. Poza tym stworzyłyśmy wspólnie tzw. emocjonalną mapę dzielnicy.

Projekt został wyróżniony przez Towarzystwo Inicjatyw Twórczych „ę" i uznany za dobrą praktykę. Potem w innych, już późniejszych działaniach w ramach programu „Seniorzy w akcji" niektóre grupy się do niego odwoływały, co uznawałyśmy zawsze za wyróżnienie. Znaczącą gratyfikacją, takim wynagrodzeniem za całą tę pracę było to, że uczestniczki projektu, później już nasze koleżanki, powiedziały nam potem, że to było ważne i mocne doświadczenie. Ta grupa kobiet nadal się spotykała, także po zakończeniu projektu.

Sama w trakcie tego projektu bardzo dużo się nauczyłam, zobaczyłam też, że tym chciałabym się zajmować. Nawet jeśli dokładnie nie pamiętam nazwisk czy dat urodzenia tych kobiet z przeszłości, to samo rozmawianie o kobietach w towarzystwie kobiet i robienie czegoś wspólnie, żeby przywrócić o nich pamięć, wydawało mi się totalnie ważne.

I jeszcze jedna rzecz: gdyby UFA nie wylądowała na Muranowie, to nie wiem, czy bym się tym zajęła, a teraz dla mnie to jest bardzo istotne i mnie definiuje, tj. getto warszawskie i nakładanie się tych dwóch filtrów – kobiet i Żydówek. Na tyle miejsc i tyle historii, w „miejscu-po-getcie", żeby użyć sformułowania Jacka Leociaka, są tylko dwie tablice poświęcone kobietom. Nawiasem mówiąc, obie zresztą są związane ze służbą zdrowia.

3 Agnieszka „Furja" Weseli – historyczka seksualności, działaczka feministyczna i queerowa, tłumaczka.

4 „Przygoda na Mariensztacie", reż. L. Buczkowski, Polska 1953.

5 Ewa Toniak – historyczka, krytyczka sztuki, kuratorka, autorka książki *Olbrzymki: kobiety i socrealizm*, Korporacja Ha!art, Kraków 2008.

Natalia S.: Jak od tego międzypokoleniowego, herstorycznego projeku UFY przeszłaś do tego, czym zajmujesz się teraz? Od emocjonalnej mapy Muranowa do zajmowania się kobietami w getcie warszawskim i np. trasą spaceru ich śladami w książce *Szlaki kobiet*?

Natalia J.: Tak, jestem teraz tu, gdzie jestem, w getcie, także fizycznie, bo tu teraz mieszkam, ze *Szlakami kobiet* na półce, zawodowo zajmuję się przywracaniem historii kobiet. I choć uważam to za swój prywatny sukces, to nie ja jedyna jestem osobą, której to miejsce zawdzięczam. Są trzy takie osoby, które miały na mnie wpływ. Nie chcę ich wartościować, więc opowiem w kolejności alfabetycznej [śmiech]. Po pierwsze to Barbara Klicka[6], która mi zaufała i zatrudniła mnie w projekcie realizowanym w Bibliotece pisarzy żydowskich[7] jako redaktorkę merytoryczną. Poleciła mnie też później jako osobę do współpracy w projektach Instytutu Badań Literackich PAN, czyli w „Archiwum kobiet", gdzie teraz pracuję. Te działania mnie mocno definiują. Dostałam też propozycję pracy w Instytucie Slawistyki Uniwersytetu Warszawskiego, co pootwierało przede mną różne możliwości. Zawdzięczam to właśnie Barbarze Klickiej, z którą prowadziłyśmy bardzo dużo rozmów na temat historii kobiet i która mi dwa razy uwierzyła i zaufała, polecając mnie.

Drugą taką matko-ciocią [śmiech] tego, w jakim miejscu jestem, jesteś Ty. Pamiętam Twoje i Ewy Furgał warsztaty herstoryczne w Krakowie w 2013 roku, pamiętam, jak jeździłam do Krakowa zajmować się z Wami historią kobiet, rozmowami o tym, jakie to jest ważne. A teraz Sieć herstoryczna. Samo to, że mogłyśmy razem, w większej grupie w ramach Sieci, stworzyć czy zapisać te różne trasy do książki *Szlaki kobiet*, że ja włożyłam w to kawałek swojego serca – to teraz dalej pracuje. Ludzie do mnie wracają, sygnalizują mi, że czytali mój rozdział, że różne ważne rzeczy im ta praca zrobiła; że wcześniej się nad tym nie zastanawiali, a teraz i owszem. To jest zmiana społeczna, ja ją tu widzę, w refleksji moich znajomych, którzy wracają do mnie z informacją zwrotną po lekturze. Tobie i Przestrzeni Kobiet zawdzięczam rozkminkę warsztatową, dyskusje i decyzję, że to jest to, czym chcę się zajmować, ale też to, że w ogóle tym się mogę zajmować. Za to bardzo dziękuję [śmiech].

6 Barbara Klicka – animatorka kultury, poetka, redaktorka pisma „Cwiszn – żydowskiego kwartalnika o literaturze i sztuce", które ukazywało się w latach 2010–2014, współtworzyła płytę „Czarny War" zespołu „Pochwalone".
7 „Biblioteka pisarzy żydowskich im. Michała Friedmana" – zbiór utworów napisanych w języku jidysz i przetłumaczonych przez Michała Friedmana. Kolekcja nawiązuje tytułem do słynnej serii, która wychodziła pod koniec XX wieku w Wydawnictwie Dolnośląskim, a której redaktorem był właśnie Michał Friedman. Kolekcja powstała we współpracy Fundacji Nowoczesna Polska i Fundacji im. Michała Friedmana. Strona biblioteki: https://wolnelektury.pl/katalog/lektury/biblioteka-pisarzy-zydowskich-im-michala-friedmana (dostęp: 17.01.2016).

Trzecią osobą jest Anna Zawadzka[8]. Nawet nie tyle w kontekście historii kobiet, co w ogóle mechanizmów przemilczeń i wykluczeń. W tamtym czasie rozmowy z nią też dużo mi dawały, dzięki czemu nieintencjonalnie się bardzo dużo nauczyłam i mnie to w jakiś sposób ukształtowało.

Natalia S.: Bardzo to jest dla mnie cenne, że to mówisz, bo wydaje mi się, że to rzadkie – ja się z tym rzadko spotykam – tak powiedzieć, w tym świecie, w którym żyjemy: to nie ja sama zrobiłam, inne osoby po drodze miały na mnie duży wpływ, inne osoby coś mi pokazały, wzięłam z tego kawałek dla siebie, zaczęłam coś więcej, zobaczyłam coś innego, co mnie zastanowiło. W związku z tym ważnym planem w działaniach herstorycznych wydaje mi się relacyjność działań, pamiętanie i jakoś ujawnianie ich historii, herstorii.

Natalia J.: Dla mnie też. Zupełnie nie wierzę w ideę *self-made mana*, to jest absolutna nieprawda. Urodziłam się w mieście, w którym się urodziłam, właśnie w tej rodzinie, spotykam konkretne osoby – to ma ogromny wpływ na to, gdzie jestem. Naprawdę nie zrobiłam tego sama, są osoby, które mi w tym bardzo pomogły, także w kontekście herstorii.

Natalia S.: Jak tę kategorię – herstorię – rozumiesz?

Natalia J.: Mam świadomość tego, że arbitralnie nazywam moje bohaterki emancypantkami. One być może by się tak same nie określiły. Za pomocą dziś dostępnych mi narzędzi analizy i interpretacji, wszystkie ich zachowania, działania, postawy i życie w ogóle, identyfikuję jako dążące do emancypacji i zmiany na poziomie społecznym, jednocześnie widząc, jak mocno socjalizacja do roli kobiety je definiowała.

Herstoria to dla mnie zajmowanie się osobami socjalizowanymi do roli kobiety, a także ich działaniami, w społecznym kontekście. Kobietami, które przez kulturę dominującą od momentu urodzenia nie ze swojego wyboru są domyślnie umieszczane na niższej pozycji, nie są dowartościowywane, są niedoreprezentowane. Ważne jest dla mnie też kontestowanie tego porządku i próba powstrzymania odtwarzania się tych wszystkich norm, które utwierdzają, utrwalają patriarchat. Zatrzymanie tego, takie powiedzenie „ej, ale po co nam to w ogóle?".

8 Anna Zawadzka – dr socjologii, pracuje w Instytucie Slawistyki PAN w Warszawie, sekretarz redakcji pisma „Studia Litteraria et Historica", reżyserka filmu dokumentalnego „Żydokomuna" (2010), autorka książki *Ten pierwszy raz. Konstruowanie heteroseksualności*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010.

Natalia S.: Taka zmiana jest Twoim celem w herstorii? Nazwanie patriarchatu i zatrzymanie go?

Natalia J.: Odpowiem od drugiej strony: piszę, analizuję, interpretuję historie kobiet z przeszłości, przywracam je, przyglądam im się z różnych perspektyw. Mam nadzieję, że to sprawi, że kobiety, które żyją współcześnie, nie zostaną pominięte, zapomniane. Tak jak na przykład została zapomniana Anna Braude-Hellerowa, o której po raz pierwszy przeczytałam w *Festung Warschau*[9] Elżbiety Janickiej. Przeżyłam szok – jak można nie mówić o tej osobie?!

Natalia S.: Bardzo to poczułam, ten szok i sprzeciw [śmiech]. A bez czego Twoim zdaniem trudno ruszyć, robiąc historię kobiet? Jakie są w Twojej opinii kwestie, bez których droga w historię kobiet nie może się wydarzyć?

Natalia J.: Dla mnie nie mogła się wydarzyć bez rozmów i wymiany. Bez tego bycia w relacji z innymi osobami – już wcześniej o tym mówiłam. Zwrotność jest ważna, sygnał, że moja praca spotyka się z jakąś reakcją. Oczywiście, że też emocjonalnie reakcje są ważne, docenienie itd. Ja też z tego czerpię, czuję się silniejsza. Ważne jest też skupienie na tym, by wysłuchać tych głosów, które mówią swoimi tekstami. Albo o których inne osoby piszą w swoich pracach. Jak Elżbieta Janicka o Braude-Hellerowej.
To, że mieszkam na terenie getta, chodzę po getcie i bardzo chcę je czuć, wynika z tego, jak bardzo – może to dziwnie zabrzmi – chcę usłyszeć tę Braude-Hellerową. Kiedy siedzę w archiwach, czytam wspomnienia kobiet, czytam o ich doświadczeniach, analizuję je, to właśnie czytam jeden akapit po dwadzieścia razy, żeby postarać się wejść w opisywaną sytuację i je usłyszeć. Bez tego słuchania nie ma herstorii.

Natalia S.: Słuchanie jest taką postawą bycia w kontakcie, w otwarciu na drugą osobę. Ty pracujesz na tekstach osób, które nie żyją, nie możesz się z nimi spotkać i być w zwykłym dialogu. Z czego czerpiesz, żeby takie słuchanie mogło się wydarzyć, żeby usłyszeć kobiety żydowskie i ich doświadczenie ?

Natalia J.: Przez bardzo długi czas ja w ogóle tego nie słyszałam. Urodziłam się w Warszawie, siostra mojej matki mieszka na Muranowie, a ja przez wiele lat nie zauważyłam tego, że to jest getto. Dopóki UFA się nie przeprowadziła na Muranów, nie wiedziałam, jak dokładnie przebiegała granica getta. Wierzę w to, że skoro tyle lat nie słyszałam o różnych rzeczach i nagle usłyszałam, to że

9 E. Janicka, *Festung Warschau*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012.

czytając po raz kolejny i kolejny te fragmenty, może usłyszę znowu coś więcej, coś, co dziś dla mnie jest oczywiste, a na przykład siedem lat temu jeszcze nie było.

Ważna dla mnie jest też duża koncentracja na tekście. Jestem na nim tak skoncentrowana, jak jestem skoncentrowana na rozmowie. Nie odpowiem tekstowi, ale skupiam się na opowiadanej mi historii i chcę z niej jak najwięcej wyczytać. Jak najmocniej.

Natalia S.: Naprawdę nie odpowiadasz tekstowi?

Natalia J.: Mogę opowiedzieć o swojej rozmowie z tekstem. O moim wrażeniu po lekturze, ale nigdy nie odpowiem kobietom, które napisały te teksty, że „ej, już pamiętamy, już jest spoko, już macie pomnik". Nie wiem, co mogłabym im powiedzieć. Nie powiem im, że to się nie powtórzy, bo patrząc na rosnącą siłę skrajnej prawicy, po prostu tego powiedzieć nie mogę. Albo że będzie lepiej, bo wiele osób o nich pamięta.

Co to znaczy „pamięta", skoro dopiero ostatnio do mnie dotarło, że w Domu Sierot to nie Janusz Korczak był dyrektorem, tylko Stefania Wilczyńska? On był wychowawcą. A w Muzeum w Treblince jest kamień-upamiętnienie: „Januszowi Korczakowi i dzieciom". Janusz Korczak i dzieci, a gdzie jest Wilczyńska?! Do mnie dopiero ostatnio dotarło, kim jest osoba, która zarządza placówką i czym się różni od wychowawcy. Tym, że poza wychowywaniem dzieci, robi zakupy, rozliczenia, sprawozdania – jest odpowiedzialna za przetrwanie całej tej instytucji.

I tak, co chwilę odkrywam i odczytuję jakieś rzeczy, których w *Szlakach* nie opisałam. Minęło 70 lat od Zagłady, a ja ciągle znajduję coś nowego. To się nie kończy. To jest niepamięć i palimpsest.

Natalia S.: Mówiłaś o skupieniu na tekście, uważności i słuchaniu jako o ważnych kwestiach w Twojej herstorycznej pracy. Rozmawiałyśmy o tym kiedyś, jak trudne są to teksty i że bywają bardzo trudne w odbiorze. Jakie ponosisz koszty zajmowania się taką herstorią?

Natalia J.: Koszty? [śmiech]. Zaśmiałam się, ponieważ pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła do głowy, jest to, że przez ten obozowy kontekst nie mogę patrzeć na łóżka piętrowe.

Z dostępu do tej trudnej wiedzy wynika codzienna frustracja – że ludzie nie wiedzą o tym, co się tym kobietom wydarzyło i dlaczego. Że sama nie wiedziałam, dowiaduję się. I że to – wykluczanie, dyskryminacja, przemoc – dzieje się dalej.

Widzę też bardzo dużo profitów zajmowania się tymi postaciami, ich korespondencją, pamiętnikami. Przede wszystkim są to korzyści osobiste – zdobywam wiedzę, kształcę się. Poza tym

odbiór społeczny mojej pracy nad relacjami żydowskich kobiet z czasu Zagłady jest taki, że pracuję na bardzo trudnych źródłach i to na swój sposób podbija mój status w tej dziedzinie – staję się osobą „w pewnych kręgach" uważaną za specjalistkę.

Natalia S.: A czy masz jakieś dylematy wokół tej pracy?

Natalia J.: Czytam listy i pamiętniki tych kobiet. To jest wielki dylemat. Nie mam pojęcia, czy one by tego chciały. To była i nadal jest ich prywatność. Choć znajduje się w zbiorach przeróżnych instytucji, w archiwach. Nie sądzę, żeby chciały, żebym czytała niektóre z tych rzeczy. I nie wiem, czy by chciały, żebym potem o tym pisała, o tym mówiła, to analizowała bez ich głosu. Pamiętaj, że one już nie żyją, że analizuję to absolutnie poza nimi. To jest dylemat etyczny wejścia w czyjąś prywatność, przywłaszczenia czyjejś prywatności i po przetworzeniu – ujawnienia jej, wypuszczenia na zewnątrz, poza źródło, poza archiwum.

Natalia S.: Co uważasz za przywłaszczenie?

Natalia J.: To, że analizując te materiały, pisząc swoje teksty o nich, na ich podstawie, arbitralnie wybieram fragmenty, które uważam za istotne.

Poza tym, ze względu na charakter tego materiału badawczego, trudno mi już na takim po prostu prywatnym, osobistym poziomie używać go jako tylko „materiału badawczego" właśnie. To jest fragment dziennika, pamiętnika, ustęp listu. Nie do końca umiem się od tego oderwać. Z tego względu trudno mi przeprowadzić do końca analizę np. w mojej pracy magisterskiej, która cała opiera się na niepublikowanych wspomnieniach kobiet mieszkających po obu stronach muru getta warszawskiego i wileńskiego. Szczególnie te teksty kobiet z wewnątrz getta są bardzo mocne. A w kontekście dylematów, to po prostu czytam prywatne zapiski tych osób. Nie zapytałam ich o zdanie. Wiesz, włamuję się komuś w maile. To jest dla mnie problem.

Natalia S.: Świadomość celu, dla którego to robisz, nie pomaga?

Natalia J.: Z jednej strony, taka perspektywa, że robię to w ramach badań, że opisuję, żeby udostępnić szerzej, pomaga. Ale z drugiej strony, to jest moja własna decyzja, że to robię i robię to też dla siebie, bo te materiały może opisać każdy – one są dostępne. To nie jest tak, że ja się poświęcam, chodzę do tych archiwów i zatapiam się w tym smutku, że czytam cudze listy. Nie, ja siadam do stolika, wyjmuję listy z kopert i je czytam. One nie są adresowane do mnie. I za każdym razem to jest decyzja – że idę do archiwum, że wypełniam rewers, siadam za tym stolikiem...

Tak, decyduję, że czytam cudzą korespondencję i dziennik pisany pod poduszkę. Czytam o poczuciu bezsensu, bezsilności, o rozważaniu próby samobójczej, o złości, ale ubranej w tak kobiece emocje, że staje się wylaniem żalu. Czytam o poczuciu niesprawiedliwości, chorobach, o głodzie, wątki bardzo związane z ciałem. O przemocy seksualnej, przemocy fizycznej wobec kobiet w obozach. Masakra.

Czytam nie tylko pamiętniki z tej strony muru, ale też z „aryjskiej". I tu też pojawia się kwestia interpretacji, kwestia oceny. Wiem, że w dwudziestoleciu międzywojennym antysemityzm był integralnym elementem polskiej kultury dominującej. Podział na Żydów i nie-Żydów funkcjonował, w momencie tworzenia getta wiadomo było, kto nim jest, a kto nie. Część tekstów, które dziś odczytujemy jako antysemickie, wtedy nie były tak rozumiane. I w tym kontekście opracowuję wspomnienia warszawianki Aurelii Wyleżyńskiej z czasów II wojny światowej, która mieszkała po tamtej – aryjskiej – stronie muru. Ich maszynopis znalazłam w Archiwum Państwowym – wiem z ostatniego numeru „Zagłady" (nr 10), że profesor Jan Grabowski znalazł te same fragmenty, tylko w rękopisie, w zupełnie innym archiwum. Aurelia Wyleżyńska zginęła w trakcie powstania warszawskiego, ale wcześniej zdążyła napisać swoje *Notatki pamiętnikarskie* już z zamiarem opublikowania, co się jednak nigdy nie stało; tylko część notatek, jakieś niewielkie fragmenty się ukazały. W tych pamiętnikach czytam, że trudniła się handlem, skupowała futra w getcie i sprzedawała je po „aryjskiej stronie". Kupowała je po 50 zł, a sprzedawała za 250 zł. Śmiała się z kolejnych zarządzeń, zgodnie z którymi Żydzi mają te futra zwracać, komentując, że Żydzi już stoją posłusznie w czterorzędowym ogonku i oddają te futra, część chowając – oczywiście. Puszcza do mnie, czytającej, oko, że właśnie „oczywiście", jak to Żydzi.

A ja dziś wiem, jaki był finał getta, że to się zakończyło Zagładą, jakie konsekwencje miało powstanie w getcie, że potem był rok 1968. Dzisiaj to umiem zanalizować i z tamtej perspektywy, z której ona pisze, to ja znam przyszłość. Ciężko mi w takich sytuacjach zinterpretować, czy jej słowa są antysemickie? A może nie? Czy wtedy były? Czytam jej wspomnienia, ona się na to pośrednio zgadza – chciała publikować. Ja ją krytykuję, komentuję, że to antysemityzm, a ona nie może odpowiedzieć: „Pamiętaj Natalia, że wtedy taka była rzeczywistość, to była norma".

Natalia S.: Nie ustalicie wspólnie ostatecznej wersji.

Natalia J.: Nie da rady. Nie powiem: „Pani Aurelio, była pani antysemitką". Ani ona do mnie: „Nie, Pani Natalio, antysemitami to byli oni, ci, co zamykali Żydów w getcie. My się po prostu przyglądaliśmy. Wtedy był taki podział, to było tak zwyczajne jak śnieg na Boże Narodzenie".

Natalia S.: Jakie masz plany w związku z Twoimi działaniami herstorycznymi? Albo marzenia?

Natalia J.: Jestem już po wstępnym researchu, na razie bardzo podstawowym, odnośnie przemocy seksualnej wobec kobiet żydowskich w trakcie Zagłady. Tym bym się chciała zająć na studiach doktoranckich. To jest bardzo trudny temat, ale wydaje mi się, że jeśli będziemy głośno mówić, że „tak, była przemoc seksualna, była wtedy, ale jest i teraz", to ona zostanie wyjęta ze sfery tabu i przemilczania. Byłaby to próba włączenia jej w oficjalną narrację o polskiej kulturze dominującej, ale też narrację o Zagładzie. Wiadomo, że w Auschwitz w bloku 24a znajdował się puff, burdel obozowy. Temat został przebadany, powstały o tym teksty. Ale to się nadal nie pojawia w broszurach obozowych, nie można tego usłyszeć od przewodnika po obozie; tam nie ma tej narracji. Jest narracja: Maksymilian Maria Kolbe. Puff? Nie ma, amen. Dla mnie mówienie głośno jest super ważną sprawą. Dlatego chciałabym do tej oficjalnej narracji wprowadzić głos o przemocy, tych kobiet, które już tego głosu nie mają, bo zginęły.

Jednocześnie, to jest zupełnie inna narracja niż ta oficjalna. To jest doświadczenie kobiece, ciało kobiece, emocje... Te wszystkie kwestie nie są elementem tej oficjalnej narracji historycznej w kontekście mężczyzn – że to ciało męskie, które walczy, to ciało mężczyzny. Ale już ciało kobiety tak, ono jest zdobywane, podbijane przez każdą przechodzącą armię, niezależnie od kierunku. Wydobywanie tego to zmiana optyki, próba zwrócenia uwagi na coś innego niż dotąd.

Natalia S.: Jakie byś dała rady osobom, które zaczynają działać herstorycznie albo dopiero chcą zacząć takie działania? Od czego byś rekomendowała zacząć?

Natalia J.: Nie mam pojęcia. Mnie dużo dały Wasze warsztaty herstoryczne. Poznałam się z osobami, które też robią takie rzeczy. Zaczęłam tę historię kobiet robić bardziej świadomie, zaczęłam chcieć też robić to dalej. Wydaje mi się też, że fajnie jest rozmawiać na prawo i lewo, wyciągać informacje. Znaleźć coś, co

zaczepi, tak jak ja się przyczepiłam do Braude-Hellerowej, którą znalazłam u Eli Janickiej. Zaczęłam jej szukać, chodzić po Muranowie, znajdować jej ślady dookoła, zaglądać w rożne miejsca. To daje dużą satysfakcję, kiedy taką rzecz się zrobi samodzielnie. Bycie kobietą, która się zajmuje historią kobiet, jest dla mnie empowermentujące, wzmacniające. Sprawcze.

Rozmowa odbyła się 8 września 2015 roku na warszawskim Muranowie.

opis inicjatywy

My, Kobiety Muranowa Projekt poświęcony warszawskiej dzielnicy Muranów realizowany przez Kolektyw UFA w latach 2009-2010. Celem było wspólne zbadanie historii tej części Warszawy i przyjrzenie się jej z perspektywy kobiet.
Beneficjentkami projektu były seniorki, przede wszystkim te zamieszkujące Muranów. Działania w projekcie prowadzone były dwutorowo: teoretyczne – wykłady i spacery mające na celu przybliżenie historii dzielnicy oraz praktyczne – z obsługi aparatu fotograficznego czy sitodruku. Wszystkie zebrane kompetencje, umiejętności i przede wszystkim wiedza, posłużyły uczestniczkom projektu do stworzenia emocjonalnej mapy dzielnicy. W trakcie projektu miały miejsce też dwa wydarzenia otwarte. Pierwszym był wernisaż wystawy zdjęć wykonanych przez uczestniczki projektu, zatytułowanej „Mój Muranów", drugim zaś prezentacja emocjonalnej mapy dzielnicy. Oba te wydarzenia stworzyły przestrzeń nie tyle do wymiany wrażeń, co ulokowały uczestniczki w pozycji artystek i specjalistek od Muranowa.
Projekt doczekał się drugiej części. W 2011 roku grupa ponownie się zebrała, by tym razem międzypokoleniowo i za pomocą komiksu opisać historię kobiet Muranowa. Projekt „Warkocze M." zakończył się wydaniem publikacji pod tym samym tytułem zawierającej komiksy uczestniczek oraz część nazwaną „szkicownik" zawierającą refleksje dotyczące dzielnicy czy wrażenia z pracy w grupie międzypokoleniowej. Oba projekty nastawione były na poznanie historii kobiet przez historię zapomnianych, głównie: Żydówek, robotniczek, działaczek społecznych.
Projekt został zrealizowany w ramach ogólnopolskiego programu Towarzystwa Inicjatyw Twórczych ę „Seniorzy w Akcji" ze środków Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności.

fot. Anna Grzelewska

Anna „Che" Czerwińska – działaczka na rzecz praw kobiet, współzałożycielka Fundacji na rzecz Równości i Emancypacji STER; absolwentka UMK – Instytut Filozofii w Toruniu i Gender Studies przy ISNS UW. Współorganizatorka Manify i innych wydarzeń w ramach Porozumienia Kobiet 8 marca (2000–2006), specjalistka ds. informacji w Fundacji Ośrodek Informacji Środowisk Kobiecych – OŚKa w Warszawie, gdzie m.in. koordynowała program grantowy Fundusz dla Kobiet, bazę danych organizacji kobiecych w Polsce, ogólnopolską akcję Bezpieczna Taksówka dla Kobiet. W latach 2005–2012 pracowała i zarządzała (wiceprezeska zarządu) Fundacją Feminoteka. W 2008 roku otworzyła Wirtualne Muzeum Historii Kobiet. Współredaktorka strony internetowej Feminoteka.pl. Współautorka i redaktorka publikacji: *Niemoralne propozycje. Molestowanie seksualne w miejscu pracy* (2008), *Gendermeria – równościowy monitoring. Raport* (2008), *20 lat – 20 zmian. Kobiety w Polsce w okresie transformacji 1989–2009* (2009), *Kobiety na zielonej wyspie. Kryzys w Polsce z perspektywy gender* (2010). Prowadziła zajęcia autorskie na temat ruchu kobiecego i historii kobiet na Gender Studies UW, Gender Studies im. Marii Konopnickiej i Marii Dulębianki przy IBL PAN, Gender Studies przy Instytucie Filozofii UMK w Toruniu.

ANNA CZERWIŃSKA

ZRZUCIĆ KUCZALSKĄ-REINSCHMIT Z COKOŁU!

Z Anną Czerwińską, twórczynią Muzeum Historii Kobiet Fundacji Feminoteka, obecnie działaczką Fundacji na rzecz Równości i Emancypacji STER, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Jak to się stało, że zaczęłaś się zajmować herstorią? Jaka jest Twoja herstoryczna droga?

Anna Czerwińska: Co jakiś czas znajduję inną odpowiedź na to pytanie, jednocześnie nie ma tylko jednego początku. Na teraz, myśląc o początkach, sięgam do czasów mojego zaangażowania w OŚKę[1] i powodów, dla których się tam pojawiłam około roku 2000. Najpierw byłam wolontariuszką, potem zaczęłam tam pracować. Pracowało się tam wtedy na różnych komputerach, to były komputery po różnych kobietach. Było w nich mnóstwo różnych folderów z imionami kobiet, które nic mi nie mówiły. Nie miałam pojęcia, kim były te osoby, które wcześniej na tych komputerach pracowały. W tym upatruję swojego początku w herstorii, mojego pierwszego herstorycznego pytania: gdzie są te wszystkie kobiety, które przede mną siedziały przy tych biurkach i robiły ruch kobiecy w Polsce? Taka pierwsza refleksja: ile kobiet pracuje na organizacje, ile się przewija przez różne okresy, część zostaje, część zakłada swoje organizacje, duża część znika.

Wiedziałam, że chcę się zajmować historią kobiet i że to jest moja *idée fixe*. Kiedy czytałam książkę Anety Górnickiej-Boratyńskiej *Cztery projekty emancypacji*[2], olśniło mnie, że przed nami były emancypantki, które miały dokładnie te same hasła. Od tej pory wiedziałam, że chciałabym się zająć historią kobiet. Dopiero potem wróciłam do lektury zachodnich tekstów, które opublikowała Teresa Hołówka, do *Nikt nie rodzi się kobietą*[3]. Chyba właśnie wtedy w OŚCe uznałyśmy, głównie ja i Joanna Piotrowska, że musimy przywrócić pamięć o naszych Babkach. Nawet zrobiłyśmy wtedy akcję: zbierałyśmy pieniądze na tablicę upamiętniającą pierwszą siedzibę pisma feministycznego

1 Fundacja Ośrodek Informacji Środowisk Kobiecych OŚKa, jedna z pierwszych organizacji feministycznych, działająca od 1996 roku, obecnie nieaktywna.
2 A. Górnicka-Boratyńska, *Stańmy się sobą. Cztery projekty emancypacji*, Świat Literacki, Izabelin 2001.
3 *Nikt nie rodzi się kobietą*, pod red. T. Hołówki, Czytelnik, Warszawa 1982.

„Ster"[4] na Nowym Świecie[4] w Warszawie. I na upamiętnienie Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit. Jako Grupa Historyczna im. Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit wyprodukowałyśmy wtedy pocztówki z emancypantkami, które miały być sprzedawane jako cegiełki na tablicę. Ostatecznie je rozdawałyśmy [śmiech]. O ile dobrze pamiętam, zrobiłyśmy nawet dwie imprezy tematyczne. To wszystko były działania na fali entuzjazmu.

To musiało być mniej więcej w tym czasie, kiedy ukazała się książka Górnickiej-Boratyńskiej albo rok później. 2002, może 2003 rok. Dokładnie rok później z grupą o dość podobnym składzie odnalazłyśmy w ramach Dnia Babki grób Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit na Cmentarzu Powązkowskim. Bardzo chciałyśmy zobaczyć tę tablicę, którą opisuje Górnicka-Boratyńska, na której miała być inskrypcja „Hetmance ruchu kobiecego, papieżycy feminizmu". Oczywiście nie jest łatwa do znalezienia, ponieważ stanowi już część innego grobu, jak zresztą wiele nagrobków na Powązkach. Potem, kiedy Joanna Piotrowska i ja odeszłyśmy z OŚKi i ona założyła Fundację Feminoteka[5], wiedziałyśmy, że na pewno chcemy wrócić do idei robienia historii kobiet. Jedna z wolontariuszek napisała dla nas tekst o muzeach historii kobiet. To był dla nas wtedy bardzo jasno wytyczony kierunek, chciałyśmy w przyszłości zrobić takie muzeum. A pierwszą akcją typowo herstoryczną był rok 2005, kiedy zbierałyśmy od dziewczyn osobiste historie o babciach z okazji Dnia Babci. Poruszające historie opowiadane o babciach przez wnuczki. Myślę, że te relacje to jest dopiero niezbadany temat. Coś jest w tych relacjach, że one są takie ważne dla matrylinearności.

Potem wróciłyśmy do pomysłu muzeum historii kobiet. Postanowiłam subwersywnie wykorzystać konkurs dotacyjny „Patriotyzm Jutra"[6] na to, żeby zdobyć środki na budowę strony internetowej[7] i zebranie tekstów o historii emancypacji w Polsce. Uzasadniłam to stosownie do wymogów konkursu, tj. że wszystkie te kobiety walczące o prawa kobiet były wielkimi patriotkami, walczyły o niepodległość.

Nie bardzo wierzyłam, że to się uda. A jednak dostałyśmy tę dotację i to w takiej kwocie, jak zaplanowałyśmy w budżecie. Nagle się okazało, że wiele dziewczyn się tymi kwestiami interesuje. Z Feminoteką współpracowała już wtedy Sylwia Chutnik,

4 „Ster. Dwutygodnik do spraw wychowania i pracy kobiet" ukazywał się w latach 1895–1897 we Lwowie, reaktywowany w Warszawie, gdzie ukazywał się w latach 1907–1914. Paulina Kuczalska-Reinschmit była redaktorką naczelną pisma. Zdigitalizowane numery „Steru" dostępne są pod adresem: http://www.adrianzandberg.pl/drogidoemancypacji/ster/ (dostęp: 16.01.2016).
5 Wcześniej Feminoteka działała jako feministyczna księgarnia internetowa.
6 Patriotyzm Jutra – ogólnopolski program grantowy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłaszany dorocznie przez Muzeum Historii Polski.
7 Wirtualne Muzeum Historii Kobiet Fundacji Feminoteka zostało uruchomione w styczniu 2008 roku: feminoteka.pl/muzeum (dostęp 10.10.2015).

robiła kurs przewodnicki po mieście i wiadomo było, że ją także to interesuje, tu się nam rozwinęła współpraca. W tym czasie zaczęło się ukazywać coraz więcej książek dotyczących historii kobiet, np. *Siostry Malinowskiego*[8], coraz więcej podobnych inicjatyw, jakiś czas później powstał Feministyczny Salon Historyczny[9], wszystko działo się w tym samym czasie.

W ramach pracy w OŚCe byłam na międzynarodowej konferencji w Zagrzebiu i działaczka, bodajże z Czarnogóry, pokazała mi mapkę szlaku, jakim ona i jej koleżanki oprowadzają po mieście – śladami emancypantek. Na różnych wydarzeniach zbierałam takie gadżety, wydaje mi się, że ten początek w OŚce mnie uczulił na zbieranie artefaktów i historii kobiet. Absolutnie wszystkim tę mapkę pokazywałam. Zresztą właśnie tak postrzegam swoją rolę, jako taką empowermentową, wzmacniającą. Nawet już po zakończeniu projektu spotykałam się z różnymi inicjatywami w różnych miejscach w Polsce i opowiadałam im, co mogą zrobić, Wy się też w tamtym czasie pojawiłyście, więc opowiadałam także o Was [śmiech].

Natalia: Pamiętam, że jeździłaś. Spotkałaś się także z nami [śmiech]. W czerwcu 2010 roku zaprosiłyśmy Cię do Krakowa, żebyś opowiedziała o Wirtualnym Muzeum i o filmie „Powstanie w bluzce w kwiatki" w Muzeum Farmacji. To było chyba już w ramach naszego drugiego projektu herstorycznego, już po pierwszej Przewodniczce. Było już trochę okazji do spotkań i rozmów, ja zaczęłam własne zaangażowanie w działania feministyczne pod koniec 2002 roku, a jednak opowiadasz taką historię, której po prostu nie znam. Może to przez moje zakotwiczenie lokalne w Krakowie albo Twoje osadzenie lokalne w Warszawie?
Myślę teraz intensywnie o wadze przechowywania informacji, zachowania pamięci, która nie jest dostępna.

Anna: Myślę, że każda z nas ma swoją pamięć i swój ogląd sytuacji. Uważam, że to jest fajne. Jestem ciekawa innych opowieści o ruchu kobiecym w Polsce po 1989 roku, bo się tym zajmuję, prowadzę zajęcia na ten temat na genderach. Wiem na przykład, że narracja Agnieszki Grzybek i moja się różnią, na inne rzeczy kładziemy nacisk. Na jeszcze coś innego zwraca uwagę Magda

8 G. Kubica-Heller, *Siostry Malinowskiego, czyli kobiety nowoczesne na początku XX wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006.
9 Feministyczny Salon Historyczny – powołana w 2008 roku inicjatywa feministycznie zorientowanych historyczek Iwony Dadej i Anny Nowakowskiej-Wierzchoś, której „ideą jest poszerzenie wiedzy o historii kobiet oraz prezentowanie badaczek podejmujących tę tematykę podczas regularnych spotkań w Warszawie" (cyt. za: www.feministycznysalonhistoryczny.blox.pl, dostęp: 15.01.2016).

Grabowska[10], która napisała doktorat z historii ruchu kobiecego w Polsce. Co działaczka z lat 80. i 90., to nieco inna historia. Gdy rozmawiam z Olą Solik[11], to jest to zupełnie inna historia ruchu kobiecego, inna kiedy rozmawiam z Ewą Dąbrowską-Szulc[12]. Bardzo jestem ciekawa historii Sławki Walczewskiej[13]. Zebranie wszystkich tych opowieści byłoby bardzo ciekawe, to są całe światy do odkrycia.

Natalia: Fascynujące. W tym momencie nie zajmujesz się historią kobiet w ramach konkretnego projektu, ale działasz w organizacji, która nazywa się Ster. Czy najwyraźniej herstoryczna konotacja tej nazwy sygnalizuje tego rodzaju plany w przyszłości?

Anna: Tę nazwę wymyśliła Agnieszka Grzybek, która zaproponowała mnie i Magdzie Grabowskiej założenie fundacji, jako że wszystkie zajmujemy się historią ruchu kobiecego po 1989 roku. Dużo z Agnieszką o tym rozmawiałam, że dla mnie ważne jest, by tę historię zarchiwizować, spisać. Uważam, że bez tego nie da się nawet dalej pracować jako ruch. Nawet gdybyśmy to miały zrobić wyłącznie na potrzeby opowiadania studentkom i studentom o tym, co się działo w ruchu w latach 90., bo teraz to „ojej, to w ogóle coś się działo? Szok!". Upatruję w tym ogromną słabość polskiego ruchu kobiecego, że nasza historia jest niespisana. Że my tego nie wiemy, co działo się pokolenie przed nami i nie ma pełnej wymiany pokoleniowej. Każde nowe pokolenie aktywistek feministycznych zaczyna w tym samym punkcie albo w którymś momencie do tego samego punktu trafia. I jest zdziwienie, że potem jakieś „starsze panie feministki" mają pretensje, że to już przecież było. Ale skąd mamy w ogóle o tym wiedzieć?

10 Magdalena Grabowska – socjolożka, badaczka, współzałożycielka Fundacji na rzecz Równości i Emancypacji STER, wykładowczyni Gender Studies przy IBL PAN, doktoryzowała się na podstawie rozprawy doktorskiej poświęconej ruchowi kobiecemu w Polsce po 1989 r. (Rutgers University, 2010). Anna Czerwińska, Magdalena Grabowska i Agnieszka Grzybek wspólnie tworzą zarząd Fundacji na rzecz Równości i Emancypacji STER.
11 Aleksandra Solik – aktywistka na rzecz praw kobiet, współzałożycielka i działaczka m.in. Stowarzyszenia na rzecz Państwa Neutralnego Światopoglądowo NEUTRUM (1990–1997), Stowarzyszenia na rzecz Równego Statusu Płci – Pekin '95. W latach 1997–2006 pracowała w Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, zajmując się problematyką praw reprodukcyjnych kobiet. Obecnie związana z Koalicją KARAT.
12 Ewa Dąbrowska-Szulc – działaczka feministyczna, współzałożycielka Stowarzyszenia Pro Femina, członkini Porozumienia Kobiet 8 Marca, działa w obszarze praw reprodukcyjnych kobiet, w tym na rzecz prawa do aborcji.
13 Sławomira Walczewska – działaczka feministyczna, członkini-założycielka stowarzyszenia Network of East-West Women, współzałożycielka Fundacji Kobiecej eFKa, członkini zespołu redakcyjnego Pisma Feministycznego „Zadra". Autorka książki *Damy, rycerze, feministki. Kobiecy dyskurs emancypacyjny w Polsce*, Fundacja Kobieca eFKa, Kraków 1999.

Jestem też osobiście w rozpaczy, kiedy widzę likwidację kolejnych organizacji feministycznych i nie wiadomo, co się dzieje z ich archiwami, bibliotekami, z ich dorobkiem. A to się dzieje na naszych oczach. Nie wiem, dlaczego tak się wydarzyło, że to starsze od nas pokolenie feministek nie spisało tej historii.

Natalia: Masz jakieś przeczucie, jakąś intuicję na ten temat?

Anna: Wydaje mi się, że to jest po prostu trudny temat. Właśnie dlatego, że każda z organizacji, nawet każda z osób, każda z liderek nieco inaczej widzi tę historię i każda swoją uważa za najważniejszą. Jestem gotowa spisać wszystkie te najważniejsze historie, chcę, żeby one zostały opowiedziane równoważnie.

Mam też taką teorię, że gdy się wypada z obiegu, z ruchu kobiecego, to już się nie chce mieć z nim absolutnie nic wspólnego. To takie odpadnięcie raz na zawsze. Wydaje mi się, że jest ogromna trudność – to jest także moja własna historia – opowiedzenia historii osoby, której nie ma w tej chwili w mainstreamie ruchu. Historię piszą zwycięzcy. Herstorię piszą zwyciężczynie. Tzn. osoby, które utrzymały swoje organizacje, na zawsze. Rozdają karty. Jeśli jest się tą działaczką, która wypadła z ruchu, to został po tobie tylko ten folder w komputerze. Jest tak z każdym głosem z marginesu: trudno jest opowiedzieć taką historię, żeby w niej nie było rachunku krzywd, poczucia winy, jakiegoś deprecjonowania roli liderek. W tej opowieści są liderki, silniejsze osoby, nie ma głosów słabszych, tych osób, które odpadły po drodze, ponieważ moim zdaniem ruch kobiecy nie lubi słabych kobiet.

Natalia: „Słabych" zdefiniowanych jako takie, które nie wytrzymały, odeszły, odpadły?

Anna: Które sobie po prostu z czymś nie poradziły. To także moja osobista teoria, wynikająca z praktyki i doświadczenia, że nawet kiedy patrzę na kobiecy ruch pomocowy, to myślę, że *de facto* nie lubi się tych kobiet, którym się pomaga. One nie spełniają naszych oczekiwań, nie stają się nagle feministkami. Ciągle oczekują pomocy. To jest na przykład przypadek Alicji Tysiąc – gdzie w tym ruchu jest miejsce dla niej? Dla niej było miejsce na sztandarze, ale tam się nie zmieściła, nie pasowała do schematu. Podobnie Aneta Krawczyk, mimo że jej stosunki z ruchem są bardzo przyjazne. Wspominam tu tylko o tych „dużych" nazwiskach. Kiedy pracujesz na przykład z ofiarami przemocy, one nagle nie pasują, wchodzą w kolejne przemocowe związki, wyciągasz z jednego, wchodzą w kolejny – to nie jest feministyczna, fajna *power story*.

W jakimś sensie podobnie jest z poszczególnymi działaczkami ruchu. Uważam, że dużą trudnością jest znalezienie języka, którym można to opowiedzieć i nikogo nie skrzywdzić. Niedawno moja koleżanka Magda Kicińska napisała książkę[14] o Stefanii Wilczyńskiej, o której się mówi „pomocnica Korczaka". A *de facto* to na niej stał cały Dom Sierot, była jedną z najważniejszych kobiet dwudziestolecia międzywojennego. Magda potrafiła znaleźć taki sposób na opowiedzenie historii Stefy, który nie anuluje tego, czego dokonał Korczak, nie podważa jego autorytetu, jego znaczenia. Opowiedziała historię Stefy w ogóle bez odnoszenia się do niego.

Natalia: To nie jest historia przeciwko mitowi czy figurze Korczaka, tylko osobna historia.

Anna: Dokładnie tak. Wydaje mi się, że trzeba spróbować znaleźć właśnie taki język, żeby opowiedzieć historię ruchu kobiecego, w sposób, który nie oznacza wzajemnego podważania.

Natalia: Mówisz o historii ruchu jako o herstorii.

Anna: Tak. Dla mnie bardzo ważne jest, że w którymś momencie odkryłyśmy emancypantki. To, że mamy o nich tak mało wiedzy, tak mało materiałów wynika z tego, że one nie spisały historii ruchu. Mamy *Nasze bojownice*[15] i może jeszcze coś by się znalazło, garstka dokumentów, która przetrwała wojnę. Nie wiemy, co się między nimi działo, jaka była narracja Józefy Bojanowskiej[16] o „Sterze", bo znamy tylko utrwaloną opowieść Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit. W tym momencie najbardziej interesują mnie właśnie te poboczne głosy, których nie ma w głównej narracji, głosy z marginesu. Aczkolwiek bez spisania głosów liderek i opowiedzenia ich historii po prostu nie da się ruszyć z miejsca.

Natalia: Jedną z moich odpowiedzi na pytanie o to, dlaczego zajęłam się historią kobiet i dlaczego były to akurat emancypantki z Galicji z przełomu XIX i XX wieku, jest to, że z powodu różnych trudności, konfliktów i napięć nie miałam się jak dostać na początku mojego zaangażowania w ruch feministyczny – i w sumie do to tej pory tak jest – do historii kobiet, które ten ruch tworzyły w latach 80., na początku lat 90. Z różnych powodów, także leżących poza moim wpły-

14 M. Kicińska, *Pani Stefa*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015.
15 C. Walewska, *W walce o równe prawa. Nasze bojownice*, „Kobieta Współczesna", Warszawa 1930. Publikacja znajduje się w zasobach Polony pod adresem: https://polona.pl/item/17864460/6/ (dostęp: 16.01.2016).
16 Józefa Bojanowska (1873-1945) - feministka, publicystka, działaczka społeczna, bliska współpracowniczka (być może również partnerka życiowa) Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit. Od 1910 roku wydawczyni „Steru".

wem, ten dialog nie jest łatwy. Dla mnie historia kobiet to był gest sięgnięcia do korzeni, głębiej niż do tego, co było niemal przed chwilą, ale do czego nie mogłam się dostać.

Anna: Tak, nam tam jest bardzo trudno wejść. Niektóre osoby, konkretne liderki po prostu odmawiają rozmowy na ten temat – w ogóle albo akurat z tą osobą, która chce porozmawiać. Jeżeli do tych rozmów w końcu kiedyś dojdzie, a taką mam nadzieję, to bardzo trudno będzie zrobić wyłom w tych historiach, ponieważ każda osoba ma jednak jakąś swoją narrację. To tak jak z paniami, z którymi się rozmawia o powstaniu warszawskim – one mają swój utarty schemat opowiadania, jak tam było na tej barykadzie itd. Bardzo ciężko jest je zapytać w tym momencie o coś innego, coś powszedniego: „A czy miała pani miesiączkę?". W tej historii to jest dla mnie najciekawsze. To oznacza całkowite rozmontowanie utartej narracji.

Mnie oczywiście interesują całe historie. Czy kiedykolwiek uda się je uzyskać? Nie wiem. Natomiast dostępnym elementem zachowywania tej opowieści jest archiwizowanie artefaktów. Dzięki projektowi Ośrodka KARTA, który dotyczy tworzenia archiwów społecznych, wydaje mi się to osiągalne – pozbierać plakaty, ulotki, publikacje itd. Wszystko zdigitalizować, żeby to nie było trzymane po domach, tylko w jednym miejscu. Już samo to wymaga pewnego wysiłku i opisania. Fakt, że to jest cały czas niezrobione, szokuje mnie. Mam nadzieję, że poszczególne organizacje się za to zabiorą. Wiem, że na przykład Koalicja KARAT bardzo chciała to robić. Ja też mam taki plan, żeby się tym zajmować w Sterze.

Moim zdaniem bez artefaktów nie da się tej historii opowiedzieć. To jest też dla mnie o tyle ważne, że to jest *de facto* tworzenie dokumentów historycznych i w pewien sposób wpisanie ruchu kobiecego, historii tego ruchu w mainstream, wpisanie herstorii w mainstreamową historię, choćby w historię transformacji. To zresztą jest bardzo ciekawe i ważne, co się wtedy w ruchu kobiecym działo i dlaczego. Kwestie, którymi zajmowały się organizacje kobiece w latach 90., to, w jaki sposób to robiły, bardzo pasuje do opowieści o transformacji – niekoniecznie zresztą opowieści alternatywnej, za to często głównie neoliberalnej. Na przykład odżegnywanie się od historii kobiet w PRL, od komunizmu (bo wg głównej narracji wtedy „feministka to komunistka" i „liga rządzi, liga radzi...") , co prowadziło do zanegowania wszystkich korzeni ruchu kobiecego, które sięgały PRL, w tym odcięcie się od historii Ligi Kobiet Polskich, co obecnie bada Magda Grabowska. To oczywiście tylko jedna drobna historia, piszą o tym też Agnieszka Mrozik, Agnieszka Graff.

Natalia: Mówisz o zerwaniu ciągłości.

Anna: Absolutnie, i to po raz kolejny. Po raz pierwszy to się stało po II wojnie światowej, stąd nic nie wiemy o emancypantkach i nikt o tym nie wie oprócz tych osób, które bezpośrednio odgrzebują ich historie. Potem się ładnie odcięłyśmy od całego okresu PRL. A teraz mam wrażenie, że odcięłyśmy sobie historię gdzieś w 2005 – po wejściu do Unii Europejskiej. To moim zdaniem cezura zapomnienia o latach 90., dla wielu historia ruchu kobiecego w Polsce zaczyna się wraz z Kongresem Kobiet.

Natalia: Jaka jest Twoja definicja herstorii?

Anna: Na warsztatach Sieci herstorycznej w sierpniu dużo się nad tym zastanawiałyśmy. Bardzo dużo tam padło różnych definicji, prawda? Zdałam sobie sprawę, że po prostu nie mam swojej własnej, oddzielnej definicji. Za dużo mnie w tym wszystkim interesuje: interesuje mnie zarówno historia mojej babci i mojej rodziny, historia codzienności, historia jako duża narracja, historia bohaterek, tych kobiet, które coś zrobiły, czegoś dokonały. Jestem po prostu coraz bardziej tym podjarana.

Zajmowałam się historią pewnej pani, Haliny Paszkowskiej, z którą zetknęłam się po raz pierwszy przy okazji redakcji jej wywiadu do filmu o kobietach w powstaniu warszawskim pt. „Powstanie w bluzce w kwiatki"[17]. Jej historia mnie urzekła. Ona opowiadała o swoim powstańczym doświadczeniu – było to doświadczenie Żydówki, dla której pierwszy dzień powstania był pierwszym dniem wolności. To zresztą częsta narracja wśród ukrywających się Żydów, że w końcu mogli wyjść na ulice, walczyć z bronią w ręku, stanąć oko w oko z Niemcami – to są cytaty z tych wspomnień. „Chociaż się oczywiście nie przyznałam moim chłopcom z AK, że jestem pochodzenia żydowskiego". Jej historia z powstania była bardzo obrazowa i dotyczyła dźwięku. Zaintrygowało mnie to i pogrzebałam w sieci na jej temat. Okazało się, że po wojnie pani Halina była pierwszą kobietą-dźwiękowcem i udźwiękowiała prawie wszystkie filmy tzw. Polskiej Szkoły Filmowej, pracowała w Wytwórni Filmów Dokumentalnych na Chełmskiej. Wszystkie najważniejsze filmy, które powstały w Polsce, robiła pani Halina Paszkowska. Postanowiłam do tej historii wrócić i wspólnie z moją przyjaciółką Anią Grzelewską, znaną fotografką, zrobiłyśmy film dokumentalny[18] (przy pomocy i zaangażowaniu mnóstwa wspaniałych osób).

17 „Powstanie w bluzce w kwiatki", realizacja: O. Borkowska, współpraca: S. Chutnik, A. Czerwińska, J. Gawęda, A. Grzelewska, A. Nowakowska, A. Synakiewicz, Fundacja Feminoteka 2009, https://vimeo.com/46771899 (dostęp: 17.01.2016).
18 Powstał z tego film dokumentalny pt. „Halina Paszkowska. Wybór materiałów". Realizacja: A. Czerwińska, A. Grzelewska, E. Łuczak, Montaż: R. Samborski (PSM), S. Topor, Zdjęcia: M. Kowalczyk, Produkcja: Wajda Studio (Mistrzowska Szkoła Andrzeja Wajdy, Program DOK PRO), Warszawa 2013.

Opowiadam to dlatego, że każde kolejne spotkanie z Haliną odkrywało następną, nową historię, tak jakby to były historie zupełnie różnych osób. Z jednej strony, to opowieści o zasymilowanych rodzinach żydowskich w Warszawie, potem historie o getcie, kolejne o ucieczkach, ukrywaniu się w czasie wojny, o tym, jak z perspektywy małej dziewczynki wojna wygląda. Potem powstanie warszawskie. Kolejne historie o odbudowie Warszawy, dla mnie najciekawszy okres w historii Polski, najbardziej fascynujący, niedoceniony zupełnie – nie pojmuję, jak ludzie, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, z takim entuzjazmem potem budowali te nowe domy, że mieli siłę to robić.

Halina była kobietą pracy, oddaną swoje pasji – dźwiękowi. Pracowała w męskim zawodzie, gdzie kobietom nie jest łatwo. Pracowała z najważniejszymi osobami ze świata polskiego filmu: Munkiem, Fordem, Polańskim, Łozińskim i wieloma innymi. Znała artystów, aktorów, pisarzy. Pracowała przy legendarnych filmach, takich jak „Nóż w wodzie" czy „Eroica". I ta opowieść to jest dopiero wierzchołek góry lodowej. Odbywała też samotne podróże po całym świecie, łącznie z samodzielną podróżą przez Azję. Robiła antysystemowe filmy, które trafiały na półkę. Brała niejako udział w strajku w Stoczni Gdańskiej, ponieważ robiła wtedy dokument „Robotnicy 80"[19]. Robiła też jeden z ważniejszych filmów po roku 1989, tj. „Wszystko może się przytrafić"[20] Marcela Łozińskiego. I jest w tym wszystkim taką zapomnianą panią, o której nikt nie wie.

Natalia: Z tego, co o niej opowiadasz, wynika ogromna złożoność jednej postaci.

Anna: Opowiadam o niej dlatego, że trudno mi powiedzieć, czym dokładnie, konkretnie ta historia kobiet miałaby być. W historii Pani Haliny mieści się wszystko i nie wiem, czy bardziej interesują mnie jej samotne podróże, czy anegdotki z planów filmowych, czy może to, jaka Halina jest obecnie – jest cudowną osobą, która jednocześnie jest po prostu bardzo trudna w relacji ze mną czy z Anią. Myślę też, że nawet jeśli w życiu jakiejś osoby wydarzyła się np. duża przemoc, katastrofa, dramat, to nie jest to jedyna historia o tej osobie i tym życiu do opowiedzenia.

Natalia: Tu istotna jest jeszcze kwestia odczytania, mojego wpływu na to, co zostanie i w jaki sposób będzie z tej historii wyjęte.

19 „Robotnicy '80", reż. A. Zajączkowski, A. Chodakowski, dźwięk H. Paszkowska, Polska 1980. W 1981 r. film otrzymał nagrodę Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.
20 „Wszystko może się przytrafić", reż. M. Łoziński, dźwięk H. Paszkowska, Polska 1995.

Anna: Im dłużej rozmawiałyśmy ostatnio o herstorii z dziewczynami z Sieci, tym lepiej rozumiałam, jak wiele zależy od interpretacji. I moim zdaniem to jest też niebezpieczne w robieniu feministycznej historii. Możemy przesadzić, ideologizując pewne rzeczy i moim zdaniem właśnie tego ludzie się w tej historii boją.

Natalia: Jednocześnie historia w ogóle jest wysoce zideologizowana.

Anna: Tak, absolutnie się z tym zgadzam. I to cały czas jest ten wątek mojego szukania, jak to wszystko w ogóle opowiedzieć, jaki język ma o tym opowiadać.

Natalia: W jaki sposób myślisz o celu, celach herstorii? Wcześniej mówiłaś trochę o tym, jak ważne jest, by nie zaczynać ciągle od nowa. Coś jeszcze?

Anna: Najważniejsza dla mnie jest chyba sprawiedliwość dziejowa. I to, że kiedy wychodzę z Europejskiego Centrum Kultury[21] w Gdańsku, to chciałabym wychodzić z doświadczeniem potwierdzenia, że i kobiety, i mężczyźni budowali Solidarność – tak przecież było, ja to wiem. Jednak wychodzę stamtąd z poczuciem wymazania kobiet, podobnym do tego, z którym jestem po obejrzeniu filmu „Solidarność według kobiet"[22] Marty Dzido i Piotra Śliwowskiego – dojmującego smutku. A to ma absolutnie kluczowe znaczenie dla tego, kim będą w przyszłości dziewczynki, czego się dowiadują o sobie. To jest dla mnie najważniejsze przesłanie zajmowania się herstorią – utrzymanie ciągłości. Były przede mną kobiety, które zrobiły już to i to, i to, a ja mogę to wykorzystać i kontynuować ich pracę, zamiast zaczynać cały czas od nowa. Nie wiem, czy to nie jest w ogóle polska specyfika, że „my naród" [śmiech] cały czas zaczynamy od nowa. Z każdymi wyborami. I mnie to coraz bardziej irytuje.

Natalia: Są jakieś podstawowe kwestie, fundamenty w zajmowaniu się herstorią, bez których nie można ruszyć? Coś, co jest Twoim zdaniem niezbędne?

Anna: Nie wiem. Możemy chyba zacząć w różnych momentach, prawda? Mnie interesuje ogólnie sposób, w jaki kobiety budują swoją narrację i jak opowiadają o sobie. To zupełnie inna

21 Europejskie Centrum Solidarności – gdańska instytucja kultury, muzeum upamiętniające rewolucję Solidarności i upadek komunizmu w Europie, ośrodek edukacyjny i centrum badawczo-naukowe. Wystawa stała ECS poświęcona jest historii Solidarności i ruchów opozycyjnych, które doprowadziły do przemian demokratycznych w całej Europie Środkowo-Wschodniej.
22 „Solidarność według kobiet", reż. M. Dzido, P. Śliwowski, Polska 2014.

historia niż ta, którą opowiadają mężczyźni. Najwyraźniej to widać przy historiach wojennych, bo kobiety zupełnie inaczej opowiadają o wojnie, niż opowiadają mężczyźni. Kobiety, które walczyły z bronią w ręku, i możemy je spokojnie podciągnąć pod wojenne bohaterki, wpisać je w męską narrację, opowiadają męskim językiem męską opowieść, ale wystarczy zadać im trochę inne pytania, niż zadają im mężczyźni-historycy, żeby one opowiedziały coś zupełnie innego, inne historie, więcej o codzienności.

Po spotkaniu Sieci myślę, że chyba każda z nas ma jakąś swoją zajawkę na historię, że tak czy inaczej z zaciekawieniem patrzymy w przeszłość. Więc może zajawka, zaciekawienie tą przeszłością są ważne?

Natalia: A Tobie samej robienie herstorii jest do czegoś potrzebne?

Anna: Dla zaspokojenia ciekawości. Żeby wiedzieć, gdzie jestem i co się tu wydarzyło wcześniej – w kamienicy, w której mieszkam, w ruchu kobiecym, w mojej rodzinie. To jest dla mnie ważne. Dla wielu osób np. historia ich rodziny buduje ich współczesną narrację, ale ja mam inaczej. Mnie po prostu ciekawią historie mojej babci, ona mi dużo opowiada o tym, skąd się wzięliśmy, jak wyglądała Polska, skąd mieli tę siłę na jej odbudowywanie po wojnie. Teraz po każdym traumatycznym przeżyciu chodzi się na terapię. Oni nie poszli. Mimo że doświadczyli ogromnego zła. Kiedy już o tym wiem, że doświadczyli tego w czasie wojny, to mnie ciekawi, co się działo przed wojną. Nagle się okazuje, że to, co przed nią, było jeszcze ciekawsze – stosunki feudalne, relacje między biednymi i bogatymi, między Żydami a Polakami. Z perspektywy kobiety to jest dla mnie ciekawsza historia, za każdym razem.

Natalia: Jak to się wydarza, że wybierasz konkretne bohaterki albo procesy historyczne, w których poszukujesz postaci czy historii kobiet? To jest zaciekawienie? Przypadek? Coś Cię przyciąga do konkretnych osób?

Anna: Korespondowałam niedawno z dziewczynami z Milanowianek[23], ponieważ poszukiwałam sylwetek działaczek kobiecych z Mazowsza do jednego z projektów, w który jestem zaangażowana. Dziewczyny z Milanówka nie były pewne, czy mnie zainteresują tamtejsze działaczki, „takie zwykłe kobiety" [śmiech]. A mnie naprawdę interesują nie tylko feministki, to nie jest mój klucz. Moja herstoria ogranicza się nie tylko do nich.

23 Zob. wywiad z Agatą Markiewicz, s. 77.

Ale owszem, historia emancypantek jako naturalne szukanie sojuszniczek z przeszłości i sprawdzanie, do czego możemy wrócić, na czym budować, jest dla mnie ważna. Teraz trochę inaczej niż na początku. Mało mamy zbadane to, jak ten ruch się tworzył, jaki to był w ogóle ruch, jak przebiegały linie podziałów. W związku z tym opowiadamy historię uładzoną. Ona jest taka również dlatego, że potrzebujemy heroicznej narracji.

Inna grupa to kobiety w czasie wojny, w powstaniu warszawskim, przy czym ja na pewno nie wykonałam takiej pracy, jak np. Weronika Grzebalska w swojej książce[24]; mnie zainteresowała zresztą zupełnie inna historia, niż ta, którą zajmuje się Weronika. Samo moje zaangażowanie w film „Powstanie w bluzce w kwiatki" było na początku przypadkiem. Olga Borkowska powiedziała w Feminotece, że gdybyśmy myślały o zajęciu się jakimś tematem historycznym, to ona proponuje powstanie warszawskie, bo ten temat jest dla niej, dla jej rodziny ważny. A w Polsce już na całego rozkręcona była ta tzw. polityka historyczna i wszystko wokół powstania i Muzeum Powstania Warszawskiego było bardzo prawicowo-narodowe. Mnie interesowało w powstaniu jedynie to, jak wtedy to okupowane miasto żyło, kiedy chłopcy sobie biegali z karabinami, jak żyły te kobiety w piwnicach, jak wyglądała codzienność. Zatem ten kierunek zaproponowałam. Napisałyśmy bardzo skromny projekt „Życie codzienne kobiet w Warszawie podczas powstania warszawskiego". Zaprosiłyśmy do współpracy zarówno historyczki, jak i Sylwię Chutnik, która wcześniej z Feminoteką współpracowała i interesowały ją kobiece historie i wojna. Wtedy już pisała swoją pierwszą książkę *Kieszonkowy atlas kobiet*. Ona przyprowadziła do nas Annę Grzelewską, bez której ten projekt byłby pewnie inny. Anna znalazła wiele kobiet, z którymi przeprowadziłyśmy wywiady, załatwiła kamery, była operatorką. Zależało mi, żeby iść w multimedia, stąd pomysł filmu, przy czym nie traktowałyśmy tego jakoś bardzo poważnie, chodziło o ogranie wywiadów, np. komórkami, ale wtedy właśnie dołączyła Ania Grzelewska, która załatwiła kamery. Tak powstał ten projekt.

Natalia: Mówisz o filmie, o wywiadach, o archiwum jako sposobach na ubranie tych historii w ramy. Jak oceniasz skuteczność tych narzędzi?

Anna: Myślę, że wciąż za mało się wydarzyło, żeby to ocenić. Abstrahując od tych konkretnych narzędzi, uważam że jako ruch feministyczny zrobiłyśmy wyrwę w zastanych narracjach, szlaki kobiet, *Przewodniczki* czy film o powstaniu warszawskim. Dokona-

24 W. Grzebalska, *Płeć powstania warszawskiego*, Narodowe Centrum Kultury i Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2013.

łyśmy wyłomu w mainstreamie i w ogóle zwróciłyśmy uwagę na to, że w historii były kobiety, że warto opowiedzieć ich historie.

Zresztą mainstream się w tę stronę zwrócił. To bardzo dobrze było widać na przykładzie powstania, kiedy nagle połowa tych głównonurtowych projektów go dotyczących zaczęła traktować o kobietach – bez większego zrozumienia tego, o co w historii kobiet chodzi.

Natalia: Na ostatnim spotkaniu Sieci, pod koniec sierpnia mówiłaś o różnego rodzaju zagrożeniach wynikających z opowiedzenia historii, która wydarzyła się w ramach wydarzenia skanonizowanego jako Wielkie Wydarzenie Historyczne.

Anna: Tych zagrożeń nie da się uniknąć. Chciałyśmy zwrócić uwagę na kobiety w czasie powstania, opowiedzieć o życiu codziennym, o historii ludności cywilnej. A mainstream sobie z naszej opowieści wziął kobiety i przerobił na historie o dzielnych powstankach i morowych pannach, wydał komiksy na ten temat, plakaty. To nie wystarczy, że powiesimy w mieście kilka plakatów z postaciami kobiet opisanymi jako sanitariuszki, zaznaczymy, że gotowały „nam" obiady i dlatego musimy docenić ich rolę. *De facto* za tym nie idzie docenienie ich roli, tylko wepchnięcie w ramę, zgodnie z którą w powstaniu to one w zasadzie zrobiły niewiele, bo zrobiły coś tylko te, które walczyły zbrojnie.

To podejście dobrze obrazuje np. taka sytuacja: w tym roku w związku z rocznicą zdobycia podczas powstania budynku PAST-y słyszałam w radiu kilka reportaży na ten temat. W tej historii ogromną rolę odegrały kobiety – minerki – które zaminowały tam teren i tylko dlatego powstańcy potem mogli ten budynek zdobyć. W żadnym z tych reportaży ani słowem nie wspomniano o tym, że kobiety odegrały tam jakąś rolę. Niby historie kobiet są w tej narracji mainstreamowej przywracane, komiks zrobiony, ale kiedy ten temat przestaje być modny, to kobiety na powrót znikają.

Poza tym narracje kobiet o powstaniu mają w sobie też wątki pacyfistyczne. To też jest ważne, ale to mainstreamowej narracji nie jest na rękę. Nawet w opowieściach kobiet-żołnierek, nie tylko cywilek, bardzo często padają wypowiedzi o tym, że powstanie było bez sensu, że zginęło wiele ich koleżanek i kolegów, one żałują, że do tego doszło. Że kursy przysposobienia wojskowego były żenadą, kiedy porucznik kazał im się czołgać po dywanie i były kary za to, jak się po tym dywanie czołgały niedobrze [śmiech]. Mają takie przesłanie, że najważniejsze jest utrzymanie pokoju. To są po prostu zupełnie inne historie i moim zdaniem one nie pasują do tych historii mainstreamowych i nigdy nie wybrzmią tak głośno jak historie tych głównych bohaterów. A już najbardziej to tych, którzy zginęli, bo takie historie opowiada się najlepiej.

Natalia: Z jakiej pozycji należałoby w takim razie wyjść w opowiadaniu tych historii, żeby to zmienić?

Anna: Wydaje mi się, że tylko masa krytyczna jest w stanie to zrobić. Im więcej tych historii będzie opowiedzianych, tym trudniej je będzie pominąć. Wypowiedzianych przez kobiety z ich perspektywy. Pojawia się tutaj oczywiście wiele trudności dotyczących głosu kobiet, np. książce Weroniki Grzebalskiej zostały przeciwstawione panie z powstania, które powiedziały, że one sobie nie życzą, żeby Weronika pisała o nich per „powstanki" – mimo że akurat o tych osobach ona nie pisze w ogóle. W tej książce zresztą zupełnie nie chodzi o konkretne osoby, tylko o refleksję nad tym, w jaki sposób tworzymy narrację historyczną i że ta alternatywna do mainstreamowej narracja jest zupełnie inna i po prostu ciekawsza. Każe nam na nowo spojrzeć na to, co się wydarzyło. W tym sensie zgodziłabym się tu z Basią Borowiak[25], która podczas spotkania Sieci stwierdziła, że herstoria stwarza zagrożenie dla systemu. Jest dla niego zbyt radykalna.

Ludzie wolą opowiedzieć sobie historię wydarzeniami politycznymi i wielkimi bitwami bez zastanowienia nad tym, że w każdej z tych bitew brały udział kobiety, chociażby jako praczki, kucharki czy markietanki. Nie mówiąc już o tym, jak praktycznie w każdej bitwie walczyły w męskich strojach, jeśli nie mogły tego robić jako kobiety. Łatwiej opowiedzieć tymi bitwami historię, bo takie zwykłe życie wydaje się niezbyt ciekawe: że trzeba było upiec chleb? Zdobyć zboże? Wychować dzieci, a najpierw je urodzić i przetrwać poród? To nie jest historia wygranych albo nawet wielkich przegranych. To jest historia mozołu, mordęgi. Fajniej się opowiada od czasu do czasu o dwóch nagich mieczach pod Grunwaldem.

Natalia: Czy w tej pracy stanęłaś przed jakimiś wątpliwościami, ambiwalencjami?

Anna: Mam kłopot z Pauliną Kuczalską-Reinschmit – to moja kultowa bohaterka, całkowicie zapomniana, która budowała ruch kobiecy, robiła niesamowite rzeczy i właśnie dlatego była nazywana „papieżycą" i „hetmanką". Już samo to dla mnie jako badaczki ruchu kobiecego jest podejrzane [śmiech]. Że tylko ona została zapamiętana i że to ona była tą „papieżycą" na cokole. A bycie na cokole nigdy nie jest takie czyste [śmiech], za tym stoi praca innych osób. A tu innych osób, innych kobiet w tej historii nie ma.

25 Zob. wywiad z Barbarą Borowiak i Anią Urbańczyk, s. 9–27.

Natalia: To byłaby strategia? Rozsadzać tę postać, naruszać cokół i szukać innych?

Anna: Tak, dokładnie tak. Ludzkość buduje historię na heroicznych postaciach i my też tak chcemy. Heroski dają otuchę, wzmocnienie, możemy iść do przodu z wzorcami silnych kobiet w przeszłości. Do czego by nam zatem były historie tych słabszych kobiet? Czy i po co w ogóle szukać tych, które nie miały takiej charyzmy albo dały się wyrolować po drodze? Zresztą, zamykamy się w dwóch narracjach: albo cierpiętnice, skrzywdzone ofiary zabite na milion sposobów przez całe swoje życie, albo bohaterki, które były ponad to i to one zabijały. To jest ta moja wątpliwość. Dlatego chcę znaleźć język, żeby w ogóle móc o tym opowiedzieć, nie zwalając tych kobiet z cokołów.

W tych postaciach jest trochę pęknięć. Poglądy wielu emancypantek nie były takie do końca świetne. Większość z nich wywodziła się z wyższych klas i miała pogardę dla swoich służących, o których perspektywie trochę wiemy. Walka o prawo do głosu nie była walką wszystkich kobiet, tylko jednak klasy wyższej. Przyjmuję, że na tym tle możemy współcześnie interpretować strategię Kongresu Kobiet [śmiech] – przechodzenia do mainstreamu. Ale też widzimy, jakie grupy są tam pomijane i z jakich względów. Potrafię zrozumieć ten punkt widzenia i uznać, że faktycznie jest to jakaś strategia. Trudno zresztą na dzień dzisiejszy wskazać grupę kobiecą, która ma jakąś strategię działania. Jestem też przekonana, że to samo już kiedyś się działo, na bank aż tak bardzo się nie różnimy. Niemalże tym samym językiem mówimy, tylko mniej wiemy o tym, co tam się wydarzało. Opowiadamy historię tych osób, które zwyciężyły, ich narracja się przebiła. Nie mamy już tych feministycznych działaczek z lat 90. [śmiech], będziemy mieć teraz historię Kongresu Kobiet.

Natalia: Myślę o zadaniach herstorii, o dwóch rodzajach oporu: praca herstoryczna to opór wobec mainstreamowej narracji patriarchalnej, seksistowskiej i opresyjnej, ale też wewnętrzny opór wobec dominujących narracji, podważanie ich i głośne mówienie, że są też inne historie, herstorie.

Anna: To drugie jest trudniejsze do zrobienia, bo...

Natalia: ...bo to zrzuca Kuczalską-Reinschmit z cokołu.

Anna: Owszem, ale również dlatego, że na takich historiach trudniej zbudować narzędzie, którym możemy zrobić wyłom w mainstreamie. Na przykład część emancypantek miała poglądy

antysemickie, ale nie piszemy o tym w pierwszym zdaniu, jakie w ogóle piszemy o emancypantkach.

Albo: mam pewnego rodzaju uwielbienie dla Konopnickiej, ale może właśnie dlatego, że ona była tak bardzo złożoną postacią, a generalnie to myślę, że trudno ją polubić. I w związku z tym, chyba nie do końca prawdziwie opowiadamy jej historię.

Natalia: To czego nie opowiadamy?

Anna: Że była wredna, okropna, była po prostu skrajnie niemiłą wieszczką narodową, rozdartą między tym, że naród ją wybrał i chce jej ofiarować dworek, a tym, czy w związku z tym ma wspierać te emancypantki, czy nie. Ona naprawdę miała ten dylemat, mimo że robiła dla kobiet bardzo wiele. Także takie rzeczy, o których się mało mówi, np. o międzynarodowym proteście w sprawie Wrześni, który początkowo był protestem kobiet. Konopnicka pod odezwą zebrała podpisy kobiet z całego świata, pisząc nocami listy do kolejnych. W 1901 r. we Wrześni w zaborze pruskim wydano zarządzenie o nauczaniu religii w języku niemieckim. Nie był przestrzegany. Nauczyciele ukarali dzieci, które nie chciały modlić się po niemiecku, ukarani zostali także rodzice. 24 osoby skazano sądownie na kary więzienia. Dzieci podjęły strajk szkolny, który został brutalnie złamany przez rząd pruski. W grudniu 1901 r. Konopnicka, która przebywała we Florencji, pisała: „Wszyscyśmy wzburzeni wrzesińską sprawą (...). Myśl, aby zorganizować protest kobiet w różnych krajach, dojrzała i zaczyna się wcielać...". A dziesięć dni później: „Żyjemy tu jak w młynie (...) przyszła sprawa wrzesińska, a raczej sprawa protestu kobiet i nie opuszcza mnie ani na chwilę (tych parę słów piszę o 5 rano i przy świecy). Zaniosło się tu na duże rzeczy, mianowicie na protest podpisywany przez kobiety innych krajów przeciw okrucieństwom pruskim". Po tym liście nastąpiły odezwy, odczyty, artykuły publikowane przez znane kobiety na całym świecie: Severine we Francji, Adę Negri i Edvige Solvi z Włoch. Setki stowarzyszeń kobiecych włączyły się w protest, nawet kobiety niemieckie i austriackie, Konopnicka pisała też do Carrie Chapman Cat, przewodniczącej Stowarzyszenia Kobiet w Nowym Jorku. Wszystkie dzienniki międzynarodowe zamieściły odezwę, zbierały podpisy. Trwało to do końca lipca 1902 roku. To jest absolutnie fascynująca historia, chciałabym, żeby weszła do mainstreamu. Nawet chyba bardziej bym chciała, żeby to zostało w mainstreamie uhonorowane niż jej związek z Marią Dulębianką.

Widzę na przykład takie niebezpieczeństwo, że interpretując związki między kobietami, nakładamy na nie swoją perspektywę. Zapominamy, że duża część z nich to były abolicjonistki – żądały zamknięcia domów publicznych, były przeciwne wszelkim libe-

ralnym rozwiązaniom mającym na celu usankcjonowanie zawodu prostytutki, deklarowały, że nienawidzą seksu, żądały od mężczyzn życia w cnocie. Wystąpienie Zofii Nałkowskiej, która na Zjeździe Kobiet w Warszawie w 1907 roku nawoływała działaczki, by „chciały całego życia", czyli także seksu, cielesności, nie bez powodu obraziło bardzo wiele obecnych tam kobiet, a Konopnicka z Dulębianką oburzone wyszły wtedy z sali. Trudno wyrokować, czy ich związek był – i czy inne były – lesbijski, w naszym, współczesnym rozumieniu tego, czy nie. Niektórych dylematów wolimy nie przyjmować, bo silniejszą narracją jest ta dająca podstawę tożsamościową.

Natalia: Bez względu na to, jaka by nie była historia Konopnickiej i Dulębianki, w ogóle zwerbalizowanie i zadanie pytania o charakter ich relacji uważam za ważne, podważające zastaną narrację. Zgadzam się, że to są dylematy. Kiedy relacjonuję związek krakowskich bohaterek, Marceliny Kulikowskiej i Heleny Witkowskiej, ich wielkiej przyjaźni, to pojawiają mi się pytania o jego charakter.

Anna: Na te pytania nie ma odpowiedzi.

Natalia: Nigdy ich nie będę mieć, ale to pytanie zawsze mogę zadać.

Anna: Tak samo jest z Kuczalską-Reinschmit i Józefą Bojanowską.

Natalia: Z Władysławą Habichtówną i Elżbietą Ciechanowską. Są pytania i podejrzenia odpowiedzi.

Anna: Trudno jest odpowiadać na te pytania, bo nie ma dostępu do źródeł na ten temat, nikt nie powiedział tego wprost. Tym ciekawsze są te historie, gdzie zachowały się listy miłosne albo wybuchł skandal obyczajowy, jak w przypadku Zofii Sadowskiej, lekarki, którą w latach 20. XX wieku prasa brukowa oskarżyła o „lesbijski nierząd", a którą przypomniała Agnieszka Weseli[26]. Ta sprawa pokazuje, że jednak to się po prostu działo.

Natalia: Co myślisz o relacjach między działaczkami herstorycznymi a akademiczkami?

Anna: To są dwa różne światy. Tak różne, że się nie przenikają. W wielu miejscach badaczki z uczelni nie mają pojęcia, że w ogóle są jakieś inicjatywy herstoryczne, po prostu nic na ten temat nie

26 Zob. projekt Agnieszki Weseli „Sprawy Sadowskiej": www.sprawysadowskiej.pl (dostęp: 17.01.2016).

wiedzą. Nie są w stanie wyjść poza akademię i swoje badania. Być może jest to kwestia sposobu funkcjonowania akademii – my też niewiele wiemy na temat tego, co tam się dzieje. Dopiero kiedy zaczynasz szukać, grzebać, to się okazuje, że powstało sześć prac magisterskich o „Sterze" albo że właśnie w tej chwili powstają równolegle trzy książki np. o Iłłakowiczównie. Materiały akademickie wbrew pozorom także nie są łatwo dostępne, jeśli są wydawane, to często przez niszowe akademickie wydawnictwa. Jeśli coś się ukazało kilka lat temu, to praktycznie nie ma już możliwości dotarcia do tego, chyba że przez akademickie biblioteki. Oczywiście samym akademiczkom jest łatwiej dotrzeć do tych prac niż osobom z zewnątrz, które zajmują się tym – nazwijmy to tak, jak one to nazywają – „amatorsko".

Akademiczki używają takiego języka wobec osób, które nie mają konkretnego wykształcenia w danym kierunku. Ja na przykład nie mam wykształcenia historycznego. Dlatego każde spotkanie z akademią jest dla mnie bardzo ciekawe, bo się wielu rzeczy dowiaduję. Mam takie poczucie braku kompetencji.

Natalia: Jakiego rodzaju kompetencji?

Anna: Warsztatu historycznego. Dlatego zrozumiałam, że aby zrobić prawdziwe archiwum ruchu kobiecego, które mogłoby być uznane przez mainstream, muszę je zrobić we współpracy z historyczkami. Muszę także nadrobić ten warsztat, chociażby w tak niewielkim stopniu, jak zbudowanie profesjonalnego archiwum – stąd bardzo mi odpowiada projekt Ośrodka KARTA, bo to, czego tam powinnam się nauczyć, jest do opanowania.

Moim zdaniem jeden i drugi świat przez to traci dużo, przez brak wymiany informacji. Ponieważ tak samo dużo mogą do świata akademickiego wnieść te wszystkie projekty dotyczące historii kobiet, które realizują nieakademiczki, np. cały obszar upowszechnienia historii. Ten kawał roboty odwalanej przez organizacje pozarządowe, grupy nieformalne, oddolne inicjatywy herstoryczne, to nic innego jak upowszechnianie, przybliżanie ludziom historii. Chciałabym też, żeby to, czym się zajmujemy, zostało przez akademiczki docenione. Troszeczkę tak jest, kiedy my zapraszamy historyczki z doktoratami, profesorki na spotkania, które same prowadzimy, wymyślamy, zdobywamy na nie środki. Ale nie ma zwrotności. To są *de facto* osoby, które mają feministyczne poglądy, od nich się nie odcinają. I nie wiem, jak to rozwiązać, to jest wielki żal. Zarzut ze strony akademiczek jest taki, że my nie mamy tego historycznego warsztatu.

Natalia: On nic nie daje, poza zwolnieniem z rozmowy.

Anna: Trudno go przeskoczyć. Kiedy badaczki, historyczki z akademii zaczynają tkać na swoim historycznym warsztacie, to okazuje się, że ten tekst jest nudny, przeładowany faktami, mało przystępny, a każda forma ingerencji w ten tekst jest odbierana jako zaprzeczanie jego rzetelności historycznej. A nasze teksty nie są traktowane poważnie.

Natalia: Bardzo mnie ten temat interesuje. Podobnie jak etykieta „amatorka" w odniesieniu do osoby bez wykształcenia klasycznie historycznego. Przecież można by poddać refleksji to wykształcenie – w nim najczęściej nie ma feministycznej perspektywy. Praca ze źródłami, archiwami jest ważna, oczywiście. Ale czy nie podobnie ważna jest wrażliwość genderowa, świadomość feministyczna, może bycie w ruchu feministycznym, bycie w tym działaniu, żeby uznać, że się ma kompetencje do pracy z historią kobiet? Wydaje mi się, że akurat tej kompetencji jest mało w świecie akademickim.
Chciałabym, żeby wywiady w tej książce służyły także osobom, które dopiero chciałyby zacząć swoje herstoryczne działania, ale nie wiedzą, od czego zacząć, widzą wyzwania. Na co Twoim zdaniem warto zwrócić uwagę, jaki zrobić pierwszy krok?

Anna: To mi się wiąże z poprzednim wątkiem. Być może jako działaczki faktycznie za mało korzystamy z gotowych narzędzi uznawanych przez historyczki. Mało sięgamy do źródeł. Najczęściej to wynika z faktu, że nie wiemy, gdzie szukać. Albo nie przywiązujemy wagi do tego, w jaki sposób te źródła opisywać – bo na przykład taki zarzut też jest nam stawiany. Lub że w inny sposób zbieramy historię mówioną niż jest to powszechnie przyjęte. Moim zdaniem metodologia jest do nadrobienia, warto trochę się nawzajem pouczyć, jeśli to oczywiście możliwe. Do końca nie jestem przy tym przekonana, na ile akurat warto wchodzić w te ustalone przez historyków ramy. Jesteśmy na samym początku dyskusji o metodologii herstorii, dlatego trudno mi dawać rady, od czego zacząć. Uważam, że można zacząć z każdego miejsca.

Jeśli mamy już konkretny pomysł, np. że chcemy zrobić szlak kobiet w naszej miejscowości, to jest jasne, że trzeba poszukać ciekawych historii. Ważna jest dla mnie perspektywa feministyczna w takim wymiarze, o jakim rozmawiałyśmy też w czasie spotkania Sieci herstorycznej, to znaczy służąca niespłaszczaniu bohaterek, niesprowadzaniu ich do gustów danej epoki, do ich relacji z mężczyznami – służąca głębszym dociekaniom. Już ciekawsze będą ich relacje z innymi kobietami, ze służącymi. Sama refleksja nad tym, że kobiety, które były przed nami, były w różnych sytuacjach społeczno-ekonomicznych, sprawia, że

przestajemy wierzyć w narrację, że kiedyś kobiety nie pracowały, a feministki je do tego zmusiły. Albo że emancypantki wywalczyły wszystkim kobietom prawo do pracy – którym kobietom, służącym, robotnicom? Oczywiście własne działania herstoryczne można też zacząć od zebrania historii kobiet ze swojej rodziny, ale czasami to może być akurat najtrudniejszy element.

Dziewczyny, które są polonistkami, zaczynają np. od zafascynowania daną pisarką i szukania źródeł na jej temat. To może być historia domu, w którym się mieszka. Warto poszukać informacji o tym, jak robią to inni, zobaczyć Waszą stronę, Metropolitanki, Milanowianek albo przejrzeć Wielkopolski Słownik Pisarek, zobaczyć różne sposoby, różne poziomy. Uważam, że nie ma „złego" zebrania historii kobiecej. No chyba, że robimy to w stylu Sławomira Kopra i po prostu zbieramy anegdotki – akurat to mi się wydaje dosyć słabe.

Osobiście bardzo ważne jest dla mnie, żeby nie robić historii kobiet w odcięciu od innych inicjatyw i ich pracy. Nie jest tak, że jest się pierwszą na świecie organizacją i pierwszą na świecie osobą, która wpadła na to, że teraz się będzie zajmowała historią kobiet. A wydaje mi się, że właśnie taka postawa się na różne sposoby jednak pojawia. Oczywiście to nie dotyczy wyłącznie inicjatyw herstorycznych, ale w ich kontekście szczególnie bym na to uczulała.

Natalia: Dlaczego?

Anna: Herstoria jest ważna w każdym ze swoich wymiarów. To, co się wydarzyło w samym odkrywaniu herstorii, jest tak samo ważne i powinno być dla nas tak samo ważne jak te odkryte herstorie. Jeśli odkrywam historię kobiet, to z zasady nie mogę pomijać tych wszystkich kobiet, które też to robiły. Poza tym ta praca jest łatwiejsza, jeśli się ją robi w korespondencji z kimś niż w zupełnym oddzieleniu. A zaprzeczanie temu, że było coś przede mną, jest sprzeczne z samą ideą herstorii i ja jestem nieufna wobec takich inicjatyw. Naprawdę nie lubię, kiedy jakaś organizacja robi dokładnie taki sam projekt, jak inna zrobiła wcześniej – naprawdę nietrudno się dowiedzieć, że coś takiego się wcześniej już gdzieś działo – i ewidentnie się tę organizację i jej zasługi pomija. To jest po prostu niedopuszczalne. Ale też dlatego tak ważne jest z naszej strony, aby naszą herstorię, herstorię naszych organizacji, inicjatyw spisać, zarchiwizować, udostępnić.

Rozmowa odbyła się 9 września 2015 w kawiarni Tel Aviv przy ul. Poznańskiej 11 w Warszawie.

Fundacja na rzecz Równości i Emancypacji STER powstała w sierpniu 2014 roku. Jej główną misją jest upowszechnianie historii kobiet i dorobku ruchu kobiecego, a także przeciwdziałanie dyskryminacji ze względu na płeć i orientację seksualną, wiek i stan zdrowia, narodowość i rasę oraz działania na rzecz równych praw kobiet i mężczyzn. Fundacja prowadzi działalność naukowo-badawczą i wydawniczą, łącząc ją z działaniami strażniczymi i rzecznictwem.
Fundacja została utworzona przez grupę badaczek, prawniczek, dziennikarek i działaczek na rzecz praw kobiet. „STER" nieprzypadkowo pojawia się w nazwie – nawiązujemy do legendarnego „Steru", czasopisma polskich emancypantek i sufrażystek, wydawanego przez Związek Równouprawnienia Kobiet Polskich. W działaniach Fundacji historia będzie się przeplatała ze współczesnością.

W naszych działaniach przyświeca nam motto z artykułu wstępnego do „Steru": „W tej arcymozolnej i trudnej pracy cóż powinno nam być sterem? Zgłębianie przeszłości, obiektywne badanie zjawisk, jakie nam dzisiejsza doba przynosi, zestawienie zdobywanych przez naukę pewników, a nade wszystko traktowanie całej sprawy nie z punktu widzenia kompromisów, lecz etyki i prawdy oraz rzetelnej sprawiedliwości" (30 listopada 1895).

fot. Wojciech Rudzki

Sylwia Chutnik – urodzona w 1979 roku w Warszawie. Pisarka, dramatopisarka i felietonistka ,,Polityki", „Pani", „Wysokich Obcasów" i ,,Gazety Stołecznej". Doktorantka Instytutu Kultury Polskiej UW. Kulturoznawczyni, absolwentka Gender Studies na UW. Prezeska Fundacji MaMa działającej na rzecz poprawy sytuacji matek w Polsce. Przewodniczka miejska po Warszawie. Członkini Związku Literatów Polskich. Prowadziła w TVP Kultura program literacki „Cappuccino z książką" i „Zapomniani-odzyskani". Laureatka Paszportów Polityki 2008 (literatura). Trzykrotnie nominowana do Nagrody Nike (w 2009, 2012 i 2015 roku). W 2010 roku dostała Społecznego Nobla Fundacji Ashoka za działalność społeczną. W 2011 roku została laureatką nagrody Fundacji Polcul za działalność społeczną. Jej książki zostały wydane w dziewięciu krajach. Stypendystka Homines Urbani 2008, Instytutu Books from Lithuania 2009, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego 2010, Miasta Stołecznego Warszawy 2010, Instytutu Goethego 2010.

SYLWIA CHUTNIK

POKAZUJĘ, CO JEST WAŻNE

Z Sylwią Chutnik, autorką Warszawy kobiet,
rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Myślę, że nie pomylę się bardzo, jeśli powiem, że spośród osób, które zajmują się historią kobiet, jesteś tą najbardziej rozpoznawalną. Od czego to zajmowanie się zaczęło?

Sylwia Chutnik: W 2006 roku Ewa Rutkowska zaprosiła mnie do poprowadzenia wycieczki dla grupy kobiet, które przyjechały na międzynarodową konferencję odbywającą się w ośrodku pod Warszawą. Grupa była dość liczna, zdaje się, ponad 50 osób, z całego świata, z różnych kontynentów. Miałam je oprowadzić po Warszawie, po Starym Mieście i centrum, w ciągu 2–3 godzin. Nie wiem, dlaczego Ewa zgłosiła się do mnie, bo choć oczywiście wcześniej zajmowałam się feminizmem, to nie miałam nic wspólnego z historią kobiet. Skończyłam kulturoznawstwo, nie dysponowałam nawet klasycznym, historycznym wykształceniem, a mimo to ta propozycja padła. Miałam tydzień, żeby się przygotować, a nie miałam żadnych materiałów. Wtedy nie byłam jeszcze przewodniczką po Warszawie, w ogóle nie wiedziałam, gdzie tego szukać. To był czas, kiedy zaczęłam się interesować Warszawą, ale bardziej w związku z miejskim folklorem, warszawską gwarą, piosenkami podwórzowymi, czyli bardziej ze strony kulturoznawczej, obyczajowej, nie historycznej.

W ciągu tego tygodnia, który miałam, rzuciłam się na tradycyjne przewodniki, gdzie oczywiście niewiele znalazłam. Wtedy to było normalne, teraz to się już trochę zmieniło. Na szczęście miałam dobrą bibliotekę osiedlową, z dużym działem Varsaviana. Tam trochę danych znalazłam. Wymyśliłam sobie, że nie będą to tylko miejsca i wątki sprzed 150–200 lat, tylko też nowsze. Na przykład pokazanie na trasie spaceru świeżo wtedy zamkniętego klubu Le Madame jako miejsca LGBT i kobiecego, bardzo w duchu, który był mi bliski. Z tej perspektywy chciałam uczestniczkom pokazać Warszawę w te 2–3 godziny. To było niesamowite doświadczenie, bo od razu miałam też poprowadzić tę wycieczkę po angielsku. Miałam koleżankę, która mnie na bieżąco miała tłumaczyć, ale i tak potem tak się wczułam, że mówiłam po angielsku, co było dla mnie bardzo stresujące. Ale chyba po prostu od razu się zakochałam w tym, co robię, a wizja, że ludzie stoją, na mnie patrzą i mnie słuchają, kiedy ja się mądrzę, bardzo mi utkwiła w sercu. Rola przewodniczki bardzo mi się spodobała.

Potem bardzo szybko poszłam na kurs przewodnicki. Pomyślałam, że jeżeli chcę to dalej robić, czyli zajmować się herstory warszawską, to przede wszystkim potrzebuję podstaw, tradycyjnej wiedzy, od której mogę się odbić i którą mam kontestować. Tradycyjną wiedzę o Warszawie, o przestrzeni. Kurs przewodnicki traktowałam z jednej strony jako po prostu kurs, czyli naukę o tym, jak o Warszawie mówić, jaką ją pokazywać innym, ale też jako kurs varsiavianistyczny. Bo takich kursów właściwie wtedy jeszcze nie było. Teraz są, ale właściwie nie jako kursy, tylko roczne studia. Wtedy tego nie było i dla mnie te dwie rzeczy były ważne. Tak to się zaczęło. Oprowadzać zaczęłam jeszcze podczas kursu, nielegalnie, a potem już po kursie oprowadzanie po Warszawie to było to, czym się głównie zajmowałam przez jakiś czas.

Natalia: Chciałaś się dowiedzieć o Warszawie, o przestrzeni w ujęciu turystycznym czy przewodnickim, żeby to później kontestować. Ta kontestacja jest elementem Twojego – albo w ogóle – robienia herstorii?

Sylwia: Doskonale wiedziałam – i niestety się nie rozczarowałam pozytywnie – czego się mogę spodziewać po wiedzy, która będzie mi przekazana na takim półrocznym, bardzo intensywnym kursie. Intensywnym, ponieważ zajęcia się odbywały dwa razy w tygodniu, 2– 2,5 godziny to była teoria, a w weekendy jeździliśmy po mieście i uczyliśmy się, jak o nim mówić. I oczywiście uczyliśmy się o nim. Świetnie zdawałam sobie sprawę, że na kursie padnie co najwyżej nazwisko Skłodowskiej-Curie i Bony ewentualnie. Poszłam tam dlatego, żeby mieć coś, od czego się odbiję i co uzupełnię, ale nie żeby tworzyć alternatywną wersję tej historii, która będzie tylko dla kobiet. Chciałam od początku mówić, że to, czego uczą na kursach przewodnickich, jest wybrakowane, bo nie ma tam połowy historii. A ja się zajmę dodawaniem tej drugiej połówki. Jednak żeby ją dodać, muszę najpierw wiedzieć, do czego. Więc zaczęłam „po bożemu", od początku.

Poza tym uważałam, że to będzie świetna sprawa. Wtedy był jeden kurs robiony przez PTTK, w zatęchłym pokoiku przez starych dziadków. Potem się zrobił wśród moich znajomych boom na te przewodnickie kursy, ale wtedy był tylko ten jeden. To było świetne, że tam byłam, przysięgałam na sztandar PTTK... To było też dla mnie ważne osobiście, ponieważ w tamtym czasie już nie studiowałam, a bardzo mi brakowało uczenia się, takiego z zeszytem. Wychodziłam dwa razy w tygodniu, kombinując bezpłatną opiekę dla mojego syna – to była też duża, osobista logistyka, bo tę opiekę jednak bardzo trudno było znaleźć, zaangażowała się w to właściwie cała moja rodzina. Sama sobie tą logistyką pokazałam, że ten kurs jest dla mnie bardzo ważny, że to nie chwilowy kaprys.

Natalia: Czy w trakcie tego kursu, kiedy już sama dokopywałaś się do historii kobiet, opowiadałaś tam o tej perspektywie trochę?

Sylwia: Nie było tam takiej możliwości, żadnej przestrzeni na „wolne wnioski". To była po prostu... szkoła [śmiech]. Zresztą, ja nawet wcale się tam nie chciałam mądrzyć. Ogrom wiedzy, który na mnie tam spłynął, czy raczej ogrom tego, co powinnam wiedzieć, sprawił, że po prostu już nic nie wiedziałam. Siedziałam tam z miną „o Jezu, o Boże", że będę miała przed sobą straszny, trudny egzamin. Niemożliwością jest opanowanie tego wszystkiego. Byłam raczej zdołowana i nie miałam czasu, żeby w trakcie szukać innych informacji. Ale na przykład, kiedy czytałam książkę potrzebną mi na kurs czy potem do egzaminu i padało tam jakiekolwiek imię, już nawet nie nazwisko kobiety, to ja je sobie zaznaczałam na przyszłość. Wiedziałam, że będę z tego korzystała przy opracowywaniu wycieczek. Potem okazało się również, że przy tworzeniu książki.

A co do samej pracy i roli, to bardzo mocno uwierzyłam w to, że przewodniczka, przewodnik, oprowadzacz, oprowadzaczka po mieście ma też taką funkcję jak DJ czy DJ-ka. To znaczy, że wybiera utwory, czyli miejsca, które ma pokazać. I to jest bardzo mocno filtrowane przez jej wrażliwość, to, co jest dla niej ważne, być może wartości również. Tak naprawdę to bardzo subiektywna praca. Oczywiście nie mówię o takich typowych wycieczkach, gdzie trzeba przeklepać 10 obowiązkowych miejsc, bo gimnazjum z Raciborza ma na to godzinę. Mówię o sytuacji, gdy ktoś traktuje tę pracę nieco inaczej niż tylko trasy do odbębnienia, żeby zarobić pieniądze. Dla mnie to było bardzo ważne, miałam poczucie, że mam pomysł na to, jak pokazać to miasto z innej niż zazwyczaj perspektywy. To była perspektywa kobiet – zarówno tych, które w tym mieście żyły, tych, które coś ciekawego zrobiły dla tego miasta, a potem się okazywało, że też Polski i świata.

Taki był mój punkt wyjścia. Oczywiście, jako feministka zdawałam sobie sprawę, jak bardzo wybrakowana jest historia w ogóle. Ale mimo to, można było iść w szok i niedowierzanie, kiedy zobaczyło się tradycyjne przewodniki. Tam nie było kobiet. W ogóle. Nawet przez chwilę myślałam sobie: Jezus, Maria, skąd ja wezmę te wszystkie informacje?! A może rzeczywiście ich tam nie było? Przecież tysiące głów nie może się mylić [śmiech]. A z drugiej strony, było to zawsze bardzo popularne Muzeum Marii Skłodowskiej-Curie przy ul. Freta, w domu, w którym się urodziła. Dlatego myślałam, że może jednak ludzie są tym zainteresowani, tylko to muzeum takie malutkie, jeszcze wtedy niewyremontowane. Tłoczyli się tam ludzie z Azji, którzy potem szli pod pomnik Chopina. Stąd taka intuicja, że może to kogoś jeszcze zainteresuje, nie tylko mnie. A jeśli nawet tylko mnie, to

trudno, ponieważ ja tu rządzę, to znaczy na tym spacerze ja wam pokazuję, co jest ważne. I może to jednak kogoś zainteresuje.

Natalia: Dlaczego to jest ważne?

Sylwia: To, że nie ma kobiet w przestrzeni publicznej albo się o nich notorycznie zapomina, jest głupie i bez sensu. Nie mogę się godzić na to, żeby taki stan rzeczy trwał. Dlatego uważam, że herstory jest takie ważne, odzyskiwanie ich, przypominanie, nawet takie proste liczenie. Dwa dni temu Grażyna Plebanek policzyła, ile kobiet dostało w tym roku nagrody literackie. Przed nami pierwsza siódemka nagrody Nike i w niej jedna Olga Tokarczuk i trzech chłopaków. Zobaczymy. A jak się zaczyna liczyć, to w ogóle nie ma żadnych argumentów, nie można z tym polemizować. Nie jestem oczywiście człowiekiem od liczb, tylko od liter. Ale mimo wszystko, może właśnie dlatego liczby robią na mnie takie wrażenie, bo ich nie rozumiem. Kiedy patrzę, że tu jest zero, a tutaj tysiąc pięćset sto dziewięćset, do wyboru do koloru, to dla mnie jako osoby, która nie tylko nie wierzy liczbom, ale jest wobec nich taka dziwnie zdziwiona, to jest po prostu straszne.

Natalia: A jak mogłoby być inaczej?

Sylwia: Na poziomie przewodnickim chciałabym tradycyjnych wycieczek, w których byłyby historie kobiet. Żeby nie trzeba było robić „zadania z kruczkiem" i specjalnej wycieczki tematycznej, tylko żeby historia kobiet była wpleciona 50/50 w historii, którą przekazuje się na tradycyjnej, zwykłej wycieczce dla wcześniej wspomnianego gimnazjum w Raciborzu nr 5. A nie tylko dla tych, którzy szczególnie się interesują Warszawą, opowiadaną z różnych perspektyw, że np. teraz oprowadzimy państwa śladami socrealizmu, potem śladami międzywojennego modernizmu, a teraz śladami kobiet. Chciałabym, żeby to nie była ciekawostka i „zadanie z kruczkiem", tylko żeby to było czymś naturalnym i zwykłym. Ale nie oszukujmy się, tak jeszcze długo nie będzie.

Natomiast skądinąd wiem, że w związku z tym, że jest coraz więcej opracowywanych tras śladami kobiet, to przewodnicy po prostu korzystają z tych informacji i wplatają je w swoje spacery, choćby mimochodem, przechodząc obok jakiegoś budynku. Ale to i tak już jest bardzo dużo.

Natalia: Jednym z takich źródeł wiedzy o historii kobiet w Warszawie jest Twoja książka, która ukazała się kilka lat temu, *Warszawa kobiet*[1]. Jest przesycona informacjami.

1 S. Chutnik, *Warszawa kobiet*, Spółdzielnia Pracy Polityka, Warszawa 2011.

Sylwia: Tak, aż za bardzo. Kurs przewodnicki zrobiłam, mając tysiące różnych bardzo małych prac i oczywiście tak jak każda i każdy z nas, próbowałam się jakoś z tego utrzymać. To było jeszcze przed moim debiutem literackim, kiedy byłam znana jeszcze jako „pani feministka". Wtedy już współtworzyłam Fundację MaMa, ale nie byłam znana jako pisarka. W ogóle jeszcze nie byłam pisarką. No nie wiadomo, czy jestem nadal [śmiech].

Oprowadzanie miało być też jedną z prac, z których się miałam utrzymywać. Ale po dwóch takich „zwykłych" wycieczkach, w trakcie których widziałam po prostu zero zainteresowania, frustrację i panie nauczycielki, które gadały i chciały jechać do Złotych Tarasów, stwierdziłam, że to nie jest coś, co chcę robić. Chcę nadal prowadzić wycieczki, ale w inny sposób. I zajęłam się wycieczkami tematycznymi. A to śladami powieści *Lalka* Prusa, a to śladami kobiet, ale to zwykle na specjalne zamówienie jakiejś organizacji. Potem, już po wydaniu mojej pierwszej książki[2], zaczęłam więcej mówić o sobie, w wywiadach, na spotkaniach autorskich. Ten wątek, że jestem przewodniczką miejską po Warszawie, był swoistym vintage hobby, z tej szufladki „strasznie dziwne masz zainteresowania". A ja wtedy mówiłam swoją gadkę o odzyskiwaniu historii kobiet. Zaczęłam robić też coraz więcej tych spacerów, na fali zainteresowania i takiego zdziwienia. Stwierdziłam, że dobrze by było te trasy, które mam przechodzone i sprawdzone w topografii miasta, spisać.

Wiedziałam, że to będzie ciężka robota. Koleżanka mi podpowiedziała, żebym złożyła wniosek o dofinansowanie na stypendium Ministra Kultury „Młoda Polska". Dzień przed terminem składania wniosków na stypendium artystyczne miasta stołecznego Warszawy złożyłam na tej fali wniosek też tam. Z obu źródeł dostałam pieniądze. Miałam rok na tę pracę i dlatego książka jest tak przeładowana informacjami – bo pracowałam nad nią tylko rok. A to jest totalnie mało na taką książkę. Research był już wykonany, sprawdzony i przechodzony, ale tak usiąść na tyłku i napisać – to sporo czasu jednak zajmuje.

Miałam też eseje, które wcześniej były publikowane w „Polityce". Część z nich weszła do książki, ale i tak drugie tyle, a nawet więcej musiałam napisać na potrzeby tej publikacji. Kiedy dostałam te stypendia, to na jakimś spotkaniu podszedł do mnie pan, który był, jak się później okazało, w jury któregoś z tych konkursów o stypendium. Powiedział mi, że serdeczne gratulacje, ale nie do końca czaił, o co chodzi z tą książką. „Ale jak pani to napisze?". Być może on też miał w głowie ten ogrom wiedzy, którą trzeba okiełznać i – co było też bardzo trudne – dokonać wyboru. Ledwo jakąś panią odkryłam zmurszałą, gdzieś w zakurzonych kartkach, i muszę ją odrzucić, bo nie pasuje mi do trasy

2 S. Chutnik, *Kieszonkowy atlas kobiet*, wyd. Ha!art, Kraków 2008.

przewodnickiej. Bo myślenie trasą było tutaj priorytetem, a nie po prostu opisywanie. Wychodziłam z topografii. I on był po prostu w szoku, w niedowierzaniu. Jak ja w ogóle to zrobię? I rzeczywiście, przede wszystkim trudne było to, że miałam tak mało czasu. I to widać, w książce są kiksy, a na drugie wydanie, poprawione nie ma pieniędzy. Natomiast być może to mnie uchroniło przed tym, bym tworzyła dzieło życia.

No i też ważne, że w tej książce właściwie oprócz pracy Katarzyny „Katiuszy" Chudyńskiej-Szuchnik, która robiła trasy praskie i jednego eseju Karoliny Sulej o modzie w getcie warszawskim, wszystko zrobiłam ja. Ale gdybym miała teraz to zrobić, to bym powiedziała „nie". To było chyba siłą rozpędu robione i było próbą podsumowania tego, co już do tamtej pory zrobiłam w tym temacie.

Natalia: Jaka jest Twoja definicja tego, czym jest herstoria? Jakie są Twoim zdaniem wytyczne do zajmowania się historią kobiet?

Sylwia: To przede wszystkim traktowanie kobiet jako podmiotów, czyli osób, które mogą samodecydować, a nie są po prostu puszkiem rzuconym w wicher historii i takim „o Jezu, o Boże, jest tu jedna, wyłowiliśmy ją, nie wiadomo, co z nią dalej zrobić". Po drugie, to nie tyle dopełnianie męskiej czy też tej tradycyjnej historii i też nie jej uzupełnianie, tylko dodanie do niej brakujących elementów, czyli robienie tej prawdziwej historii, herstorii... Mam w ogóle duży problem z tym wyrazem „herstory", jakoś on mi nie pasuje, ale nie umiem powiedzieć, dlaczego mi się to po prostu źle wymawia i źle brzmi. Chyba najczęściej mówię „odzyskiwanie historii kobiet". Aczkolwiek wobec sformułowania „herstory" nie mam żadnych zarzutów merytorycznych, wiem, że to jest gra językowa.

Ta podmiotowość sprawia, że historia, o której się mówi tak po prostu, na co dzień, jest historią kobiet. Wszystko po to, żebyśmy my współcześnie również mogły się z tymi kobietami utożsamić, żebyśmy wreszcie miały jakieś idolki, bohaterki, autorytety, inspiracje. Wiem, jakie to jest ważne dla mnie i jak to jest ważne dla wielu kobiet, z którymi rozmawiam. Nic ich tak nie podnosi do walki jak taka *true story*. Dlatego tak wiele jest ich w tych pismach kobiecych, gdzie ktoś daje swoje świadectwo. Ważna jest też sprawiedliwość szeroko pojęta. Żeby naprawdę wreszcie się w tych liczbach zgadzało [śmiech]. Żeby ten Excel dobrze pokazał. Tak po prostu, bez jakichś wielkich słów. Chociaż tożsamość, utożsamianie się to wielkie słowa.

Natalia: Wcześniej mówiłaś o tym, że niektóre odnalezione przez Ciebie postaci, wyłowione z różnych Twoich lektur nie znalazły swojego miejsca w książce, bo nie mieściły się w topografii Twojej trasy, a topografia była jednym z Twoich kryteriów doboru bohaterek. Czy były jeszcze jakieś inne kryteria?

Sylwia: W przypadku książki to właśnie topografia była kryterium, tak jak dla trasy przewodnickiej. W takim wypadku, czasem jeśli można podejść dwa domy dalej, żeby zobaczyć jakieś miejsce, to macham ręką i opowiadam o takiej postaci, która te dwa domy dalej mieszkała, nie odrzucam. Ale ponieważ jedną z zasad przewodnickich jest, że mówi się o tym, co się widzi – tu getto warszawskie jest wielkim wyzwaniem – to staram się nie wprowadzać wątków spoza trasy.

W książce oprócz tras są też eseje o konkretnych kobietach i w nich kierowałam się tym, co mnie w każdym przypadku w danej postaci zafrapowało. To oznacza, że to bardzo subiektywne kryterium, bo to ma być coś, co mnie uderzy. Tak było ze Stryjeńską i jej napięciem między byciem matką a artystką, która ma wielkie możliwości. Nie tyle, że doskonałą artystką, bo takich jest bardzo dużo, tylko właśnie to, że ma też te wielkie możliwości. I musi wybrać. Albo ten niesamowity język groteski, który jest bardzo odważny, u Auerbach[3]. Czy na przykład postaci zbiorowe, kobiety z Ziemiańskiej, które w dwudziestoleciu międzywojennym były częścią tamtejszej bohemy. I właściwie nie za bardzo zdajemy sobie sprawę, kto to był, jak one się nazywały. A potem się okazuje, że ojej, ojej, ona też była poetką. Ale mówi się o niej tylko jako o „kobiecie, która jest na zdjęciu po prawej stronie Słonimskiego". Takie rzeczy bardzo mnie ruszały. Jak na przykład to, że Skłodowska-Curie miała bezpośredni, cielesny kontakt z tymi wszystkimi strasznymi rakotwórczymi substancjami, bo wolała je przenosić palcami zamiast pipetą. To się później skończyło tym, że miała wypalone dłonie. Takie rzeczy, które po prostu uruchamiały moją wyobraźnię i sprawiały, że mogę napisać o tym tekst, były moim kryterium. Ale ta książka od początku miała być subiektywna.

Natalia: Ważnym czynnikiem Twojej pracy nad odzyskiwaniem historii kobiet był jakiś rodzaj relacji z botahaterkami, tak?

Sylwia: Tak, wychodzę w tej pracy zdecydowanie z pozycji fanki. Od małego obklejałam pokój plakatami, do tej pory nad biurkiem mam ze 40 zdjęć różnych kobiet. Jak wampirzyca się wbijam i tak z nich czerpię. Nie chodzi mi jednak o takie bałwochwalcze nastawienie, tylko o to, że takie silne dziewczyny są mi potrzebne,

3 Rachela Auerbach (1901–1976) – pisarka, tłumaczka, współtwórczyni Archiwum Getta Warszawskiego, pracowniczka Instytutu Yad Vashem.

niezbędne do życia. Takimi dziewczynami też się otaczam. Bez nich ani bym nie napisała, ani bym nic nie zrobiła. Z tym wiąże się również poczucie pewnego kontinuum. I chęć oddania sprawiedliwości: dzięki temu, co zrobiła moja praprapraprababcia, jaki mały kamyk dołożyła, ja teraz mogę mieć własną firmę, fundację, studiować i robić pierdyliard różnych rzeczy. Właśnie dlatego muszę pamiętać imię tej kobiety, która to zaczęła. Różnych kobiet.

Mam tu bardzo mocne poczucie matrylinearnego kontinuum. Ale okazuje się też, że w ogóle dla wielu osób to jest straszny problem. Okazało się na przykład, że mówienie „matczyzna" zamiast „ojczyzna" jest uważane za profanację. Kiedyś udzieliłam wywiadu w związku z powstaniem warszawskim, w którym powiedziałam, że dla mnie to jest matczyzna, mówiąc o kobietach w historii. Nie powinnam się dziwić, że na portalu Frondy i tego typu stronach mnie tak odbierają, ale było to dla mnie szokiem, bo mi się to wydaje przezroczyste, takie zwyczajne. Dużo o tym myślałam i to tak mocno wypływa ze mnie od lat, że zapomniałam, gdzie żyję i się takimi reakcjami dziwię bez sensu. Jedni mają żołnierzy wyklętych czy coś innego, z czym się utożsamiają, robią sobie T-shirta. A ja mam T-shirta z Nałkowską. Ja żołnierzy wyklętych pamięci nie chcę. To nie jest konkurencyjna pamięć, konkurencyjna historia. Dziś podeszła do mnie pani w tramwaju i mówi: „Dobrze, że pani robi takie rzeczy, bo teraz jak ten PiS dojdzie do władzy... My musimy się trzymać razem". A ja nie chcę mieć z tą kobietą z tramwaju tego rodzaju relacji, że wspólnie przeciwko PiS-owi. Albo wspólnie przeciwko kibolom z żołnierzami wyklętymi. Marsze niepodległości to oczywiście coś innego, ale w codziennym życiu ja chcę mieć z nią po prostu taką kontynuację: idziemy ulicą i wiemy, że w tym domu mieszkała taka kobieta, że zrobiła to i to. Ale taka kontynuacja w konflikcie – nie interesuje mnie to szczególnie.

Natalia: Mówiłaś o tym, że język, którym się posługujesz w mówieniu o herstorii, jest postrzegany jako radykalny. Czy historia kobiet jest albo może być radykalna? Czy jest radykalnym narzędziem, radykalną opowieścią?

Sylwia: Okazuje się, że tak. Z tym, że ja pracą nad odzyskiwaniem tej historii nigdy nie chciałam walczyć. Może to brzmi bardzo naiwnie, ale nigdy nie chciałam pokazywać, że „zobaczcie, zapominacie o kobietach, a kobiety robiły to i to". Nie chciałam nigdy robić konkursu, kto był mądrzejszy, fajniejszy i więcej zrobił. Nie chciałam też nigdy pokazywać, że to dyskryminacja, że to pomijanie kobiet, dlatego ja jako feministka się będę tym zajmować. Chciałam to przemycić, tak że ani się człowiek obejrzy, a będzie równo w tych cyferkach. Oczywiście to jest radykalne. Byłabym

bardzo naiwna, gdybym sobie nie zdawała sprawy z konsekwencji tego, co robię i jak to będzie odbierane. Do tej pory słyszę pytanie, czy mężczyźni też mogą przyjść na wycieczkę śladami kobiet. To jest oczywiście pytanie od mężczyzn, oni się czują wykluczeni samym faktem, że to będzie o kobietach. Czasem podejmują taką decyzję, że nie przyjdą właśnie dlatego, że to jest o kobietach. I niech sobie podejmują. Ale jeśli takie pytania do mnie padają, jeśli to ma być jakaś konfrontacja ze mną, to ja już się nauczyłam i mam na to totalną zlewę. Gdzieś indziej widzę miejsce zmiany: program historii w szkołach powinien być rozszerzony w taki sposób, żeby kobiety tam były obecne. Sama kiedyś opracowywałam scenariusze lekcji o Stefanii Wilczyńskiej do gimnazjum i liceum, więc się zajmuję pracą u podstaw, ale nie mam najmniejszej ochoty dyskutować z kolesiem, który mnie pyta, czy wycieczka śladami kobiet jest też dla mężczyzn. Nie mam już siły na to. Po prostu odpowiadam mu, że tak i zostawiam go z tym. Nie będę go przekonywała. Bo to byłby taki model, że siłaczka, praca u podstaw, państwo poczekają, te 50 osób, a ja tu z panem porozmawiam i panu wytłumaczę, dlaczego jednak warto posłuchać o kobietach. Może zabrzmię jak jakaś zblazowana działaczka, ale w ogóle nie mam tego w sobie. Kiedyś miałam, teraz po prostu robię swoje, bo gdybym miała przy każdym stać i mu tłumaczyć, to to by jeszcze dodatkowo rozpraszało moją energię. A robię tyle rzeczy, że muszę o nią bardzo dbać. Dołączasz? Nie dołączasz? *Sayonara*.

Myślę też, że jeśli nie tłumaczę, to ciężar odpowiedzialności za to, żeby się dowiedzieć, nauczyć, jest po drugiej stronie, a nie ciągle na mnie. Choć wiadomo, że nadal są w archiwach miliony kobiet, które czekają na nas, aż je stamtąd wyciągniemy i pokażemy. Nie tyle „odkryjemy", co odzyskamy. I dostęp do tej wiedzy jest utrudniony. Ale tego materiału, z którego można korzystać, jest już bardzo dużo. I jeżeli ktoś w XXI wieku pyta mnie, co to jest feminizm, to ja naprawdę mogę powiedzieć: sam sobie sprawdź [śmiech].

Natalia: Bez czego Twoim zdaniem nie można ruszyć w pracy nad historią kobiet?

Sylwia: Przyznaję, że w tym temacie miałam dyskusję z Anią Nowakowską-Wierzchoś[4], która, jak wiadomo, jest bardzo mocno zaangażowana w herstoryczne rzeczy, jest też z wykształcenia

4 Anna Nowakowska-Wierzchoś, dr nauk humanistycznych w zakresie historii na podstawie pracy *Konopniczanki. Związek Kobiet Polskich we Francji imienia Marii Konopnickiej w latach 1944–1950* obronionej w IH PAN. Archiwistka w Archiwum Akt Nowych. Współtwórczyni (razem z Iwoną Dadej) inicjatywy Feministyczny Salon Historyczny, autorka książki *Wanda Gertz. Opowieść o kobiecie żołnierzu*, Avalon, Kraków 2009.

archiwistką i historyczką. Jej mąż[5] zresztą też robi bardzo ciekawe rzeczy, dotyczące głównie ruchu anarchistycznego. Wspomniałam o mężu Ani, bo dla nich obojga to jest dziwne, że w Polsce herstory zajmują się osoby nieprofesjonalne. Dla mnie w ogóle dużym wyzwaniem było to, żeby zastanawiać się, na ile jakby amatorki, czyli te bez papierka...

Natalia: Bez jakiego papierka?

Sylwia: No nie wiem, instytutu historii.

Natalia: Czy może bez feministycznego papierka? [śmiech]

Sylwia: Feministycznego to już w ogóle. Ale bardziej mi w tym wypadku chodzi o taki glejt, że „masz prawo" zajmować się tymi tematami. A to oznacza, że na przykład jesteś po historii, po archiwizacji. Masz narzędzia i znasz metodologię badawczą dotyczącą historii. Bo to nie jest tak, że sobie znajdziesz nazwisko i wydziobiesz, i teraz o tym państwu opowiesz. To trzeba korzystać ze źródeł i tak dalej. Ironizuję oczywiście, bo sama odpowiadam na pytanie, po której jestem stronie [rozbawienie]. Oczywiście byłoby wspaniale, gdyby tzw. profesjonaliści i profesjonalistki również się zajmowali tym tematem, ale tak się składa, że jakoś się przez lata nie zajmowali za bardzo. A jeżeli już, to Komisja Historii Kobiet[6], w której są trzy panie i oczywiście działają, ale o tym wie tylko jakiś procent osób i jest to popularyzacja jednak na tym akademickim szczeblu, a nie wycieczka, artykuł w gazecie.

Z tego względu wydaje mi się, że każda taka inicjatywa jest bardzo ważna. A ten podział na „amatorki" i „profesjonalistki"? Myślę, że *de facto* w Polsce ten podział nie istnieje. Czy któraś z dziewczyn z Sieci herstorycznej ma przygotowanie takie, które by pozwoliło jej powiedzieć: „tak, mam pełne prawo zajmować się tym, czym się zajmuję"?

Natalia: Mówimy: „mamy pełne prawo zajmować się historią kobiet, żadna z nas nie ma wykształcenia historycznego".

Sylwia: Właśnie tak. Ja też tak mówię. To mnie od zawsze zajmowało, na ile ktoś może mi powiedzieć, że czegoś nie umiem. Przydarzyło mi się to wielokrotnie przy okazji *Warszawy kobiet*. Byłam

5 Dariusz Wierzchoś, dr nauk humanistycznych, archiwista w Archiwum Akt Nowych. Absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów. Specjalista w zakresie historii najnowszej Ukrainy i Rosji. Autor książki *Generał Piotr Wrangel. Działalność polityczna i wojskowa w latach rewolucji i wojny domowej w Rosji*, Avalon, Kraków 2008.

6 Komisja Historii Kobiet w Walce o Niepodległość powstała w 1969 roku i zajmuje się dokumentowaniem udziału kobiet w walkach zbrojnych na terenie Polski.

na to przygotowana, bo każda osoba, która się w ogóle bierze za daty, nazwiska, fakty musi wiedzieć, że na klatę bierze tysiąc milionów dyskusji: to nie było tak, a to było inaczej, a to nie działo się tu, tylko gdzieś indziej, a dlaczego właściwie nie piszesz o tej osobie. W mojej książce jest ponad 900 nazwisk i zazwyczaj słyszałam pytania o to, dlaczego w niej nie ma jeszcze kogoś. Zawsze jest problem deficytu, problem źródeł i problem faktów. I co z tego? Nie można się tym przejmować, bo inaczej by się tego nie robiło.

Miałam też taką myśl, że być może zostawiam te kobiety, które odkryłam, w tym sensie, że tak mi się gdzieś wyłoniły w tekstach źródłowych, a nie zmieściły do książki ze względów topograficznych. Byłam przekonana, że ludzie zaczną w ramach krytyki mojej książki pokazywać mi, że jeszcze o tej, czy tej – o tych pozostawionych – zapomniałam. Ale to się nie stało, nie w taki sposób, że powstała inna, kolejna książka na ten temat. Zatem jako ta, która „nie ma papierka", uważam, że mam prawo się tym zajmować, a jeśli ktoś to kwestionuje albo to, co napisałam, to mówię: „A co ty proponujesz? To weź, zrób". Nie mam z tym problemu, żeby tak „nielegalnie" się tym zajmować.

Natalia: To, o czym mówisz, o tej „legalności", o „papierku", dla mnie jest opowieścią o ustalaniu jakiejś wersji tej historii kobiet. Te 900 nazwisk pokazuje wielką dbałość o to, żeby jak największą część opisać, tę część, która do tej pory nie była opisana. Pojawienie się tej książki i innych książek daje nam jakąś dostępną wersję opowieści o historii kobiet, utrwala tę wersję. Mam różne napięcia wokół tego. Te opowieści znowu dążą do utrwalenia się jako kanon. I to jest w jakimś sensie znowu walka o to, co wejdzie do kanonu, tym razem do kanonu historii kobiet.

Sylwia: Tak, oczywiście, że tak. Ja w ogóle z tymi kanonami mam zawsze duży problem, tak samo jak ze słowem „uniwersalna", dlatego od razu powiedziałam, że moja historia kobiet czy mój sposób odzyskiwania kobiet jest całkowicie subiektywny. Uważam, że skoro ja, ta amatorka, która po prostu mogła nagle stworzyć taką książkę, nie wymyśliłam sobie tych osób, one naprawdę istniały, te rzeczy się naprawdę wydarzyły. Skoro ja to zrobiłam, no to każdy to może zrobić. I niech robi.

Natalia: Obecnie jesteś też częścią akademii, jako studentka studiów doktoranckich. Czy poza metodologią widzisz jakieś różnice między robieniem historii kobiet w akademii i poza nią, w lokalnych inicjatywach?

Sylwia: Różnią się między sobą językiem. To pewnie truizm, że artykuł naukowy będzie różnił się od artykułu, które stworzyły kobiety pracujące w projekcie herstorycznym, który miał za zadanie lokalnie najpierw prześledzić historię kobiet, a potem ją opisać i przedstawić. Jednak to jest ważne, ponieważ język akademicki jest szalenie wykluczający, osobiście walczę z tym, jak mogę, ale poddaję się często, bo muszę używać jakichś formuł, żeby ten artykuł został przyjęty. A potem i tak dostaję w recenzji informację zwrotną, że „pani Sylwio, bardzo ciekawe, ale to nie jest felieton". Robię doktorat, więc muszę pisać te wszystkie pierdy srerdy i chciałabym je napisać trochę inaczej, ale wiem, że muszę przestrzegać przyjętych zasad i tej nowomowy, której nikt nie rozumie. To, co odróżnia te dwie dziedziny, to poza językiem też sposób redukowania swojej subiektywności. Choć oczywiście to redukowanie w artykułach naukowych czy w pracy naukowej jest, jak wiadomo, tylko pozorne.

Jakiś czas temu w Poznaniu odbywała się konferencja „Kobiety i/a doświadczenie wojny"[7]. Zostałam poproszona przez organizatorki o artykuł do publikacji pokonferencyjnej. To miał być – i był – naukowy, obiektywny artykuł, ale one dokładnie wiedziały, z jakiej perspektywy ja go przypuszczalnie napiszę – zamówiły artykuł krytyczny wobec projektu Muzeum Powstania Warszawskiego „Morowe Panny" z 2012 roku. I ja oczywiście z miłą chęcią skrytykowałam ten projekt, napisałam artykuł, dostał bardzo pozytywną recenzję. Ale rozumiesz, o co chodzi: no dobrze, żarty na bok, te wasze matczyzny, te wasze herstory, zajmijmy się teraz kobietami i doświadczeniem wojennym: czy mogłaby pani skrytykować to i to? Bo zdaje się, że pani to właśnie skrytykuje, prawda? To takie pułapki pozornego obiektywizmu. Pod tym względem rzeczywiście te wszystkie oddolne projekty są o wiele ciekawsze, nawet jeśli mniej profesjonalne, jeśli utykają językowo, jeśli nadmiar fascynacji daną bohaterką jest zbyt duży, a konkretów za mało. Mimo wszystko to jest dla mnie ważniejsze i bardziej wartościowe.

Natalia: Czy Ty w swojej pracy herstorycznej stanęłaś kiedyś przed jakimś dylematem, ważnym pytaniem? Znalazłaś na nie odpowiedź?

Sylwia: Bardzo często miałam dylematy. Począwszy od tego, czy to moje topograficzne myślenie trasą przewodnicką jest słuszne. Inny to, czy – biorąc pod uwagę tak niską świadomość dotyczącą historii kobiet w ogóle – nie skupić się na wprowadzaniu biogramów np. do Wikipedii, na mocnej popularyzacji w internecie,

7 Konferencja naukowa „Kobiety i/a doświadczenie wojny (1914–1945 i później)", Instytut Kulturoznawstwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza i Akademia Muzyczna im. I. J. Paderewskiego w Poznaniu, 10.12.2014, Poznań.

zamiast pisania kolejnej książki. Czy nie użyć innych narzędzi popularyzacji? Kolejny dylemat to taki, który mam też w innych tematach, jakimi się zajmuję, tzn. zwykle zaczynam jakiś wątek, robię coś konkretnego w danym temacie, po czym zajmuję się innym. I to nigdy nie jest na 200%. Pojawia mi się pytanie, czy jestem od tego, żeby ten temat wrzucić, coś w nim zrobić, ale może nie tyle, ile powinno się zrobić i czekać, aż inni go podchwycą i się nim zajmą. Skoro napisałam scenariusze lekcji dotyczących odzyskiwania historii kobiet i przekazałam różnym fundacjom, to może powinnam iść z tym dalej, do MEN-u? To są pytania, na ile moja praca w ogóle coś daje i czy jest widoczna.

Pojawiły się też dylematy dotyczące bohaterek, z którymi nie było mi ideologicznie po drodze. Na przykład Wanda Wasilewska. Miałam duży problem z nią i z Janiną Broniewską. Napisałam tekst o ich przyjaźni, pierwotnie do „Polityki", bo dla mnie opisy ich relacji były niesamowite. Te wielkie działaczki komunistyczne, szczególnie Wanda Wasilewska, która zawsze była opisywana jako socrealistyczna matrona w garsonie – ich przyjaźń była totalnie dziewczyńska! W ogóle ich relacje były kompletnie inne niż to, co się zwykło myśleć o tego typu osobach, poważnych działaczkach. Ważne dla mnie było, żeby pokazać tę drugą stronę. Jednocześnie, nie byłam pewna, czy powinnam pisać o komunistkach [śmiech]. Tak samo miałam ze skrajnie prawą stroną.

Inne dylematy to te metodologiczne i warsztatowe, tj. jak pisać, czy dłużej, czy krócej, czy po prostu biogram z datą urodzin i śmierci, czy jednak zamiast tego coś innego. Szczególnie w książce to było ważne, ponieważ tam miałam bardzo ograniczone miejsce. W książce miała się znaleźć jeszcze angielska wersja, dodatkowo „Polityka" się uparła, że papier miał być błyszczący, grubszy i cięższy. Dlatego potem już po prostu musiałam ograniczać tekst. Stąd wybory dotyczące nie tylko tego, kogo odrzucić z tekstu, ale też w jaki sposób napisać o danej osobie.

Natalia: Masz jakieś marzenia związane z historią kobiet?

Sylwia: Mam takie marzenia na trzech różnych płaszczyznach. Pierwsza jest edukacyjna: żeby mój syn uczył się o kobietach w szkole, w zwykłej szkole podstawowej, a za chwilę w zwykłym gimnazjum. Żeby nie musiało być jakiegoś projektu, specjalnej kampanii społecznej, tylko żeby pani na lekcji mu przekazała taką informację. Na poziomie działackim mam marzenie, żeby takie inicjatywy były w każdym mieście. Wiem, że w kolejnych miastach one powstają, ale chciałabym, żeby to było już zupełnie oczywiste. A na poziomie akademickim, żeby historia kobiet nie była nadal traktowana jako – jak sugerował to tytuł jednej z konferencji, w której brałam udział z referatem – historia alternatywna.

Natalia: A co w takiej sytuacji miałaby znaczyć Twoim zdaniem historia alternatywna?

Sylwia: Dziwne rodzaje historii, którymi ludzie się zajmują poza tym, że zajmują się tradycyjną, dobrą, właściwą historią. Taka dziwaczna historia spod znaku „Wow! Zajmujesz się tym? Strasznie fajne, o Jezu!". Egzotyka. Jak wpadłaś na to, żeby zajmować się historią kobiet? Jak to się stało, że zaczęła pani zbierać, nie wiem, nóżki od starych lalek? To bardzo interesujące, porozmawiajmy o tym [śmiech].

Natalia: Chcemy, żeby rozmowy z Tobą i innymi osobami, które zajmują się historią kobiet, były jakimś rodzajem wsparcia dla tych osób, które dopiero chcą się tym zająć, ale nie wiedzą, od czego zacząć.

Sylwia: Często się z takimi pytaniami spotykam, bo bardzo dużo jeżdżę po Polsce i na spotkaniach autorskich kobiety chcą rozmawiać o literaturze, ale głównie jednak o Fundacji MaMa albo właśnie o historii kobiet. Pytają o to osoby z małych miejscowości, które chciały zainteresować tym tematem na przykład panie bibliotekarki, które w małych miastach i wsiach są wszystkim, takimi osobami od korepetycji po psycholożkę i panią od kultury, ale okazywało się, że oprócz tej jednej osoby nikt nie jest zainteresowany i podjęcie działań w pojedynkę jest dla nich za trudne. Wtedy zwykle mówię, że dobrze byłoby zacząć od swojego domu i najpierw zainteresować się w ogóle historią kobiet, które są wokół nas. To może być pierwszym, bardzo ciekawym i być może mało stresującym krokiem. Dla wielu osób jednak pójście do biblioteki po te teksty źródłowe, spisanie dat, to wszystko może być odrzucające, bo albo nudne, albo „o Jezu, niegodna jestem". Warto zacząć od swojej mamy, babci, całej reszty – historia prywatna jest często szalenie ciekawa i właśnie nieoczywista. Dlatego czasem, kiedy oprowadzam taką mniej formalną wycieczkę, to przy okazji pokazuję dom, w którym mieszkała moja babcia i dziadek. To w samym centrum, wszyscy się tak ożywiają, to miłe. To jest dla mnie ważne, że ten dom... Nie mogę udawać, że przechodząc obok tego domu, nie myślę o mojej babci i dziadku. To jest pierwszy krok, żeby się w ogóle oswoić i poczuć, o co tu chodzi – także o to, żeby zbierać ciekawe historyjki. I zdobywać wiedzę o swojej rodzinie. Dla wielu dziewczyn czy kobiet odkrycie, że ich babcia robiła to i to, jest totalnie podbudowujące. Nie trzeba szukać inspiracji z plakatu, tylko odkryć, że to się działo gdzieś obok mnie. To jest bardzo wspierające i dodaje poweru na bardzo różnych poziomach naszego życia, także emocjonalnie.

Oczywiście, jeżeli ktoś będzie chciał czy chciała szukać historii kobiet ze swojego regionu, miejsca zamieszkania, osiedla, miasta, wsi, to wszystko to czeka na spisanie. Nie pozostaje wtedy nic innego niż czytanie książek, które traktują o konkretnych miejscach, rozmawianie z ludźmi. Jednocześnie myślę, że jeśli ktoś zaczyna od swojej historii i historii kobiet ze swojej rodziny i najbliższych koleżanek, znajomych, to potem siłą rzeczy to się rozszerza. Zaczynamy myśleć o swojej cioci, znajdujemy coś na temat prababci i nagle ta praca się rozrasta. Tu nie trzeba wielkich odkryć przysłowiowego złotego pociągu. Najfajniejsze jest to, co nas interesuje, inspiruje i spodziewamy się, że może będzie fajne, ciekawe także dla innych kobiet.

A na bardziej ogólnym poziomie myślę, że czasem warto marudzić i być tą, co do znudzenia mówi: „Ej, zapomnieliście o kobietach". To nam nie przysporzy żadnego splendoru, ale działa. Ostatnio zapytałam jednego z ludzi z Instytutu Książki: „A gdzie są pisarki na Waszych koszulkach?"[8]. To oczywiście nie sprawiło samo, że ta koszulka powstała, ale ostatecznie ta koszulka – z Zofią Nałkowską – jednak jest. Być może byłam 50-tą osobą, która o to spytała.

Koszulka z Nałkowską to żadna rewolucja, ale to dobrze, że możemy taką koszulkę mieć. Więc czasem warto pomarudzić. Niekoniecznie nawet rozwijając myśl – wystarczy zapytać o dziewczyny, o kobiety. Ludzie wiedzą, o co chodzi.

Rozmowa odbyła się 9 września 2015 w siedzibie Fundacji MaMa przy ul. Wilczej 27 B w Warszawie.

8 Chodzi o serię koszulek z portretami znanych polskich pisarzy, realizowaną od 2012 roku przez Instytut Książki wspólnie z marką odzieżową Pan Tu Nie Stał pod nazwą „Pisarze na lato/a". Na koszulkach znalazły się wizerunki Stanisława Lema, Brunona Schulza, Witkacego, Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Kobieta-pisarka – Zofia Nałkowska – po raz pierwszy pojawiła się na koszulkach z tej serii latem 2015 roku, w czwartym roku realizacji serii.

fot. Jan Krzysztof Mikulski

Agata Markiewicz – pomimo że skończyłam archeologię śródziemnomorską na Uniwersytecie Warszawskim, od początku swoje życie zawodowe związałam ze szkołą. Pracuję w Społecznym Gimnazjum w Milanówku. Uczę tam historii i WOS-u. Praca w szkole jest moją pasją, ponieważ pozwala mi na jednoczesne realizowanie dwóch celów – rozwijania samej siebie i rozwijania horyzontów moich uczniów i uczennic. Wspólnie z nimi, ale też często dzięki nim zrealizowałam wiele lokalnych projektów, począwszy od szukania śladów kultury żydowskiej w okolicy, poprzez opiekę nad zapomnianym cmentarzem osadników niemieckich czy odtwarzanie historii fabryki jedwabiu w Milanówku, a skończywszy na uruchomieniu klubu z filmami o tematyce edukacji globalnej. Od jakiegoś czasu zajmuję się badaniem historii kobiet w związku z dysertacją doktorską, którą właśnie kończę. W ramach tych zainteresowań współtworzyłam inicjatywę Milanowianki, którą obecnie przekształcamy w Stowarzyszenie Milanowianki. Zaznajamiam też moich uczniów i uczennice z tą tematyką w ramach koła historii kobiet, które współprowadzę w moim gimnazjum.

AGATA MARKIEWICZ

SORRY, ALE TO NIE TAK

Z Agatą Markiewicz z inicjatywy Milanowianki rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Jak powstały Milanowianki? Skąd Ty się wzięłaś w tej inicjatywie?

Agata Markiewicz: Inicjatywa powstała blisko dwa lata temu. To była prywatna inicjatywa jednej z koleżanek, Agnieszki Ostrowskiej, która zachwyciła się Waszymi *Przewodniczkami po Krakowie emancypantek* i wymyśliła, że coś takiego można by było zrobić u nas, podczas Dni Milanówka. Namówiła do tego pomysłu urzędniczkę z Działu Promocji Urzędu Miasta Milanówek, Monikę Samoraj, której też *Przewodniczki* się spodobały. One we dwie to uruchomiły, zapraszając kolejne osoby, dając ogłoszenie. Znałam je obie, Agnieszkę prywatnie, bo nasze dzieci chodziły razem do szkoły, a Monikę ze współpracy przy projekcie ratowania lokalnego cmentarza niemieckiego. Pojawiłam się w tej inicjatywie we wrześniu 2013 roku, na pierwszym spotkaniu, kiedy nie było jeszcze żadnych konkretnych planów poza tym, że one pokazywały Waszą książkę i mówiły, że chcą coś takiego zrobić w Milanówku.

Z kilku względów byłam sceptycznie nastawiona do tego pomysłu. Po pierwsze, kobiety, które się tam zebrały, były tak kompletnie różne od siebie, że wydawało mi się, że wspólnie się tego nie da zrobić. Po drugie, to spotkanie było takim wieczorkiem przy herbatce, wydawało mi się, że Agnieszka tego nie spina i w związku z tym niezbyt optymistycznie widziałam szanse powodzenia. To, co mnie zatrzymało przy tej inicjatywie, to fakt, że to się wiązało tematycznie z moim doktoratem, którym się wtedy zajmowałam, tj. z kwestią kobiet. Poza tym patrzyłam sobie na te różne panie: przyszło tam bardzo dużo starszych kobiet, emerytek. To jest dla mnie cały czas niewykorzystany potencjał. Byłam zachwycona tym, że one przyszły i usiłowały się dogadać z pozostałymi, bardzo mi się to podobało. Dlatego zostałam.

Dziewczyny załatwiły na spotkania specjalną salę w galerii Matulka przy Milanowskim Centrum Kultury, załatwiły też herbatę i przez pierwsze pół roku to naprawdę były spotkania przy herbatce, bez większych konkretów. Panie w większości były na emeryturze, więc miały sporo czasu, żeby pogadać. Ja tam wpadałam i wypadałam, chciałam konkretów [śmiech]. To

była walka samej ze sobą, żeby z jednej strony, nie okazać się gburowatą i docenić to, że panie przychodzą, a z drugiej strony, strasznie mnie to denerwowało, że ten proces jest taki rozlazły.

W tym czasie zastanawiałyśmy się nad bohaterkami. Agnieszka dała kompletną wolność wyboru, więc oczywiście pojawiły się różne pomysły. Milanówek jest nazywany „małym Londynem", ponieważ po powstaniu warszawskim tam się zadekowało sporo AK-owców. Stąd większość tych starszych pań szukała kobiet przy mężach, np. generałowych. Mnie to w ogóle nie interesowało. Cały czas na tych spotkaniach powtarzałam, że chciałabym pisać o zwykłych kobietach, a nie o żadnych wielkich. A pierwszą postacią, którą postanowiłam opisać, była żyjąca jeszcze wtedy osoba, w dodatku nie żadna bohaterka. Panie to wprawiło w osłupienie – że taka „zwykła" kobieta, która niczego wielkiego ich zdaniem nie dokonała, w dodatku wszystkie ją znały, bo Milanówek jest niewielki. Ta kobieta już wtedy była bardzo poważnie chora na raka, umierająca.

Mój tekst o niej był pierwszym tekstem, który w tej inicjatywie powstał. Powstał, ponieważ namówiłam Marzenkę – moją bohaterkę – na nagranie. Znałam ją wcześniej prywatnie, przez chwilę razem uczyłyśmy (jestem nauczycielką), przez jakiś czas razem chodziłyśmy na kurs nauczycielski. Były takie momenty, kiedy chciałam się z tego tekstu wycofać, ale nie zrobiłam tego ze względu na Marzenkę, która opowiedziała mi naprawdę bardzo dużo, pokazała różne dokumenty i zrobiła taką „spowiedź życia" w pewnym sensie. Tekst powstał i został odczytany publicznie na spotkaniu, mnie na szczęście wtedy nie było. Panie były bardzo wzruszone, a ten tekst ukazał się potem w książce[1]. Marzenka zdążyła jeszcze być na jej promocji, dostała ją i wiele razy jeszcze dowoziłam jej kolejne egzemplarze, które ona rozdawała znajomym i rodzinie. Była z tego bardzo dumna i zadowolona. Utrzymałam się w tej inicjatywie głównie dzięki niej, bo ile razy miałam ochotę się wycofać, to ze względu na nią było mi głupio to zrobić.

Przez pierwsze pół roku spotkań w ogóle nie wiadomo było, co dalej z tymi zbieranymi materiałami zrobić, z tekstami, które każda starała się napisać. Potem okazało się, że wniosek, który dziewczyny napisały, dostał dofinansowanie i że są pieniądze na książkę. Wszystko nabrało rumieńców. To była wiosna 2014 roku. Kiedy się okazało, że ukaże się realna publikacja, urząd miasta się szybko dołączył i rzeczywiście bardzo pomagał, bardzo chciał w tym uczestniczyć.

W związku z przygotowaniami do wydania książki pojawił się pomysł, że zrobimy sobie sesję zdjęciową w strojach z lat 20., 30. Panie wynajęły stylowe pomieszczenie, fotografa,

1 *Milanowianki*, pod red. A. Ostrowskiej, Milanowskie Centrum Kultury, Milanówek 2014.

zorganizowały stroje z kółka teatralnego. Mnie się ten pomysł w ogóle nie podobał, byłam najeżona okropnie. Ale kiedy zobaczyłam, jak te babki się bawią, jak je to cieszy, to przebrałam się grzecznie, uczestniczyłam w tej sesji. Teraz mam piękne zdjęcia [śmiech]. A dla nich to chyba było najważniejsze przeżycie z całego tego projektu.

Książka się ukazała, w czerwcu była jej promocja, potem odbywały się jeszcze działania w szkołach, lekcje dotyczące genealogii, ale wyglądało na to, że ten projekt sobie po prostu wygaśnie. Zrobiłyśmy jeszcze Wigilię na koniec 2014 roku, żeby się pożegnać.

Agnieszka jeszcze w styczniu, lutym tego roku zaproponowała, że może spróbujemy ruszyć z czymś nowym. Rozwiesiła zaproszenia po mieście, żeby nowe uczestniczki mogły przyjść. Pojawiło się ich bardzo dużo. Miałam już nie przychodzić, już nie chciałam w tym brać udziału [śmiech], ale przyszłam, z sentymentu. Jak zobaczyłam, ile tych kobiet znowu przyszło, chyba z 20, prawie wszystkie nowe, z poprzedniego działania byłyśmy może ze dwie czy trzy, to zostałam.

Jedne przyszły, bo miały pomysły na bohaterki, na teksty. Po wydaniu książki wiele osób mnie zaczepiało: „Pani Agato, pani musi jeszcze napisać o tej, o tej i o tej" [śmiech]. Dostawałam pełne listy bohaterek i inne dziewczyny tak samo. To działało wprost nieprawdopodobnie. Wiele tych nowych kobiet przyszło już z konkretnymi osobami, o których chcą pisać. My już wtedy mówiłyśmy, że na razie nie ma żadnych pieniędzy, nie wiemy, co będzie dalej. Przyszło też sporo dziewczyn, między innymi Hania Musur, z którą teraz działamy w Sieci herstorycznej, które powiedziały, że one na razie nie wiedzą, czy chcą pisać, ale na pewno im się podoba sama idea. Zadeklarowały, że mogą się zająć zbieraniem funduszy, reklamą, stroną internetową, zdjęciami.

Od pierwszych spotkań skład się wymienił na niemal nowy, sama Agnieszka Ostrowska wyprowadziła się do Warszawy i wycofała się z Milanowianek, ja wciągnęłam kilka osób, z którymi pracuję w szkole. Inicjatywa znów nabiera rumieńców. Nie mamy na razie żadnej kasy, ale jestem pełna podziwu, bo tych tekstów spływa całkiem sporo. Spotykamy się w knajpie raz w tygodniu w środy. Ośrodek kultury zaoferował, że otworzy nam subkonto bankowe. A ja zaczynałam jako osoba pełna dystansu, ale cały czas w tym jestem i cały czas mi się to podoba.

Natalia: Co sprawia, że Ci się to podoba?

Agata: Na początku na pewno podobało mi się pisanie. Napisałam o Marzence, potem o babci mojej koleżanki, która walczyła o zachowanie domu. W Milanówku są te wielkie domy, które były odbierane właścicielom w czasach powojennych w ramach

kolektywizacji. Babcia koleżanki toczyła heroiczną walkę o to, żeby jej domu nie odebrano, robiła niesamowite rzeczy. To była dla niej najważniejsza rzecz w życiu. Doczekała zresztą tego, że dom znów stał się własnością całej rodziny. Napisałam o niej, bo choć namawiałam moją koleżankę Elę do tego, to ona się nie zdecydowała. A na koniec dziewczyny mnie namówiły, żebym napisała tekst o Bronisławie Lasockiej, matce założyciela Milanówka. Między innymi o niej zbierałam materiały do doktoratu, których praktycznie nie ma. Tekst był krótki, a narobił najwięcej zamieszania w mieście.

Natalia: Dlaczego?

Agata: Tak funkcjonuje małe miasteczko: kiedy zbierałam wiadomości o Lasockiej, to oczywiście ciągle o tym rozmawiałam z moim 16-letnim synem, opowiadałam, co mi się udało zebrać, czego się dowiedziałam. On sporo czyta, interesuje się historią. Wtedy czytał Krzywicką, a w jej wspomnieniach[2] był fragment o założycielu Milanówka, Michale Lasockim. Nie do końca wiadomo, jak to z nim było, sprawa jest śliska. On majątek matki podzielił na działki i zrobił z niego letnisko. Jedni twierdzą, że podzielił dlatego, że potrzebował pieniędzy na spłatę długów brata, a inni, w tym Krzywicka, że musiał spłacić swoje długi za hazard.

Jakiś czas później Jaś, mój syn, z ramienia szkoły brał udział w oprowadzaniu szkolnych gości z Wysp Kanaryjskich i Francji po Milanówku. Prowadził je miejski historyk, z którym Jaś zaczął rozmawiać. Powiedział mu o tym, że piszę w *Milanowiankach* o Lasockiej, a potem zaczął wygłaszać już własne, prywatne opinie, że Lasocki był hazardzistą itd. Ten historyk połączył dwie sprawy i natychmiast przybiegł do Ośrodka Kultury, z którym wydawałyśmy tę książkę – ona już wtedy była w druku – i zażądał wstrzymania druku w związku z tym, że książka ma szkalować założyciela Milanówka. Zrobiła się cała afera. Dziewczyny zaczęły szukać w tych tekstach szkalowania Lasockiego, a tam nie było słowa o tym. Na szczęście ja się o tym dowiedziałam, gdy już wszystko było załatwione [śmiech].

Natalia: To, co dla mnie jest unikalne w tym projekcie, to fakt, że współpracują w nim osoby w różnym wieku, duża część to starsze kobiety, z różnych opcji politycznych, z różnych kontekstów, które się ze sobą regularnie, co środę spotykają i razem wypracowują koncepcję, dzielą się zadaniami, wspólnie piszą. Bardzo mało znam przykładów takich projektów herstorycznych.

Agata: Zobaczymy, co tym razem z tego wyjdzie. Spotkałyśmy się w ubiegłą niedzielę, żeby przygotować prezentację i film

2 I. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, oprac. A Tuszyńska, Warszawa 1992.

o Bronisławie Lasockiej na premierę *Szlaków kobiet* w Milanówku w końcu września. Spotkałyśmy się niedaleko kamienia-pomnika poświęconego Lasockiemu. I nie dla wszystkich pań to było zrozumiałe, dlaczego nie będziemy kręcić tego kamienia, skoro szukamy miejsc związanych z Bronisławą Lasocką, jego matką i o niej chcemy opowiadać. Ale kiedy powiedziałam, że to nie jest miejsce ważne dla tej opisanej przeze mnie historii i że ten kamień może się ewentualnie gdzieś pod koniec pojawić, ale to nie jest moja historia, to zostało to zaakceptowane. To mi się zaczyna podobać, że powoli, ale pewne rzeczy są przyjmowane. Ta zmiana na razie nie jest taka, żeby teksty powstawały z innej perspektywy, ale panie akceptują to, że Michał Lasocki nie musi być w opowiadaniu o jego matce postacią najważniejszą [śmiech].

Natalia: Działasz w Milanowiankach, jesteś autorką doktoratu w tematyce historii kobiet. Jak sobie opowiadasz to, czym jest historia kobiet, herstoria?

Agata: To jest ciekawe – to mi się zmienia. Z pojęciem herstorii zetknęłam się dopiero, gdy zaczęłam czytać teksty podczas zajmowania się doktoratem, który dotyczy rodzin, choć głównie kobiet, zesłańców po powstaniu styczniowym na Syberię. Zajęłam się tą pracą w czasie, gdy byłam w osobistym kryzysie. Moja ciocia opowiedziała mi historię mojej rodziny. Jej matka pojechała w 1905 roku, jako młodziutka dziewczyna, ze swoim mężem na Syberię, gdzie żyli do 1918 roku, mieli tam dzieci. Ona strasznie tęskniła i bardzo chciała wrócić. Postawiła na swoim, bo przyszła rewolucja bolszewicka, a w Polsce I wojna światowa, więc zdecydowali się na powrót. W drodze powrotnej dzieci zachorowały na tyfus i wszystkie, cała trójka, zmarły. To mną wstrząsnęło i zaczęłam się zastanawiać nad tym, że tyle się mówi o bohaterstwie mężczyzn, którzy brali udział w tych wszystkich powstaniach, konspiracjach. Natomiast los związanych z nimi kobiet, ich dramaty, ich życie to temat, który nie jest podejmowany. Mnie to zainteresowało. Kiedy poszłam na studia doktoranckie, to poszłam z przekonaniem, że ja o czymś takim chcę pisać. A że wcześniejszymi zesłaniami i kobietami w tym kontekście się już zajmowano, to promotor zasugerował mi powstanie styczniowe i czasy późniejsze. Zaczęłam drążyć te różne historie i już 10 lat piszę ten doktorat, cholernie długo. Co ciekawe, kiedy się za niego zabierałam, to z takim nastawieniem, że to te kobiety, które jechały na Syberię za swoimi mężami, że one to dopiero były bohaterkami, że to one w życiu stawiały czoła problemom. Ale wnioski, które wyciągnęłam już na koniec tej pracy, są kompletnie inne: bohaterstwem było zostać tutaj i mierzyć się z utrzymaniem majątku, ze znalezieniem pracy, z rodziną. Z takim wykształceniem, jakie wtedy mogły te

kobiety mieć, czyli praktycznie żadnym. Bez tych facetów, na których tam na Syberii one się opierały.

Na przykład taka Lasocka, kiedy mąż wyjechał na Syberię, sprzedała duży majątek, kupiła mniejszy, tj. Milanówek i sobie w tym mniejszym Milanówku radziła. Dla mnie to ona była bohaterką, ponieważ sobie poradziła w chwili, kiedy większość ludzi te majątki traciła, bo uwłaszczenie, bo konfiskaty. A ona 22 lata gospodarowała i radziła sobie świetnie. Nie mówiąc o tym, że wykształcenie dzieci tutaj było trudniejsze niż na Syberii.

Kiedy zaczynałam sobie definiować, czym ta historia kobiet jest, było to dla mnie po prostu szukanie podobieństwa między mną a nimi: życie stawia w sytuacji, że trzeba sobie samodzielnie radzić i czy jesteś przygotowana do tego, czy nie, to poradzić sobie trzeba, w takim uniezależnieniu od facetów. To było dla mnie wtedy dość istotne i tego szukałam. Nie nazywałam tego w ogóle historią kobiet, szukałam w tym podobieństwa. Później, im więcej czytałam, im więcej się dowiadywałam, to zaczynałam rozumieć – bo ja bardzo długo nie widziałam tego, że problemem jest brak traktowania kobiet podmiotowo. Zaczęłam się przyglądać tym wszystkim czytanym tekstom nieco bardziej krytycznie. A teraz historia kobiet dla mnie to jest historia przeżycia, historia radzenia sobie, jak przeżyć w trudnych warunkach, w jakichkolwiek warunkach. Jak pomóc innym przeżyć. Taka historia codzienności też. I to jest dla mnie chyba najważniejsze. Teraz wiem już, co to znaczy podmiotowe patrzenie na kobiety [śmiech]. Chociaż muszę powiedzieć, że długo do tego dochodziłam.

Natalia: Poszukiwałaś paralel, podobieństwa między ich sytuacją a Twoją. Twoim zdaniem po co się robi historię kobiet w dłuższej perspektywie? Po co Ty się nią zajmujesz?

Agata: Na pewno cały czas szukam ciągłości. Myślę, że te kobiety, które razem ze mną piszą, też szukają ciągłości i kontynuacji. Szukają swoich przodkiń, szukają postaw, które by w jakiś sposób wzmacniały ich postawy. Mniej chyba chodzi im o to, by zachować pamięć, niż o to, żeby znaleźć jakieś pokrewieństwo, żeby czuć się potomkiniami – choćby przez miejsce, w którym mieszkają. Kiedy sama zabierałam się do doktoratu, to na pewno szukałam ciągłości, wzorów. Oczywiście po tych 10 latach wiem, że to nie do końca jest tak. Na pewno to miała być swego rodzaju praca terapeutyczna.

Natalia: W Milanowiankach chodzi o herstorie z Milanówka. Powiedziałaś, że kobiety odtwarzające te herstorie do książki chciały pisać o kobietach przy mężach, generałowych, o postaciach znaczących w związku z funkcją ich męża. To było jedno z kryteriów, w oparciu o które zostały wybrane bohaterki Waszego projektu. Czy były jeszcze jakieś inne?

Agata: Tak, to „musiały" być wzorowe matki albo przynajmniej wzorowo się prowadzące kobiety. Nacisk na to był tak silny, że jedna z moich koleżanek stwierdziła, że chciałaby kurwę w tym Milanówku znaleźć i opisać [śmiech]. Wzbudziła tym konsternację. Ale część z pań podchwyciła temat i zaczęły sobie przypominać, gdzie mieszkały panie, o których się w Milanówku mówiło, że przyjmują różnych panów. Ale tekst nie powstał, koleżanka nie miała czasu.

Natalia: A co Ciebie zahacza w tych postaciach? Gdy je wybierasz, to co decyduje, że chcesz się zająć tą konkretną osobą?

Agata: Zaczynałam od tego, że fascynowało mnie właśnie to, jak kobiety sobie radzą w sytuacjach, do których są lub były kompletnie nieprzygotowane. Fascynuje mnie to, jak się rodzi samodzielność tych kobiet. Samodzielne myślenie, samodzielne działanie. I społecznikostwo, działanie lokalne. Marzenka, o której napisałam pierwszy tekst, uczyła angielskiego w czasach, kiedy ten język nie był jeszcze popularny w szkole. Przychodziła do szkoły specjalnie, żeby uczyć dzieci, mimo że nie była anglistką. Zaszczepiała w dzieciach miłość do historii sztuki. Zupełnie prozaiczne rzeczy robiła, ale mi się to bardzo podobało. Potem, a zwłaszcza kiedy się rozchorowała, dbała o swój rozwój osobisty. To było w niej fascynujące. Moja kolejna bohaterka, babcia mojej koleżanki, po śmierci męża została sama z dwójką dzieci i z domem, który koniecznie chciała zachować. Wtedy się w niej obudziła lwica. Kobieta wychowana w przedwojennych warunkach, w komunie się naprawdę nawalczyła.

Obserwując i patrząc też na własne doświadczenie, myślę, że nawet jeśli jesteś w miarę samodzielna i otwarta we wczesnej młodości, to małżeństwo i dzieci strasznie tę samodzielność zabierają. Nie chcę powiedzieć, że to udupia, nie o to chodzi – ale pozbawia własnej osobowości (przynajmniej u mnie tak było). I odzyskanie siebie potem dosyć długo trwa. I to mnie fascynuje w przyglądaniu się tym kobietom.

Natalia: A co jest dla Ciebie w tym przyglądaniu się historiom kobiet fundamentalne? Bez czego nie można Twoim zdaniem ruszyć?

Agata: Na pewno wiem, czego bym chciała uniknąć – narzucania tym kobietom swojego myślenia, uznania, że wiem, skąd się biorą ich niektóre zachowania. Dlatego staram się pisać teksty o żyjących kobietach, to jest dla mnie ogromna szkoła. Napisałam o Marzence tak, jak ja ją widziałam. Dałam jej ten tekst do przeczytania, a ona na to: „Sorry, ale to nie tak".

Natalia: Co było nie tak?

Agata: Na przykład tytuł zaproponowałam: *Lekcja życia i umierania z Milanówkiem w tle*. Kiedy się u niej pojawiłam w listopadzie, ona od ośmiu lat była chora na raka, a w tamtym czasie co tydzień jeździła na transfuzje krwi. Byłam przekonana, że ona do Bożego Narodzenia nie dożyje. Ona już była absolutnie z tym pogodzona, żegnająca się. Ale żyła potem jeszcze przez rok. Kontakt z nią był taką lekcją umierania – dla mnie. Dlatego tak nazwałam ten tekst. A Marzenka mi mówi: „Ale jakiego umierania? Ja ciągle żyję" [śmiech].

Potem jeszcze o paru innych kwestiach dyskutowałyśmy. Ja coś postrzegałam przez swój filtr, a ona mówiła „nie, nie, to nie jest tak". I ja się ciągle boję, że ja tak robię z tymi bohaterkami, które już nie mają szansy się obronić. Wiem, że inaczej się nie da, że to ja patrzę na ich życie, już się tego trochę nauczyłam – ale dla mnie cały czas jednak fundamentalne jest, żeby w tych kobietach pozostała chociaż odrobina tych kobiet.

Natalia: Przepiękna jest ta historia o Twoim tytule i dyskusji z Marzenką, „przecież ja jeszcze nie umarłam, ja żyję".

Agata: No faktycznie, przeżyła ponad rok. I była na promocji tej książki. Wyszło na jej [śmiech].

Natalia: Tak. Do mnie przemawia jeszcze coś innego, tzn. to, że słuchasz tego głosu. Nie zamykasz tej historii tak, jak Ty byś chciała, tylko oddajesz tę historię tej osobie. To jest dla mnie bardzo inspirujące, bo my w Krakowskim Szlaku Kobiet w przeważającej mierze nie zajmujemy się żyjącymi kobietami, tj. główna część naszej pracy to są historie już nieżyjących kobiet. To spotkanie z osobą opowiadającą własną historię siebie jako kobiety wydaje mi się czymś niezwykłym.

Agata: Tak, to prawda. Ja się z nią potem bardzo zaprzyjaźniłam. Bywałam u niej bardzo często. Dzięki Milanowiankom zyskałam jeszcze tę przyjaźń na koniec.

Natalia: Mówiłaś o tym trochę na samym początku: jakie narzędzia stosujecie w ramach pracy Milanowianek?

Agata: Pisałyśmy teksty, wydałyśmy książkę. Kolejna edycja działań też się rozpoczęła wokół książki. W mieście jest sporo różnych imprez, na których się staramy zaistnieć, np. festiwal Otwarte Ogrody, gdzie pojawiłyśmy się ze *Szlakami kobiet*, w których jest trasa po Milanówku. Ale też myślimy o tym, co zrobić, aby tę chęć współtworzenia książki razem z nami spożytkować.

Powywieszałyśmy na festiwalu wielkie plansze, na jednej była prośba o wpisanie, o kim jeszcze mamy napisać. Na innej pytanie o to, gdzie milanowianki robiły różne rzeczy: reperowały buty, chodziły do fryzjera, gdzie chodziły na randki. Z wpisywaniem było trudno. Panie przychodziły i wolały usiąść i opowiedzieć, w szczególności o swoich pierwszych randkach, na Glinkach nad wodą, koniecznie. Udało się nam sporo takich kontaktów, takich opowieści zebrać. Coś z tego pewnie będzie.

Cały czas coś się kręci wokół różnych szkolnych projektów. Raz w liceum dziewczyny zrobiły inspirowane Wami warsztaty poszukiwania genealogii kobiet i część dzieci to kupiła, a część powiedziała, że to są ich prywatne dane osobowe i nie będą w ogóle o niczym mówić [śmiech]. Zrobiły też spacer po cmentarzu śladami milanowianek. I dzięki temu część naszych nowych Milanowianek dołączyła, bo spacer był fajny i zachęcił do przyjścia na nowe spotkanie.

Bardzo chciałabym podnosić kwestię edukacji i łączenia pokoleń. Myślę o projektach wśród dziewczynek, które by się dowiadywały, gdzie albo jak ich babcie spędzały wolny czas, jak wyglądało ich życie w szkole. Na razie z Anką Lewenstam robimy koło herstoryczne u nas w szkole. Ponieważ Anka zajmuje się literaturą, najbardziej interesują ją teksty literackie, więc łączymy ten rodzaj tekstów z historią kobiet. Chcemy uczniom i uczennicom uświadomić, jak to było z edukacją dziewczyn w XIX wieku. I z takimi rzeczami, jak np. higiena, edukacja higieniczno-seksualna, co te dziewczyny wiedziały. Jak to było z prawami wyborczymi, jaki był naukowy obraz kobiety (histeryczna natura) – mam taką książkę o kobiecie z 1863 roku, napisaną oczywiście przez faceta, tym się też zajmiemy. Do tego mamy część historyczną, Anka szuka odpowiedników w literaturze. Wbrew pozorom, jest tego dość dużo. Sporo dziewczynek się zachęciło, ale namawiam też chłopców, żeby przyszli.

Natalia: Co byś chciała, żeby chłopcy i żeby dziewczyny z tego wyciągnęły?

Agata: Ta podmiotowość jest dla mnie kluczowa. Patrzenie na kobietę jako na człowieka, a nie człowieka-przy-człowieku [śmiech]. Chcę, żeby postrzegali kobietę jako osobną osobę, która musiała sobie radzić w takich, a nie innych warunkach. Chciałabym, żeby te dziewczyny jednak doceniły to, co teraz mają, żeby miały taką świadomość. Czasem prowadzę dyskusje z moim synem, który mówi, że chciałby się przenieść w te lata 20., 30. Ja mu za każdym razem mówię, że ja nie, absolutnie nie, że to mnie w ogóle nie bawi. I dyskutujemy o tym dlaczego. W związku z tym chciałabym, żeby te dziewczynki zdały sobie sprawę z tego, co teraz mają i na pewno – dzięki komu. Żeby

wiedziały, że to jest praca całych pokoleń, to, co one teraz uważają za normę.

Natalia: A marzenia? Masz takie marzenia dotyczące historii kobiet?

Agata: Chciałabym, żeby Milanowianki były bardziej koedukacyjne. To się trochę teraz udaje, bo faceci pomagają, np. w filmowaniu, są w to wciągani. Ale chciałabym, żeby powstały na przykład ich teksty o kobietach. Ale takie, żeby mi się podobały [śmiech]. To by nie musiały być teksty pisane w 100% tak, jak ja bym chciała, bo inne spojrzenie też coś wnosi. Ale interesowałyby mnie takie teksty dostrzegające różne aspekty życia kobiecego z punktu widzenia faceta – ale to życie w całości, a nie np. tylko przez pryzmat stosunków damsko-męskich. A to, co jest w sferze planów, a nie marzeń, to powołanie stowarzyszenia. Pracujemy nad tym.

Natalia: Miałyście w Milanowiankach jakieś dylematy w Waszej pracy?

Agata: Przyszedł do nas facet z gotowymi materiałami o swojej żonie. Żona już nie żyła, zginęła 10 lat wcześniej w wypadku samochodowym. Była osobą, która zaangażowała się w tworzenie pierwszej społecznej szkoły w Milanówku. To jest bogaty człowiek. Usiłując go lekko zbyć, powiedziałyśmy, że nie wiadomo, co z tego w ogóle będzie, bo nie mamy pieniędzy na książkę, więc na razie nie ma sensu, żeby tekst o jego żonie powstawał. Zaproponował nam ufundowanie wydania tej książki. Ale my już wiedziałyśmy – dobrze, że wszystkie miałyśmy tego świadomość – że to już by nie była nasza książka, że on mocno ingerowałby w nasze bohaterki, nie mówiąc nawet o wizerunku jego żony, który musiałby być zgodny z jego oczekiwaniami. Jednak propozycja sfinansowania nam książki była przez chwilę kusząca [śmiech].

Natalia: Jak myślisz o celu herstorii szerszym niż jedna społeczność, o efekcie działań dotyczących historii kobiet?

Agata: Myślę, że chodzi o zmianę patrzenia na historię. O odkrycie tego, co wcześniej było zupełnie niewidoczne. Jestem matką dwóch chłopców, więc to jest dosyć duże wyzwanie [śmiech]. Jeden jest naprawdę zaangażowany w historię i ma ogromną wiedzę historyczną, jest przy tym zbuntowanym lekko 16-latkiem, lubi ze mną dyskutować. Jest generalnie dosyć ładnie nastawiony do historii kobiet i do feminizmu, ale posługuje się takim oklepanym argumentem, którym się posługują wszyscy, to znaczy, że w przeszłości był tylko Leonardo da Vinci, że w kulturze i sztuce

mamy samych facetów. Kobiety nigdy niczego nie tworzyły. I nie jest w stanie zrozumieć, że to nie jest tak, że nie tworzyły, tylko że nie ma o nich mowy, że to gdzieś w historii umknęło.

Myślę, że po to się zajmujemy herstorią, żeby ten obraz, że kobiety nigdy niczego nie stworzyły, zmienić, po drugie, żeby pokazać, że może niektóre działania kobiet są tak samo ważne jak ta „Dama z łasiczką". To, że kobiety nie stworzyły „Damy z łasiczką" nie oznacza, że nie stworzyły niczego innego i że niczego ważnego nie dokonały. Chciałabym, żeby np. mój 16-letni wnuk miał już inne podejście do tego.

Natalia: Od dwóch lat działasz w Milanowiankach. Gdybyś miała się podzielić z osobą, która jeszcze nie prowadziła żadnego działania związanego z historią kobiet i nie wie, jak się za to zabrać, czego dotknąć, o czym pomyśleć – nie wie, jaki zrobić pierwszy krok albo dwa, to co byś jej poradziła?

Agata: Dla mnie ważne było to, że mam grupę. Bez względu na to, czy byłam, czy nie byłam w stanie się z kobietami w tej grupie dogadać, to sam fakt, że przychodziły na spotkania i że Agnieszka nas zebrała, to na starcie było ważne. Wydaje mi się w związku z tym, że trzeba zacząć od zebrania grupy, z którą można spróbować zadziałać, która się zbierze wokół jakiegoś pomysłu. Mimo mojego dystansu, to, że te panie przyszły, to mnie rozczuliło i było dla mnie ważne. Potem warto szukać sojuszników, którzy pomogą w dojściu do celu. Dobrze jest też, kiedy w grupie jest podział, kto się czym zajmuje.

Natalia: A w wybieraniu postaci, w szukaniu punktu zaczepienia?

Agata: Tutaj trzeba zadać pytanie, czy wszystkie postacie się nadają. My na razie dajemy sobie pełną dowolność, każda pisze o tym, o kim chce pisać. Wydaje mi się, że gdyby Agnieszka na początku narzuciła albo eliminowała postacie, to to by się rozpadło. Choć teraz coraz bardziej myślę, że może trzeba nieco wpływać na to, jakie to są bohaterki i jak się o nich pisze. Może niekoniecznie ostro, ale jednak ważne byłoby edukowanie autorek, jak w ogóle o kobietach pisać. Większość z tych pań to osoby otwarte na nowe, ale też warto to zrobić z szacunkiem dla ich światopoglądu, żeby nie spowodować niechęci i oporu. Zaczniemy od starszych pań w Milanowiankach i od tych młodziutkich dziewczyn u nas w gimnazjum. A potem to się może uda w coś dalej połączyć.

Rozmowa odbyła się 9 września 2015 r. w kawiarni przy ul. Wilczej w Warszawie.

opis inicjatywy

Milanowianki Projekt Milanowianki został zainicjowany w 2013 roku jako oddolna inicjatywa dla kobiet o kobietach z Milanówka. Dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2014 roku skromna inicjatywa rozrosła się do rozmiarów kilkunastoosobowej międzypokoleniowej grupy kobiet, publikacji książkowej *Milanowianki*, Milanowskiego Szlaku Kobiet i cyklu warsztatów edukacyjnych dla szkół prowadzonych przez uczestniczki projektu.

Celem projektu Milanowianki jest przywrócenie pamięci i wiedzy o kobietach mieszkających, tworzących i pracujących w Milanówku od zarania jego dziejów do czasów współczesnych. Inspiracją do powstania projektu były działania krakowskiej Fundacji Przestrzeń Kobiet w ramach projektu Krakowski Szlak Kobiet. Także przypomnienie postaci i dzieła milanowskiej fotografki – Felicji Witkowskiej, której życie i dorobek – na długie lata zapomniane – ożyły podczas Festiwalu Otwarte Ogrody 2013, dało dodatkowy impuls do uruchomienia projektu.

Kobiety skupione wokół Milanowianek to osoby, dla których Milanówek jest ważnym miejscem na mapie życia, pracy i twórczości. To kobiety, które wierzą, że oddolne działania i inicjatywy mają duży wpływ na kształtowanie charakteru i klimatu Milanówka. W 2016 roku powstało Stowarzyszenie Milanowianki. Strona internetowa projektu: www.milanowianki.pl.

fot. Maciej Orłowski

Małgorzata Kowalska – z wykształcenia mgr biologii, z powołania działaczka społeczna, z zamiłowania ogrodniczka. Adeptka zielarstwa i entuzjastka kobiecych historii. Prowadzi gospodarstwo ekologiczne „Zioła w Pełni".

MAŁGORZATA KOWALSKA

WIĘCEJ DZIAŁANIA, MNIEJ GADANIA

Z Małgorzatą Kowalską, twórczynią portalu Kobietynawsi.pl, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Z czym dla Ciebie wiąże się herstoria?

Małgorzata Kowalska: Dla mnie osobiście jest bardzo silnym wzmocnieniem, pewnym kontinuum i poczuciem zakorzenienia. Ciężko mi się odnaleźć w takiej historii ogólnie przyjętej, takiej, którą jesteśmy karmione w szkołach. Ważna jest dla mnie podmiotowość w mówieniu o kobietach, to, żeby nie były pokazywane przez pryzmat mężczyzn. Na przykład, w różnych wsiach, które znam i w których mieszkałam, jest często tak, że żona sołtysa nie ma imienia, tylko jest to sołtysowa. W herstorii chodzi o odzyskiwanie podmiotowości i z tego samego względu bardzo ważne było dla mnie podmiotowe traktowanie tych kobiet, z którymi się spotykaliśmy w ramach naszych działań. Oznaczało to też wysuwanie ich działań na pierwszy plan, choć one czasami kryły się, chowały za jakimiś mężczyznami w swoich wypowiedziach. Ważne jest też w tym dla mnie poczucie i potrzeba sprawiedliwości, chcę, żeby działania kobiet, ich aktywność, zwłaszcza w przeszłości, ujrzały światło dzienne. Żebym na każdym kroku, kiedy mówię, że jestem feministką bądź że zajmuję się herstorią, nie spotykała się z zarzutami, że przecież nie było żadnych wielkich kobiet, żadnych znanych malarek itd. Poza tym ważne jest dla mnie upowszechnianie herstorii, żeby pokazać tę inną perspektywę – że w wyniku patriarchatu kobiety zostały zepchnięte na margines, historia była pisana przez mężczyzn i pod ich kątem, z ich punktu widzenia.

Natalia: Skąd się wzięło Twoje zainteresowanie historią kobiet i Twoje działania?

Małgorzata: Od 17. roku życia byłam zaangażowana w ruch feministyczny. W pewnym momencie zaczęło mi doskwierać, że historia kobiet jest przemilczana, że na lekcjach historii nie była w ogóle poruszana, a jeżeli była, to tylko przez pryzmat mężczyzn. Kobiety występowały jako czyjeś żony, kochanki, ewentualnie zwracano uwagę na ich urodę i ten aspekt podkreślano. Odkrywanie tej historii, uzupełnianie tej mainstreamowej, było dla mnie osobiście bardzo ważne i wzmacniające. A ponieważ przeprowadziłam się na wieś, to zafascynowało mnie zjawisko

kół gospodyń wiejskich. One w przestrzeni miejskiej i generalnie w przestrzeni publicznej wciąż jeszcze kojarzą się z reliktem PRL-u, z czymś przaśnym, wręcz zacofanym. Przynajmniej wtedy, gdy zaczęłam zgłębiać ten temat, tak się kojarzyły, ale od czasu wejścia do Unii Europejskiej ten obraz mocno się zmienił. Zaczęłam zastanawiać się, jakie były początki kół gospodyń wiejskich, skąd one się w ogóle wzięły, kto, gdzie i kiedy założył pierwsze koło gospodyń. Tu natrafiłam na mur. Mimo że koła gospodyń przed 1989 rokiem istniały niemal w każdej wsi, to w ogóle nie mogłam znaleźć informacji na temat ich „koła-matki". Zaczęłam więc spotykać się z różnymi kobietami, które zajmowały się kołami gospodyń wiejskich z ramienia kółek rolniczych. Jednak one też jakoś nie mogły mi pomóc w tym zakresie. W końcu trafiłam na książkę *Z dziejów kobiety wiejskiej*[1], która była napisana w takim bardzo socjalistycznym duchu, jednak można też było tam znaleźć różne informacje historyczne na temat aktywności kobiet na wsi, działań ruchu ludowego i między innymi tam natrafiłam na skrót historii kół gospodyń wiejskich. W ten sposób, po nitce do kłębka, stwierdziłam, że bardzo fajnie byłoby przywracać historię kół gospodyń wiejskich i ją dokumentować – ponieważ dużo kół gospodyń wiejskich ani obecnie, ani w przeszłości nie archiwizowało swojej działalności. Bardzo dużo informacji było opartych na przykład tylko na przekazie ustnym, ewentualnie na jakichś zdjęciach z różnych imprez.

W 2008 roku w ramach Stowarzyszenia Wiejskiego „Zielona Przestrzeń" zaczęliśmy prowadzić portal internetowy kobietynawsi.pl, na którym zamieszczaliśmy artykuły archiwizujące działalność kół gospodyń wiejskich. Jeździliśmy do najaktywniejszych kół gospodyń, wyszukiwaliśmy je nieco „tendencyjnie" – chcieliśmy pokazać najlepsze praktyki, po to, żeby siła rażenia była duża, czyli żeby to było mega wzmacniające, inspirujące dla innych kobiet działających na wsi bądź jeszcze niedziałających. Dlatego to musiało być coś takiego naprawdę super i pokazującego zgraną wspólnotę kobiet, które efektownie działają.

Jeździliśmy do tych kół zaopatrzeni w dyktafon, w aparat fotograficzny i w skaner. Rozmawialiśmy z członkiniami koła, one zawsze przychodziły na spotkania z nami dosyć licznie, tak wspólnotowo i zbiorowo. Nigdy nie było tak, że przyszła tylko jedna liderka bądź przewodnicząca – zawsze przychodzą gromadnie, w 10–15 kobiet. I wszystkie zabierają głos [śmiech].

Pytaliśmy je przede wszystkim o historię, o to, co udało im się odtworzyć, co mają zachowane, w którym roku powstało koło, jak działało w przeszłości, co przekazały im ich matki itd. I o bieżącą działalność koła. Nagrywaliśmy krótkie filmiki wideo i w przypadku niektórych zamieszczaliśmy na stronie inter-

1 D. Wawrzykowska-Wierciochowa, *Z dziejów kobiety wiejskiej: szkice historyczne 1861–1945*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1961.

netowej pliki audio do odsłuchania – część kół zakłada zespoły ludowe, więc bardzo chętnie śpiewały piosenki, nagrywaliśmy też opowieści ludowe. Niektóre koła miały swoje kroniki, część z nich była bardzo dobrze zachowana; z tych kronik skanowaliśmy różne archiwalia. Najstarsze koło, z jakim się spotkaliśmy, to koło gospodyń wiejskich z Tucholi, które powstało w 1928 roku. To koło w zasadzie od tamtego czasu ma archiwa dotyczące swoich działań. Nie są one bardzo skrupulatne, ponieważ działania nie były archiwizowane na bieżąco – w 1985 roku obecna przewodnicząca, Zenobia Majka, bardzo starała się odtworzyć historię wstecz i w dużej mierze jej się to udało, poprzez rozmowy ze starszymi członkiniami koła. Zdobyła trochę zdjęć archiwalnych z lat 30. Te kroniki były super cenne i rozpalały moją wyobraźnię [śmiech]. Herstoria kół była też o tyle dla mnie ciekawa, że koła były bardzo mocno oparte na relacjach międzypokoleniowych. Odkryciem było dla mnie, że kobiety 80-letnie i nastolatki mogą znaleźć wspólny język, mieć podobne cele, że starsze kobiety w pewnych dziedzinach stają się takimi przewodniczkami. W mieście obracałam się i działałam jedynie w grupie rówieśniczek. Teraz to nadrabiam, mam przyjaciółki, które mogłyby być moimi matkami, a nawet babciami i kontakty z nimi są dla mnie bezcenne. Uwielbiam tę różnorodność doświadczeń, chociaż okazuje się, że wiele spraw jest ponadczasowych, uniwersalnych i to daje mi ogromne poczucie kobiecej więzi.

Natalia: Jaka historia się z tych spotkań, rozmów, kronik wyłoniła? Czy kiedy zaczęłaś wchodzić w tę historię wcześniej sobie nieznaną i nieznaną wielu działaczkom kół gospodyń wiejskich, to coś tam się odsłoniło dla Ciebie nowego?

Małgorzata: Okazało się przede wszystkim, że większość kół gospodyń wiejskich bardzo pobieżnie archiwizowała swoje działania i nie przykładała do tego zbyt dużej wagi. Przełom nastąpił, co zresztą podkreślały członkinie kół, po wejściu Polski do Unii Europejskiej, czyli wtedy, kiedy zrobiła się moda na lokalność, na dziedzictwo kulturowe, na wiejskość. Wtedy te kobiety zrozumiały, że to, co robiły przez lata one, ich matki i babki, ma wartość i warto to dokumentować. I od tego czasu wiele kół bardzo skrupulatnie archiwizuje swoje działania.

Drugą sprawą jest to, że większość kół nie była w stanie powiedzieć, kiedy powstała ich grupa. Panie podawały tylko jakąś orientacyjną datę. Często mówiły, że koło istnieje 50 lub 60 lat, ponieważ tak mówiły inne mieszkanki wsi, te najstarsze. Ale ciężko było dotrzeć do konkretnej daty, nawet tylko daty rocznej. Wydaje mi się, że ta niejasność jest związana z przekonaniem o niewielkim znaczeniu tej działalności. Te kobiety były też tak zapracowane, że nie było czasu, może chęci i właśnie poczucia

ważności, żeby prowadzić takie archiwa. Jeśli już, to liderki koła, przewodniczące najbardziej przykładały do tego wagę. I później, kiedy już zaczęto prowadzić kroniki, to właśnie one były najlepszym źródłem informacji. Okazywało się na przykład, że zbierały dla siebie różne wycinki z gazet dotyczące wydarzeń organizowanych przez koło, konkursów, w których brało udział. Część przewodniczących prowadziła takie małe archiwa domowe, które później stały się cennym materiałem do odtworzenia historii koła.

Natalia: Kiedy przyjeżdżaliście do tych kół, z tym aparatem, skanerem i dyktafonem, to jak panie reagowały? Jak wyglądały te spotkania?

Małgorzata: Po pierwsze, kiedy mówiliśmy, że też mieszkamy na wsi, to już nas odbierały jak swoich [śmiech]. I bardzo się cieszyły, że ktoś się kołem interesuje, z wielką chęcią opowiadały i po królewsku nas przyjmowały, przygotowywały regionalne potrawy, niektóre wręcz po prostu uczty. I bardzo chętnie opowiadały o sobie.

Natalia: Ktoś je kiedyś wcześniej o to pytał? O działalność, ich współpracę, doświadczenia?

Małgorzata: Z tych sygnałów, które dostawaliśmy, to wynika, że raczej nie. Nie w takim ogólnym ujęciu, bo ukazywały się w jakichś gazetach artykuły dotyczące kulinariów bądź krótkie notki na temat działań koła w jakimś konkretnym zakresie. Ale historii koła, jego początków nikt raczej nie był ciekawy. Byliśmy w tym zakresie pionierami.

Natalia: Kulinaria, przekazywanie tradycyjnych potraw – takie tematy bardzo bezpośrednio się kojarzą z kołami gospodyń wiejskich. A jakie są inne sfery działalności, do których dotarliście?

Małgorzata: Ja jednak nie mogę się oprzeć i trochę opowiem o tych potrawach. Na początku miałam z nimi problem. Myślałam sobie, że w związku z nimi kobiety znowu dają się wpuszczać w patriarchalny kanał, czyli krótko mówiąc: „baby do garów". I że to ani trochę nie jest emancypacyjne. Ale potem na to spojrzałam z innej perspektywy: stwierdziłam, że właśnie to jest super, że one zajmują się tymi kulinariami. Dzięki temu są znane, otrzymują za to nagrody i inne gratyfikacje, a przede wszystkim wielką satysfakcję. Członkinie kół, z którymi rozmawialiśmy, bardzo, bardzo chwaliły się właśnie tymi potrawami, które trafiały na przykład na ministerialną listę produktów tradycyj-

nych. W przypadku niektórych kół to się po prostu stało częścią ich działania, żeby jak najwięcej tych potraw wpisać – to dla nich było bardzo mobilizujące.

Nastąpiło przewartościowanie, czyli to, co kiedyś ograniczało się wyłącznie do sfery prywatnej, było „obowiązkiem kobiety", taką nudną, mozolną robotą codziennie do wykonania – obiad ugotować, zapewnić posiłki rodzinie – nagle stało się czymś, dzięki czemu one mogły zaistnieć. I one to bardzo cenią. Dzięki temu otwierają się też przed nimi nowe możliwości, np. koła są zapraszane na liczne jarmarki, festyny, na jakieś konferencje, żeby tam prezentowały swoje potrawy. Zasoby wiedzy i umiejętności kulinarnych z zacisza domowych kuchni w końcu wyszły na światło dzienne. Prywatne stało się publiczne, a może nawet polityczne – codzienna, darmowa krzątanina pokoleń wiejskich gospodyń zyskała należne im uznanie. To dla mnie prawdziwie rewolucyjny krok! I to w bardzo herstorycznym duchu.

Co do innych działań, to wiele kół skupia się na wspólnej zabawie i czerpie dużo energii z bycia razem, które jest dla nich bardzo cenne. Część kół zakłada zespoły ludowe. To są zespoły zupełnie amatorskie, często bez instruktora, bez żadnych instrumentów. Zakładane po prostu dla czystej radości śpiewania, dla podtrzymania ducha wspólnoty i tradycji, bo kiedyś na wsi niemal każde spotkanie w kobiecym gronie: darcie pierza, przędzenie, haftowanie było okazją do śpiewu. To jest kontynuacja przekazu przodkiń. Wiele piosenek panie znają od mamy albo od babki – herstoria mówiona w czystej postaci! Z tymi zespołami jeżdżą na przeglądy, konkursy; to taki czynnik integrujący. A część kół gospodyń wiejskich zakłada kabarety. Organizują różne festiwale kabaretowe, no i tutaj też bez nadęcia, tylko z nastawieniem na zabawę, integrację, na wspólne spędzanie czasu i czerpanie z tego radości.

Część kół nie ma jakiejś wielkiej misji, strasznie poważnej, istnieją po to, żeby kobiety miały się gdzie spotkać, żeby mogły ze sobą porozmawiać, jak często członkinie kół mówiły – „odpocząć od obowiązków domowych", odreagować różne stresujące sytuacje z domu bądź z pracy. To takie odpowiedniki miejskich kręgów kobiet. Część kół działa wyłącznie lokalnie, organizują imprezy związane tradycyjnie z wsią, robią wieńce dożynkowe, palmy wielkanocne, organizują też Dzień Dziecka, Dzień Matki, Dzień Babki, Dzień Dziadka. Takie imprezy, które cyklicznie się odbywają w wielu wsiach.

Bardzo dużo kół gospodyń, zwłaszcza te, z którymi się spotykaliśmy na Kurpiach, kultywuje tradycję ludową, konkretnie – sztukę ludową. Liderkami tych kół są kobiety, które faktycznie mogą pochwalić się dużymi osiągnięciami w tym zakresie. To prawdziwe profesjonalistki w swojej dziedzinie np. wycinance, rzeźbie, bibułkarstwie. To jest autentyczna sztuka ludowa, nie jakiś tam *découpage* i inne zapożyczenia. Bardzo często organizują różne

otwarte spotkania, chcąc przekazać te umiejętności – już ginące – młodszym osobom. Z tym bywa różnie, choć część kół jest bardzo międzypokoleniowa i super się im współpracuje. Ale zdarzało się też, że starsze kobiety narzekały, że ciężko im przyciągnąć młode osoby, bo one mają inne priorytety.

Natalia: Wspomniałaś, że kiedy kobiety z kół gospodyń wiejskich dowiadywały się, że Wy też mieszkacie na wsi, to się otwierały, były gotowe rozmawiać. Czy mieszkanie na wsi, Twoim zdaniem, jest ważnym elementem w tym kontakcie? Pomaga go uruchomić?

Małgorzata: Myślę, że to jest ważny element, który bardzo ułatwiał kontakt. Bardzo pomocne było także to, że później jedne koła polecały nas kolejnym. Taki marketing szeptany. Czasami zdarzało się tak, że koła same do nas dzwoniły, żeby się z nami spotkać [śmiech]. Albo podczas wizyty u jakiegoś koła, członkinie polecały nam inne koła z sąsiedztwa i mówiły, że tamte chętnie się spotkają, że bardzo aktywnie działają, że warto o nich napisać. Później to już przede wszystkim tak się odbywało. Ale na początku musieliśmy dzwonić do jakiegoś zupełnie nieznanego koła i umawiać się na spotkanie, zachęcić do tego spotkania. Bardzo pomocne były na tym pierwszym etapie ośrodki doradztwa rolniczego, chociaż, szczerze mówiąc, nie wszystkie. Jednak część była bardzo otwarta na współpracę. W tych ośrodkach są często osoby, przeważnie kobiety, które zajmują się kontaktami właśnie z kołami gospodyń wiejskich. A później to już szło trochę innymi kanałami, raczej przez polecenie albo nas, albo nam jakiegoś konkretnego koła.

Natalia: Mówiłaś o tym, że miałaś kłopot z tym, czy kulinaria, tradycje kuchenne są emancypacyjne, czy nie są i że doszłaś do tego, że mogą mieć takie działanie wzmacniające, empowermentujące, doceniające. Czy takie emancypacyjne wątki, postulaty pojawiają się wprost w działalności kół, z którymi się spotykałaś?

Małgorzata: Pojawiają się w ten sposób, że członkinie kół często podkreślają, że mają potrzebę spotkać się w kobiecym gronie, odpocząć od obowiązków domowych i że to dla nich taka odskocznia. Nie chcą całego swojego czasu poświęcać na przykład tylko na zajmowanie się domem bądź ewentualnie na zajmowanie się domem i pracą zawodową. Czują potrzebę rozwijania zainteresowań, bycia w grupie. Myślę, że to jest naprawdę emancypacyjne – stworzenie takiej kobiecej przestrzeni.

Często członkinie kół podkreślały, że stanowią dla siebie nawzajem taką grupę wsparcia. W przypadku niektórych kół słyszeliśmy na przykład o takich historiach, że członkinie kół w ja-

kimś sensie odkrywały talenty, zdolności u kobiet mieszkających u nich we wsi, tych, które nie wychodziły z domu, często miały despotycznego męża, który wręcz zakazywał im działać w przestrzeni publicznej. Kiedy członkinie koła natrafiały na taką kobietę, która na przykład pięknie szydełkowała bądź robiła świetne przetwory, to wtedy w ruch szła metoda małych kroczków. Najpierw same brały jej wyroby i pokazywały na różnych kiermaszach, aby w końcu zabrać i ją na jarmark, gdzie mogła je samodzielnie sprzedać. Przynosiła pieniądze do domu i mąż od razu patrzył łaskawszym okiem: baba przyniosła pieniądze, to znaczy, że niech ona tam, do koła, chodzi. Wydaje mi się, że to w przypadku wielu kół pomagało innym kobietom wyrwać się z domu. Z własnych obserwacji wiem, że na wsi różnie bywa i czasami mężowie nie pozwalają na przykład przychodzić na spotkania. Dlatego dla członkiń koła to było takie ważne, żeby dać wsparcie i zmobilizować kobiety, które może są mniej odważne i asertywne.

Natalia: Nie tylko na wsi są takie sytuacje, że kobiety nie czują, że mogą wyjść, że mogą same podjąć taką decyzję albo że im partnerzy zabraniają wychodzić na różne spotkania.

Małgorzata: W kole, które założyłam u nas we wsi, było tak, że jeden gość zabraniał swojej żonie przychodzić. Miałyśmy w kole zajęcia aktywizujące i rękodzielnicze. Kiedyś mnie zaczepił i powiedział, że nie wie, po co ja tutaj takie zajęcia robię, że lepiej cerowania bym nauczyła jego żonę, bo jego skarpety już leżą miesiąc i jeszcze nie zacerowała. I gotować też nie umie. Krótko mówiąc, zdębiałam. Ona się zbuntowała i zaczęła przychodzić na te zajęcia, raz w tygodniu po cztery godziny. A on te cztery godziny spędzał we wsi, pod płotem stał. Mówił, że jak jej nie ma w domu przez cztery godziny i ona nic nie robi, to on też będzie tu stał i nie będzie nic robił.

Natalia: To taki sposób wyrażania oporu na niezależność, na samodzielną decyzję kobiet.

Małgorzata: Tak. I część członkiń kół gospodyń wiejskich „odzyskiwała" takie kobiety. Miały też silne przekonanie, że kobiety mają dużo umiejętności, które nie są znane na szerszym forum; są praktykowane tylko w zaciszu domowym. Dla nich bardzo ważne jest, żeby je pokazać, żeby te kobiety dowartościować i wzmocnić. W wielu przypadkach to się udało, metodą małych kroków właśnie. To, co otwierało furtkę, co było argumentem dla mężczyzn, to te pieniądze, które kobiety zarabiały w ten sposób.

Natalia: Czy pieniądze przynoszone z jarmarków do domu oznaczały też budowanie w jakimś stopniu niezależności ekonomicznej tych kobiet?

Małgorzata: Ciężko powiedzieć, być może mąż od razu łapę wyciągał, bo to różnie bywa, ale myślę, że w pewnym sensie tak. Na pewno też w jakiejś mierze dla tych kobiet to było dowartościowujące, czasem to były pierwsze w życiu zarobione pieniądze. W ten sposób struktura władzy, tej ekonomicznej, trochę się przesuwała. Kobiety, które całe życie – jak to określają mężczyźni – „siedziały w domu", nagle wychodziły na zewnątrz, do przestrzeni publicznej i widziały, że to, co robią, jest cenne dla innych i że mogą to np. sprzedać.

Natalia: Powiedziałaś, że zbieraliście przekazywane między kobietami drogą ustną przyśpiewki, piosenki ludowe. Czy analizowaliście ich treść?

Małgorzata: Tylko je nagrywaliśmy, nie analizowaliśmy ich tekstów. Założyliśmy, że tradycyjny, ustny przekaz wiejski nie jest jakiś szczególnie emancypacyjny. Często w nim występują odniesienia do seksu i to niekoniecznie z perspektywy feministycznej. Potraktowaliśmy to więc po prostu jako przekaz etnograficzny.

Natalia: Uczestniczyłam kiedyś w warsztacie śpiewu białego – to trochę o tym, jak tradycja wiejska wchłania się w mieście, w powiązaniu ze sztuką i robieniem różnych rzeczy razem z innymi kobietami, społecznościowo. Warsztat prowadziła Kinga Karp, członkini łódzkiej grupy Miejskie Darcie Pierza. Śpiewałyśmy piosenki ludowe z różnych wsi, różnych regionów Polski i nie tylko. Kinga analizowała z nami przekazy piosenek, które na pierwszy rzut oka wydawały się bardzo przemocowe i dotyczyły związków, powinności kobiet, przeznaczenia, swoistego fatum, które wisi nad kobietami. Te teksty okazywały się w głębszej analizie opowieściami o tym, żeby walczyć o siebie albo stawiać granice, przynajmniej tak to zapamiętałam. Były takimi ostrzeżeniami starszych kobiet dla młodszych kobiet, co może się wydarzyć i na co warto uważać. Stąd moje pytanie o treści tych piosenek, które zebraliście. Czy te piosenki też są dostępne na Waszej stronie?

Małgorzata: Tak, przy kilku kołach, które mają również zespoły ludowe, takie piosenki są zamieszczone do odsłuchania.

Natalia: Jest też taki wątek, o który konkretnie Ciebie chcę zapytać, nie pytałam o to innych osób, z którymi rozmawiałam do tej pory. W kontekście pracy czy działań związanych z historią kobiet na wsi, myślałam o kalkach, kliszach, które mogą przeszkadzać zbierać taki materiał i traktować bohaterki tej pracy podmiotowo. O uprzedzeniach związanych z wsią, z wiejskością, fantazjach na temat tego, jak ludzie na wsi żyją i że żyją w jakiś fundamentalny sposób inaczej niż w mieście.

Być może tak jest, być może nie, ale: czy są takie przeszkody, które mogą utrudniać spotkanie i rzeczywiste dostanie się do tych historii oraz kontakt z bohaterkami tych historii?

Małgorzata: Dla mnie nie było takich przeszkód, ponieważ ja w ogóle bardzo lubię się spotykać z kobietami, zwłaszcza z kobietami z kół gospodyń. Świetnie mi się z nimi rozmawia i fajnie się z nimi czuję. Ale mam też takie poczucie, że w trakcie naszych z nimi spotkań z ich strony to była taka wersja na wynos. Oczywiście mówiły o tym, co jest fajne i dobre, natomiast nie mówiły o żadnych konfliktach wewnętrznych, a z doświadczenia mieszkania w kilku wsiach i angażowania się w różne inicjatywy lokalne wiem [śmiech], że te konflikty są. Z rozmów prywatnych, jakie przeprowadzam z różnymi lokalnymi działaczkami, wynika, że konflikty są wręcz stałym elementem działań społecznych na wsi. I to jest duży problem. W przypadku kół przekazywana jest wręcz taka cukierkowa wizja, jeśli chodzi o współpracę z różnymi osobami. Może w związku z tym czułam opór, ponieważ czasem aż nie chciało mi się w to wierzyć [śmiech]. Nie wiem, czy to jest jakiś relikt z PRL, ale tak to widzę na wsi, że każdemu oficjalnie chce się dogodzić, zwłaszcza tym u władzy. Zawsze chwalony jest sołtys, obojętnie jaki by był, zawsze jest chwalony wójt, burmistrz... Wiem, że to ma drugie dno i w prywatnych rozmowach te wypowiedzi mogą już być zupełnie inne [śmiech], jednak oficjalnie taka jest wersja – lukrowana – jeśli chodzi o współpracę. Może to też jest lęk, żeby kogoś tylko nie urazić, nie obrazić. To może wynikać z tego, że jest to mała społeczność, że są różne zależności, o wiele, wiele silniejsze niż w mieście.

Natalia: Teraz sobie przypominam różne nasze działania w Przestrzeni Kobiet, konkretnie te związane z sytuacją nieheteroseksualnych kobiet mieszkających na wsi[2] i to, jaką siłę ma społeczność, wspólnota, na różne sposoby. Z jednej strony daje oparcie, jako bardzo bliska grupa społeczna; to poczucie przynależności jest niezwykle istotne. A z drugiej strony, możesz przynależeć, ale często pod takim warunkiem, że się nie ujawniasz i nie żyjesz otwarcie jako lesbijka czy jako kobieta biseksualna. A jednocześnie te kobiety, z którymi rozmawiałyśmy, mówią o bardzo ważnym doświadczeniu wspólnoty i bycia razem, czego nie doświadczają w mieście. Ty się przeniosłaś na wieś i poszłaś tropem kół gospodyń wiejskich. Czy poza uzupełnieniem tej historii, coś jeszcze Ci przyświecało?

2 Por. *Niewidoczne (dla) społeczności. Sytuacja lesbijek i kobiet biseksualnych mieszkających na terenach wiejskich i w małych miastach w Polsce. Raport z badań*, pod red. J. Struzik, Fundacja Przestrzeń Kobiet, Kraków 2012; *Spoza centrum widać więcej. Przeciwdziałanie dyskryminacji krzyżowej ze względu na płeć, orientację seksualną i miejsce zamieszkania. Raport z badań*, pod red. J. Struzik, Fundacja Przestrzeń Kobiet, Kraków 2015.

Małgorzata: Nadrzędnym celem było odtworzenie tej historii, żeby służyła inspiracji, żeby służyła innym kobietom, wzmacniała. Strona kobietynawsi.pl ma być miejscem, do którego trafiają i takie kobiety, które są aktywne w kołach, i takie, które w nich nie działają. Tam mogą poczytać o różnych kołach, podpatrzeć, uczyć się na podstawie doświadczeń innych. To ma być inspiracja i sieć wymiany doświadczeń.

Natalia: Czy obserwujesz jakiś wpływ Twoich działań? Jakieś efekty?

Małgorzata: Jeśli chodzi o koła gospodyń wiejskich, to od wielu z nich dostawaliśmy informacje, że dzięki naszej witrynie, która opisuje już ponad 100 kół, dzięki temu, że one zaistniały w wirtualnej przestrzeni, na własnej podstronie, z własną wirtualną kroniką i aktualizowanymi przez nie same na bieżąco informacjami, z dużą liczbą odsłon – dzięki temu te koła nawiązały bardzo dużo kontaktów. Strona cieszy się dużym powodzeniem i gdy ktoś z jakiejś telewizji bądź radia czy gazety chce napisać, nagrać audycję na temat działalności kół gospodyń wiejskich, to właśnie na tę witrynę trafia. Bardzo dużo telefonów jest do nas z różnych telewizji, włączając Telewizję Trwam [śmiech]. Dużo kół mówiło, że ich działalność się bardzo rozwinęła i stały się bardziej medialne. A ponieważ na tej stronie jest też możliwość dopisania się samodzielnie, to około 30 kół wpisało się tam na takiej zasadzie i archiwizuje swoje działania. Takie wzmocnienie dla kół było naszym głównym celem. Chyba mniej ważnym założeniem było informowanie osób z miasta.

Natalia: A czy z miast jest jakiś odbiór, poza kontaktami z mediów? Czy indywidualne osoby, a może grupy kobiet, organizacje kobiece, feministyczne się kontaktują?

Małgorzata: Kontaktują się osoby, które są zainteresowane rękodziełem i chcą zlecić kołu wykonanie jakiejś pracy, na zamówienie. To się w efekcie przekłada na poprawę sytuacji ekonomicznej niektórych kół, zwłaszcza tych zajmujących się sztuką ludową. Podobnie jak np. zaproszenia z Ministerstwa Rolnictwa, żeby jedno z kół przygotowało na konferencję tzw. „stół" z potrawami regionalnymi, za wynagrodzeniem. To jest wymierna korzyść z kontaktu dla kół. Natomiast jeśli chodzi o kontakt organizacji kobiecych z miast, to ze mną się nikt nie kontaktował i nie wiem, czy taki kontakt w innych kołach jest. Już bardziej dzwonią kobiety ze wsi, chcąc się np. dowiedzieć, jak założyć koło, gdzie zdobywać środki.

Natalia: Spotykamy się ostatnio często w związku z rozwojem Sieci herstorycznej[3], wcześniej współpracowałyśmy przy okazji jednej z odsłon projektu, w ramach którego powstała część materiałów na stronę kobietynawsi.pl[4]. Działamy przede wszystkim w mieście, inne inicjatywy Sieci też działają przede wszystkim w miastach, większych i mniejszych, a Ty mieszkasz na wsi i realizujesz projekty herstoryczne związane z historią kół gospodyń wiejskich. Czy ta perspektywa miejska i wiejska na historię kobiet jakoś się ze sobą w Twoim odczuciu konfrontują? Widzisz jakieś kluczowe różnice?

Małgorzata: Widzę różnice. Na wsi, przede wszystkim w takich wsiach, które są bardzo daleko od miast, które są w pewnej izolacji – tam jest jednak inaczej niż w mieście. To dotyczy wielu poziomów. Jeżeli chodzi o metody herstoryczne stosowane w miastach, to w moim odczuciu są one dość elitarne, mówiłam o tym ostatnio na spotkaniu Sieci zresztą. Znaczy to, że są robione przez i przede wszystkim dla kobiet z wyższym wykształceniem, raczej uprzywilejowanych finansowo. Część tych projektów, które są robione w mieście i które są oczywiście cenne, ciężko byłoby przenieść w wiejskie realia. Mam na myśli zwłaszcza takie wsie, które są daleko od miast i są z nimi słabo skomunikowane lub w ogóle nieskomunikowane. Ta elitarność, często akademickość – to przede wszystkim ta różnica.

Natalia: Podasz jakiś przykład? Czemu tych działań nie da się przenieść na wieś w takiej formule, Twoim zdaniem?

Małgorzata: Na przykład teksty choćby w krakowskiej *Przewodniczce*[5] są pisane takim językiem, że na wsi, przynajmniej u mnie tutaj, nie wzbudziłyby zainteresowania. Zdaję sobie sprawę, że ktoś może mi zarzucić, że powielam stereotypy, ale uważam, że egzamin zdałaby raczej edukacja połączona z zabawą, na wesoło, jakiś np. piknik herstoryczny. Na bazie rękodzieła też można rewelacyjnie opowieści herstoryczne snuć. Więcej działania, mniej gadania po prostu.

3 Projekt „Historia kobiet narzędziem przeciwdziałania dyskryminacji" Fundacji Przestrzeń Kobiet, 2014–2016, finansowany ze środków Funduszy Europejskiego Obszaru Gospodarczego, a także projekt „Sieć inicjatyw na rzecz historii kobiet" Fundacji Przestrzeń Kobiet, 2015, finansowany ze środków Funduszu Inicjatyw Obywatelskich.

4 Projekt „Kobiety i rozwój" Fundacji Przestrzeń Kobiet, finansowany ze środków Mechanizmu Finansowego EOG i Norweskiego Mechanizmu Finansowego, realizowany w latach 2008–2009 w partnerstwie ze Stowarzyszeniem Wiejskim „Zielona Przestrzeń".

5 *Krakowski Szlak Kobiet. Przewodniczka po Krakowie emancypantek*, tomy I–V, pod red. E. Furgał, Fundacja Przestrzeń Kobiet, Kraków 2009–2013.

Poza tym mam takie poczucie, że osoby z wyższym wykształceniem mieszkające w dużym mieście mają inną perspektywę, inny wizerunek wsi niż osoby mieszkające na wsi. W dużych miastach ten wizerunek wsi jest trochę przekłamany. Dla mnie samej, osoby, która w różnych wsiach mieszkała, choć jednak nie tak po prostu na wsi, tylko w różnych grupach tworzonych przez ludzi z miasta, to był kubeł zimnej wody – takie wprowadzenie się tutaj do mnie na wieś.

Natalia: Dlaczego?

Małgorzata: Gdy mieszkasz w takiej małej społeczności, wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą, a nawet więcej – bo oprócz faktów dużo w tym rzeczy wyssanych z palca. Może to też tak w miastach jest, tylko bardziej się rozchodzi na dużej przestrzeni i nie dotyka cię tak bezpośrednio? A tutaj, gdy ktoś o tobie powie coś w poniedziałek wieczorem, to we wtorek skoro świt już o tym wiesz [śmiech].

Ale to też działa w drugą stronę: mam wrażenie, że gdy zapraszałam tutaj osoby z dużych miast, które są naprawdę profesjonalne i świetnie prowadzą warsztaty, to jednak te warsztaty były nieadekwatne do wiejskich realiów, nie odpowiadały na potrzeby tutejszych kobiet, były dla nich dziwne lub po prostu nudne.

Natalia: Myślę, że te różnice są istotne, ale też niekoniecznie muszą wynikać z tego, że to o wieś chodzi, o pochodzenie ze wsi. Są też przecież różnice pomiędzy poszczególnymi miastami, pomiędzy poszczególnymi grupami ludzi, klasami w miastach.

Małgorzata: Zgadza się, oczywiście klasowość i inne kryteria mają znaczenie, ale ja jednak myślę, że tu o wieś chodzi i ma to swoje korzenie w historii wsi, obciążeniu pańszczyzną itd.

Natalia: Czy masz jakiś pomysł na działania herstoryczne, które działaczki z miasta i działaczki ze wsi mogłyby robić wspólnie? Działania, które uwzględniałyby specyfikę wsi czy też różnych wsi, tak żeby funkcjonować poza stereotypowymi, wielkomiejskimi wyobrażeniami na temat wsi? Np. przez współpracę z grupami kobiecymi na wsi w kontekście historii kobiet? Myślę o jakichś możliwościach spotkania, współdziałania – poza oczywiście wzorowaniu się na tym, co Ty robisz po przeprowadzeniu się na wieś. Co można by było zrobić razem?

Małgorzata: Dla mnie super pomysłem by była taka objazdowa akademia historii kobiet, gdzie przedstawicielki różnych inicjatyw herstorycznych z miast jeździłyby do kół gospodyń wiejskich, które są zainteresowane tą tematyką. Przeprowadzałyby warsztaty herstoryczne i dzieliły się swoim doświadczeniem, opowiadały o tym, co zrobiły. Pewnie koła gospodyń wiejskich część rzeczy by odrzuciły, ale część po jakichś modyfikacjach mogłyby również u siebie zrealizować. Tak naprawdę te doświadczenia są do przeniesienia, tylko język opowiadania o nich musi być trochę inny. Ten, który jest, według mnie bardzo dystansuje.

Natalia: To mogłaby być taka wspólna praca, wypracowywanie różnych pomysłów, na przykład w odniesieniu do tego, co się herstorycznego wydarza w miastach. Ale też wyobrażam sobie, że to by mogła być bardzo edukacyjna sytuacja dla działaczek herstorycznych z dużych miast – bo choćby Ty sama opowiedziałaś, jak wygląda historia kobiet i praca z dziedzictwem kobiet na wsiach. To mogłoby być takie wielkie, obopólne doświadczenie.

Małgorzata: Mnie się marzy, żeby kobiety z miast i wsi mogły się spotkać w przyjaznej, życzliwej atmosferze; żeby po prostu mogły porozmawiać. O tym, jak kobiety na wsi widzą feminizm i odnoszą się do tego, co robią kobiety w mieście w tej dziedzinie. Bo dużo działań, które są realizowane w miastach, można by było jak najbardziej po jakiejś modyfikacji przenieść na wieś. Zwłaszcza ciekawa by była wymiana doświadczeń dotycząca archiwizowania własnych działań, działań grupy, na rzecz której się pracuje. I przyjrzenie się wzajemnym wyobrażeniom na swój temat. Bo na wsi też istnieje mnóstwo stereotypów na temat ludzi z miast.

Natalia: To marzenia. A plany?

Małgorzata: Inspirowana Przestrzenią Kobiet, ale też w związku z moimi własnymi potrzebami i przemyśleniami – chcę rozbudować w witrynie kobietynawsi.pl archiwum wiejskich działaczek, czyli dział Muzeum. Marzy mi się, żeby zorganizować objazdowe warsztaty herstoryczne, związane z prowadzeniem kronik. Jestem też nastawiona na herstorię mówioną: chcę zachęcać kobiety do opowiadania o sobie w kontekście aktywności społecznej oraz o nieżyjących już działaczkach. Chcę zachować pamięć o nich; ona w dużej mierze opiera się na przekazie ustnym. Często lokalne aktywistki, mimo rozlicznych zasług dla własnej społeczności, nie trafiają do żadnych opracowań i z czasem pamięć o nich całkowicie ginie. Dlatego chciałabym się skoncentrować nie tyle na tych wiejskich działaczkach, które już gdzieś są opisane, ale na tych, o których ani słowa nigdzie nie ma, ewentualnie w kronice koła są jakieś

wzmianki i to wszystko. Chciałabym też współczesne działaczki inspirować i zachęcać do szukania śladów po ich przodkiniach.

Natalia: Jak, Twoim zdaniem, można rozumieć sformułowanie „działaczka herstoryczna"?

Małgorzata: Zacznę od tego, że uwielbiam słowo „działaczka". Trochę trąci myszką, ale ma w sobie jednocześnie dumę, dużo dynamizmu i autonomii. Działaczka herstoryczna to dla mnie osoba, która kieruje się perspektywą feministyczną, zawsze podmiotowo traktuje kobiety, współdziała z kobietami, dobrze się z nimi czuje i przywraca historię kobiet.

Natalia: Jeśli na podstawie Twoich doświadczeń, przemyśleń miałabyś dać kilka wskazówek osobom, które chciałyby herstorycznie zadziałać i nie wiedzą, od czego zacząć, to co byś wskazała jako kluczowe?

Małgorzata: Przede wszystkim jasna wizja, co chce się zrobić. Otwartość na ludzi i zbudowanie sieci kontaktów. To jest bardzo przydatne. Korzystanie z literatury i z archiwów, nawiązanie kontaktów z lokalnymi pasjonatkami i pasjonatami historii, z regionalistami – takie osoby czasami mają niesamowite skarby w swoich domowych archiwach, chociażby o lokalnych działaczkach. Co jeszcze? Zaangażowanie w swoje działanie jak największej liczby kobiet, zwłaszcza starszych, ponieważ one często okazują się chodzącymi encyklopediami w zakresie lokalnej historii i mogą bardzo pomóc. Bardzo istotne jest też korzystanie z historii mówionej. Na wsi większość informacji funkcjonuje w przekazie ustnym, więc herstoria także. I warto czytać przypisy w książkach. W ten sposób natrafiłam na ślady wielu kobiet. Tekst główny był o mężczyznach, np. działających w ruchu ludowym, a o kobietach wzmianki drobnym druczkiem wyłącznie w przypisach. To też pokazuje, jak działa historia mainstreamowa, jak się rozkładają te proporcje [śmiech].

Natalia: Według Ciebie historia kobiet jest radykalnym narzędziem czy nie?

Małgorzata: To zależy, jak rozumieć ten radykalizm. Jeśli jako przewrót, w społecznym znaczeniu, to herstoria może być dla wielu osób radykalna. Ale dla mnie osobiście nie jest.

Rozmowa odbyła się 15 września 2015 roku za pośrednictwem komunikatora Skype.

Kobietynawsi.pl Od 2008 roku Stowarzyszenie Wiejskie „Zielona Przestrzeń" realizuje działania w zakresie badania i odzyskiwania historii kobiet wiejskich. Inspiracją do powstania portalu kobietynawsi.pl była chęć odczarowania Kół Gospodyń Wiejskich, które w świadomości społecznej często funkcjonują jako relikt PRL. Ich rodowód sięga jednak dużo dalej. W roku 1877 Filipina Płaskowicka założyła we wsi Janisławice pod Skierniewicami pierwszą tego typu grupę. Od kilku lat Koła Gospodyń Wiejskich przeżywają prawdziwy renesans. Tam, gdzie ich nie było, powstają nowe, te, których działalność wygasła, przywracane są do życia. W niektórych działa już czwarta generacja kobiet.

W witrynie Kobiety na wsi zaprezentowany jest dorobek oraz historia ponad stu Kół Gospodyń Wiejskich z całej Polski. Opisy wzbogacone są nagraniami audio oraz video. Użytkowniczki mają możliwość samodzielnego zaprezentowania swojej grupy lub inicjatywy i prowadzenia wirtualnej kroniki działań, z czego systematycznie korzysta kilkanaście grup. Dział „Portrety" to kolekcja dobrych praktyk. Przedstawia lokalne liderki, kobiety odważne, bezkompromisowe i pełne pomysłów. Tym, co je łączy, jest niemożność pozostawania bezczynnymi. Swoją aktywnością zarażają sąsiedztwo, a wraz z nimi rozwija się ich wieś. W „Muzeum" odtwarzamy i wydobywamy z niepamięci sylwetki lokalnych działaczek społecznych z XIX i XX wieku. Pamięć o nich ginie często wraz z tymi, którzy je znali, albo w trudno dostępnych archiwach rodzinnych, co sprawia, że świadomość dawnego dorobku kobiet na rzecz rozwoju społeczności jest bardzo niepełna. Naszym celem jest pokazanie, że aktywność kobiet na wsi ma swoją ciągłość. Adres portalu: http://www.kobietynawsi.pl/.

fot. archiwum prywatne

Sylwia Frankowska – koninianka, prezeska Fundacji „Pełnym Głosem", animatorka społeczna, trenerka. Pomysłodawczyni i realizatorka Konińskiego Szlaku Kobiet, przewodniczka po miejscach związanych ze znanymi i nieznanymi koniniankami.

SYLWIA FRANKOWSKA

DOŚWIETLANIE CIEMNIEJSZYCH MIEJSC

Z Sylwią Frankowską, twórczynią Konińskiego Szlaku Kobiet, rozmawia Ewa Furgał

Ewa Furgał: Jak to się stało, że zaczęłaś się zajmować historią kobiet?

Sylwia Frankowska: Pozazdrościłam Krakowowi. Pozazdrościłam Wam, że macie fajny Krakowski Szlak Kobiet, że to jest super inicjatywa i że ja też tak chcę. Kiedy powróciłam do Konina, zamarzyły mi się takie działania, które podglądałam u innych i Koniński Szlak Kobiet narodził się właśnie poprzez zapatrzenie w to, co Wy robiłyście dużo wcześniej. To było głównym motorem. Dla tego swojego działania udało mi się pozyskać koleżanki, znajome i stowarzyszenie, w którym wtedy na jakiś czas się zahaczyłam – Stowarzyszenie ONA. Współpracowałyśmy – czy raczej ja współpracowałam – z Domem Kultury Oskard, ta współpraca nas dopingowała i to był taki nasz wspólny pomysł na projekt. Usiadłyśmy kiedyś we trzy: z Justyną Kałużyńską i Moniką Kosińską, stwierdziłyśmy, że może napiszemy projekt, spróbujemy pozyskać pieniądze od marszałka, może uda nam się coś zrobić i to była po prostu taka pierwsza myśl – „Zróbmy coś dla kobiet!".

Ewa: Czy wiedziałaś wcześniej coś więcej na temat historii mieszkanek Konina?

Sylwia: Jest tu słynna pisarka związana z miastem, Zofia Urbanowska. Nie uczą o niej w szkole, ale trudno jej nie zauważyć: jest dworek Zofii Urbanowskiej, jest szkoła im. Zofii Urbanowskiej, jest jej pomnik przed tą szkołą i jest ulica jej imienia. Jest więc jakoś wpisana w tożsamość tego miasta, Urbanowska zawsze gdzieś się pojawia.

Ewa: Można powiedzieć, że to jest postać tu w Koninie doceniona?

Sylwia: Tak, jest doceniona, lubiana, bo to pisarka dla dzieci, więc nie sprawiała żadnych problemów, nie wzbudzała kontrowersji. Jej książki były bardzo cenione w dwudziestoleciu międzywojennym – ta literatura dziecięca była faktycznie czytana i wznawiana. Więc to jest taka „miła" postać. Osiadła w Koninie na stare lata, stąd starsi mieszkańcy też ją pamiętali – taką babcię, która przesiadywała w swoim ogródku przy dworku; wzbudza

same pozytywne skojarzenia. Jeżeli mówimy o jakichś słynnych postaciach związanych z Koninem, Zofia Urbanowska zawsze się pojawia na pierwszym miejscu, można ją znaleźć bez trudu w przewodnikach. I to jest jedyna taka osoba, tak się złożyło, że kobieta. Więcej pisarzy Konin nie wyprodukował. Natomiast do wszystkich innych kobiet trafiałam trochę przez przypadek, to już w ramach własnych poszukiwań.

Odkrywanie historii Konina to jest dla mnie w ogóle zupełnie nowa rzecz, chociaż urodziłam się w tym mieście i wychowałam, chodziłam tu do szkoły podstawowej i średniej. W Koninie większość mieszkańców to ludność napływowa; także moi rodzice tutaj przybyli, byłam pierwszym pokoleniem urodzonym w Koninie. W ogóle nie mam pamięci tego dawnego miasta, o tej historii nie byliśmy uczeni w szkole, nie mieliśmy takich przekazów, chociażby od nauczycieli, oni też nie opowiadali o tym mieście, bo również stąd nie pochodzili. Więc to była już moja zupełnie prywatna inicjatywa, żeby tę historię Konina odkryć, odkryć ją dla siebie. Dla mnie pierwszym takim niezwykłym doświadczeniem był moment, kiedy oglądałam stare widokówki i zobaczyłam, że w Koninie przed I wojną światową była cerkiew.

Ewa: Której już nie ma?

Sylwia: Oczywiście, jej już nie ma. Pojawiło mi się pytanie, skąd ta cerkiew w Koninie się wzięła, bo to, że była synagoga, było dla mnie oczywiste. Zresztą obok synagogi przechodziłam w drodze do szkoły. To mnie zainspirowało, żeby w ogóle szukać czegoś więcej: kto w Koninie mieszkał wcześniej, jakimi językami się tu posługiwano, jakie były świątynie, kto się czym zajmował itd. Ale to są już zupełnie moje prywatne poszukiwania.

Ewa: W przypadku historii kobiet związanych z Koninem to też był Twój osobisty projekt, czy też jakaś inna motywacja Ci przyświecała?

Sylwia: Motywacja jest zawsze ta sama. W którymś momencie zaczęłam się wkurzać, że po prostu tych kobiet nie ma, nie ma w przestrzeni, w której się poruszam, nie ma w nazwach ulic, nie ma miejsc z nimi związanych. Myślałam sobie, że to jest niemożliwe, żeby połowa ludności tak jakoś cudownie wyparowała. Zaczęło mi to przeszkadzać. Myślę, że całe życie miałam fokus na kobiety, więc w którymś momencie naturalną siłą rzeczy zaczęło się to przeradzać w projekty. Mój pierwszy projekt społeczny w Koninie poświęciłam kobietom i historii kobiet. Także dlatego, że to było dla mnie najłatwiejsze. Założenie tego projektu było takie, że będziemy chciały przywracać tożsamość koni-

niankom, pokazując przodkinie – kobiety, które mieszkały tutaj wcześniej, to, co robiły tutaj fajnego, w jaki sposób były tu aktywne, jak działały społecznie. Ale oczywiście też poprzez samo odkrywanie tych kobiet, bo nie było łatwo do nich trafić. Zaczęłam od tego, że pytałam wszystkich znajomych o znane koninianki i słyszałam: Zofia Urbanowska. I długo, długo nic. Potem Stefania Esse, bo jest kamienica Essowej, dlatego to jest jeszcze druga postać kobieca, która jest kojarzona i gdzieś się pojawiała. Pojawiały się tylko te dwie kobiety, a my wymyśliłyśmy sobie w projekcie, że będzie ich co najmniej dziesięć. I teraz – skąd wziąć jeszcze osiem kobiet?

Chodziłam do wszystkich znanych mi osób, czy to związanych z kulturą, czy historią tego miasta i dopytywałam o kobiety. Pierwszy krok był taki, że skierowano mnie do historyka, który zajmuje się regionem i on od razu wskazał kobiety na naszym szlaku, które związane są z historią dawniejszą niż historia XIX wieku. To są postaci Elżbiety Zemełkowej i Teofili Leszczyńskiej z XVI–XVII wieku. Bardzo mi się podobało takie spojrzenie w głąb historii Konina poprzez te kobiety. A potem to już od jednej kobiety trafiałam do następnej. I tak np. to, że na naszym szlaku jest dużo nauczycielek, jest związane z tym, że one wszystkie ze sobą w pewnym momencie pracowały. Chociaż wyszło tak, że spośród tego grona nauczycielek zapamiętana jest jedna, a cztery umknęły. Ale ostatecznie kobiet na Szlaku mamy dziewięć.

Miałyśmy jeszcze jedno założenie, które było dla mnie bardzo ważne. Trzymam się tego, że w tym dawnym Koninie były cztery świątynie: synagoga, kościół ewangelicki, cerkiew i kościół katolicki. Uznałam, że nasz szlak musi opowiadać o tych czterech grupach, które w Koninie żyły: o Żydówkach, Niemkach-ewangeliczkach, Polkach-katoliczkach i Rosjankach-prawosławnych. Nie znalazłam jednak żadnej Rosjanki. Wiem tylko, że Rosjanka prowadziła w Koninie pensję. Były dwie pensje: jedną prowadziła Janina Komornicka, a drugą jakaś kobieta, o której wiadomo było tyle, że była Rosjanką. Ta pensja prowadzona przez Rosjankę była traktowana jako taka pensja reżimowa, ponieważ tu był zabór rosyjski, więc ona się cieszyła bardzo złą opinią. Bardzo ta Rosjanka była nielubiana, miało to też związek z wojskiem rosyjskim, które stacjonowało w Koninie.

Ewa: Dlatego społeczność postanowiła jej nie zapamiętać?

Sylwia: Tak, zresztą to jest znamienne w Koninie – na tyle ta opresja rosyjska była tu odczuwana, że np. cerkiew została natychmiast zburzona, kiedy tylko Rosjanie się z Konina wynieśli. Była zbudowana faktycznie tylko dla urzędników carskich i dla wojska. Z powodu braku śladów po Rosjankach-prawosławnych, na naszym szlaku mamy trzy grupy: ewangeliczki, katoliczki

i żydówki. Na pewno mogłoby być tych postaci więcej. Taką nieodkrytą przeze mnie kartą są Żydówki konińskie i historie z nimi związane. Ale wiadomo: każda historia pociąga za sobą kolejne i można w to iść dalej i głębiej, jeśli miałoby się czas.

Ewa: Jak postanowiłyście popularyzować wiedzę o historii koninianek?

Sylwia: Przede wszystkim zrobiłyśmy wystawę, na której prezentowałyśmy nasze bohaterki. Składała się z dziewięciu roll-upów, które pokazywały skrótowe biogramy naszych postaci. Projekt graficzny nawiązywał do rzeki, którą one płynęły i która okala wszystkie te historie. One wszystkie w ścisłym porządku były prezentowane na tej wystawie. Pokazywałyśmy ją w różnych miejscach, np. w instytucjach kultury w Koninie, ale obwoziłyśmy ją także po wszystkich szkołach ponadgimnazjalnych w mieście – i to było jedno działanie. A drugie to – ponieważ powstał szlak kobiet, więc wiadomo, że szlak jest po to, by nim spacerować – organizowałyśmy wycieczki. Sporo z nich zrealizowałam w szkołach, głównie dla młodzieży gimnazjalnej.

Ewa: Pamiętam, że miałyście nawet wycieczkę w strojach z epoki?

Sylwia: To było jedno z naszych pierwszych działań, zorganizowane w ramach projektu Konin Miasto Kobiet[1]. Nasze koleżanki przebrały się za poszczególne postaci, za bohaterki naszego szlaku. To był marzec, trwała jeszcze ta najdłuższa zima, śnieg po pas, w długich sukniach z epoki chodziłyśmy po starówce... To miało też zachęcić do udziału w takim wydarzeniu. Cały czas ta wycieczka jest mile wspominana przez nasze uczestniczki.

Ewa: Z jakimi reakcjami się spotykałyście? Jak reagowała młodzież szkolna na historie o konińskich kobietach?

Sylwia: Reagowali fantastycznie. Najprzyjemniej jest oprowadzać dzieciaki ze szkół, gimnazjalistów, którym podobno nic się nie chce, a chodzą dwie i pół godziny i są w stanie skupić swoją uwagę na tym, co im pokazuję. To zainteresowanie wynika również z tego, że ta historia jest im w ogóle nieznana, nawet historia starej części miasta. W ogóle większość tych ludzi, których oprowadzam, pierwszy raz w życiu jest w starym Koninie – nie mają żadnego powodu, żeby tam jeździć. Dlatego dla nich to jest wycieczka jak do każdego innego nieznanego miasta. Reagują fantastycznie, bo to zawsze jest pokazanie historii w zu-

1 Coroczne wydarzenia poświęcone kobietom, które odbywają się w Koninie w marcu.

pełnie innym kontekście, poprzez zupełnie inne odniesienia. Rozczulają mnie zawsze reakcje dziewczyn. Dziewczyny w pewnym momencie stwierdzają: „dziewczyny zawsze są lepsze", „dziewczyny górą", wychodzą z takim przekonaniem, że „dziewczyny potrafią", więc myślę, że dla równowagi jakiś pierwiastek męski powinnam wprowadzić, bo też nie chodzi o to, żeby chłopcy gimnazjaliści czuli się gorzej po naszych spacerach. Ale cieszy mnie bardzo reakcja dziewczyn, innymi rzeczami na razie nie będę się przejmować. To jest bardzo wdzięczne działanie. Uważam, że te szlaki, wycieczki warto robić ze względu na młodych ludzi. Dla starszych to jest często związane z tym, że pewne rzeczy sobie przypominają albo mają swoje historie do opowiedzenia i to też jest bardzo fajne – gdybyśmy miały czas, żeby to wykorzystać, te historie, które się tam pojawiały.

Ewa: Czy władze lokalne jakoś się interesowały Waszym projektem, jakoś Was wspierają, chwalą się Waszą pracą?

Sylwia: Nie, absolutnie nie. My też nie naciskamy na miasto i same się też znacząco nie promujemy. Informacje o projekcie są zamieszczone, również na portalach miejskich, natomiast np. sama ani razu nie przeszłam się do Wydziału Promocji Miasta, żeby coś wspólnie zrobić w ramach Konińskiego Szlaku Kobiet, może postarać się o jakąś publikację? Dla mnie to cały czas jest kwestia otwarta – szlak jest opracowany, można go wykorzystywać, można go promować, dokładać nowe postaci, można na nim pracować dalej. Liczę, że jeszcze znajdę czas, żeby porozmawiać z Wydziałem Promocji, żeby chociażby wydać jakąś publikację związaną ze szlakiem, która będzie dostępna dla wszystkich. Próbowałyśmy w tym roku w budżecie obywatelskim przeforsować pomysł na ławeczkę multimedialną prezentującą Koniński Szlak Kobiet, ale niestety się nie udało.

Ewa: Czy z kimś jeszcze, poza Domem Kultury, współpracowałyście?

Sylwia: Pierwszą osobą, która nas naprowadziła na kobiety związane z Koninem, był lokalny historyk. To była też współpraca z biblioteką. W ten sposób odwołujemy się do zasobów, które są tutaj w mieście – na takiej zasadzie wygląda ta współpraca z instytucjami.

Ewa: Co jest najważniejsze dla Ciebie w tej pracy, tak osobiście?

Sylwia: To jest coś niesamowitego. Niesamowite jest to, że ta praca przyniosła mi ogromną dawkę osobistej satysfakcji, z tym się wiąże przyjemność i frajda odkrywania. To tak jakbym się

dokopała do jakiegoś skarbu, kiedy wyłania mi się postać, którą wcześniej znałam tylko z imienia i nazwiska, a nagle – wow – wiem, gdzie i kiedy się urodziła, wow – kiedy zmarła i gdzie jest pochowana, tu wyjechała, tam miała związki, to wszystko są wielkie odkrycia. Wbiło mnie w fotel, kiedy odkryłam, że Helena Semadeni też prowadziła pensję w Koninie, a Helena Semadeni to jest bohaterka wspomniana przez Dąbrowską w *Nocach i dniach* jako pani Wenorden. Kiedy coś takiego odkrywałam, to od razu łapałam za telefon i musiałam się z kimś podzielić, bo tak mnie rozsadzała wewnętrzna euforia, a po drugiej stronie zawsze był taki sceptyczny głos: *Ok, fajnie, ale co z tego?* Myślę, że to jest właśnie taka praca odkrywczyni – frajda z niej płynąca jest największa dla niej samej.

Dla mnie taką niesamowitą rzeczą jest to, że pozbierałam fakty z życia Janiny Komornickiej. Jej nie było w naszym pierwotnym projekcie, nie było też Heleny Semadeni i jej siostry Wandy. O nich napisałam dopiero do naszej wspólnej *Przewodniczki*[2]. I dopiero kiedy zaczęłam pracować nad postacią Janiny Komornickiej, przypomniało mi się, że przecież w moim liceum, do którego chodziłam cztery lata, wisiała tablica jej poświęcona. Codziennie ją mijałam, to jest tablica upamiętniająca dawnych nauczycieli i ona jest tam wymieniona. Dopiero kiedy zaczęłam drążyć jej biografię, okazało się, że to jest ta postać. A znałam tylko jej imię i nazwisko, żadnych faktów z jej życia. Dochodzenie do tego, co robiła w Koninie, jak długo prowadziła pensję, jak potem została powołana na stanowisko w Ministerstwie Oświaty w Warszawie, odkrywanie faktów z jej życia było czymś niesamowitym, szczególnie że nie miała rodziny i nie ma nikogo, kto przechowywałby pamięć o niej. To ma dla mnie szczególną wartość. Taka postać staje się mi bliska, skoro wiem, gdzie jest pochowana, wiem, co robiła, gdzie mieszkała, to ja już będę o niej pamiętać.

Ewa: Wiem, o czym mówisz, dla mnie taką postacią jest Marcelina Kulikowska. Też nie miała rodziny w Krakowie, nikt po niej nie został i mam takie poczucie, że trzeba tę pamięć przechowywać. A w kontekście definiowania historii kobiet, to czy dla Ciebie ważniejsze jest uzupełnianie luk w tej oficjalnej historii, czy takie zupełnie alternatywne spojrzenie, prowadzenie narracji równoległej do tej oficjalnej? Albo może jeszcze coś innego?

Sylwia: Właściwie to cały czas się nad tym zastanawiam. Nie wiem, do czego to przyłożyć, czy to jest uzupełnianie historii,

2 S. Frankowska, *Koniński Szlak Kobiet*, [w:] *Szlaki kobiet. Przewodniczka po Polsce emancypantek*, pod red. E. Furgał, Fundacja Przestrzeń Kobiet, Kraków 2015.

czy to jest alternatywna droga. Gdybym przyjęła taką metaforę, że historia to miasto, które ma oświetlone poszczególne przestrzenie, główne drogi, najbardziej reprezentacyjne miejsca, to historia kobiet dla mnie jest doświetlaniem tych innych, ciemniejszych miejsc. Dla mnie to oczywiste, że historia kobiet jest, że zawsze była i że to jest kwestia skierowania na nią światła. Czy to jest alternatywa, czy uzupełnienie? Myślę, że jedno i drugie. Na pewno jest to część tej ogólnej historii. Ale spojrzenie na nią następuje z zupełnie innej perspektywy, to jest moja osobista, prywatna, bliska perspektywa. Postrzegam też taką historię jako budowanie swojej własnej tożsamości. Nie da się przepracować takiego projektu, nie da się odkrywać historii kilku czy kilkunastu kobiet bez zadawania sobie pytań na temat swojej własnej tożsamości, utożsamiania się z jakimiś kobietami bardziej, z jakimiś kobietami mniej. Więc to też bardzo mnie buduje osobiście. Na pewno też ogromne znaczenie ma dla mnie przywracanie pamięci. Jeżeli pytasz mnie, czy ja to postrzegam przez oddawanie sprawiedliwości, to chyba tak, ten wątek też jest tutaj istotny. Uważam, że trzeba przywrócić głos nieobecnym. Skoro nieobecne są kobiety, to trzeba im zabranie głosu umożliwić. Ale to dotyczy wszystkich pomijanych grup w tej historii oficjalnej. Jeśli chodzi o grupy wyznaniowe, to mam świadomość, że pokazuję na Szlaku katoliczki i ewangeliczki, a zabrakło kobiet prawosławnych. Nawet kiedy patrzę na tę naszą historię kobiet, to mam poczucie, że nawet ta nasza perspektywa ciągle kogoś wyklucza... Skupiamy się na aktywnościach tych kobiet, natomiast moje podstawowe pytanie dotyczy tego, czy np. te kobiety, o których pisałam, by się w tym odnalazły? Czy podobnie by się postrzegały? Czy moja perspektywa byłaby im bliska? Czy np. dla Stefanii Esse wychowywanie dwóch synów nie było ważniejsze od całej tej działalności nauczycielskiej, społecznej? Nie wiem tego.

Ewa: W którym kierunku chciałabyś rozwijać ten projekt, z kim współpracować? Czy w ogóle dalej pracować w tym temacie?

Sylwia: Jest trochę pomysłów związanych z tym, co mogłybyśmy jeszcze zrobić w ramach Konińskiego Szlaku Kobiet. Nie wiem, ile z tych pomysłów uda nam się zrealizować, bo zawsze łatwiej jest wymyślać niż potem przekuć to w działanie. Natomiast dla mnie niewątpliwie najważniejszą ścieżką tych działań są działania edukacyjne. Bazowanie na Szlaku i przetwarzanie go w alternatywną wersję historii dla młodych ludzi to jest na pewno rzecz, którą chciałabym robić. Teraz piszemy kolejny projekt związany z historią konińskich Żydów i ta historia będzie w szkołach przedstawiana poprzez historię naszych bohaterek ze Szlaku, Leszczyńskich-Ejzen. Dla mnie to będzie wyzwanie, ponieważ w ramach tego projektu będziemy robić warsztaty dla młodych ludzi, bazujące

na opowieściach o naszych bohaterkach. Punktem wyjścia tych warsztatów ma być zagadnienie, jak w ogóle można pracować z historią, z bohaterami historycznymi na przykładzie jednostkowych biografii. Druga rzecz, o której myślę, to taka, którą na pewno się uda zrealizować. Czerwiec to jest miesiąc, w którym gimnazjaliści nie mają co robić w szkołach, więc wtedy będziemy ich zabierać na wycieczki. Ale pomyślałam sobie też, że atrakcyjniejsza dla młodych ludzi może być gra miejska, więc na bazie Konińskiego Szlaku Kobiet chciałabym i na pewno będę próbowała to zrealizować. Co dalej? Mnie bardzo nęcą nasze konińskie Żydówki i chciałabym rozszerzyć ten projekt o kolejne postaci.

Ewa: Jakie byłyby Twoje wskazówki dla osób, które chciałyby dopiero rozpocząć pracę nad historią kobiet, np. chciałyby się zabrać za odzyskiwanie, badanie historii kobiet w swojej lokalnej miejscowości? Co byś poleciła takiej osobie, od czego mogłaby zacząć?

Sylwia: To zależy, czy miałaby się uczyć na moich błędach, czy sukcesach.

Ewa: Jeśli to ma być sytuacja edukacyjna, to błędy też mogą się przydać.

Sylwia: Gdybym miała to robić jeszcze raz, to chyba nie zabrałabym się za szlak kobiet ze świadomością, że jestem taką totalną ignorantką, jeśli chodzi o przeszukiwanie archiwów, docieranie do informacji, wiedzy na temat tego, gdzie szukać, jak szukać itd. Zresztą pod tym względem nadal czuję się osobą niekompetentną.

Ewa: Dlatego że nie masz wykształcenia historycznego?

Sylwia: Nie, dlatego że w ogóle nie mam takiego zasobu. Uważam, że znajomość archiwów byłaby niezbędna do takich działań. Kiedy czytam różne opracowania, to mam wrażenie, że opowiadam jakieś niestworzone historie przez to, że nie przekopałam tych archiwów. Ale z drugiej strony, myślę sobie, że można obrać dwie drogi: można faktycznie siedzieć w tych archiwach, grzebać, szukać, a można po prostu chodzić i pytać inne osoby. Ja poszłam taką drogą. Tutaj ważna jest też kwestia, że informacji o wielu kobietach może zwyczajnie nie być w miejscach, gdzie oficjalnie archiwizuje się historię. Kobiety są często przechowywane tylko w czyjejś pamięci, to jeden z takich nurtów, z którego warto skorzystać. Dalej trzeba pytać, szukać. W dobrej sytuacji są miasta, które mają w ogóle swoją przeszłość. Historia w Koninie została w pewnym

momencie przerwana i teraz trafienie na rodowitych koninian jest tak samo trudne jak przeglądanie archiwów.

Ewa: Pewnie duża część pracy jest związana z kontekstem miejsca?

Sylwia: Tak. Myślę, że po prostu trzeba się rozglądać wokół siebie, bo te historie kobiet są poukrywane. Trzeba się nauczyć patrzeć na miasto od strony podwórek, zaglądać w miejsca nieoczywiste, przejść się po cmentarzu, zajrzeć do kościołów i zastanowić się, jak kobiety mogły w tej przestrzeni funkcjonować. Prędzej czy później znajdzie się taką nitkę, która nas dalej poprowadzi. W Koninie taką nitką była chociażby edukacja, bo większość kobiet aktywnych społecznie była związana z edukacją, z wychowaniem, to one zakładały pensje, były nauczycielkami, to też było coś, co w ogóle mogły robić jako kobiety w tamtym czasie.

Ewa: No i zostały ślady. Przypomniałaś sobie o tablicy w szkole.

Sylwia: Tak, no i przecież nauczycielki są najdłużej przechowywane w pamięci, bo wychowywały rzesze młodych ludzi i zawsze ktoś nauczycielkę będzie pamiętał, będzie wspominał. Trzeba też szukać w miejscach nieoczywistych. Nie wiem, czy świątynia jest nieoczywista, ale wracam do tego, że w Koninie były cztery świątynie, cztery wyznania, więc miałam takie założenie, żeby odszukać kobiety z czterech grup.

Ewa: Od tego zaczęłaś?

Sylwia: Tak, od tego zaczęłam, takie było założenie. Nie do końca się udało, ale było istotne.

Rozmowa odbyła się 24 września 2015 roku w kawiarni Siesta Caffe przy ul. Chopina 18 w Koninie.

opis inicjatywy

Koniński Szlak Kobiet powstał z potrzeby opowiedzenia równoległej do dziejów miasta historii jego mieszkanek. Chciałyśmy pokazać i przypomnieć sylwetki kobiet, które odegrały istotną rolę w rozwoju Konina i odcisnęły swój ślad na jego mapie – jako lokalne działaczki, twórczynie, fundatorki. Poprzez losy naszych bohaterek opowiadamy również historię kobiet, tę nieobecną na kartach podręczników, niewidoczną w szerokiej perspektywie dziejów państw i miast, ukrytą za życiorysami mężczyzn.

Podążając Konińskim Szlakiem Kobiet, odkrywamy tę inną – mniej znaną – historię miasta. Przypominamy o wielokulturowości przedwojennego Konina, miasteczka zamieszkiwanego przez Polki, Żydówki, Niemki, Rosjanki. Opowiadamy historie, które stały się literackim tworzywem. Zaglądamy do kamienic, świątyń, szkół, miejsc, gdzie toczyło się życie znanych i nieznanych koninianek.

W ramach projektu przygotowana została wystawa prezentująca sylwetki dziewięciu bohaterek Szlaku. Wystawa pokazywana była w instytucjach kulturalnych i szkołach ponadgimnazjalnych. Jednym z działań projektowych były również warsztaty twórczego pisania. Chciałyśmy w ten sposób zachęcić mieszkanki Konina do zwrócenia się w stronę rodzinnych historii i wspomnień, do spisywania losów swoich przodkiń i swoich własnych.

Projekt Koniński Szlak Kobiet realizowany był przez Stowarzyszenie ONA Otwarta – Nowoczesna – Aktywna od kwietnia do listopada 2013 roku. Współfinansowany z budżetu Województwa Wielkopolskiego.

fot. Tomasz Wiech, Agencja Gazeta

Hanka Lipowska-Teutsch – psycholożka kliniczna, członkini-założycielka i prezeska Towarzystwa Interwencji Kryzysowej, wykładowczyni z zakresu interwencji kryzysowej, problematyki uzależnień, przeciwdziałania przemocy i przestępstwom z nienawiści m.in. w Instytucie Psychologii Stosowanej UJ oraz Uniwersytetu SWPS. Od wielu lat tworzy, współtworzy i realizuje nowatorskie projekty dotyczące interwencji kryzysowej, wsparcia kierowanego do osób i grup narażonych na dyskryminację, przeciwdziałania przemocy ze względu na płeć i przeciwdziałania przestępstwom z nienawiści. Autorka m.in. książki *Wychować, wyleczyć, wyzwolić*, PARPA, Warszawa 1998.

HANKA LIPOWSKA-TEUTSCH

PAMIĘĆ WĘDRÓWKI, WĘDRÓWKA PAMIĘCI

Z Hanką Lipowską-Teutsch, prezeską Towarzystwa Interwencji Kryzysowej z Krakowa, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: W Towarzystwie Interwencji Kryzysowej zrealizowałaś kilka projektów związanych z historią kobiet.

Hanka Lipowska-Teutsch: Pierwszy taki projekt, który z historią kobiet w zasadzie nie powinien mieć nic wspólnego, wydarzył się w latach 90., jeszcze ze środków Programu Kobiecego Fundacji Batorego[1]. Nazywał się „To twoja ziemia". Jego celem była odpowiedź na pytanie, czy kobiety, zwłaszcza znajdujące się w trudnym położeniu, aplikują do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, czy otrzymują tam ziemię, jak to właściwie przebiega. Przy okazji tego projektu rozmaite się rzeczy wydarzyły, które pchnęły nas w kierunku historii kobiet – może o tym jeszcze potem opowiem. Drugi projekt, który z tym poprzednim był bezpośrednio związany, to „Kobiety wędrowne"[2], następnie „Porozmawiaj z nią"[3]. A ten, który ostatnio robiliśmy, nazywał się „Od rekomendacji do decyzji"[4] i wywodził się wprost z tych poprzednich, ale to już nie był projekt badający historię, tylko próbujący ją przekuć w czyn. Zatem zasadniczo dwa projekty, tylko albo aż, to „Kobiety wędrowne" i „Porozmawiaj z nią", miały charakter zbierania świadectw kobiet.

Natalia: Skąd się wzięły „Kobiety wędrowne"?

Hanka: Żeby to wyjaśnić, wrócę do projektu „To twoja ziemia". W jego ramach jeździłam po tzw. Ziemiach Odzyskanych i usiłowałam dowiedzieć się, czy kobiety starają się o uzyskanie ziemi z Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa. Wtedy to było bardzo łatwe, za grosze albo w ogóle za darmo, jakiś kredyt itd. A jeżeli się nie starają, to dlaczego. Odpowiedź brzmiała, że zasadniczo nie oraz że nie były wspierane wtedy, kiedy próbowały taką

1 Program Kobiecy, administrowany przez Fundację im. Stefana Batorego do 2002 r., następnie przekazany do realizacji Fundacji Ośrodek Informacji Środowisk Kobiecych OŚKa.
2 Projekt „Kobiety wędrowne", realizowany przez Towarzystwo Interwencji Kryzysowej od czerwca 2007 do marca 2008 w ramach Europejskiego Roku Równych Szans dla Wszystkich 2007.
3 Projekt „Porozmawiaj z nią" realizowany przez Towarzystwo Interwencji Kryzysowej od lipca do października 2008 ze środków Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej.
4 Projekt „Od rekomendacji do decyzji" realizowany przez Towarzystwo Interwencji Kryzysowej w 2011 roku ze środków Szwajcarskiego Grantu Blokowego.

ziemię pozyskać. Ale przy okazji pojawił się jeszcze inny wątek, przesiąknięcia Ziemi Odzyskanej pamięcią dotyczącą osób, które tam kiedyś mieszkały, Niemek albo kobiet, które poczytywano za Niemki. Część z nich zginęła w strasznych męczarniach, o części krążyły czarne legendy. I zostały po nich te wszystkie dzbanuszki, te wszystkie kredensy. Miejsce, w którym te kobiety żyły, to była ziemia przesiąknięta niewypowiedzianą, nienazwaną, straszną traumą. Tak wynikało z niektórych rozmów, podobnie jak to, że tam palone były czarownice. Polska, jak wiadomo, cieszyła się opinią kraju bez stosów, w odróżnieniu od Niemiec, gdzie tych stosów było trochę – a te tereny wcześniej należały do Niemiec. Trafiłam na informację, że gdzieś, chyba w Nowej Soli, Armia Czerwona zarekwirowała archiwum gestapo, które zbierało informację o masonach, Żydach, komunistach i czarownicach. I że ta część dotycząca czarownic leżała w archiwum w Poznaniu. Od Haliny Grzymała-Moszczyńskiej[5] dostałam pismo polecające, żebym mogła grzebać w tych aktach [śmiech] i tam czytałam o czarownicach. Wprawdzie po niemiecku, a ja niemieckiego raczej nie umiem, chociaż się uczyłam w średniej szkole. Ale umiem tyle, żeby zrozumieć, o co tam chodziło – i po prostu zupełnie mnie zniosło w bok, zupełnie. W centrum była nieodbyta żałoba dotycząca tych kobiet, które były poczytywane za Niemki i które tam zginęły. I ta cisza wówczas, cisza zupełna. Tym kobietom, co do których powstała hipoteza, że są czarownicami, straszne rzeczy się działy, np. w Nysie palono nimi w piecach. Miałam pomysł, żeby film nakręcić, *Nieodbyta żałoba*. Nawet się spotykałam ze znaną dokumentalistką, która aplikowała po środki na film, ale w końcu nie dostała na niego pieniędzy. To miała być wędrówka miejscami, w których te wszystkie zdarzenia się odbyły albo przynajmniej niektórymi z nich. Miałam też inny pomysł: że stan polskiego feminizmu, do którego mam dużo zastrzeżeń, w jakiś sposób się wiąże z tą nieodbytą żałobą. Że w nim jest potężne wyparcie, stłumienie, zaprzeczenie czy jakkolwiek by to nazwać – mechanizmy obronne, które odcinają, zacierają całą pamięć o tych zdarzeniach, które miały miejsce na terytorium naszego kraju. Moja wewnętrzna motywacja była taka, aby tę żałobę odbyć, żeby zmotywować do odbycia tej żałoby.

Wtedy przez OŚKę[6] puściłam taką prośbę, żeby skontaktowały się ze mną osoby, które coś wiedzą na temat gwałtów, które miały miejsce wtedy, kiedy Armia Czerwona kroczyła przez nasz kraj. Cztery osoby się zgłosiły, z dwiema miałam osobisty kontakt, rozmawiałam z nimi, ale jakoś to odpuściłam, bo wydawało

5 Halina Grzymała-Moszczyńska, członkini Towarzystwa Interwencji Kryzysowej, profesor psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie.
6 Fundacja Ośrodek Informacji Środowisk Kobiecych OŚKa, jedna z pierwszych organizacji feministycznych, działająca od 1996 roku, obecnie nieaktywna.

mi się, że cztery osoby to za mało. Przy tym bardziej mi chodziło o to, żeby się skoncentrować na Armii Czerwonej, a dwie wiadomości dostałam na temat Niemców, czyli gwałtów w okresie okupacji. Te dwie opowieści, które dotyczyły Armii Czerwonej, pamiętam i czasami się posługuję cytatami z nich albo wspominam je w czasie zajęć, które prowadzę. Ale nie spisałam tego, nic z tym nie zrobiłam. Generalnie chodziło mi o to, żeby te historie zostały usłyszane, ale spotkałam się ze sprzeciwem tych osób, które mi zaufały. One nie chciały ich nagłaśniać, uważały, że to jest niebezpieczne, bolesne, niepotrzebne, że będzie z tego więcej szkody niż pożytku.

Wedle tego, co usłyszałam, w tych miejscowościach, przez które szła Armia Czerwona, wtedy się o tym nie mówiło, a w każdym razie nie za bardzo się mówiło – że wszyscy zostali zgwałceni, którzy mogli być zgwałceni. Osoby pochodzenia niemieckiego zazwyczaj się stamtąd ewakuowały, a osoby, które czuły się np. Warmiaczkami, Mazurkami, Ślązaczkami zostawały, bo nie miały gdzie się ewakuować. Zostały tam i to, co im zrobiono, to była tajemnica poliszynela. Ale nikt o tym głośno nie mówił. Dzieci przyszły na świat i takie piętno na nich straszne, data urodzin: rocznik ‘45. Ludzie się od nich izolowali, wyśmiewali. Nic głośno, tylko po cichu, pokątnie. Dalej nie pociągnę tej opowieści, bo to mogłoby zdekonspirować tę osobę, która mi to opowiadała. Ona nie była z tego pokolenia ‘45, tylko była córką. Ale jej osobiste doświadczenie jest takie, że to przynosi miażdżące skutki dla wszystkich osób, które są jakoś w to włączone, wmieszane.

Projekt „Kobiety wędrowne” to już nie był projekt żałobny, nie żałoba była jego celem. Chodziło o próbę spotkania ze sobą kobiet, które razem pracowałyby nad koncepcją zmian społecznych. Te zmiany miałyby ograniczyć ryzyko traumatycznych wędrówek, w które kobiety są włączane bez żadnej możliwości podjęcia decyzji w sprawie okoliczności, które je zmuszają do wędrówki.

Natalia: Co to znaczy „traumatyczna wędrówka”?

Hanka: To jest taka wędrówka, której towarzyszy potężny uraz. Jest związana z wygnaniem, z deportacją, wypędzeniem, z ucieczką przed śmiercią itd. Wyruszasz w wędrówkę, ale nie dlatego, że ci się chce wędrować, ale dlatego, że ci się pali ziemia pod nogami i że uciekasz... To nie jest dążenie gdzieś, tylko ucieczka. Właśnie w tym kontekście miały być snute opowieści kobiet w „Kobietach wędrownych”. Chodziło o to, by sprawdzić, czy w ogóle jest taka opcja, żeby spotkać ze sobą Niemki, Polki, Żydówki, Łemkinie, Romki i zobaczyć, czy jest możliwe grupowe wytworzenie takiej opowieści, która wymyka się panującej narracji historycznej, gdzie cała opowieść opiera się na tym, „że

Niemcy, że Ukraińcy, że Polacy, że Żydzi" itd. Ta narracja opiera się na dystrybucji winy, odpowiedzialności, ataków, powodów, przyczyn, oni nam, my im, my jesteśmy niewinni, a oni... Czy jest taka opcja, żeby te osoby się spotkały, porozmawiały i wypracowały wspólny model? Ryzyk-fizyk.

Cały ten proces polegał na zbieraniu świadectw. W różny sposób docierałyśmy do tych pań, z którymi rozmawiałyśmy. Po kilka osób brało udział w słuchaniu ich opowieści, to była cała idea słuchania. I jeszcze pomysł był taki, żeby nie opracowywać tego, co usłyszane w żaden sposób, tylko żeby spisać z dyktafonu ze wszystkimi niedoskonałościami ustnej wypowiedzi, walnąć to tak, jak zostało powiedziane i koniec. Powstała z nich książka *Kobiety wędrowne*[7]. Doznania w kontakcie z ludźmi były niesamowite. Osoby słuchające były bardzo ważne: Beata Zadumińska, Agnieszka Szabla, Ewa Ryłko, która jest bardzo dobrą słuchaczką.

Natalia: Te rozmowy się odbywały w większym gronie?

Hanka: Tak, cała grupa szukała tych osób, a potem wspólnie z nimi rozmawiała. Ewa Ryłko ma olbrzymie zdolności nawiązywania kontaktów. Tak było, kiedy np. szukałyśmy świadectw dotyczących późnego odebrania Polsce kawałka ziemi z zasobami węgla kamiennego i wymiany na kawałek ziemi w Bieszczadach[8]. Tak późno po wojnie, tak poniewczasie [śmiech], a okazuje się, że tutaj musisz się gdzieś wynosić. Chciałyśmy na różne sposoby szukać tych pań, np. pojechałyśmy w tamte okolice w Bieszczadach, gdzie należało oczekiwać, że będą, ale przez te tropy, które miałyśmy, to się nam nie udało. Jednak na miejscu był festyn. Koło gospodyń wiejskich, wypieki, koronki, nalewki. Ja w takich sytuacjach nie jestem w stanie funkcjonować, a Ewa Ryłko natychmiast nawiązała kontakty, poumawiała spotkania, jak czarodziejka unosiła się nad tymi nalewkami, wypiekami domowymi. I jeździłyśmy po Polsce, żeby dotrzeć do tych osób, które godziły się rozmawiać. Ten zamysł, żeby się spotkały i wypracowały jakiś owoc, udał się. Chociaż Niemki – to znaczy osoby pochodzenia niemieckiego mieszkające w Polsce, bo to nie był projekt międzynarodowy – nie przyjechały. Nie przyjechały też ofiary rzezi wołyńskiej. Reszta przyjechała.

7 *Kobiety wędrowne*, pod red. A. Lipowskiej-Teutsch, H. Grzymała-Moszczyńskiej, Towarzystwo Interwencji Kryzysowej, Kraków 2008.
8 Chodzi o podpisaną 15.02.1951 r. między Polską a ZSRR umowę o zmianie granic, w wyniku której miejscowości Bełz, Uhnów, Krystynopol, Waręż i Chorobrów oraz tzw. Sokalszczyzna zostały wymienione na Ustrzyki Dolne oraz wsi Czarna, Lutowiska, Krościenko, Bandrów Narodowy, Bystre i Liskowate. Umowa objęła obszar 480 km^2. Mieszkańców Sokalszczyzny przesiedlono w Bieszczady w listopadzie 1951 roku w ramach tzw. Akcji H-T (jej nazwa pochodziła od pierwszych liter nazw wysiedlanych powiatów, tj. Hrubieszowa i Tomaszowa). Łącznie przesiedleniu poddano ok. 14 tys. osób, z czego na tzw. Ziemie Zachodnie – ok. 7 tys. osób.

Natalia: Kto był w tej reszcie?

Hanka: Żydówki, Ukrainki, Ślązaczki, Romki. Czeczenki przyjechały. Łemkinie i to ich duża reprezentacja, bo to były bardzo dobre kontakty. Zabrakło tej konfrontacji ukraińsko-wołyńskiej i żydowsko-niemieckiej. Padały deklaracje, że one, owszem, przyjadą, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Miałyśmy tam warsztaty, wypracowywałyśmy rekomendacje, one nie były jakoś odkrywcze, były generalnie związane z nauczaniem, edukacją. W książce nie znalazły się wywiady z uchodźczyniami z Czeczenii o historii, która je doprowadziła z Czeczenii do Polski – wywiadów było bardzo dużo, ale te historie były dla nich zbyt niebezpieczne. Detali, które pozwalały zidentyfikować osobę, było tyle, że każde ujawnienie tych szczegółów mogło spowodować represje dla rodziny, która została w Czeczenii.

Miałam też taką myśl, że być może taka praca w grupie z osobami z różnych narracji historycznych jest łatwiejsza z kobietami? Może dlatego, że ich podstawowe doświadczenie zostało wypchnięte z tej narracji, że ich tam nie ma? One nie miały nic wspólnego z tym, w jaki sposób zostały ustalone te bardzo ważne przyczyny, żeby mordować, wypędzać itp. One nie brały w tym udziału, nie miały takiej szansy, a jak już przyszło co do czego, to zostały same, często z jakimiś osobami zależnymi, matkami, starcami, dziećmi przy piersi. Odbyły taką wędrówkę, której skutkiem było jednak przetrwanie. Tam było sporo wspólnych motywów w ich doświadczeniu: wykluczenie z procesu podejmowania decyzji, z narracji, z możliwości przedstawienia swoich racji, własnych doświadczeń. Może dlatego to była okazja, by dotrzeć do takiej wspólnej konkluzji. Trochę głupio mi, że powiedziałam, że nic nadzwyczajnego nie było w tych wynikach. One były nadzwyczajne w takiej swojej uważności, w przeświadczeniu o tym, że ważne jest, by spróbować się dowiedzieć, co ludzie myślą i czego chcą, tak naprawdę. Żeby szukać tego głosu. Bo to oczywiście wszystko razem jest związane z ideą wydobywania głosu i przenoszenia go na taką płaszczyznę, na której możliwa jest zmiana.

Wyrazisty był też motyw żałoby, szczególnie w przeżywaniu kobiet z Czeczenii – tam problem niemożności pochowania bliskich jest nieustający. Nie dość, że brata, męża zamęczą, to jeszcze za zwłoki, które są potem przetrzymywane, trzeba zapłacić. To próba zniszczenia sposobu żałoby, rytuału śmierci, pochówku. Dla uczestniczek z Czeczenii to było ważne – pamięć o tych, którzy zginęli i nie wiadomo, co się z nimi stało. Wieczna pamięć. Był też wątek wiecznej pamięci u Łemkiń. Pojawiała się również kwestia polskich obozów koncentracyjnych, czyli obozów, które były prowadzone już po II wojnie światowej na terenach obozów, które były prowadzone w czasie II wojny. Czyli ten sam wątek, to

samo miejsce, te same albo bardzo zbliżone metody, ale adresowane do innych grup.

Natalia: Możesz powiedzieć coś o tym?

Hanka: Chodziło o obóz w Łambinowicach, gdzie trafiali przede wszystkim Ślązacy. I o obóz pracy w Jaworznie. Trafiali tam Łemkowie, Ukraińcy. Niezwykle łatwo było tam trafić. Kiedy wędrowali na Zachód, to byli poddawani kontrolom w pociągach, którymi jechali, szukano osób rzekomo powiązanych z Ukraińską Armią Powstańczą, byli wyciągani z tych pociągów, cierpieli. Z tym, że to nie pojawiało się jako osobiste wspomnienie; ujawniało się poza tą indywidualną historią, kiedy ktoś ginie, cierpi, znika – wtedy to się zamyka w pamięci niewielkiej grupy, rodziny. Ale w przypadku obozów... To fabryki śmierci, które z rozpędu mielą ludzi, mielą dalej.

Jeden z warsztatów odbywał się między 9 a 11 listopada, czyli między rocznicą Nocy Kryształowej – Międzynarodowym Dniem Walki z Faszyzmem i Antysemityzmem a Świętem Niepodległości. Poszłyśmy pod Pomnik Ofiar Faszyzmu w Krakowie, jeszcze nie stała tam galeria handlowa naprzeciwko tego pomnika, więc było ciemno, listopad, ten pomnik taki smutny, samochody jadą w dole. Przyniosłyśmy ze sobą znicze, zapaliłyśmy je i krzyczałyśmy w ciszę tamtej przestrzeni rozmaite hasła, m.in. „Przed jedenastym jest dziewiąty!". Chciałyśmy podkreślić, że niepodległość jest bardzo ściśle związana z obroną przed faszyzmem, antysemityzmem, rasizmem, nazizmem i wszystkimi „-izmami". I że trzeba pamiętać, że przed jedenastym listopada jest dziewiąty.

Te spotkania miały charakter bardzo intymny, nie były nagrywane i brak dyktafonu miał zbawienne skutki. Nie było wprowadzonej takiej normy *expressis verbis*, ale one opierały się na zaufaniu, że te rozmowy nie wyjdą poza tę grupę. Może stąd była w niej tendencja do mówienia o tym, co było uważane za temat niebezpieczny, tabu, coś, o czym po prostu nie należy mówić, bo nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć. W tej grupie były osoby, które miały bardzo osobiste, namacalne dowody na to, że to się może zemścić, że ktoś to usłyszy, zapamięta i nie wiadomo, co będzie za trzy lata.

W tych historiach bardzo istotnym doświadczeniem było naruszanie całej konstrukcji, rozerwanie całej siatki. To się wiąże z problemem traumatycznej wędrówki: uchodzisz z życiem, ale niekoniecznie z życiem całej rodziny, musisz się znaleźć w zupełnie nowym miejscu, przeczekać różne zmiany, o których nie wiesz do końca, skąd się biorą i co oznaczają. To, czego się dowiadujesz, to to, że wszystko się może zmienić w jednej chwili. Pyk! I scena się odwraca. Bardzo istotna jest ta nieprzewidywalność życia, bezsilność w obliczu decyzji, które są podejmo-

wane za twoimi plecami, bezsilność wobec instytucjonalnych machin, które zaczynają żyć własnym życiem, machin prześladowczych, obserwujących, notujących, zapisujących, pamiętających. To wspólne doświadczenie, które się ujawniło w „Kobietach wędrownych".

Natalia: A w kolejnym projekcie?

Hanka: To był projekt pt. „Porozmawiaj z nią", konkurs na rozmowę babci z wnuczką, wnuczki z babcią, córki z matką, ciotki z siostrzenicą itd., o traumie. W gruncie rzeczy projekt bardzo podobny do „Kobiet wędrownych", w nim także chodziło o zbieranie świadectw dotyczących dramatycznych, trudnych przeżyć związanych z okupacją i latami następującymi po okupacji. Wszystkie te historie, które udało nam się zgromadzić, znalazły się w książce *Pamięć wędrówki. Wędrówka pamięci*[9]. Projekt został zrealizowany i zakończony, ale chyba inaczej trzeba go było zrobić.

Natalia: Inaczej niż został zrobiony?

Hanka: Było w nim dużo trudności związanych z rozmawianiem, pisaniem. Były osoby, które deklarowały, że coś napiszą, potem się okazywało, że jednak nie. Powodów, dla których rozmowa ze swoją babcią, ciocią itd. na temat jej traumatycznych przeżyć jest traumatyczna dla wszystkich zainteresowanych, może być mnóstwo. Dlatego ten proces powinien być wsparty jakimś rodzajem coachingu [śmiech] dla osób, które się zgłaszały. Jeśli chcesz, to gadaj, jak ci dusza zadyktuje, ale jeśli masz jakieś z tym problemy, bo to jest z różnych powodów trudne, budzi jakieś demony, to niech będzie opcja porozmawiania o tym z kimś. Było kilka niebezpiecznych momentów, głównie samo wywoływanie tych wspomnień – osoby, którym wcześniej nie przychodziło do głowy, żeby ze swoją babcią czy mamą porozmawiać o traumatycznych przeżyciach, postanowiły w związku z konkursem porozmawiać. To jest dwuznaczna sytuacja: jest konkurs, bierzesz dyktafon, rozmawiasz, nagrywasz, spisujesz. I tego coachingu tutaj zabrakło. My nie chciałyśmy, żeby ten projekt był w takim duchu, jak często w szkole się zadaje zadanie „porozmawiaj się swoją babcią, dowiedz się", „porozmawiaj z mieszkańcami miejscowości Sejny" itp. Nie tego chciałyśmy, chciałyśmy trafić w bardziej zranione serce. To się faktycznie udało, może nawet za bardzo, bo to jednak było trudne dla tych osób, które robiły wywiady. Ostatecznie jednak nasza książka powstała, to jest dziwne połączenie

9 *Pamięć wędrówki. Wędrówka pamięci*, pod red. A. Lipowskiej-Teutsch, E. Ryłko, Towarzystwo Interwencji Kryzysowej, Kraków 2008, http://www.interwencja-kryzysowa.org.pl/dokumenty/Pamiec_wedrowki.pdf (dostęp 15.01.2016).

historii i opowieści, które zostały zebrane i artykułów pisanych w bardzo osobistym tonie. Przebojowym numerem w tej książce jest artykuł Krzysztofa Szwajcy[10], gdzie znany psychiatra, człowiek dorosły i rozsądny bardzo emocjonalnym tonem wrócił do swojej historii rodzinnej, bardzo trudnej i żałobnej. I tu powraca wątek: zrobiłaś konkurs, ale się nie zaopiekowałaś konkursantami. Dlatego myślę, że warto by roztoczyć opiekę nad ludźmi, którzy może chcieliby porozmawiać ze swoimi przodkami i przodkiniami, ale nie wiedzą jak, nie wiedzą, co z tego wyniknie, boją się zranić. To jest to słynne hasło o rozgrzebywaniu, rozdzieraniu ran. Te osoby nie chcą rozdzierać ran, nie wiedzą, co z tego wyjdzie. Babcia sobie siedzi spokojnie, co wiedziała, to już zapomniała, albo tak się nam wydaje, a tutaj wpadamy prosto głową do grobu. Dlatego sama idea tego konkursu była niebezpieczna. I on wymagał czegoś więcej [cisza]. Ten konkurs, ten projekt był realizowany pod hasłem komunikacji międzypokoleniowej, drugiego, trzeciego pokolenia. Że to jest coś, co nim należało osiągnąć – komunikację międzypokoleniową. To praktycznie niemożliwe.

Natalia: Dlaczego?

Hanka: To jest przepaść doświadczenia. Jest taki uzasadniony lęk przed docieraniem do tych wspomnień. Kiedy ci nasi drodzy bliscy krewni umrą, stawiamy sobie fotografie, pamiętniki, żałujemy: „dlaczego nie porozmawiałam, ach trzeba było porozmawiać, a teraz już za późno". Co innego, kiedy oni jeszcze żyją, ale relacja z nimi może być przecież bardzo ambiwalentna, złożona, nasączona np. krytycznymi uwagami tej babci czy cioci. I ta babcia czy ciocia wyłania się jako młoda kobieta, dziecko, dziewczynka... To przewartościowanie tej relacji, coś bardzo trudnego, puszczenie na głęboką wodę. To dobrze, że ten projekt się skończył, jak się skończył i że nie było strat w ludziach i sprzęcie. Chociaż tego do końca się nigdy nie dowiemy. To jest też kwestia, jeżeli idzie o różne smutne historie, realistycznego odtworzenia warunków bytowania, brudu. Tego że im towarzyszy nie jakiś metafizyczny czy moralny, czy jakikolwiek inny, tylko brud po prostu. Niemożność wysrania się, niemożność umycia się, niemożność wyprania, tłok, wszy i pluskwy. Całą tę traumę jest o tyle trudno skonstruować w takiej romantycznej wersji, że towarzyszem tych wszystkich historii jest ciało, o którym się nie mówi [cisza]. Zaczynam kaszleć, a to znaczy, że muszę zapalić.

10 K. Szwajca, *Tortura i nakaz pamięci. Drugie pokolenie Ocalonych z Holocaustu*, [w:] *Pamięć wędrówki. Wędrówka pamięci*, pod red. A. Lipowskiej-Teutsch, E. Ryłko, Towarzystwo Interwencji Kryzysowej, Kraków 2008.

Natalia: Mam jeszcze jedno pytanie do Ciebie: gdybyś miała poradzić coś innym inicjatywom, które chciałyby się tym tematem zająć, to o czym muszą pamiętać?

Hanka: [cisza] Dla mnie problemem jest to, że te kobiety, które opowiadają swoją historię, często się czują „niegodne historii", czują, że ich życie nie jest ważne. I tutaj są dwie przeszkody, raczej wewnętrzne. Z jednej strony, chodzi o deprecjonowanie życia kobiety, które nie zostało uwieńczone takimi punktami, że np. ktoś został ministrem – po prostu się żyło. Z drugiej – ograniczenia pojawiają się też, jeśli mowa o cielesności, walce o swoją przestrzeń, o godność; o kształtowaniu miejsca na oddech. I to są takie tematy, które wymagają wsparcia, przyzwolenia, uznania. Po to, żeby te kobiety nie uważały, że są nieważne, że ich historia jest nieważna, a w ogóle to nie wolno o tym mówić, z tego będzie dziadostwo wielkie, jak ja o tym będę opowiadać. Czyli chodziłoby o wiedzę o tym, że takie przeszkody się pojawiają, gdy ktoś z grupy pozbawionej głosu, dyskryminowanej, deprecjonowanej i poniżanej, spychanej gdzieś w głąb, chce zabrać głos, ale ten głos się nie pojawia w przestrzeni.

Inną przeszkodą jest protekcjonalność. Te „wydobywczynie" głosu kobiet nie są osobami, które – tak przynajmniej sądzę, opierając się na wyrywkowych spostrzeżeniach – borykały się z poczuciem niskiej wartości czy z poczuciem braku prawa do odzyskiwania dla siebie przestrzeni publicznej. Przeciwnie – to jest grupa aktywistek, które tak czy inaczej wydobywając ten głos, czynią to trochę z pozycji – jak się teraz to nazywa – kolonialnej.

Rozmowa odbyła się 14 października 2015 roku w biurze Fundacji Przestrzeń Kobiet przy ul. Słowiańskiej 3 w Krakowie.

fot. Asia Tarnowska

Ewa Kamińska-Bużałek – łodzianka z urodzenia i z wyboru, lokalna aktywistka, od ponad 10 lat związana z sektorem pozarządowym. W Ośrodku Działań Ekologicznych „Źródła" zajmuje się edukacją na rzecz zrównoważonego rozwoju. Po godzinach współtworzy Łódzki Szlak Kobiet; jest m.in. autorką projektu „Łodzianki, które żadnej pracy się nie bały".

EWA KAMIŃSKA-BUŻAŁEK

PO PIERWSZE, ZACIEKAWIĆ

Z Ewą Kamińską-Bużałek, współautorką Łódzkiego Szlaku Kobiet, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Opowiedz proszę, kiedy i z kim to się zaczęło. I co się właściwie zaczęło?

Ewa Kamińska-Bużałek: Kiedy? To jest trudne pytanie. Wydaje mi się, że zaczątki tej inicjatywy miały miejsce ponad pięć lat temu i to był zdecydowanie pomysł Izy Desperak, która inspirując się tym, co działo się gdzie indziej, między innymi w Warszawie – tam zaczęto mówić o powstankach warszawskich i Sylwia Chutnik[1] tam działała – i tym, że pojawiały się różne opracowania dotyczące historii kobiet, miała taki pomysł, żeby zacząć organizować spacery po Łodzi, popularyzować ich historię. Kontaktowała się z przewodniczkami i zebrała się grupa zainteresowana tą tematyką. W tej grupie była między innymi jedna lokalna przewodniczka po mieście oraz Inga Kuźma, która pracuje na łódzkiej etnologii. Ja też zostałam włączona do współpracy. Dokładnie niestety nie pamiętam, jak to przebiegało, bo trwało to dłuższy czas. Wciąż jesteśmy grupą nieformalną i nie było takiego jednego momentu, kiedy grupa ruszyła. To był pomysł, który długo się wykluwał, i grupa, która się formowała, a która teraz już działa coraz prężniej.

Natalia: Inicjatywa to Łódzki Szlak Kobiet. A grupa, która go realizuje?

Ewa: Grupa się nazywa Kobiety znad Łódki i tu panuje pewien bałagan. Nasz profil na Facebooku nazywa się Łódzki Szlak Kobiet, my tam czasami promujemy inicjatywy nie do końca związane z samym Szlakiem, czyli na przykład performatywne czytania prozy polskich pisarek organizowane przez część z nas. W grupie jest twardy trzon i są osoby, które uczestniczą tylko w części działań, kiedy akurat mają czas. Jest to grupa nieformalna, na razie nie mamy też potrzeby ani chęci, żeby się formalizować.

1 Zob. wywiad z Sylwią Chutnik na s. 61–77.

Natalia: Powiedziałaś o pierwszym pomyśle spacerów. Jak Wasze działania się rozwijały?

Ewa: Przyświecała nam idea, że Łódź jest nazywana miastem kobiet i te kobiety trzeba wreszcie docenić. To już jest banał, który za każdym razem powtarzamy, że to jest najbardziej sfeminizowane miasto w Polsce, ale niestety tego nie widać w przestrzeni miejskiej.
Z drugiej strony, mamy na przykład włókniarki, które w Łodzi wszystkich kręcą, ta tematyka jest bardzo nośna. Z Łodzią są też związane bardzo ciekawe bohaterki indywidualne – artystki, działaczki, literatki. Na początku zaczęłyśmy budować sobie bazę takich bohaterek, wokół których można organizować różne działania. Dużą rolę w tym odegrała nasza przewodniczka Ania Musiałowicz, która na własne potrzeby już wcześniej stworzyła taką bazę wybitnych postaci związanych z Łodzią. A potem bardziej wyspecjalizowała się w kobietach. Wiele materiałów o kobietach żydowskich dostarczyła także Iza Olejnik.

Zaczęłyśmy opracowywać Szlak Kobiet, żeby mieć pierwszy materiał, którym się można pochwalić. Zebrałyśmy pewną grupę bohaterek, miejsca z nimi związane naniosłyśmy na mapę i wytyczyłyśmy szlak, taki typowy, turystyczny. Trzymałyśmy się przy tym wytycznych czasowych i tych związanych ze sztuką przewodnicką, czyli jak iść, którędy iść, jak długo taka wycieczka może trwać, żeby nie zanudzić zwiedzających.

To było wewnętrzne działanie, które pozwoliło nam się zebrać, poznać, rozpocząć współpracę. Natomiast potem, kiedy już miałyśmy tę bazę, zaczęłyśmy organizować działania skierowane do ludzi na zewnątrz. To były spacery, które oczywiście przebiegały nie tylko tą naszą główną trasą, ale też odbiegały gdzieś w bok, bo bohaterek z czasem przybywało.

Organizowałyśmy także różne spotkania. Na początku robiłyśmy między innymi Zaduszki kobiece. W Łodzi dość popularna jest historia życia Katarzyny Kobro. Tak naprawdę bardziej jej historia życia niż jej twórczość. Grób Kobro znajduje się na cmentarzu prawosławnym na Dołach. To miejsce, które przyciąga wiele osób, ale równie wiele osób w ogóle nie wie, gdzie ten grób się znajduje. Więc zrobiłyśmy zwiedzanie [rozbawienie] cmentarza, to znaczy zabrałyśmy ludzi na spacer, żeby mieli szansę zobaczyć, gdzie znajduje się grób Katarzyny Kobro, ale też innych znanych łodzianek, które są pochowane w okolicy. Tam zapalałyśmy znicze, potem miałyśmy spotkanie w pobliskiej bibliotece z pokazem filmu, z miniwykładem.

Później, w zależności od tego, kto jaki miał pomysł, tak te działania się rozwijały. Był spacer szlakiem Michaliny Wisłockiej w dniu jej urodzin. Było spotkanie z działaczkami łódzkiej Solidarności. Już jakiś czas temu wyszła książka pt. *Dekret*

na czarownice[2], dotycząca kobiet łódzkiej opozycji demokratycznej. Ona jest białym krukiem, ja ją mam tylko dlatego, że dostałam ją w prezencie od kogoś, kto wiedział, że bardzo intensywnie jej poszukuję i nigdzie nie mogę znaleźć. Jej autorką jest pani, która była działaczką i za druk tej książki zapłaciła z odszkodowania za internowanie w stanie wojennym. Spotkanie na temat tej książki było bardzo ciekawe i przyszły na nie osoby, których wcześniej nigdy nie widziałyśmy na żadnych naszych wydarzeniach – opozycjonistki.

Jednak panie z opozycji demokratycznej raczej nie są włączane w nasz Szlak, to znaczy ich nazwiska – bardziej się skupiamy na osobach, które już nie żyją. Wyjątkiem jest Ewa Partum, która w pewnym momencie udzieliła nam pozwolenia na włączenie jej postaci do naszego Szlaku. Natomiast są też panie, które po prostu tego nie chcą, dlatego staramy się nie iść w tę stronę.

W ramach Łódzkiego Szlaku Kobiet organizowałyśmy też różne inne spotkania w wątku historii kobiet, np. bibliotekarek, literatek, które tworzyły w jidysz. To jest super ciekawy temat. Historia getta łódzkiego jest nośna i staje się coraz bardziej znana. Ludzie chętnie przychodzą na różne wydarzenia z tym związane. Ale wciąż jest wiele do odkrycia, wiele historii czeka na opowiedzenie, np. historie żydowskich literatek, które w getcie działały. Ich nazwiska nie są teraz w ogóle kojarzone. Coś zaczyna się dziać wokół Chawy Rosenfarb, która tworzyła w jidysz, ale jak na razie, wątek jest znany tylko osobom, które są mocno wkręcone w tę tematykę. Staramy się to zmienić. Prawdopodobnie będziemy organizować pokaz filmu dokumentalnego poświęconego właśnie Chawie.

Organizowałyśmy także, szerzej niż pod szyldem herstorii, czytanie performatywne prozy polskich pisarek. Tutaj duże zasługi ma Basia Manduk, która opracowuje scenariusze tych czytań. One mają zawsze feministyczne przesłanie, bo robimy to w okolicach 8 marca jako wydarzenie okołomanifowe. Do tej pory w związku z czytaniami odwiedziły nas Sylwia Chutnik, Joanna Bator, Olga Tokarczuk – udaje nam się zapraszać autorki, które są znane, cenione i to często w momencie, kiedy ich kariera nabiera rozpędu, tak jak było w przypadku Joanny Bator, świeżo upieczonej laureatki Nagrody Nike. Olga Tokarczuk znalazła dla nas czas w gorącym okresie po wydaniu *Ksiąg Jakubowych*. To budujące.

Czytanie performatywne polega na tym, że bierzemy fragmenty tekstów danej pisarki albo jedną książkę, tak jak było w przypadku Olgi Tokarczuk i *Ksiąg Jakubowych* i tworzymy z tego scenariusz, historię, którą potem czytamy na głosy. To tworzy spójną całość, mimo że jest oparte na fragmentach z różnych

2 Z. Gromiec, *Dekret na czarownice: czyli historia prawdziwa prozą i wierszem o łódzkich ekstremistkach, które nie poddały się WRON-ie*, Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2001.

książek albo z różnych fragmentów jednej książki. Potem się spotykamy, a ponieważ nie jesteśmy grupą aktorską i nie mamy takiego przygotowania, to staramy się ten tekst podzielić w taki sposób, żeby każda osoba dostała taką rolę, tego typu wypowiedź, w której dobrze zabrzmi. Spotykamy się na próbach – te przygotowania mają też wymiar integracyjny. Jako grupa nieformalna nie mamy takich momentów, kiedy musimy się zobaczyć, bo np. trzeba przygotować projekt, rozliczenie, siedzimy razem w biurze itp. Dlatego potrzebujemy spotkań na żywo, a czasem jest trudno się umówić. Kiedy już mamy wyznaczony termin wydarzenia i widzimy, w jakim tempie ta praca się posuwa, to te próby pozwalają nam częściej się widywać na żywo, spędzać czas w przyjemnej atmosferze i snuć plany na przyszłość. Jest to po prostu fajne.

Natalia: Brzmi to bardzo dobrze.

Ewa: Dużo osób potem uczestniczy w tych czytaniach. Udało nam się zaprosić parę razy znane autorki, więc pewnie ludzie nie przychodzą dla nas niestety [rozbawienie], tylko bardziej dla tej pisarki. Ale słyszałyśmy dużo pozytywnych komentarzy na temat naszej działalności w tym zakresie.

Natalia: Wracając do waszej działalności herstorycznej, chcę Cię zapytać o dobór bohaterek: są jakieś kryteria?

Ewa: Na razie przyświecała nam taka myśl, żeby ich jakoś specjalnie nie cenzurować. Ta pierwsza wersja Szlaku to było trochę „dla każdego coś miłego", czyli była i Stanisława Leszczyńska, która była katoliczką, a nawet w pewnym momencie rozpoczął się jej proces beatyfikacyjny. To z jednej strony, a z drugiej strony Michalina Wisłocka, która jest postacią z zupełnie innej bajki. Natomiast na pewno nie chciałybyśmy promować postaci, które można by uznać za szkodliwe w tym sensie, że nie miały nic wspólnego z emancypacją, tylko na przykład były jej zdecydowanie przeciwne. Mimo że czasami wprost nie mówimy o procesach emancypacyjnych, o dyskryminacji i tym podobnych kwestiach, to tak konstruujemy opowieść, żeby nasza publiczność była w stanie sama wydedukować, o co chodzi. Ten przekaz wynika z samej treści tego, co opowiadamy. I wydaje mi się, że jest zrozumiały.

Byłam zaskoczona, kiedy przy okazji wymiany doświadczeń z grupą Metropolitanka dowiedziałam się, że w Gdańsku samo mówienie o tym, że kobiety pracowały w Stoczni, to już jest kontrowersyjna sprawa i ta inicjatywa dziewczyn nie wszędzie była przyjmowana z wielkim entuzjazmem. Natomiast u nas, może to specyfika Łodzi, podobne treści nie wzbudzają wątpliwości, bo wszyscy wiedzą o włókniarkach. Perspektywy genderowej nie

trzeba u nas uzasadniać, bo powszechna jest wiedza, że Łódź po transformacji ustrojowej została potraktowana niefajnie właśnie dlatego, że tutaj pracowały kobiety. I raczej nikt się tu nie będzie kłócił z takim stwierdzeniem, tylko wszyscy przytakną. To funkcjonuje w zbiorowej, społecznej świadomości. I kiedy my o tym mówimy, to czasem mamy poczucie, że to jest zgrany motyw. Ale jest to jednocześnie temat, przy którym wszystkim zaczynają błyszczeć oczy i potwierdzają, że właśnie tak było. W pewien sposób mamy więc łatwiej, nie musimy się mierzyć z krytyką, z niechęcią do genderowych kwestii.

Natalia: Czy podjęłyście świadomą decyzję, że nie będziecie używać takich słów, jak „dyskryminacja", czy to raczej wydarzyło się w praktyce?

Ewa: Na początku, kiedy organizowałyśmy spacery, zastanawiałyśmy się, czy którąś z bohaterek wykluczać. Na przykład taką Leszczyńską, która była wykorzystywana w pewnym momencie przez ruch pro-life jako symbol działalności antyaborcyjnej. Stwierdziłyśmy jednak, że opowiemy o niej, nie cenzurując tego, co się z nią działo; chodziło nam o to, że to była po prostu ciekawa postać. Z czasem zauważyłyśmy, że te postaci związane z nurtem konserwatywnym, bardziej pomnikowe i mniej emancypacyjne rzadziej się pojawiają w naszej działalności. Na przykład takie „typowe" patriotki, które wsławiły się głównie tym, że działały na rzecz Polski, były ciekawymi postaciami, ale może niekoniecznie z punktu widzenia emancypacji kobiet.

Natalia: Czy jakieś jeszcze kryteria pojawiają się w Waszej pracy?

Ewa: Miałyśmy też rozmowę na temat działaczek komunistycznych, o których opowiadałyśmy na spacerach. Stwierdziłyśmy, że jeżeli komuś się to nie podoba, no to cóż, trudno. Nie widzimy sensu w autocenzurze i w tym, że miałybyśmy nie opowiadać o postaciach, które są nam bliskie tylko po to, żeby się „lepiej" zaprezentować, nie budzić kontrowersji czy nie prowokować awantur na spacerach.

Jeżeli nasze działania przedstawimy jako po prostu rzecz o fajnych łodziankach i nie wysuniemy od razu na pierwszy plan kwestii emancypacyjnych czy antydyskryminacyjnych, to uda się przyciągnąć więcej osób. Wtedy kolejnym etapem może być skupienie się na sprawach związanych z herstorią, z całym procesem, w wyniku którego te kobiety najczęściej pozostają nieznane. Pierwsza faza to budzenie zainteresowania ich biografiami, a druga to pytanie o to, dlaczego te biografie wcześniej nie były znane, mimo że okazuje się, że są takie ciekawe. Przy czym

wydaje mi się, że jest to bardziej nasza strategia intuicyjna, bo nie do końca przez nas została przegadana. Ale działa.

Natalia: Jaki jest cel Waszej pracy? Co te działania mają zmienić?

Ewa: Podstawowym celem jest przywrócenie pamięci w mieście, które powstało w dużej mierze dzięki kobietom. Celem bardziej ukrytym jest skłonienie do refleksji nad tym, dlaczego kobiet w historii brakuje, skąd się to wzięło, czy przypadkiem nie jest to sprawa wciąż aktualna – czy o współczesnych postaciach też łatwiej zapominamy i łatwiej je deprecjonujemy, dlatego że są kobietami? Czy bardziej cenimy pracę, działalność mężczyzn, a kobiety, które w Łodzi działają, np. w organizacjach pozarządowych, w radach osiedla, w różnych gremiach... Czy ich działalność z czasem też nie zostanie zapomniana, chociaż one również zasługują na uznanie? Stawiamy pytanie o to, jaka jest pozycja kobiet w społeczeństwie i chcemy skłaniać do tego, by tę pozycję zmieniać.

Natalia: Jak się sprawdzają metody, którymi pracujecie?

Ewa: Cały czas organizujemy spacery i one się sprawdzają. Wykłady czy spotkania wokół postaci sprawdzają się mniej w tym sensie, że taka forma przyciąga mniej osób. Same te wydarzenia natomiast są bardzo ciekawe i osoby, które przychodzą, wychodzą zwykle zadowolone.

Dzięki temu, że w ramach działań wokół rewitalizacji Łodzi pojawiła się szansa na minigrant dla grup nieformalnych, zrealizowałyśmy projekt dotyczący pracy zawodowej i domowej kobiet „Łodzianki, które żadnej pracy się nie bały". To już nie były pojedyncze spotkania. W lipcu i sierpniu 2015, czyli całkiem niedawno, spotykałyśmy się z seniorkami, które miały różne historie życia, duża część z nich pracowała w przemyśle włókienniczym. To były spotkania fokusowe, zadawałyśmy różne pytania dotyczące doświadczeń, ich pracy i to wiązałyśmy z przestrzenią miejską, z konkretnymi miejscami na planie Łodzi. Było to niewielkie działanie, ale na pewno chciałybyśmy je kontynuować, bo to bardzo się udało. Te panie też bardzo dobrze te spotkania przyjęły, choć miałyśmy taką obawę, że nie będzie chętnych. Robiłyśmy ten projekt we współpracy z Domem Pobytu Dziennego „Włókniarz". Obawiałyśmy się, że kiedy panie stamtąd się dowiedzą, że mogą uczestniczyć w tego typu spotkaniach, to stwierdzą, że w zasadzie nie mają nic ciekawego do powiedzenia. A jednak zgłosiła się grupka chętnych i to wyszło bardzo dobrze. Chcemy to teraz na bazie tych doświadczeń pociągnąć, zrobić wywiady

z konkretnymi paniami, które mają dużo ciekawych historii do opowiedzenia.

Podczas tych spotkań najpierw zadawałyśmy ogólne pytania dotyczące tego, jak wyglądało ich życie, gdzie pracowały, gdzie mieszkały, jak przebiegał ich typowy dzień. Później pytałyśmy na przykład o relacje między kobietami a mężczyznami w ich zakładach pracy, o podział obowiązków domowych. Dowiadywałyśmy się bardzo ciekawych rzeczy i mam wrażenie, że wiele z tych pań prezentowało świadomość wręcz feministyczną, czego się w sumie nie spodziewałyśmy.

Oczywiście w archiwach łódzkiej etnologii są materiały z badań nad życiem mieszkańców miasta, są to historie dotyczące pracy w Łodzi ogólnie i siłą rzeczy to jest właśnie praca kobiet. Ale nam nie chodziło tylko o to, żeby te historie zebrać, ale przede wszystkim o to, żeby tym paniom dać poczucie, że to, co robiły, jest ważne. I że ich historie są ciekawe, nawet te kwestie, które mogą im się wydawać banalne, mają dużą wartość już w tej chwili. Była to główna idea tego projektu.

Na bazie tych historii przeprowadziłyśmy spacer. Było on dość nietypowy, bo opowiadałyśmy np. o warunkach życia w Łodzi, od drewniaków, które jeszcze się zachowały na terenie Starego Polesia, w centrum Łodzi, przez kamienice, które przez dłuższy czas nie były skanalizowane, aż po życie w blokach. To były opowieści o pracach domowych i historie z zakładów włókienniczych i innego rodzaju zakładów pracy, bibliotek, szkół, ze szpitala położniczego. Spacer też bardzo się udał – był wtedy najgorszy upał tego lata, czyli ponad 40 stopni, a ludzie chodzili z nami po zabetonowanej szczelnie części Łodzi przez prawie trzy godziny i wszystkie osoby wytrwały, łącznie ze starszymi paniami. A teraz we współpracy z Muzeum Sztuki, które akurat organizuje wystawę „Wszyscy ludzie będą siostrami" z pracą kobiet jako motywem przewodnim, będziemy ten spacer powtarzać. Nieco inną trasą, ale wszystkie wątki z pierwszego spaceru zostaną poruszone.

Natalia: Jakie są według Ciebie podstawowe założenia w pracy herstorycznej, fundamentalne kwestie, bez których nie można z nią ruszyć?

Ewa: Nie wyobrażam sobie, żeby osoba, która się tym zajmuje, nie miała podstawowej świadomości feministycznej i traktowała Szlak tylko jako zbiór ciekawych historii, nie widząc tych podstawowych założeń, które są być może ukryte, ale jednak istnieją – przywracania pamięci o kobietach, sprawiedliwości dziejowej, symbolicznego rekompensowania krzywd, które spotkały osoby w związku z ich płcią. Nie wyobrażam sobie też, że na przykład w naszej grupie jest ktoś, kto miałby jakiś problem z tym, że pod

naszym szyldem, pod szyldem „Kobiety znad Łódki", organizujemy wydarzenia towarzyszące manifie czy też podpisujemy się jako współorganizatorki łódzkiej manify. Do tej naszej grupy zresztą nie zgłaszają się osoby, które miałyby z tym problem.

Natalia: Powiedziałaś o założeniach, które w te działania są wpisane. Może to dobry moment na pytanie o to, czym w Waszej inicjatywie jest herstoria, czym jest dla Ciebie osobiście?

Ewa: To jest najtrudniejsze pytanie ze wszystkich. Wymaga najwięcej refleksji. [zastanowienie] Herstoria to nie jest tylko dodawanie kobiet do głównego nurtu historii, na zasadzie dodawania marginesu: że jest główny nurt i oprócz niego, gdzieś tam pobocznym nurtem płynie sobie historia kobiet. To raczej próba wpisania wątków kobiecych, historii życia codziennego, ale też historii dokonań kobiet, które szybko ulegają zapomnieniu, w główny nurt właśnie. Przy czym my przyjęłyśmy takie założenie, że jednak zaczynamy od tych historii pobocznych, od przedstawienia wątków trochę w oderwaniu od różnych procesów historycznych. Na przykład: mówimy o biografii Katarzyny Kobro, ale na pierwszy plan wysuwa się jej indywidualny los, a procesy, które sprawiły, że ona jako kobieta i jej twórczość była przez długi czas zapomniana, znajdują się w tle tego opowiadania. Chcemy zaciekawić na początek, aby potem zadawać te głębsze pytania: dlaczego tak się stało, że kobiet w podręcznikach do historii jest tak niewiele, dlaczego uczymy historii w określony sposób. W szkole uczy się przede wszystkim o wydarzeniach typu bitwy, wojny, negocjacje rządów, królów i tym podobne, a mało się mówi o życiu codziennym. W związku z tym później słyszymy, że kobiety generalnie nie miały wielkich zasług, nie dostawały nagród Nobla ani nie wynalazły superpotrzebnych rzeczy, nie rządziły, nie uczestniczyły w bitwach i te ich nazwiska się nie pojawiają.

Program nauczania historii nieco się zmienił, w tej chwili można wybierać różne ścieżki i jedna z nich jest trochę bardziej feministyczna, tzn. dotycząca różnych przemian społecznych. Oczywiście ona nie jest obowiązkowa, w przeciwieństwie do ścieżki patriotycznej, dlatego to wciąż rzecz dla pasjonatów bardziej niż ten główny nurt. Na studiach pracowałam w projekcie badawczym dotyczącym kobiet w nauce, tych, które robiły doktorat z fizyki i potem zostawały na uczelni albo ją porzucały. Gdy były pytane o swoje inspiracje, wiele z nich mówiło o kobiecej inspiracji. Mówiły o Marii Skłodowskiej-Curie, że była dla nich autorytetem, wzorem. Celem, który u nas, w Łódzkim Szlaku Kobiet nie był przegadany czy wprost wypowiedziany, jest to, żeby pokazywać młodym dziewczynom, dziewczynkom, kobietom, że w przeszłości też są jakieś kobiece wzorce działań. Mam poczucie,

że to faktycznie działa, szczególnie po tym, co usłyszałam w wywiadach z tymi badanymi kobietami nauki, dla których na przykład Skłodowska-Curie była bardzo ważna, jej historia dodawała im otuchy, kiedy mierzyły się z dyskryminacją na uczelni czy wcześniej – w szkole.

Natalia: Czy miałyście jakieś dylematy związane z pracą herstoryczną?

Ewa: Zawsze pojawia się pytanie, czy mamy prawo sobie wybrać jakąś bohaterkę i dopowiadać jej wątki emancypacyjne. Co ona sama by powiedziała na taki sposób przedstawienia jej biografii?

Natalia: Jak sobie odpowiadacie na to pytanie?

Ewa: Naszą najbardziej problematyczną bohaterką jest Stanisława Leszczyńska, o której mówiłam wcześniej – w ramach Szlaku o niej opowiadamy. W przypadku pozostałych bohaterek wydaje się nam, że one nie miałyby nic przeciwko, to wynika z różnych ich wypowiedzi. Ale dyskutujemy o tym. Nie spotkałyśmy się jeszcze z przypadkiem osoby, z której historii by wynikało, że była przeciwniczką emancypacji, a my byśmy uznały jej losy za na tyle ciekawe, że miałybyśmy chęć mimo to potraktować ją jak emancypantkę. Dlatego ten dylemat jest raczej teoretyczny. Może jakoś podświadomie unikamy takich bohaterek? Może wybieramy sobie te łatwiejsze dla nas?

Osobiście miałam dylemat, jeśli chodzi o włókniarki, kiedy prowadziłam projekt dotyczący pracy kobiet. Obawiałam się, że zadając nasze pytania, specjalnie nakierujemy je na dyskryminację w pracy, relacje płciowe w domu, w pracy – i czy potem sobie do tego nie dodam własnej interpretacji. Że wyciągnę od nich te historie, których oczekuję. Tutaj jednak nastąpiło pozytywne zaskoczenie, bo panie powiedziały znacznie więcej, niż ja się spodziewałam. Nie miały problemu z opowiadaniem o relacjach płciowych, czyli o tym, jak to działało w zakładach włókienniczych, kto miał jakie stanowisko, jakie kobiety, jakie mężczyźni. Mówiły też o rzeczach najprostszych, o tym, jak funkcjonowały ich domy w momencie, kiedy chodziły do pracy na trzy zmiany, o podziale pracy z mężami. Opowiadały też o swoich dzieciach i to w ogóle był ciekawy wątek, wiele mówiący o tym, jak kobiety często funkcjonują. Na spotkaniach z seniorkami trzeba było być czujną z moderacją spotkania, bo panie bardzo odpływały w opowieści o swoich dzieciach i o ich dokonaniach zamiast mówić o sobie. Zaczynały się też trochę między sobą licytować, kiedy pytałyśmy o to, jak wyglądała opieka nad dziećmi, kiedy pracowały w PRL, w takim, a nie innym systemie pracy. One zaczynały opowiadać o opiece i ich opowieści rozciągały się też na późniejsze tych dzieci osiągnięcia [śmiech].

Wracając do dylematów: trochę się obawiałam, że ramy emancypacyjne i genderowe, w które będę próbowała wpisać historię seniorek, będą swego rodzaju nadużyciem; że wykorzystam ich historie do jakichś swoich celów. Jednak potem, już w trakcie realizacji tych spotkań wątpliwości się rozwiały. To był świetny projekt.

Natalia: Mówiłaś wcześniej, że projekt z seniorkami będzie kontynuowany. Czy coś jeszcze planujecie, o czymś marzycie w Łodzi?

Ewa: Chciałybyśmy mieć więcej czasu, ponieważ to jest działalność nieformalna, dlatego dla większości z nas na pierwszy plan wysuwa się jednak działalność zarobkowa czy po prostu codzienne obowiązki. Historia kobiet jest w związku z tym bardziej w sferze hobby. Jeśli chodzi o konkrety, to chciałybyśmy, żeby dzięki naszej działalności wątki kobiece stały się bardziej znane. To się już trochę dzieje, pojawiają się inicjatywy dotyczące na przykład powstania Placu Włókniarek Łódzkich. Formalnie to nie była nasza inicjatywa, ale widzimy tutaj jakąś nami inspirację, bo pojawiła się już jakiś czas po tym, jak zaczęłyśmy działać i mówić o potrzebie docenienia łódzkich kobiet. To jest propozycja Marii Nowakowskiej, aktywistki, która obserwowała naszą działalność i potem sama wyszła z tym pomysłem. Ona miała konkretny pomysł na to miejsce, ale to niestety nie wypaliło, mimo że poświęciła temu sporo czasu i starała się bardzo. A teraz sprawa jest otwarta, trwają poszukiwania odpowiedniej lokalizacji.

Te rzeczy, o których mówimy, gdzieś już się przewijają i pojawiają. Widzimy też, że czasami język, którym się posługujemy albo te historie, które opowiadamy, są podchwytywane i zaczynają żyć własnym życiem. Ostatnio widziałam, że urząd miasta wyprodukował grę edukacyjną dla łódzkich uczniów i uczennic. Gra dotyczy spraw ważnych dla Łodzi, miejsc i postaci z tym miastem związanych. Okazuje się, że tam pojawia się na przykład Irena Tuwim, o której jeszcze parę lat temu nikt tu nie mówił. Przy okazji Roku Tuwimowskiego dwa lata temu roku zorganizowałyśmy kilka małych wydarzeń jej poświęconych i widać, że to zadziałało. Wśród kart w grze była też Michalina Wisłocka i, zdaje się, Katarzyna Kobro. To są nasze główne postaci na Szlaku i mimo że nikt się z nami z urzędu nie kontaktował, to jestem przekonana, że oni się zainspirowali naszymi działaniami. Właśnie na tym nam zależy.

Jednocześnie, nie chodzi o to, żeby nam oddawano jakieś zasługi, ale żeby po prostu te wątki, które są dla nas ważne, zaczynały w Łodzi funkcjonować. Sformułowanie, że „Łódź jest miastem kobiet" też się pojawia coraz częściej, w kontekście rozmów o bezrobociu, o włókniarkach, rozwoju miasta, przemyśle i podobnych kwestiach.

Jeśli chodzi o konkretne rzeczy, to marzy się nam m.in. mural poświęcony włókniarkom. Myślałyśmy też ewentualnie o grze miejskiej. Organizowałam taką wakacyjną grę miejską u siebie w pracy, taką, która trwała dwa miesiące. To wymaga naprawdę sporo pracy i większych nakładów finansowych, trudno by to było zrobić bezkosztowo.

Moim bardziej osobistym marzeniem czy raczej planem, który może kiedyś uda się zrealizować, a który pojawił się po tym, jak spotkałam się z dziewczynami z Sieci herstorycznej w listopadzie 2014, jest projekt skierowany do szkół. To też inspiracja z mojej działalności zawodowej – pracuję w organizacji, która się zajmuje edukacją i ma dość prosty, dobrze działający model docierania do szkół. Ten projekt zawierałby stworzenie scenariusza zajęć, spotkania z nauczycielami, zajęcia dla młodzieży... Organizacyjnie to nie jest nawet strasznie trudne, ale wymaga już środków finansowych i większej grupy ludzi, którzy mogliby się w to angażować w godzinach pracy szkoły. Czyli rekrutacja, przeszkolenie trenerów, co niekonieczne może być proste, bo nie wiemy, ile osób ma taką świadomość, która pozwala na pracę z herstorią. Potrzeba też sporo czasu. Ale to może kiedyś.

Natalia: Czy działalność Kobiet znad Łódki w kontekście herstorii i Łódzkiego Szlaku Kobiet coś w Tobie zmieniła?

Ewa: Hmm, nie wiem, bo skończyłam studia genderowe, które już wcześniej mocno poprzestawiały mi w głowie [śmiech]. I to jest kontynuacja po prostu.

Przychodzi mi do głowy, że to dzięki Szlakowi dowiedziałam się, że mamy w Łodzi wielu pasjonatów miasta, którzy o kobietach też mają dużo do opowiedzenia. Oni się czasami zjawiają na naszych spotkaniach i podsuwają nam różne pomysły. Tylko nikt wcześniej tego nie zebrał, nikt nie widział w tym punktu zaczepienia, żeby coś nowego na tym zbudować. Wydaje mi się, że to jest właśnie wartość naszej inicjatywy.

Natalia: Twoje wskazówki, praktyczne porady dla początkujących, herstorycznych aktywistek – od czego zacząć, co jest ważne, co najpierw?

Ewa: Wydaje mi się, że ważną rzeczą są różne rzeczy, których my nie zrobiłyśmy, czyli np. postawienie sobie pytania o kryteria. Nam się udało nie narobić sobie kłopotów, nie wejść w jakieś kontrowersyjne, konfliktowe sytuacje przy doborze bohaterek, ale wyobrażam sobie, że o to może być łatwo. Warto też zadać sobie pytanie o cel i być może temu jakoś podporządkować swoje działania. My zadziałyśmy od drugiej strony, tj. najpierw się rzuciłyśmy, bo nam się to wszystko wydawało strasznie ciekawe, a cel się rodził w trakcie.

Być może warto od razu przyjąć takie założenie, że chcemy np. nie tylko opowiadać ciekawą historię, ale też chcemy dokonać jakiejś zmiany. Uważam, że warto od początku wiedzieć, do czego dążymy, żeby się nie uwikłać w jakąś nieciekawą sytuację, której potem będziemy żałować, czy z którą będziemy źle się czuć.

Z bardziej praktycznych rzeczy: warto rozejrzeć się po tym, co do tej pory się działo, żeby nie wyważać otwartych drzwi. Wydaje mi się, że właściwie w każdym mieście znajdą się jakieś osoby, które już sporo o tej herstorii wiedzą, tylko my o nich nie wiemy, a może one też nie robią żadnego użytku ze swojej wiedzy, to znaczy nie chwalą się nią i nie traktują jej jako czegoś, co mogłoby być osobnym wątkiem do pracy.

Rozmowa odbyła się 16 października 2015 roku za pośrednictwem komunikatora Skype.

Łódzki Szlak Kobiet Jeżeli miasto może mieć płeć, to Łódź z pewnością jest kobietą. Na stu mężczyzn przypada tu aż sto dwadzieścia kobiet – ale nie chodzi tylko o liczby. W dużej mierze to dzięki kobiecej pracy w „lekkim" przemyśle włókienniczym miasto wyrosło i rozwijało się w imponującym tempie.

Łódzka herstoria na pierwszy rzut oka pozostaje jednak niewidoczna. W całym Śródmieściu nie ma ani jednej ulicy, której patronką byłaby kobieta. Nie mamy alei Włókniarek, lecz aleję Włókniarzy. To drobiazg, ale takie drobiazgi kształtują – bardziej niż podręczniki szkolne – świadomość historyczną. Młodsze pokolenia nie pamiętają już huku maszyn dobiegającego zza okien fabryk czy strajków oraz marszów głodowych pracownic zakładów włókienniczych.

Kolektyw „Kobiety znad Łódki" powstał, aby wydobyć historię łodzianek z cienia. To nieformalna grupa ok. 10 osób, którą współtworzą przewodniczki po Łodzi, lokalne aktywistki, naukowczynie. Jedną z jej inicjatyw było powołanie do życia Łódzkiego Szlaku Kobiet. „Kobiety znad Łódki" działają od 2012 roku. Zorganizowały m.in. wystawę poświęconą farmaceutkom, spotkanie z działaczkami opozycji demokratycznej w PRL, „Kobiece Zaduszki", herstoryczne obchody Święta Niepodległości, kilkanaście otwartych spacerów po mieście. Kolektyw organizuje także performatywne czytania prozy polskich pisarek, wydobywając z niej feministyczne przesłanie.

fot. Olga Szutkiewicz

Karolina Sitko – absolwentka pedagogiki kulturoznawczej i arteterapii. Weganka, animatorka, aktywistka. Współzałożycielka, a obecnie wiceprezeska Stowarzyszenia na rzecz Kultury i Dialogu 9/12, trenerka Treningu Zastępowania Agresji ART®.

fot. archiwum prywatne

Majka Szlachta – aktywna członkini Stowarzyszenia na Rzecz Kultury i Dialogu 9/12 z Białegostoku oraz współorganizatorka Dni Różnorodności Kobiet DZIEW/CZYNY w Białymstoku. Tymczasowo mieszka tu i pracuje. Interesują ją: podróże, rower, życie kulturalne Białegostoku i herstorie.

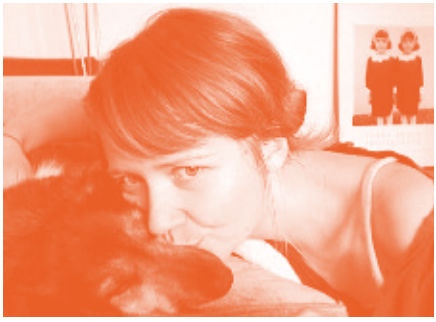

fot. archiwum prywatne

Sylwia Wieczeryńska – dziennikarka, filolożka, fotografka, opiekunka trzyletniej psicy Nuri. Ostatnio bloguje o prostym życiu i marzy o Nowym Jorku.

KAROLINA SITKO, MAJKA SZLACHTA, SYLWIA WIECZERYŃSKA

NAJBLIŻSZE NAM HISTORIE SĄ NAJCIEKAWSZE

Z Karoliną Sitko, Majką Szlachtą i Sylwią Wieczeryńską z inicjatywy Dni Różnorodności Dziew/czyny z Białegostoku rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Kim w Dziew/czynach jesteście i czym są Dziew/czyny?

Sylwia Wieczeryńska: Jestem związana z Dziew/czynami od drugiej edycji, to był rok 2013. Dołączyłam, bo spodobała mi się idea projektu, która angażuje do działania kobiety z różnych środowisk w Białymstoku. Od początku też zbierałam różnorodne inicjatywy i pomysły kobiet z tego miasta, a później z całego województwa podlaskiego, zapraszałam, aby przyjść i wziąć udział w wydarzeniach organizowanych przez kobiety. W tej edycji Dziew/czynów, w 2015 roku, czyli w czwartej edycji byłam nieco samozwańczą koordynatorką [śmiech]. Starałam się to wszystko ogarnąć także od strony administracyjnej.

Majka Szlachta: W tym gronie ja jestem najmłodsza stażem [śmiech], ponieważ w Dziew/czynach jestem od dwóch edycji, od 2014 roku. Mam nadzieję, że ta w 2016 roku będzie moją trzecią. Dołączyłam, bo chciałam być nie tylko odbiorczynią wydarzeń poruszających wątki kobiece, ale chciałam te wydarzenia też tworzyć. Zaczęłam od inicjatywy czytelniczej, czyli spotkania wokół Zofii Nałkowskiej. Teraz ten wątek wraca, bo dystrybuujemy... *Szlaki kobiet* [śmiech].

Karolina Sitko: Ja, podobnie jak Sylwia, jestem w Dziew/czynach od drugiej edycji. Ona była bardzo różnorodna, wzięło w niej udział kilka różnych organizacji. Było tam bardzo dużo wydarzeń, ja akurat zajmowałam się wtedy organizacją spotkania z Natalią Miłuńską z Warszawy, które dotyczyło czarownic, odczarowywania wizerunku wiedźmy. Działania ekologiczne, wegańskie, prozwierzęce to w Dziew/czynach moja działka. Plastyczne też, robienie dekoracji na imprezy muzyczno-taneczne, które co roku towarzyszą Dziew/czynom, czyli Szparkiety.

Natalia: Czym w takim razie są Dziew/czyny?

Sylwia: Powstały jako wydarzenie z okazji Dnia Kobiet. Od początku chodziło o angażowanie kobiet z różnych środowisk i pokazanie kobiet, które się udzielają i działają. Bardzo nam zależy właśnie na włączaniu kobiet, które się nie angażują. Przyświeca

nam oczywiście idea równości kobiet w społeczeństwie, zwracamy też uwagę na równe traktowanie mężczyzn, ponieważ w naszej grupie są nie tylko kobiety, ale też mężczyźni – działamy kolektywnie i to jest wielka wartość Dziew/czynów.

Majka: Można powiedzieć, że zatoczyłyśmy krąg. W zeszłym roku Dziew/czyny były tak rozbudowanym wydarzeniem, że potrzebowałyśmy oddechu [śmiech]. To pochłonęło tyle naszej energii, że stwierdziłyśmy potem, że zamierzamy odpocząć i zobaczymy, jak to wyjdzie. Może w przyszłym roku pokusimy się o coś więcej.

Sylwia: Mam wrażenie, że tak jak pierwsze Dziew/czyny były tylko jednodniowym wydarzeniem przy okazji Dnia Kobiet, to w kolejnych latach różne aktywności zaczęły się dziać także w innych terminach. Podczas drugiej edycji miałyśmy np. Dziew/ośki. To były działania na osiedlach, które miały angażować społeczność lokalną, a spoiwem były artystki, które działają w Białymstoku. To był warsztat taneczny dla kobiet z danego osiedla i warsztat śpiewu białego, który się stał comiesięcznym warsztatem międzypokoleniowym.

Trzecia edycja była najbardziej rozbudowana, kiedy zaczęłyśmy Dziew/czyny już w styczniu akcją „Czyta/my Dziew/czyny: Zofia Nałkowska". Zaprosiłyśmy wtedy wszystkie osoby, które w jakikolwiek sposób interesowały się Zofią Nałkowską, przeczytały książkę albo nawet nie przeczytały żadnej, do poznania tej postaci i ona towarzyszyła nam w różnych wydarzeniach niemal przez cały rok.

Natalia: Realizujecie w ramach Dziew/czynów różne działania. Które wątki w Waszej pracy dotyczą historii kobiet i definiujecie je jako herstoryczne?

Majka: Staramy się wyeksponować kobiety w Białymstoku. Do jednego z naszych działań przeprowadziłyśmy badania terenowe i okazało się, że w tym mieście nie ma żadnego pomnika kobiety. W związku z tym zrobiłyśmy akcję „Pomniki kobiet". W jej trakcie wolontariuszki stały się „ożywionymi pomnikami" kobiet i prezentowały te najsłynniejsze białostoczanki. Przechadzały się swobodnie po mieście, można było sobie z nimi zrobić zdjęcie. One jakoś ożywiały te postacie, najsłynniejsze i najbardziej rozpoznawalne białostoczanki.

Sylwia: Ta akcja miała też związek z ulicami kobiet w Białymstoku. Wyszło nam w tych badaniach terenowych, że jest ich dosłownie kilkanaście. Chciałyśmy sprawdzić, na ile ludzie w mieście orientują się, gdzie takie ulice są i kim są ich matronki. Okazało się, że oprócz ulicy Marii Skłodowskiej-Curie i Ireny Białówny, białostockiej lekarki, mieszkańcy innych ulic nie kojarzą.

Nie wiedzieli też, czy te kobiety są związane z Białymstokiem, czy niekoniecznie, jak na przykład Berta Szaykowska.

Majka: Staramy się przywrócić tę historyczną pamięć o kobietach i „odkłamać" historię, pokazać, że one też tam są, choć nie są dostrzegane na co dzień.

Sylwia: Taki cel nam przyświecał od pierwszej edycji, do udziału w której zaprosiłyśmy Anię Muszyńską i Jolantę Szczygieł-Rogowską, autorki Białostockiego Szlaku Kobiet. Ta inicjatywa miała swoją premierę w 2011 roku...

Majka: ...podczas Festiwalu Inny Wymiar.

Sylwia: ...później ten Szlak miał swoje miejsce w programie pierwszych Dziew/czynów w 2012 roku, wiem też, że były nim oprowadzane uczestniczki Kongresu Kobiet, który się odbył w Białymstoku dwa lata temu. To nie jest taka „żyjąca" inicjatywa obecnie, ale pierwsza, która mówiła o kobietach-białostoczankach. Podczas drugiej edycji Dziew/czynów pojawił się wątek wiedźm, które były odczarowywane, a trzecia edycja była już *stricte* herstoryczna, to ta edycja z Zofią Nałkowską. Ona nie była związana z Białymstokiem, ale jak się okazało w trakcie poznawania jej, była ważną osobą dla wszystkich osób organizujących Dziew/czyny.

Majka: W tym roku urządziłyśmy wydarzenie Aktywizm 2.0. To było spotkanie z podlaskimi aktywistkami i działaczkami na rzecz społeczności lokalnej. Były tam animatorki, artystki, kobiety, które zajmują się nauką. Zapraszałyśmy też biznes, ale chyba się nie objawił [śmiech].

Sylwia: Chciałyśmy się poznać. Okazało się, że wiele osób, które działają na różnych polach, na naszej imprezie spotkały się po raz pierwszy. Dotąd działały obok siebie i nie miały okazji się poznać, choć np. nawzajem słyszały o swoich działaniach.

Majka: Chciałyśmy stworzyć warunki do networkingu, żeby te wszystkie fajne, aktywne kobiety mogły się poznać i może coś razem stworzyć.

Karolina: To bardzo ciekawe, że kobiet działających w Białymstoku jest wiele, a nie znają się nawzajem. Nie są też szerzej rozpoznawane, kojarzone. I to jest strata z punktu widzenia relacji, współpracy w środowisku, poznawania osób działających na podobnych polach. Na tym spotkaniu były też seniorki, bo chodziło nam o pokazanie kobiet działających w bardzo różnym wieku, które się nie zamykają na siebie nawzajem. Każda kobieta mogła wziąć

udział w tym spotkaniu i powiedzieć o tym, czym się zajmuje, co tworzy, gdzie działa, pochwalić się tym, pogadać, opowiedzieć. Okazało się, że często nie mają w ogóle takiej możliwości.

Majka: W tym roku pojawił się też wątek literacki, ponieważ przypadały właśnie 70. urodziny Pippi Pończoszanki i w związku z tym zorganizowałyśmy zabawę dla dzieci, polegającą na szukaniu Pippi. Był też pokaz filmowy „Wschód kobiet", gdzie przedstawiałyśmy filmowe wizerunki kobiet i filmy reżyserowane przez kobiety. Pokaz zorganizowałyśmy we współpracy z Białostockim Ośrodkiem Kultury i Międzynarodowym Festiwalem Filmów Krótkometrażowych ŻubrOFFka.

Natalia: Przybliżcie, proszę, wątek czarownic.

Karolina: W drugiej edycji miałyśmy wieczór poświęcony czarownicom. Wykład na temat historii czarownic prowadziła Natalia Miłuńska ze Stowarzyszenia Kobiet Dakini. Chodziło nam o odczarowanie ich historii, o powiedzenie prawdy. Chciałyśmy pokazać czarownice z innej perspektywy, mówić o tym, jak ich sytuacja wyglądała w Polsce, nie tylko na świecie. To było ciekawe spotkanie, sporo osób wzięło w nim udział. A później odbył się krąg, tj. sposób uczczenia pamięci tych kobiet, które ginęły z powodu posądzenia o czary.

Sylwia: Wydarzenie było przejmujące, każda osoba dostała wtedy kartkę z imieniem i nazwiskiem kobiety, która została oskarżona o czary. Trzeba było to przeczytać na głos, to w jakiś sposób przywracało te kobiety społeczeństwu. Każdej z nich poświęcony był kwiat, który zaplataliśmy na nić ku ich pamięci. To był najbardziej przejmujący moment tego wieczoru.

Natalia: Mam ciary, kiedy to opowiadacie. Dwa dni temu rozmawiałam z Hanką Lipowską-Teutsch, która opowiadała mi o tym, że niepamięć o czarownicach to ukryty, trudny element niepamięci ruchu feministycznego w Polsce, który kładzie się cieniem na współczesnej aktywności działaczek albo przejawia się różnymi trudnościami[1]. A Wy po prostu zajęłyście się czarownicami i przywracaniem pamięci o nich. Robi to na mnie bardzo duże wrażenie. Także przez spotkanie się tych dwóch wątków z dwóch różnych rozmów.
Powiedzcie, czym dla Was jest herstoria? Jak ona jest rozumiana w inicjatywie Dziew/czyny, a jak Wy ją definiujecie osobiście?

1 Por. Wywiad z Hanką Lipowską-Teutsch w niniejszej publikacji, s. 119–129.

Sylwia: Dla mnie herstoria jest przywróceniem indywidualnych opowieści i historii kobiet. Teraz spotkałam się z oporem historii, kiedy staramy się napisać biogramy białostoczanek na stronę Archiwum Historii Kobiet[2] i spotykam ścianę, próbując się dowiedzieć czegokolwiek o kobietach żyjących w tym mieście. Kiedy idę do biblioteki i pytam bibliotekarki, czy pomogą mi w znalezieniu książki o aktorce Norze Ney, może jest jakaś publikacja o historii Białegostoku, gdzie ta postać jest przybliżona – to one robią wielkie oczy, bo kto to jest ta Nora Ney i czy ona w ogóle jest białostoczanką? Trzeba to odkryć, czuję w tym siłę i energię.

Jest taka książka *Historia Białegostoku*[3], która jest wielkim tomiszczem, ma niemal 700 stron. Tam informacje o kobietach są jednozdaniowe: coś tam zrobiła, była w Białymstoku i na tym informacja się kończy. A potem czytasz w tej książce o postaciach mężczyzn, zawsze po kilka zdań, kim byli, co robili, gdzie działali itd.

Majka: Jeśli w ogóle pojawia się to, o czym Sylwia mówisz, tj. że dana kobieta coś zrobiła, to już jest dobra sytuacja. Ja często napotykałam na takie informacje, w których pierwszą i najważniejszą kwestią było to, czyją była żoną, matką albo kochanką. To oznacza definiowanie tych kobiet przez pryzmat mężczyzn. Nawet w przypadku takich kobiet, jak Placyda Bukowska, która miała swój dorobek, była plastyczką, zaprojektowała np. witraże w jednym z kościołów w mieście, okazuje się ważniejsze, że miała syna, była matką i żoną oraz miłością Czesława Miłosza. To są trzy informacje wytłuszczone w tekście o niej.

Chciałabym przywrócić pamięć i uwidocznić te kobiety, pokazać, że one też tam są. To da moc i siłę kobietom obecnie, będą bardziej chętne do udzielania się nie tylko w przestrzeniach, w których jest ich sporo, ale też np. w polityce. Byłoby świetnie, gdyby była możliwa głośna rozmowa na ten temat: dlaczego jest ich tak mało i dlaczego nie mówimy głośno o kobietach, które też tworzyły historię Białegostoku, które tutaj były, mieszkały, tworzyły, a się o nich zapomina.

Karolina: Spotykam się bardzo często z tym, że w związku z tym cieniem mężczyzny, męża, ojca nawet teraz kobiety nie zawsze mogą się realizować. W herstorii chodziłoby o to, żeby pokazywać, że kobiety często funkcjonują właśnie w takim cieniu. W Białymstoku jest ulica Białówny, a większość ludzi nawet nie kojarzy, że to była kobieta i że „Białówny" to jest czyjeś – kobiety – nazwisko.

2 Chodzi o Archiwum Historii Kobiet, gromadzące biogramy kobiet, tworzone głównie przez członkinie inicjatyw członkowskich Sieci herstorycznej. Archiwum jest administrowane przez Fundację Przestrzeń Kobiet i dostępne pod adresem: www.herstorie.pl.

3 *Historia Białegostoku*, pod red. A. Cz. Dobrońskiego, wyd. Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2012.

Herstoria polega na pokazywaniu tych zapomnianych, wykluczonych kobiet, o których się nie mówi. Miałam podobne problemy jak Sylwia z odszukiwaniem herstorii, znajdowałam szczątkowe informacje. Chcąc znaleźć coś o kobiecie, czasem po prostu szukałam historii jej męża, licząc na jakąś wzmiankę o niej.

Majka: Tak, chciałybyśmy budować białostocką tożsamość lokalną z perspektywy kobiecej. Może „dobudować" bardziej, bo to wszystko jest komplementarne, nie chcemy wykluczać w żaden sposób mężczyzn. Jest to niemożliwe, a poza tym byłoby fałszem.

Natalia: Zaczęłyście już opowiadać o swoich bohaterkach. Kim one są i jak je dobieracie? Macie jakieś kryteria?

Karolina: Skupiłam się przede wszystkim na kobietach z Białegostoku, z ciekawości, z chęci odkrycia ich osiągnięć, ich życia. Chciałam napisać o Małce Błochowej, ponieważ w jakimś czasopiśmie widziałam wzmiankę o pierwszej białostockiej i podlaskiej bizneswoman. Ona po śmierci męża samodzielnie prowadziła fabrykę. Ale niewiele udało mi się o niej znaleźć, właściwie tylko wiadomości przefiltrowane przez pryzmat tego, kim był jej mąż. Udało mi się odszukać jeszcze informację o tym, jaki zysk osiągała fabryka [śmiech]. Ale poza tym nic nie można było znaleźć. Oczywiście nie ma podanej nawet jej daty urodzenia, więc po prostu nie wiem, czy mi się to uda ująć w artykuł do Archiwum.

Sylwia: Wybierając bohaterki, współpracuję z moją siostrą Natalią, która jest też wolontariuszką przy Dziew/czynach. Skupiłyśmy się na zapomnianych artystkach, mam tu na myśli przede wszystkim Norę Ney, która w Białymstoku jest wielką zapomnianą. Wiele osób kojarzy ją jako aktorkę amerykańską raczej niż polską, ale nikt nie wie, że urodziła się pod Białymstokiem i kawałek życia tutaj spędziła. Była Żydówką. Kiedy myślę o kobietach z naszego miasta, które warto upamiętniać, to myślę o wszystkich społecznościach, które tu żyły. To jest wielki znak zapytania. O ile możemy jakoś udokumentować historię Polek, jak na przykład Ireny Białówny, która nie była białostoczanką, ale tu przyjechała, o tyle na przykład trudniej udokumentować historię np. Tamary Sołoniewicz, która zmarła niedawno, 15 lat temu i była polską reżyserką i scenarzystką filmową, polską Białorusinką.

W swoje dalsze poszukiwania chciałabym zaangażować polskie Tatarki, które są w tym regionie od ponad 600 lat, i na pewno są i były wśród nich kobiety, które jakoś działały, tworzyły w tej społeczności. Chciałabym je wciągnąć, choć spodziewam się, że to może być trudne. A może nie?

Majka: Wspomnę jeszcze o dwóch kobietach, o których dotąd nie mówiłyśmy, a które były bohaterkami tego Szlaku Ani Łuszyńskiej i Jolanty Szczygieł-Rogowskiej: Salomea Deszner i Rena Szumowicz. Obie były artystkami, Rena Szumowicz aktorką współczesną, tzn. XX-wieczną, która urodziła się w Białymstoku. Salomea Deszner była śpiewaczką operową i żyła w XVIII wieku.

Natalia: Czy podejmujecie takie decyzje, że z jakiejś bohaterki rezygnujecie, bo na przykład Waszym zdaniem nie zrealizowała jakiegoś scenariusza albo jest Wam do niej z jakichś względów daleko w kontekście Waszych założeń, przekonań?

Sylwia: Takie decyzje chyba jeszcze przed nami. Mimo tego, że w ramach Dziew/czynów pojawiały się różne akcje nawiązujące do herstorii, to chyba dopiero w ubiegłym roku pojawiła się w nas taka potrzeba, żeby się w niej zanurzyć. I na razie nie miałyśmy takiego momentu, żeby jakąś bohaterkę odrzucić, bo nie chcemy się nią zajmować. Chyba jeszcze nie mamy na tyle rozpoznanego terenu naszych poszukiwań. Na razie ten obszar, który mamy rozpoznany, to są kobiety, o których coś wiadomo.

Majka: Jednocześnie można powiedzieć, że na przykład nie zajęłyśmy się w ogóle najsławniejszą kobietą z Białegostoku, Izabelą Branicką [śmiech]. Chyba w związku z tym, że ona jest znana i obecna w pamięci tego miasta. Można o niej usłyszeć podczas zwiedzania Białegostoku i pałacu. Może uznałyśmy po prostu, że warto naświetlić te, o których ludzie jeszcze nie wiedzą.

Natalia: Mówiłyście o efekcie wzmacniającym, o przywracaniu kobietom miejsca w historii jako o celu tej pracy. Jakoś jeszcze sobie tę zmianę wyobrażacie?

Sylwia: Bardzo mi zależy na tym, żeby – tak jak każdy w Białymstoku potrafi powiedzieć, kim np. był Ryszard Kaczorowski, który stąd pochodził, czy Ludwik Zamenhof – każda osoba spotkana na ulicy i zapytana o to, wiedziała kim była Irena Białówna czy Nora Ney. Albo inna kobieta z tych, które przed nami są jeszcze do odkrycia, a ich historia ciągle nie jest znana. Żeby Białystok kojarzył się nie tylko z samymi mężczyznami. Teraz w rankingu sławnych białostoczan są 4 kobiety na 50 osób. Chciałabym, żeby tych kobiet było więcej i żeby znalazły się w pierwszej dziesiątce osób kojarzonych z tym miastem i województwem podlaskim zamiast w ostatniej.

Majka: Chciałybyśmy też zachęcić albo sprowokować mieszkańców i mieszkanki do własnych poszukiwań, żeby chcieli i chciały się dowiadywać coraz więcej o swojej historii i wykraczać poza

ten oficjalny kanon. Żeby istniał wielogłos. Może tak naprawdę chciałybyśmy realizować to, o czym się bardzo wiele tutaj mówi, to znaczy, że Białystok jest wielokulturowy. Żeby on miał też odcień kobiecy i odcień męski. Bo dotąd i różne kultury, i różne wyznania są widziane głównie z jednej perspektywy.

Natalia: Jakie są Waszym zdaniem podstawowe sprawy, bez których nie można ruszyć z herstoryczną pracą? Co w tej pracy jest fundamentalne?

Majka: Czas! [śmiech]

Sylwia: I rozmowa. Podejmujemy nasze decyzje demokratycznie. Polega to zawsze na długich dyskusjach. Nie ruszamy z jakimś wątkiem, dopóki wszystkie tego nie czujemy. Dopóki albo któraś nie odpuści, albo któraś nie przekona pozostałych. Lub dopóki nie zostanie przekonana. Te rozmowy są bardzo ważną kwestią.

Majka: Dlatego też, kiedy zaproponowałaś ten wywiad, nie wyobrażałyśmy sobie, żeby tylko jedna z nas rozmawiała z Tobą o tym, jak Dziew/czyny widzą herstorię. To nie byłybyśmy wtedy my. My raczej działamy kolektywnie.

Sylwia: Fundamentem jest działanie kolektywne i włączanie nowych osób. Co roku właśnie z nowymi osobami udaje się nam coś wypracować wspólnie. Część z nich zostaje, część ma inne pomysły na życie, ale potem do kolejnej edycji dołączają osoby, które też mają swoje spojrzenie i dorzucają swoje pięć groszy. I to nam poszerza horyzonty.

Majka: Fajne jest to, że osoby zaangażowane w Dziew/czyny pochodzą z różnych środowisk. Są nastolatki z liceum, ale też były z nami seniorki, matki, żony również [śmiech]. Było paru mężczyzn. I tymi różnymi perspektywami i doświadczeniami staramy siebie nawzajem rozwijać.

Sylwia: W Dziew/czynach jest osoba, która pracuje w galerii, inna na uczelni, jestem ja – dziennikarka, jest osoba, która się angażuje w działania z młodzieżą w naszym stowarzyszeniu[4]. Różnorodne doświadczenia zawodowe także pozwalają nam uzupełnić spojrzenie na historię albo zaproponować spojrzenie zupełnie nowe.

4 Stowarzyszenie na rzecz Kultury i Dialogu 9/12, w ramach którego realizowany jest projekt Dziew/czyny.

Natalia: O czym według Was trzeba pamiętać, co trzeba umieć, żeby działać herstorycznie?

Sylwia: Na pewno trzeba odrzucić postrzeganie kobiet przez pryzmat mężczyzn. Nas nie interesuje, czy któraś z nich była czyjąś żoną, tylko co kobieta o danym imieniu i nazwisku zrobiła. I czy osoba, która się tą kobietą zajmuje, jest tego ciekawa. Wydaje mi się, że to jest ważne: ta chęć poznania danej kobiety.

Majka: A w kontekście naszego zapotrzebowania na umiejętności, to byłoby cudownie, gdyby dołączyli do nas historycy i historyczki z krwi i kości [śmiech], które już mają warsztat historyczny, archiwistki, archiwiści. Jeśli ktoś chce działać z nami, to nawet nie musi być z Białegostoku, nie wszystkie stąd jesteśmy.

Sylwia: Fajnie jest też, kiedy osoba, która do nas dołącza, ma też znajomość na przykład którejś z mniejszości, które występują w Podlaskiem. Jeśli jest się z danej społeczności, to wiadomo, że łatwiej zrobić rozeznanie wśród Tatarek, Białorusinek, Ukrainek, Litwinek.

Majka: Dobrze jest też umieć czytać po rosyjsku, jeśli się szuka materiałów źródłowych, bo one są często w tym języku.

Karolina: To niby kwestia techniczna, ale ważna: w tym, co robimy, pilnujemy języka równościowego, to jest jedna z ważnych rzeczy w stowarzyszeniu. To byłoby dla mnie istotne w Dziew/czynach po to, żeby ktoś nie napisał: lekarz Irena Białówna. Podobnie jak pilnowanie końcówek żeńskich. Robimy to we wszystkim, co robimy, co piszemy i czasem to jest dziwnie odbierane. To też ważna umiejętność, jak najbardziej do nauczenia.

Natalia: Czy miałyście już w swojej pracy jakieś dylematy, wyzwania związane z bohaterkami albo ze sposobem ich przedstawiania?

Majka: Chyba się nie pojawiły, chociaż jestem sobie w stanie doskonale wyobrazić, co takim etycznym dylematem mogłoby być: chociażby zapatrywania polityczne. O tym czasem ciężko mówić, trudno wyczuć, w jaki sposób o tym mówić powinniśmy. Białystok był w zaborze rosyjskim, a z drugiej strony, była tu też bardzo duża społeczność żydowska, która zginęła. Nie spotkałyśmy się jeszcze z żadną taką bohaterką, która miałaby np. jakiś udział w wydarzeniach przed albo w trakcie II wojny światowej, ale na pewno są takie postacie.

Karolina: Wybierałyśmy bliskie nam bohaterki, o ile w jakiś sposób mogłyśmy w te wybory wniknąć ideowo. W przypadku

Nałkowskiej było mnóstwo wątków, które chciałyśmy poruszyć, ale skupiłyśmy się tak naprawdę na tym, co jest nam też bliskie w Dziew/czynach. Podobnie wiedźmy, kobiety skazane „za czary". To są tematy, które wybieramy chyba instynktownie, bo się tym po prostu interesujemy. Ale pewnie przyjdzie moment, że trzeba będzie zdecydować: zajmować się wszystkimi kobietami czy tylko takimi, które nam z jakichś względów odpowiadają. To jest ciekawe pytanie. Ale na teraz nie mam na nie odpowiedzi.

Natalia: Macie jakieś herstoryczne plany albo marzenia?

Majka: Od jakiegoś czasu myślę sobie, że fajnie byłoby wskrzesić Białostocki Szlak Kobiet, który teraz nie jest aktywny. Już wstępnie zaczęłam o tym rozmawiać z Anią Muszyńską z Białostockiego Ośrodka Kultury, która ten Szlak zapoczątkowała. Byłoby dobrze, skoro autorki Szlaku wyszły z taką inicjatywą, żeby zrobić nasze działania nie w oderwaniu od nich, tylko razem z nimi.

Sylwia: Chciałabym kontynuować Dziew/ośki, działania ze społecznością lokalną. Tym razem skupiłabym się na lokalnej historii kobiet, żeby to być może właśnie te społeczności odkrywały nasze kolejne bohaterki. Żeby to od nich wychodziło, o których kobietach warto pamiętać, o których może nigdy byśmy się nie dowiedziały, bo nie dotrzemy na każde osiedle, do każdej takiej mniejszej społeczności. Mam na myśli nie tylko społeczności *stricte* lokalne, dzielnicowe, osiedlowe, ale też społeczności mniejszości narodowych, etnicznych, religijnych, seksualnych w województwie.

Karolina: Marzenia mam podobne. A jeśli chodzi o plany, to chcę, by Dziew/czyny się stały bardziej rozpoznawalnym wydarzeniem w Białymstoku, bo czasem mam wrażenie, że więcej osób o nas słyszy poza nim niż tu w mieście. To by się łączyło z kobietami stąd – żeby więcej z nich wciągnąć do działania, pozwolić im się wypowiedzieć, żeby było więcej różnorodnych działań. Miałyśmy taki pomysł, żeby te działania toczyły się przez cały rok i były takimi momentami spotkań dla różnych osób. Żeby to bardziej istniało w przestrzeni miasta.

Majka: Czyli chcemy uczynić Dni Różnorodności Dziew/czyny...

Sylwia: ... Rokiem Różnorodności! [śmiech] Mam też takie marzenie, żeby z inicjatywy Dziew/czynów została przyjęta uchwała Rady Miasta, aby jedną z ulic nazwać imieniem np. Nory Ney albo innej bohaterki, o której pomyślimy, której historię udokumentujemy. Marzę o tym, że w ramach inicjatywy obywatelskiej zbierzemy wystarczającą liczbę podpisów i Rada Miasta przegłosuje tę inicjatywę i taka nazwa zostanie nadana. To byłby dla mnie taki numer jeden. Czułabym, że czegoś ważnego dokonałam w tym mieście.

Natalia: Jakie znaczenie osobiście ma dla Was zajmowanie się historią kobiet?

Sylwia: Takie poszukiwanie daje mi siłę. Staram się odkrywać swoją rodzinną historię i składać historie kobiet w mojej rodzinie. To mi pozwala poznać lepiej rodzinę, moje korzenie, odkryć w jakiś sposób swoją tożsamość. Podobnie odkrywanie kobiet, które pochodzą z mojego miasta, regionu, które tutaj zaczynały działać – to także mnie buduje i również dzięki temu lepiej poznaję siebie, swoją historię i swoje miejsce w tym makroświecie zwanym Podlasiem.

Majka: W stu procentach zgadzam się z Sylwią, mnie to w jakiś sposób podbudowuje. Czuję się dzięki temu mocniejsza, bardziej sprawcza.

Karolina: To faktycznie daje takie poczucie, że inne kobiety dawały sobie radę i ja też mogę.

Sylwia: Z drugiej strony, rodzi się we mnie wkurw, w miarę jak poznaję historie kobiet, o których się powinno pamiętać, a nikt nie pamięta, że ich jest tyle i nikt tego w odpowiednim momencie nie udokumentował albo ich dokumenty przepadły. I że tak się stało, bo w historii kobiety nie były na tyle ważne, więc ich dokumenty mogły ginąć, mogła ginąć ich historia. Dlatego bunt się we mnie rodzi i jeszcze nie wiem, co z nim powinnam zrobić.

Natalia: Gdybyście miały osobom, które chcą się zająć historią kobiet, ale tego jeszcze nie robiły i może czują się trochę niepewnie, nie wiedzą, od czego zacząć, dać jakieś wskazówki, jak zrobić pierwszy krok, to jakie one by były?

Karolina: Warto zacząć od swoich korzeni i pogrzebać w swojej własnej historii rodziny, społeczności lokalnej i dalej miasta. Wydaje mi się, że najbliższe nam historie są najciekawsze. Najbardziej nas uderzają, bo jesteśmy w jakiś sposób z nimi związane, związani i pewnie też w jakiś sposób kształtowały otoczenie, środowisko, w którym teraz żyjemy.

Majka: Myślę, że warto być otwartą i warto rozmawiać z różnymi ludźmi, słuchać ich. Nie warto się zniechęcać, nie warto się ograniczać, warto się inspirować.

Karolina: Tak, cierpliwość. Może właśnie cierpliwość jest tym kluczem?

Sylwia: Warto też znaleźć kontakt np. do dyrektora, dyrektorki, kierownika, kierowniczki muzeum historycznego, sali historycznej, gminnego ośrodka kultury, którzy mogą nam pomóc, warto się skontaktować z jakąś osobą, która się zajmuje historią, zajść do biblioteki i poszukać książek albo spytać bibliotekarkę... Tak jak wcześniej powiedziała Majka, rozmawianie z różnymi ludźmi pozwala zaczepić się o jakiś wątek. Na pewno warto się odezwać do Dziew/czynów!

Rozmowa odbyła się 16 października 2015 roku za pośrednictwem komunikatora Skype.

opis inicjatywy

Dni Różnorodności Kobiet DZIEW/CZYNY powstały jako wydarzenie z okazji Dnia Kobiet. To oddolna inicjatywa, która angażuje różnorodne środowiska kobiet i mężczyzn mieszkających i działających w Białymstoku. Przedsięwzięcie propaguje współpracę białostoczanek w ramach kolektywnych działań o charakterze kulturalnym i społecznym oraz koncentruje się na rozpowszechnianiu idei równego traktowania kobiet i mężczyzn w społeczeństwie.

DZIEW/CZYNY organizowane są od 2011 roku, od początku we współpracy z różnymi organizacjami pozarządowymi, grupami nieformalnymi, wolontariuszami i wolontariuszkami. W ciągu pięciu lat udało się zorganizować ponad 50 działań pod szyldem DZIEW/CZYNY, m.in. spotkania z feministkami, czytania bajek antydyskryminacyjnych dla dzieci, społeczne wegańskie śniadanie na rzecz bezdomnych psów, działania z seniorkami, mural pisarki Zofii Nałkowskiej, akcję o znanych Polkach, grę LARP z elementami empowermentu, cykliczną imprezę taneczną Szparkiet, działania aktywizujące na osiedlach.

W 2014 roku DZIEW/CZYNY zostały wyróżnione przez Kancelarię Prezydenta RP i zamieszczono je na internetowej Witrynie Obywatelskiej jako godną naśladowania Obywatelską Inicjatywę Lokalną. Nominowane zostały też do nagrody „Podlaskie Otwarte" dla inicjatyw i osób wpływających na rozwój województwa podlaskiego. Więcej informacji o DZIEW/CZYNACH na stronie: www.projektdziewczyny.wordpress.com.

fot. Martyna Matuszewska

Agnieszka Sosińska – socjolożka, feministka, trenerka i badaczka społeczna. Działała i współpracowała m.in. z Porozumieniem Kobiet 8 Marca, Fundacją Feminoteka, Fundacją im. Heinricha Bölla, Fundacją Ster. Od lat aktywnie walczy o prawa kobiet. Wierzy, że pewnego dnia filmy o Superwoman będą równie popularne jak te o Supermanie i wolne od stereotypów.

AGNIESZKA SOSIŃSKA

PRZYJEMNOŚĆ I SKARBY

Z Agnieszką Sosińską, koordynatorką projektu „Całej pensji i połowy władzy" Fundacji Feminoteka, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Opowiedz, proszę, o tym, czym się zajmujesz w kontekście herstorii.

Agnieszka Sosińska: To przede wszystkim projekt, który koordynowałam, kiedy pracowałam w Fundacji Feminoteka i w związku z którym zostałam zaproszona do Sieci: „Całej pensji i połowy władzy". W jego efekcie powstały dwa dzieła: jedno to książeczka *Całej pensji i połowy władzy*, a drugie to film[1] pod tym samym tytułem, teraz już dostępny w internecie, w wersji także z angielskimi napisami.

Film jest trochę o czym innym niż książka, opowiada o kobietach, które na przełomie XIX i XX wieku w Polsce zmierzały do tego, żeby być, powiedziałabym, pełniejszymi członkiniami elit. To znaczy, żeby mieć tę należną im pensję i należną im władzę. Pracowały w prestiżowych zawodach albo piastowały prestiżowe stanowiska. W filmie znajdziemy pierwsze lekarki, pierwsze farmaceutki, pojawiają się dentystki, prawniczki, a także polityczki – te, które znalazły się w pierwszym Sejmie, po tym jak przyznano kobietom czynne i bierne prawo wyborcze.

Książka obejmuje szerszy zakres czasowy i jest też obszerniejsza, jeśli chodzi o tematy, złożyła się na nią entuzjastyczna, wspaniała praca kilku autorek. Z jednej strony, jest tam grupa kobiet z przełomu XIX i XX wieku, działaczek, emancypantek, ale też spojrzenie na społeczną, ekonomiczną sytuację kobiet w perspektywie historycznej. Te wątki są szerzej ujęte w książce niż w filmie, bo taką możliwość daje papier. Dalej mamy przekrój przez okres PRL w kontekście sytuacji kobiet w tamtym czasie. Dla mnie osobiście bardzo istotne jest, że za zasługą Ani Nowakowskiej-Wierzchoś pojawiają się tam wątki dotyczące kobiet-pracownic, już nie tylko pracujących w zawodach prestiżowych, z klasy wyższej. Ta książka w jakiś sposób się mierzy ze stereotypami kobiety w PRL. Rozmontowany jest na przykład słynny argument, który się wysuwa wobec feministek, że jesteś feministką, dopóki nie trzeba pracować na przodku w kopalni, w domyśle – tam zbyt ciężko dla kobiet i tam kobiet nie ma, bo nie chciałyby tak pracować. Otóż kobiety tam pracowały

1 Film „Całej pensji i połowy władzy" można obejrzeć pod adresem: https://www.youtube.com/watch?v=-GEf0bUqaP4 (dostęp 15.01.2016).

i ta informacja się pojawia w książce, informacja ze źródła historycznego, wiarygodnego, sprawdzonego, rzetelnego. Ważny aspekt tej kwestii to fakt, że ta praca była bardzo wysoko opłacana, mężczyznom zależało na tym, żeby te zarobki zachować dla siebie, dla swojej grupy. I dlatego kobietom zabroniono tej pracy. Oczywiście używano również argumentu zdrowia, ale nie należy zapominać o kwestii ekonomicznej.

Trzecia część książki to czas od 1989 roku do współczesności. W tej części mamy spojrzenie na to, jak wyglądają przepisy prawne obecnie, pojawiają się nazwiska ważnych działaczek, ważnych polityczek, podnosimy też kwestię ruchu kobiecego, ruchu feministycznego. Załącznik do książki mówi o tym, kto nam zapewnia tę całą pensję i połowę władzy. Zakładałyśmy, że książka ma trafić do szkół, gimnazjów i liceów jako pomoc naukowa. W związku z tym dodałyśmy do niej taki dodatek, wiedzę praktyczną, która się może zaraz, za chwilę po skończeniu szkoły przydać, być może w pierwszej pracy. Dlatego umieściłyśmy tam fragmenty Kodeksu pracy, odwołania do dyrektyw Unii Europejskiej, takie spojrzenie czysto informacyjno-prawne.

Natalia: Książka i film ukazały się w 2013 roku. Do kogo te narzędzia trafiły? Czy docierają do Ciebie informacje na temat tego, jak książka i film są odbierane? Czy i jak są używane – zgodnie z Waszym zamysłem – w szkołach?

Agnieszka: Pokazywałyśmy film m.in. na Kongresie Kobiet w Szczecinie, ale też kilkakrotnie miałyśmy pokazy dla młodzieży na spotkaniach m.in. we Wrocławiu, w Warszawie w Feminotece, w Gdańsku. Chciałyśmy rzeczywiście dotrzeć do tej grupy, dla której film został przygotowany. Ponieważ historii kobiet w podręcznikach jest niewiele albo wcale jej nie ma, to chciałyśmy nie tylko ją przypomnieć, ale stworzyć takie narzędzie, które pozostanie. Nie napiszemy nowego podręcznika, ale jesteśmy w stanie przygotować pomoce naukowe, jak film i książka, z których można skorzystać podczas lekcji czy udostępnić w szkolnej bibliotece... Zależało mi też, żeby ten film miał taką formę, której można użyć w trakcie lekcji, kiedy na wszystko jest za mało czasu, bo jest dużo treści i szeroko zakrojona podstawa programowa. Dlatego film ma 20 minut i zawsze można z niego pokazać nawet tylko fragment. Po to też pojawił się w sieci, żeby był bardziej dostępny dla nauczycieli, edukatorów, dla samych uczniów, uczennic. Żeby można go sobie było odszukać, ściągnąć, wybrać fragment. Po to jest też w języku angielskim – dzięki temu rozszerzamy grupę osób, które mogą do niego dotrzeć.

Z korzystaniem z tych materiałów jest bardzo różnie, zdarza się, że ze szkół, do których je zawiozłyśmy, dostaję na przykład pytania, czy przywieziemy więcej, bo już ich nie ma. Z różnych

inicjatyw kobiecych dostaję sygnały, że to jest świetna książka i że była rozdawana np. przez Kongres Kobiet na warsztatach dla kobiet, które startowały w wyborach, czyli w zupełnie innej grupie, niż myśmy zakładały. Zatem zainteresowanie jest, natomiast ono jest niekoniecznie tam, gdzie ja bym się go spodziewała.

W kolejnej edycji projektu z tych samych środków, czyli ze środków firmy Boeing, Feminoteka prowadziła warsztaty w szkołach. Nazywały się „Dziewczyny mierzą wysoko" i miały dwie edycje. Każda zakładała realizację warsztatów edukacyjnych, równościowych w szkołach. W trakcie tych, które prowadziłam, wykorzystywałam również film, książkę, poszczególne postacie, o których mówiliśmy w kontekście wzorców kobiecych. Takich, o których można powiedzieć, że mierzyły wysoko, zaszły daleko i dają nam, współczesnym, ale i grupie docelowej, uczestniczkom i uczestnikom warsztatów, uczniom, uczennicom również dzisiaj zakorzenienie. Nie tylko przez to, że mamy znanych w historii mężczyzn, którzy byli wyjątkowi, stawiali sobie ambitne cele, te swoje ambicje realizowali w różnych warunkach i w różnych sytuacjach. Ale że mamy także znane kobiety, działające nie tylko na rzecz własnego rozwoju. Na przykład Anna Tomaszewicz-Dobrska osiągnęła dla siebie to, że była jedną z pierwszych kobiet lekarek, ale też wspierała innych, działała na rzecz innych. A ona akurat leczyła również te kobiety, których pewnie nie byłoby stać na poradę w jej gabinecie w centrum Warszawy. Chciałam dać wzorce i przywrócić herstorię nie tylko jako ideę, nie tylko jako wzór, ale też jako coś, co istniało, istnieje i można się do tego odwołać. Taki był również dla mnie cel tego działania, tego projektu.

Herstoria pełni bardzo wiele funkcji. Na pewno jedną z nich jest zakorzenienie. Również dla mnie osobiście, mówię to otwarcie. To też jest ogromna fascynacja i poczucie odkrywania skarbów. Pamiętam, że w pewnym momencie pracy nad książką i filmem miałyśmy okazję czytać stare polskie czasopisma o herstorycznej wadze. Zaczęłyśmy je przeglądać i towarzyszyła nam w tym ogromna radość, że to jest namacalne, fizyczne, realne. Że w tych dokumentach one, nasze feministyczne prababki piszą o tym samym, z czym my, dzisiejsze działaczki na rzecz praw kobiet się teraz współcześnie mierzymy. Miałam taką refleksję, że ich spostrzeżenia korespondują żywo z tym, co teraz się w Polsce dzieje. Albo też, że piszą dokładnie o tym, o czym jest właśnie ten projekt. Z jednej strony, to było 100, 150 lat temu, a ciągle to jest syzyfowa praca, pchamy ten kamień pod górę i można same siebie pytać, jak to jest, że (czy?) jesteśmy w tym samym punkcie, skoro piszemy o tym samym. A z drugiej strony, to jest ogromna radość odnalezionej ciągłości, którą można nazwać, która ma wymiar fizyczny; to nie jest tylko napisane w podręczniku, przedrukowane i „obrobione", tzn. obarczone praktykowanym przez wiele osób na przestrzeni wielu lat sposobem przedstawiania.

W tym przypadku mamy np. realny artykuł na temat płac konkretnych kobiet, na przykład robotnic, szwaczek, służących czy pomocy domowych. I też wiele, wiele innych. Mamy informację o wydarzeniach, o organizowanych wtedy pogadankach, spotkaniach. To taka radość płynąca z tego, że dosłownie masz swój skarb w ręku.

Natalia: Ja się tak w pewnym stopniu czułam, kiedy moja ciocia podarowała mi dwa roczniki „Mojej Przyjaciółki", czyli poprzedniczki pisma „Przyjaciółka" z 1936 i 1937 roku. To było niewiarygodne, to jest ta namacalna rzecz. Że to nie tylko opowieść o rzeczy.

Agnieszka: To był ten skarb, tak. Takim skarbem, czymś bardzo ważnym jest samo odkrywanie herstorii, a czasem różnych drobiazgów, smaczków, takich jak to, że Anna Tomaszewicz-Dobrska była jedną z pierwszych lekarek, które sobie założyły telefon. Może to nie jest bardzo związane z tematyką projektu, ale to jest takie żywe, namacalne, to pomaga sobie narysować człowieka, o którym to wszystko, cała ta rzecz jest.

Natalia: Z czym jeszcze wiąże się dla Ciebie herstoria?

Agnieszka: To są także pytania o to, jak ją podać, co ci wolno, jaka jest własna herstoria, czyli relacja, jaką masz ze swoją pracą, a jaką może masz ze swoimi bohaterkami. Dla mnie to było też doświadczenie Prababek, które nagle stały się namacalne. One nagle zyskują imię, nazwisko, adresy, część z nich również twarze. Tak, udało nam się wyprosić w różnych instytucjach zdjęcia i miałam ogromną radość, gdy przypięłam to wszystko, co zostało napisane przez Iwonę Dadej i Annę Nowakowską-Wierzchoś, a potem zredagowane, skrócone na potrzeby filmowego scenariusza, do tej osoby, do postaci. Już nie tylko do wyobrażenia o niej.

Mam też takie bardzo swoje, prywatne rozumienie herstorii, poza tym, które miałam do przekazania w ramach projektu, pisania książki czy szykowania filmu. Tam potrzebna jest ogromna dbałość o prawdę historyczną, o ile ona jest w ogóle możliwa. I o rzetelność źródeł. Ale jeśli mówię o skarbach, o tej radości z odkrywania, to mam na myśli herstorię jako coś, co jest głęboko ukryte i nadal odkrywane, ciągle do odkrycia. Podczas dzisiejszego spotkania[2] Elżbieta Janicka mówiła o tym, że funk-

2 Chodzi o warszawską premierę książki *Szlaki kobiet. Przewodniczka po Polsce emancypantek* powstałej w ramach działalności Sieci herstorycznej, wydanej przez Fundację Przestrzeń Kobiet. Wywiad odbył się bezpośrednio po spotkaniu premierowym, które miało miejsce 30.10.2015 r. w klubokawiarni PaństwoMiasto. Wzięły w nim udział autorki książki: Barbara Borowiak, Sylwia Chutnik, Natalia Judzińska, Natalia Sarata, Agnieszka Sosińska, a moderowała je Elżbieta Janicka.

cjonujemy w hegemonicznym dyskursie, w którym nie ma kobiet i który jest silnie patriarchalny, kultywuje, wzmacnia te patriarchalne wzorce. Historia jest w tej rzeczywistości przestrzenią absolutnie maczystowskiego, patriarchalnego, męskiego zawłaszczenia. Ela w tym kontekście podała przykład filmu „Karbala". Pomyślałam wtedy o książce Sylwii Chutnik, o *Warszawie kobiet* jako o książce, którą kupiłam, wychodząc z zajęć na uniwersytecie, zresztą zajęć Joanny Erbel[3] o mieście, które były poświęcone m.in. tej książce. Wyszłam z tych zajęć i w kiosku na Krakowskim Przedmieściu, w którym było mnóstwo różnych przewodników po Warszawie, była też *Warszawa kobiet*. I właśnie ona, jako element herstorii ukrytej, której w podręcznikach do historii się nie znajdzie, albo herstorii już odkrytej i obecnej w dyskursie, w przestrzeni miejskiej, publicznej, obecnej szerzej niż tylko w herstoryczno-feministycznym świecie – ona stoi w tym kiosku, gdzie ją może złapać każdy, turysta, mieszkaniec, ktoś kto stoi na przystanku obok, ma chwilę czasu i tam zagląda. Ta herstoria jest dostępna.

Natalia: Jaką zmianę chciałabyś zrobić herstorią? W czym?

Agnieszka: Po filmie „Sufrażystka"[4], po dzisiejszym spotkaniu – absolutnie chciałabym zrobić rewolucję [śmiech]. A już na pewno chodzi mi o zmianę na poziomie świadomości, że jest coś takiego jak historia kobiet. Ważne byłoby dowartościowanie tej historii. Mam przed oczami klasę szkolną i podręczniki, szkołę i edukację.

Im dłużej rozmawiamy o herstorii, tym więcej myślę sobie o kobietach, które znam, albo nawet o kobietach w mojej rodzinie – to jest na przykład kawał herstorii do udokumentowania. I może gdyby nie ta perspektywa, którą zdobywam przez to, że jestem w ruchu kobiecym, feministycznym i dzięki temu mogę ją w ogóle poznać, stać się częścią grupy osób, dla których to jest ważne, które w ogóle w ten sposób myślą, mówią, działają – nie byłabym w stanie spojrzeć w ten sposób na to, co jest bardzo własne. Nie byłabym w stanie zobaczyć tej ogromnej wartości. Widzę też, że to po prostu może być dla kogoś ciekawe, a za chwilę być może, że to może być istotne dla kogoś więcej niż tylko ja, moja rodzina.

Ale wracając do szkoły i edukacji, to chciałabym, żeby herstoria była w podręcznikach na równi z historią. Na równi. Żeby to nie był jeden przewodnik po Warszawie, tylko żeby ich było więcej. Żeby było oczywiste i nie wymagało sprawdzania, dbania, przypominania, że piszemy o kobietach w sposób podmiotowy, że w podręcznikach je przedstawiamy z perspektywy ich dokonań, działań – mówimy o nich jako o świadomych, samostanowiących podmiotach, a nie tylko z perspektywy bycia czyjąś żoną, siostrą, matką.

3 Joanna Erbel – warszawska aktywistka miejska, działaczka społeczna, polityczka.
4 „Sufrażystka", reż. Sarah Gavron, Wielka Brytania 2015.

Natalia: Bez czego Twoim zdaniem nie można ruszyć w tego rodzaju herstorycznej pracy, jaką prowadzisz? Jaką bazę Twoim zdaniem trzeba mieć, żeby móc pracować herstorycznie?

Agnieszka: Pierwszą myślą było, że nie da się ruszyć bez pieniędzy [śmiech]. Ale tak naprawdę to bez siły woli, bez tej ogromnej chęci zrobienia tego, po prostu się nie da. W kontekście zmiany społecznej ta siła woli jest bardzo ważna. Zarówno po stronie osób działających na rzecz zmiany, działających świadomie, tworzących czy pracujących z herstorią, jak i tych osób, do których wychodzimy, którym coś proponujemy. Widzę to jako taką sztafetę – także w kontekście tych skarbów, o których mówiłam. Nawet jeśli umknęło kilka ogniw po drodze z różnych powodów, między innymi historycznych (a nie herstorycznych), to nagle to po prostu wskakuje na swoje miejsce.

Ta siła, ta wola jest tym elementem, bez którego ruszyć się nie da. W ten sposób myślę o Sieci herstorycznej, bo ona jest dla mnie źródłem bardzo dużego wzmocnienia i pozytywnie rozumianego kopa do tego, żeby działać i żeby dalej się tym zajmować. Ważny jest też ten element wspólnotowy, współdziałania z innymi osobami, ale też twórczej wymiany, tej różnorodności, o której możemy usłyszeć, możemy popatrzeć, posłuchać, pobyć w niej. Bardzo mi blisko do tego, co padło na jednym ze spotkań Sieci, że to jest świetne, żebyśmy poszły nawzajem na swoje spacery. To jest ten fajny element. Ważną częścią jest też wiedza; myślę, że to ważny element, choć nie jestem przekonana, że jest konieczny. Chodzi mi na przykład o pracę ze źródłami, warsztat historyczny i o to, gdzie wyszukiwać materiały, jak sprawdzać ich rzetelność, jak te materiały przygotowywać. Mam głębokie poczucie, że to są ważne działania, ale to jest nie tylko to. Bardzo potrzebne są działania na różnych poziomach, w różnych formach. Może to być świetnie napisana książka naukowa albo paranaukowa, ale to może być również film albo gra miejska, spotkanie, ognisko i wiele, wiele innych rzeczy. Myślę, że wielość form jest świetna, form dostosowanych do potrzeb osób, do których chcemy dotrzeć. Stąd ważne jest zastanowienie się, jakie są potrzeby po drugiej stronie, ale jednocześnie, co ja chcę dać.

Determinacja też jest istotna, szczególnie teraz. Niemniej ten element wspólnotowy jakoś mi tu wskakuje, może bez powodu, może to syndrom powyborczy po prostu[5], ale myślę, że nie tylko. Myślę, że ta współpraca, współdziałanie działa i mam wrażenie, że nie tylko dla mnie.

5 Rozmowa odbyła się 30.10.2015, kilka dni po wyborach parlamentarnych (25.10.2015).

Natalia: Masz doświadczenie współpracy z historyczkami-akademiczkami? Identyfikujesz jakieś różnice między herstorią robioną przez akademiczki a herstorią robioną w ramach oddolnych inicjatyw społecznych?

Agnieszka: W ramach projektu „Całej pensji i połowy władzy" współpracowałam z Anną Nowakowską-Wierzchoś i Iwoną Dadej[6], akademiczkami, które współtworzą Feministyczny Salon Historyczny i to było doświadczenie świetnej współpracy. Ta współpraca dała projektowi ogromną wartość, a mnie samej poczucie wzmocnienia, tj. że mogę się powołać na wypracowane materiały edukacyjne jako na materiały rzetelne historycznie. One takie są dzięki pracy Iwony i Ani. Otrzymałam od nich tyle wiedzy i materiałów, że można by było nimi swobodnie obdzielić film długometrażowy, a ja miałam zrobić tylko tych 20 minut. Pamiętam pisanie scenariusza, przycinanie go, totalną mękę i walkę z reżyserem, że nie wciśniemy już żadnego słowa, bo to jest materiał na dwie godziny, a robimy 20 minut. I że zobaczę, jak do tego i tak przyciętego materiału ciężko będzie nagrać głos. *Chapeau bas* dla naszych lektorów, że dali radę zmieścić to wszystko, co przed nimi położyłam.

Moje doświadczenie pracy z akademiczkami to w związku z tym doświadczenie współpracy, rzetelności, uzupełniania wizji, pomysłu, a potem wyboru materiału – to w przypadku filmu. Ale z drugiej strony myślę, że operowanie argumentem rzetelności jest czymś bardzo niebezpiecznym, czymś, co bardzo łatwo wykorzystać, żeby krytykować inicjatywy herstoryczne. Tymczasem one są bardzo istotne, a wiedza, która powstaje w ramach uznanych instytucji, też jest obarczona błędem, jest obarczona tak czy inaczej subiektywną perspektywą. Co może być też nawet bardziej niepokojące w pewnych sytuacjach, jeśli jest traktowane jako obiektywna, jedynie słuszna wykładnia. Tym bardziej warto, by inicjatywy herstoryczne były różnorodne i żeby robiły je nie tylko osoby związane z akademią, ale też osoby, które robią to z pasji i bez dyplomu, żeby tych perspektyw była wielość i żeby herstoria była nie tylko dla akademii, ale też dla wszystkich innych. By trafiła „pod strzechy".

Podobnie w kontekście różnych sposobów dotarcia: akademicy dotrą do pewnej grupy, a ktoś zrobi np. grę miejską albo warsztaty dla przedszkolaków i dotrze do zupełnie innych osób. Moim zdaniem, trzeba rozgraniczyć między ideałem rzetelności a tym, żeby przekaz był czytelny, językowo zrozumiały. I żeby

6 Iwona Dadej, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii na podstawie pracy doktorskiej pt. „Sieci powiązań i organizacji międzynarodowych niemieckich i polskich akademików w okresie międzywojennym" w Instytucie Europy Wschodniej na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie. Współtwórczyni (razem z Anną Nowakowską-Wierzchoś) Feministycznego Salonu Historycznego.

mieć z tej pracy satysfakcję, radość z tego, co się robi, ale też żeby osoby, do których ta praca trafia, też miały tę satysfakcję, radość – po prostu przyjemność. A kiedy myślę o działaniach *stricte* naukowych czy edukacyjnych związanych z realizacją programu, przyswojeniem tzw. materiału, to tam przyjemność jest taką kategorią na drugim planie.

Natalia: Jakie masz swoje herstoryczne marzenia?

Agnieszka: Z jednej strony chciałabym, żeby herstoria trafiła do mainstreamu. Choć kiedy o tym myślę, to nie mógłby to być taki mainstream jak dzisiaj. Ale wyobrażam sobie np. gadżety z naszymi bohaterkami, Prababkami, feministkami, sufrażystkami, tak popularne jak np. te z Supermanem. Trochę to żart, a trochę marzenie. Bo w tym mainstreamie kobiety musiałyby być traktowane na równi z mężczyznami, ich działania docenione, z miejscem w podręcznikach, na lekcjach, w muzeach, w programach TV, w wielkich hollywoodzkich produkcjach. Tylko, czy to jest możliwe? Czy to będzie TA herstoria? Z drugiej strony, gdy pomyślę o filmie, w którym rdzenni Amerykanie odpowiadają jednym słowem na pytanie o skojarzenia z Krzysztofem Kolumbem („zło", „najeźdźca", „ból", „ludobójstwo", „morderca", „ignorancja" itd.)[7], to budzi się we mnie nadzieja, że tak może być i że podobnie jak historia kolonizacji Ameryki Północnej, także herstoria odzyska należne jej miejsce w głównym nurcie. Chciałabym, by dyskurs o kobietach w tej herstorii był dyskursem o kobietach, o kobiecie jako o równej, równej równemu, równej równym, a nie o nieobecnej, zestereotypizowanej czy ewentualnie o ofierze.

A moje plany? Chciałabym prowadzić zajęcia dla młodzieży z elementami herstorii, inspirować. Chciałabym, aby sławne kobiety z minionych wieków i lat mogły być dzięki takim zajęciom wzorami, *role models* dla nas współczesnych, ale właśnie dla młodych. Nie takimi sztywnymi, niedoścignionymi, tak doskonałymi, że aż nierealnymi. Niech inspirują do działania, oglądajmy je przez pryzmat tego, jak udawało im się działać, pokonywać trudności, przez pryzmat także ich zwykłej, ludzkiej codzienności. Takie autorytetki z ludzką twarzą. Marzą mi się też stypendia naukowe, miejskie, fundacyjne, odznaczenia państwowe nazwane imionami tych kobiet, moich, naszych bohaterek.

7 Film „One Word – Episode 25: Christopher Columbus (Native Americans)", https://www.youtube.com/watch?v=fYTXRDtYzYc (dostęp 15.01.2016).

Natalia: Gdybyś miała dać wskazówki osobom, które dopiero zaczynają albo chciałyby zacząć swoje działania herstoryczne, to co by to było?

Agnieszka: Najpierw? Pasja, fascynacja, ten wątek, który pociąga, interesuje, inspiruje, każe wracać, działać, podążać za odkrywaną herstorią, za odkrywaną opowieścią. Na pewno determinacja. Warto mieć również kilka scenariuszy na różne sytuacje. Z mojego organizacyjnego doświadczenia takie scenariusze wyznaczają np. pytania: jeśli chcę zrobić projekt i składam wniosek o dofinansowanie tego projektu, to czy w razie czego będę mogła nieco obciąć jego budżet i nadal zrealizować działania? Czy mogę szukać finansowania w różnych instytucjach, w razie gdyby w pierwszej się nie powiodło? Czy są działania, które mogę podjąć, np. korzystając z crowdfundingu albo zupełnie bez wynagrodzenia?

Na pewno warto też poszukać osób, które już działają w temacie, który nas interesuje czy w dziedzinie herstorii. To nam może pozwolić dotrzeć z naszymi działaniami do szerszej i zainteresowanej, entuzjastycznej publiczności. A po drugie, te osoby dzięki swojemu doświadczeniu mogą nas wesprzeć w początkach drogi, doradzić, podzielić się wiedzą. Może nawiążemy z nimi koleżeństwo czy przyjaźnie i godzinami będziemy mogli i mogły rozmawiać o fascynujących działaniach i herstoriach, na których ślad natrafiamy?

Warto też zastanowić się, w jaki sposób, w jakiej formie i na jakich zasadach chcemy działać: indywidualnie albo w grupie, nieformalnie czy w sposób sformalizowany, zawodowo lub hobbystycznie? Ale oczywiście każda herstoria toczy się swoją drogą i może nas jeszcze zaskoczyć.

Rozmowa odbyła się 30 października 2015 roku na Saskiej Kępie w Warszawie.

opis inicjatywy

Całej pensji i połowy władzy W latach 2012–2013 Fundacja Feminoteka realizowała przy wsparciu Boeing Company projekt „Całej pensji i połowy władzy". W rezultacie powstał barwny film dokumentalny i publikacja edukacyjna pod tym samym tytułem. Przedstawiają losy pierwszych polskich sufrażystek, które walczyły i zabiegały o to, by Polki zajęły należne im miejsce na uniwersytetach, w polskim Sejmie, Senacie, na stanowiskach i w zawodach zarezerwowanych dotąd, ze względu na prestiż, tylko dla mężczyzn.

Ponadto, w publikacji czytelniczki i czytelnicy znajdą informacje o tym, jak od przełomu XIX i XX wieku po dziś dzień zmieniała się sytuacja kobiet w nauce, na rynku pracy, w polityce, w dostępie do sprawowania stanowisk i pełnienia ról społecznych, jakie niegdyś wydawały się zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn. Książka została opatrzona barwnymi ilustracjami, osiami czasu ułatwiającymi porządkowanie wiedzy i aneksem, w którym uwzględniono dzisiejsze regulacje prawne zapewniające kobietom i mężczyznom sprawiedliwy, równy dostęp do stanowisk i godnego wynagrodzenia za pracę.

Film można znaleźć na YouTube:
www.youtube.com/watch?v=RVblk2cnTdo.

fot. Joanna Kłos

Agnieszka Kłos – liderka projektów: Miasto Kobiet, Breslau CV, Książka za kratę. Dwukrotna stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z dziedziny literatury i teatru. Jest krytyczką sztuki, od 2012 roku członkinią Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki (AICA), fotografką. Publikuje regularnie teksty krytyczne i literackie w magazynach artystycznych i literackich. Jej opowiadania zostały przetłumaczone na język: angielski, niemiecki, serbski, bułgarski. Autorka książek: *Całkowity koszt wszystkiego, Gry w Birkenau*. Pisze rozprawę doktorską o krajobrazie i przyrodzie w KL Auschwitz – Birkenau. Obecnie wykładowczyni na Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu. Obszary zainteresowań: zajmuje się literaturą, nagrywaniem i produkcją przestrzeni dźwiękowych, badaniem pamięci i historii, analizą narracyjną opowiadań i snów oraz ich związkami ze światem cyfrowym.

AGNIESZKA KŁOS

CHYLĘ CZOŁA PRZED TYM BETONEM

Z Agnieszką Kłos, twórczynią inicjatywy Miasto Kobiet z Wrocławia, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Czym jest i jak się zaczęło Miasto Kobiet, czyli Twoja inicjatywa związana z historią kobiet, z pamięcią o kobietach?

Agnieszka Kłos: To ma cztery lata. Od dłuższego czasu pracowałam na rzecz historii Wrocławia, w ramach projektu, który nazwałam Breslau cv. Podzieliłam w nim historię miasta na dwa moduły, przed i po II wojnie światowej. Od czasu do czasu nasycałam ten projekt historiami kobiecymi, choć w tym moim pierwszym podejściu wątków kobiecych było mało, ale były bardzo intrygujące. Na przykład takim ciekawym wątkiem były historie kobiet w czasie oblężenia Breslau. Wiązały się najczęściej z poczuciem ich ogromnego zmęczenia i chęcią poddania tego miasta; one były rozstrzeliwane jako buntowniczki. To mnie bardzo intrygowało, ale te historie pojawiały się i znikały, a ja wracałam do głównego wątku, tj. projektu Breslau cv/Wrocław. W którymś momencie ze strony moich koleżanek pojawiło się pytanie, oczekiwanie i pomysł, byśmy zajęły się już konkretnie historią samych kobiet, bez względu na to, czy związanych z Breslau, czy z Wrocławiem, niezależnie od tego tła.

Zaczęłam o tym rozmawiać i okazało się, że rzeczywiście możemy powołać taką nieformalną inicjatywę, która mogłaby się skoncentrować na takim pomyśle. Zrobiłyśmy spotkanie w Muzeum Współczesnym Wrocław, zaprosiłam Olgę Tokarczuk, Ewę Miszczuk, Krysię Lasotę, Martę Mizuro[1]. Później do inicjatywy dołączyła jeszcze Joanna Lisek, potem Bartek Lis, Łukasz Michoń i Joanna Kłos.

Podczas tego pierwszego spotkania pomysł na działanie przyjął kształt klasyczny, to znaczy Olga Tokarczuk i Marta Mizuro chciały po prostu wydać książkę, ja też bardzo chciałam. Myślałam o tym, że jeśli to ma być taki przewodnik czy też opowieść o mieście, to warto by było mu nadać formę literacką, książkową. Ale też miałam pomysł, że to mógłby być alternatywny przewodnik po mieście z platformą technologiczną. Myślałyśmy o internecie, historii alternatywnej w postaci kalendarza elektronicznego, o wzajemnym przenikaniu się świata realnego z cyfrowym: mapach, przewodnikach na smartfony, etc. Ale

1 Spotkanie „Habeas City: Miasto Kobiet", Muzeum Współczesne Wrocław, 17.05.2012.

„trzon literacki" projektu ciągnął bardziej w stronę książki. Panowie, którzy pojawili się w inicjatywie, widzieli ten projekt bardziej w kategoriach alternatywnej historii, nie skupionej przede wszystkim na wątkach herstorycznych, ale gejowskich, powiązanych z queerem. Niektórzy stwierdzili, że to zbyt szerokie ujęcie, że nie nadszedł jeszcze na to czas, że najpierw powinno się mówić o herstorii, a dopiero potem o poszerzaniu definicji kobiecości. Oczywiście były też pomysły alternatywne, np. zwiedzania antropologicznego. Chodziło o określanie miasta przez pryzmat narzędzi kulturoznawczych, antropologicznych, czyli historię performatywną, wykorzystującą narzędzia teatralne, związane z ideą spektakli ulicznych, badań społeczności miejskich, zawodów, animacji społecznej. Pojawił się głos dolnośląski, który wołał o pamięć dotyczącą całego regionu, a nie tylko jednego miasta. To były pierwsze pomysły.

Zorganizowaliśmy spotkanie z dr Andrzejem Dębskim, z którym podjęliśmy się rekonstrukcji epoki kina niemego, w czasie której kobiety miały głos. Były właścicielkami pierwszych kin w Breslau, ale także pierwszymi widzami niemej rozrywki. Odnajdywanie miejsc na mapie niemych kin w mieście wiązało się nie tylko z rozmową o wolnym czasie kobiet, ale także pieczeniem i próbowaniem precli, które sprzedawano w tych kinach w Breslau. Bardzo aktywna okazała się w tym czasie grupa związana ze szlakiem kobiet żydowskich. W Zakładzie Studiów Żydowskich Uniwersytetu Wrocławskiego odbyły się spotkania, wykłady i szkolenia dotyczące budowania szlaku. Przede wszystkim byli nim zainteresowani studenci Joanny Lisek, którzy opracowywali ścieżki związane m.in. z ulicą Włodkowica[2]. Te działania toczyły się już później w podgrupach, w mniejszych gronach osób. Olga zajęła się książką, w zasadzie duchowo nas opuściła, Marta też zajęła się pisaniem swoich pozycji. I właśnie wtedy, w październiku 2014 roku, Miasto Kobiet dostało zaproszenie od Przestrzeni Kobiet do Sieci herstorycznej, a projekt wszedł w zupełnie inną przestrzeń – ogólnopolską.

Cała ta rozmowa, którą toczyliśmy w Muzeum i później, dotyczyła podstawowych kwestii, które nieustannie zarówno badacze, jak i animatorki społeczne muszą w swojej pracy definiować. Pojawiły się pytania metodologiczne, np. czy to ma być przewodnik, czy to ma być spacerownik? W oparciu o co my właściwie pracujemy – o historię? O pamięć? Czy bardziej interesują nas problemy tożsamościowe? Jak definiujemy kobiecość? Czy chodzi nam tylko wyłącznie o płeć, czy też np. zawody kobiece, które wykonywali mężczyźni? Czy można przejąć rolę kobiecą lub męską

2 Ulica Włodkowica to niegdyś ulica żydowskich handlarzy, dziś część Dzielnicy Tolerancji. Przed II wojną światową nosiła nazwę WallStraße. Dawniej działało na niej Żydowskie Seminarium Teologiczne. Dziś również znajduje się tu Synagoga Pod Białym Bocianem i siedziba Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu.

w historii? Debatowaliśmy głównie w oparciu o takie pytania. Oczywiście interesowały nas również historie przewodników, to bardzo ciekawe zagadnienia, np. historie przewodników literackich czy przewodników związanych z konkretnymi postaciami, np. pomysł Witkiewicza dotyczący przewodnika po Warszawie, on pierwszy chciał stworzyć taki przewodnik po mieście; wreszcie idea samych przewodników, które powstawały w średniowieczu i były oparte o takie kategorie jak: jedzenie, spanie i stosunek do przybysza. Takie przewodniki jako pierwsze w Europie tworzyli żacy, którzy wędrowali od uniwersytetu do uniwersytetu i musieli się po drodze zatrzymywać. A może nam zależało na tym, żeby stworzyć bedekery, a więc przewodniki mówiące o tym, jak miasto zwiedzać, jak je poznawać? Jak powinny być skonstruowane te przewodniki? Kiedy przewodnik staje się słownikiem, słownikiem biograficznym? Czy możemy aktualizować przewodniki, kto miałby się tym zająć? Kto jest w ogóle redaktorem czy autorem przewodnika, jego autorką? Czy sam wybór autorów nie jest stronniczy? Jaka jest rola tych, którzy są wyłączeni z przewodnika? Czy każdy może być przewodnikiem? No i wreszcie: rola przewodników ludzkich, a więc nie – martwych przedmiotów, które są wyłącznie nośnikami zapisu, tak jak w wypadku strony internetowej czy telefonu lub książki. Czy też chcemy same stać się przewodniczkami i same generować treść? Tych rozmów było bardzo dużo.

W gąszczu tych pytań, rozmów, strategii narracyjnych pojawiło się bardzo dużo różnych grup. Te głosy się wzajemnie wykluczały. Jako liderka tego projektu w którymś momencie zaczęłam mieć taką refleksję, że te głosy są bardzo różne i że być może warto, żeby te inicjatywy się uzupełniały – być może nie warto wybierać tylko jednej drogi. W związku z tym pomyślałam, że podobnie jak Breslau cv, można byłoby podzielić tę inicjatywę herstoryczną na moduły, które się ze sobą skomponują w wielogłos. Wydaje mi się, że właśnie w zapisie wielogłosu wzajemnie dokomponowujących się różnych wartości, szlaków, narracji i języków leży istota opowiadania o mieście. Miasto jako instytucja i zjawisko jest wielogłosem. Uznałam, że właśnie w ten sposób będziemy budowały ten nasz projekt, czyli np. w oparciu o szlak Żydówek, szlak mniejszości niemieckiej, szlak zawodowy, szlak artystek, szlak emancypantek... Nie będziemy tego sztywno określać, np. jako słownik biograficzny kobiet, które żyły w jakimś szczególnym okresie czasu. Uznałyśmy, że to nie wyczerpuje tego, na czym nam zależy. Grupa była bardzo dynamiczna i każda z nas trochę inaczej czuła się w związku z danym medium, niektóre chciały mieć klasyczną książkę, która zresztą niesie w sobie kłopotliwą rzecz, to znaczy dezaktualizuje się szybko.

Pamiętam, że próbowałam to wszystko opisać, zawrzeć, na nowo zdefiniować i jakoś określić w tekście *Miasto pierwszego razu*, który ukazał się w książce *Summa* Muzeum Współczesnego[3]. Ten tekst jest dostępny i wydaje mi się, że jest pomocny przy tego typu rozważaniach, ponieważ pokazuje strategie narracyjne i wobec herstorii, i wobec klasycznych przewodników związanych z miastem. Pokazuje też pewien fenomen, modę, która się tworzy wokół tych przewodników, wokół takich ścieżek, gdzie każdy chce zapisać swój ślad lub odkryć go w przestrzeni miasta. To są oczywiście nietrwałe, znikające ślady i one bardziej wiążą się z zapisem tożsamości, która też jest nietrwała, bo właściwie te nośniki giną, ludzie umierają, grupy się kruszą. Trudno o taki trwały zapis w mieście jednej skończonej narracji czy jednej skończonej tożsamości.

Sama zaczęłam zastanawiać się nad tym projektem Miasto Kobiet jako nad szkicownikiem. Jako o takich zapiskach na marginesie. To się zaczęło sprawdzać, ludzie zaczęli czytać te historie kobiet jako uzupełnienie, jako taką rzecz, która jest zapisana marginesowo, jako ciekawostkę. Wydawało mi się to fascynujące, że w ramach Breslau cv, czyli tego projektu macierzystego, z ogólnej historii można było wyodrębnić taką jednostkę jak Miasto Kobiet, które opowiada ładną, bardziej intymną historię, skupioną na detalach: historię innych wątków niż te, które są być może bardziej znane. Dlatego, kiedy reklamowałam Miasto Kobiet w ramach Breslau cv, to mówiłam, że to jest „Miasto naszych sióstr", które istnieje i o którym warto pamiętać, i mieć je w swojej głowie.

Natalia: Opowiedziałaś o dużej dyskusji, która miała miejsce przy wykuwaniu się kształtu projektu. Czym teraz jest Miasto Kobiet?

Agnieszka: Te regularne spotkania Sieci herstorycznej od jesieni 2014 roku w projekcie Przestrzeni Kobiet, w tak dużym gronie autorek innych działań herstorycznych, traktuję jako historię ratunkową dla Miasta Kobiet, jako historię holowniczą. W którymś momencie uznałam, że jeżeli ten projekt nie ma pierwotnej dynamiki, to należy odpocząć. Jestem zwolenniczką naturalnego sposobu traktowania energii takich działań: jeżeli coś się wyczerpuje, to warto odczekać i być może coś wtedy się pojawi. Ten fakt, że Miasto Kobiet zostało zaproszone do Sieci i do współpracy w jej ramach, i że znalazło się na mapie, dał impuls do spostrzeżenia, że być może warto tę rzecz odświeżyć, odkopać, ponownie przyjrzeć się tym kategoriom, o których dyskutowaliśmy w Mieście Kobiet wcześniej. Tak się rzeczywiście stało, bo znowu

3 A. Kłos, *Miasto pierwszego razu*, [w:] *Summa*, pod red. B. Lisa, Muzeum Współczesne Wrocław, Wrocław 2014.

pojawiły się rozmowy, pojawiły się również narzędzia. Przyszła część odpowiedzi na pytania i zobaczyłam różnorodność w podejściu do strategii opowiadania o historii kobiet u innych koleżanek w Sieci, z Polski, ze wsi, z miast.

Teraz Miasto Kobiet wraca do najważniejszych rzeczy, po pierwsze koncentrując się na szlaku żydowskich kobiet, po drugie artystek, które zawsze nam towarzyszyły, po trzecie historii regionu Dolnego Śląska. Myślimy także o tym, żeby zrobić wydanie książkowe tej wiedzy, którą posiadamy i tych historii, które są nam bliskie. Nie zajmowałyśmy się dotąd opracowywaniem biograficznym postaci – w tej części kraju jest to kłopotliwe i trudne, bo musimy korzystać ze źródeł historycznych i archiwaliów, które są po niemiecku, hebrajsku, w jidysz. Po części więc język jest barierą, a sama tożsamość jest definiowana zupełnie inaczej. Rozmawiając o granicy między Breslau a Wrocławiem, dostrzegłyśmy, że wymiana ludności po II wojnie światowej bardzo zmieniła punkt naszego zainteresowania. Wiadomo, że historie do II wojny obracają się wokół tematów niemieckich, mniejszości żydowskiej i polskiej. A żeby to była scalona historia Breslau i Wrocławia, żebyśmy my, kobiety z 2015 roku się w niej odnalazły, musiałaby to być historia skoncentrowana na przykład wokół zagadnień: życie i praca lekarek, artystek, pisarek, robotnic. Albo też posługując się na przykład kategorią antropologiczną – właśnie przestrzeń uczynić jedną z takich kategorii, bo przecież żyjemy w tych samych przestrzeniach. One się zmieniły, bo zmienił się układ urbanistyczny, ale jesteśmy wspólnymi użytkowniczkami tego miasta. Więc kategorie podstawowe, związane z życiem w mieście, zaspokajaniem potrzeb, używaniem miejsc, kawiarni, kin, teatrów, kąpielisk, promenady, po której idziemy – to wszystko są podstawowe kategorie bez względu na epoki. To zrozumiałyśmy.

Natalia: To pomaga zobaczyć też ciągłość. Mówisz, że wróciła energia, żeby odświeżyć Miasto Kobiet. Bardzo duże wrażenie na mnie zrobiły Wasze pytania, nad którymi prowadziliście dyskusje. Ta duża uważność i rozebranie kwestii przewodnika na różne perspektywy są bardzo inspirujące.

Agnieszka: Ta pierwsza grupa w Mieście Kobiet składała się z osób, które zawodowo zajmują się konstruowaniem narracji, tworzeniem historii, opowiadaniem, fotografowaniem i pisaniem. Zdawałyśmy sobie sprawę, jak wiele zależy od perspektywy, którą przyjmujemy. Miałyśmy głęboką świadomość, że jeżeli mówimy, to zawsze mówimy z określonego miejsca i że to nie jest obiektywne, nigdy takie nie będzie. Nie chciałyśmy absolutnie powiedzieć, że rościmy sobie pretensje do opowiadania historii obiektywnej, bo nawet do końca tej historii nie znamy. Druga

rzecz to jest wrażenie amatorskości. Czułyśmy się amatorkami historii. Żadna z nas nie jest historyczką z wykształcenia. Miałyśmy więc poczucie, że nie mamy narzędzi, że możemy to opowiedzieć z perspektywy anegdoty, ale że nie umiemy opowiadać historii jak historycy. Pamiętam, że myśmy wtedy poświęciły dużo czasu na rozmawianie o tym, że się na tym nie znamy. Nawet pamiętam pierwsze próby i to były takie próby zakłopotane: ale o czym mamy opowiadać? Przecież nie wiemy, nie znamy się, nie umiemy pracować w archiwum, nie mamy przygotowania, które mogłoby nam pomóc opowiedzieć te historie, ponieważ nie jesteśmy wykształconymi historyczkami. Pamiętam, że to też była ta część rozważań, które nam wtedy towarzyszyły.

Natalia: Teraz jakoś inaczej o tym myślisz? Że „umiemy"? „Nie umiemy"?

Agnieszka: Teraz widzę, że te kwestie, które poruszałyśmy, są typowymi składowymi pewnego procesu. Wydaje mi się, że kiedy osoba zaczyna pracować z historią i pamięcią, to właśnie przez ten proces przechodzi i znajduje się w punkcie, który wydaje mi się teraz bardzo bliski, czyli: możemy i mamy prawo mówić z własnej perspektywy, określając ją jako taką. Możemy sobie wybrać rzecz, na której się jakoś znamy albo zaczynamy się na niej znać, która jest nam bliska. Mam na myśli np. życie artystyczne albo życie w tym konkretnym mieście. Konkluzja tych rozmów i stan na dziś jest taki: możemy zajmować się wycinkami historii, na których się znamy. Perspektywa współczesna chyba nie jest gorsza – to, że my jesteśmy tak skonstruowane, że mamy takie narzędzia, a nie inne, to nie musi czynić naszych opowieści gorszymi od klasycznego opracowania historycznego. Tym bardziej, że po drodze już wiedziałyśmy, że taka obiektywna historia może po prostu w ogóle nie istnieć.

Wiemy jeszcze jedną rzecz na pewno, tzn. że nie wypełnimy nagle tej luki, nie zaspokoimy wszystkich ludzi, nie załatamy dziur. Nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć szybko na pewien niebyt tej historii. Możemy tylko powiedzieć coś ze swojej perspektywy. Ja się już z tym pogodziłam. Wszystkiego nie da się opowiedzieć, to byłoby obsesyjne i na niewiele by się zdało. Właśnie w ten sposób budowane są słowniki, w ten sposób zbudowana jest encyklopedia dostarczająca podstawową wiedzę na każdy temat. Ale ja się do takiej pracy nie nadaję, do wypełniania ogólnego, mówienia, formułowania takich cegiełek. Kieruję się własną ciekawością. Jeśli mnie coś interesuje w tej historii, to chciałabym właśnie za tym iść.

Natalia: Mówisz też o subiektywności, a ciekawość jest bardzo blisko spokrewniona z subiektywnością, z własnym odbiorem,

z własną perspektywą. To jednak na sobie, na swojej osobie, na swoich tożsamościach, zainteresowaniach, ciekawościach, wiedzy buduje się opowieść o przeszłości.

Agnieszka: Tak i to jest autentyczne! Bo wtedy jesteś w stanie z pasją, z energią do tego przystąpić i wydaje mi się, że wtedy stajesz się niejako rzeczniczką, specjalistką w tej dziedzinie. Twoje zaangażowanie czyni cię bardziej energetyczną osobą, bardziej skoncentrowaną na zdobywaniu wiedzy czy znaczących faktach, związanych na przykład z biografią.

W tej pracy zauważyłam, że warto być bardzo delikatną i ostrożną. Nie można nadawać własnej potrzebie zajmowania się historią kobiet znamion ogólnego manifestu. Pomysł związany z Miastem Kobiet jest założeniem bardzo subtelnym. To nie jest żaden manifest, nie chodzi o reorganizację i zmianę jakiejś wielkiej przestrzeni społecznej, historycznej. Na tym mi zupełnie nie zależy. Jeśli ktoś uważa, że ta historia jest nieważna, to niech tak uważa. Ona jest ważna dla mnie, ale ja nie mogę przekonywać, że ona jest w ogóle i dla wszystkich ważna. Kobiety-artystki, twórczynie ze starszego pokolenia, kiedy się sugeruje, że one są wykluczone, że ich historie są nieobecne, protestują. One nie czują się wykluczone. Maria Zmarz-Koczanowicz, której historia została przy jakiejś okazji określona jako „nieobecna", powiedziała mi, że ona jest widoczna tam, gdzie ktoś ma ochotę ją poznać i że nie musi widnieć na plakacie wyborczym, nie musi być w ten sposób eksponowana. To jest jej głos. I tym głosem daje odpór takiemu przekonaniu, że „ja mam misję, muszę kogoś wydobywać z zapomnienia, muszę ocalić świat".

Będąc w kontakcie z różnymi inicjatywami, z różnych miejsc, z różnymi typami działań związanych z aktywnością kobiet w przeszłości, zauważyłam, że cel niektórych dotyczy szerokiej zmiany społecznej. Ja mam poczucie, że na siłę niczego nie muszę robić ani zmieniać. Dla mnie kategoria herstorii jest ciekawa, bo ona może mi coś w ładny sposób opowiedzieć, przedstawić rzecz, która była nieobecna albo była bardzo ciekawa, a mimo to nieistniejąca w świadomości. Ale muszę Ci powiedzieć, że nie wiem do końca, czy te historie podobają mi się dlatego, że są herstoryczne. Bo jeśli chodzi o moje zainteresowanie historią, miastem i regionem, to historia kobiet jest jednym z elementów, tylko jedną z cegiełek, dzięki którym komponuję te trzy elementy. Nie umiałabym pracować w oparciu tylko i wyłącznie o to narzędzie: bardzo często coś, co mnie pociąga, nie ma konkretnego związku z herstorią. No i to nie ja jestem ważna w tej historii, ale narracja albo jakieś związane z miastem wyobrażenie lub wydarzenie, które jest fascynujące.

Natalia: Mówisz o subiektywności, a jednocześnie znaczenie własnej osoby, własnej tożsamości, własnej historii, być może także własnej płci, nie ma dla Ciebie tak dużego znaczenia?

Agnieszka: Zauważyłam, że moje koleżanki z różnych inicjatyw w Sieci bardzo często definiują perspektywę herstoryczną w oparciu o czynniki osobiste, np. że one są kobietami, więc zajmują się herstorią. U mnie takie przełożenie nie istnieje. Nie wierzę, że ta historia będzie kiedyś historią obowiązkową, choć uważam, że to wspaniałe narzędzie. Jest nieoczywiste, zaskakujące, świeże, przewrotne, potrafi odkryć i nazwać piękne, nieznane historie. W tym jego energia. Jestem jednak gorzko przekonana, że perspektywa mniejszości zawsze będzie mniejszości i zawsze będzie mniejszościowa.

Natalia: A jak w takim razie myślisz o celu herstorii dla Ciebie? Jak w ogóle myślisz, co jest celem tej perspektywy?

Agnieszka: Mnie się wydaje, że narracja herstoryczna i cały ten zasób, który wypracowujemy swoimi projektami, korzystając z doświadczeń dawnych kobiet i ich biografii, koncentruje się w gruncie rzeczy na miękkich narzędziach, które są świetne, jeśli chodzi o wykorzystanie ich do pracy z biografią, pracę z pamięcią, z przestrzenią regionu czy miasta. Z tym wszystkim, co związane z życiem człowieka. To jest znakomite narzędzie edukacyjne, ja przynajmniej wykorzystuję je na co dzień w pracy ze studentami, pokazując im, że istnieje jeszcze jedna perspektywa, dzięki której mogą pięknie opowiedzieć o swoim mieście, wsi, o miejscu, przestrzeni, aranżując wystawy albo pracując z tożsamością czy biografią artystek. Że to może być coś bardzo odkrywczego i świeżego. Projekty związane z historią kobiet wydają się wciąż świeże, awangardowe, zasilane energią projektów amatorskich i profesjonalnych. Bo są amatorskie w dobrym tego słowa znaczeniu, tzn. nieskażone pewną sztampą. Mnie się to bardzo podoba, więc często razem ze studentami podpatruję, co się dzieje w innym mieście. Ostatnio nasze zajęcia wyglądały w ten sposób, że poruszaliśmy się śladami wirtualnego Krakowskiego Szlaku Kobiet, który zaproponowałyście w Krakowie, a także wędrując w sieci po innych inicjatywach z miast i wsi w Polsce. Udało nam się porównać sposoby, w jaki artyści i artystki związane z danym miastem mówią w swojej twórczości i jakie to znajduje zaskakujące odzwierciedlenie w szlakach herstorycznych, w herstorycznej narracji tych miejsc. Okazało się, że to, jak artyści, artystki czują daną przestrzeń i miasto, jak definiują własną tożsamość, znajduje swoje niezwykłe potwierdzenie w rodzajach szlaków, które ktoś, być może zupełnie nieświadomie, rekonstruuje. Bardzo mi się spodobało, że ktoś mówiąc nieartystycznym

głosem, opowiada miasto i opowiada je tak, jak gdyby to opowiadała w swojej sztuce Szapocznikow, Kobro czy Tokarczuk. To jest zupełnie niezwykłe. Herstoria wydaje mi się bardzo intuicyjna w postrzeganiu i rejestracji przestrzeni miasta, miejsca, tożsamości tego, co nowe, dopiero rodzące się. Dla mnie to znak, że w grupach, które zajmują się herstorią, są osoby stawiające na te niezwykłe narzędzia, z których korzystają na co dzień artyści. Ułożyło mi się to w piękne, inspirujące zajęcia wędrowania, definiowania sztuki, która powstawała w Łodzi, Warszawie, Krakowie, Poznaniu, konstruowania głównych motywów wypowiedzi artystów i artystek z Wrocławia, Gdańska, tak jak je widzimy, tak jak potrafimy je spostrzec. A potem nagle odnajdowaliśmy te wszystkie ślady w zapisach szlaków albo motywach herstorycznych. To było dla mnie niebywałe. Pracowałam w ten sposób ze studentami i muszę powiedzieć, że ich pojęcie przestrzeni, odczucia związane z definicją miejsca, poczucie przyszłej pracy, roli kuratorów, krytyków czy samych artystów, bardzo się mocno wzbogaciło dzięki narzędziom herstorii. Dla mnie zatem herstoria pozostaje zasobem edukacyjnym. A z drugiej strony, kiedy poruszam się po tym mieście, po moim Wrocławiu, dla siebie samej czy dla grupy ludzi, którzy razem ze mną zwiedzają to miasto lub po prostu interesują się historią, zawsze te elementy związane z herstorią jakoś się pojawiają, ludzie o nie pytają. Oczywiście częściej pytają, jeśli są kobietami, to jest wiadome, że wówczas interesują się „swoją własną" biografią w czasie i przestrzeni.

Natalia: Mam pytanie, które w tych wywiadach zadaję rzadko, ale różne jego wątki się przebijają w tym, co mówisz: czy historia kobiet, projekty herstoryczne mają pomóc uzupełnić mainstreamową historię? Mają ją przeorać, wprowadzić nowe, mniejszościowe narracje i je skanonizować? Czy jeszcze na jakiś inny sposób ta perspektywa powinna wejść do przestrzeni pamięci i do historii? Mówisz o tym, że perspektywa herstoryczna jest uzupełnieniem różnych spojrzeń, ale te spojrzenia, o których mówisz, też są alternatywne, to nie są mainstreamowe perspektywy.

Agnieszka: Mnie się cały czas wydaje, że gdyby nie ten kamienny mainstream, gdyby nie ten główny kanon, to nigdy by mnie nie było i nie byłoby alternatywy. Głęboko chylę czoła przed tym betonem, ponieważ on mi daje, po pierwsze, poczucie odniesienia, gdzie jestem w danej chwili, po drugie: zawsze mogę w niego walić. To jest dla mnie komfortowa sytuacja: sprzeciw wobec tradycji i sprzeciw wobec tego, co było i co zostało ułożone według mnie niezdarnie i źle, powoduje, że ja mam robotę. Gdybym była otoczona samą alternatywą, to bym oszalała, ponieważ taka definicja wolności jest piekłem w moim przekonaniu. Tymczasem

mam poczucie absolutnej wolności, bo wiem, w jaki sposób mogę dekonstruować rzeczywistość i fantazmaty. Z tego powodu zostawiłabym historię, kanon i mainstream osobowościom wywrotowym, które mają ochotę na świeżość. Narracje alternatywne są piękne właśnie dlatego, że pozostają spojrzeniem z boku, są dziewicze, niezawłaszczone, niezamienione w beton. Nie stanowią centrum. Współczuję centrum, ponieważ centrum jest zawsze zagrożone, zawsze oblężone, wobec centrum łatwiej o niezgodę. I wobec centrum, i w centrum robi się paskudną robotę: zabiegi upolityczniania, zabiegi związane z rytuałami i wartościami religijnymi. Odnoszę wrażenie, że gdybyśmy dożyły momentu, w którym herstoria stałaby się czymś głęboko obowiązującym, a nawet kanonicznym, być może byłybyśmy pierwszymi osobami, które musiałyby się wobec tej herstorii zdystansować, a nawet ją podważyć. Albo musiałybyśmy tkwić w pozycji klasyków atakowanych przez młodzież, która krzyczy: „Dajcie nam wreszcie religię w szkole! Dajcie nam odetchnąć od tej alternatywy! Dajcie nam więcej klasyki! Dajcie nam spokój z tymi wywrotowymi herstoriami!". Dla samej świeżości herstorii, poczucia wolności i pewnej sprawczości, która daje swoim autorkom, warto chronić jej rezerwat, tę dziwną inność, związaną z jej obszarem. Ma ona swój urok. Poczucie posiadania swojego poletka, do którego nikt się nie wtrąca. To jest sytuacja uprzywilejowana. Wiele spośród liderek projektów Sieci postrzegam jako osoby, które lubią eksperymentować, którym zależy na stworzeniu nowej wartości, wypracowaniu własnego języka i własnego sposobu opowiadania. Podejrzewam, że gdyby chcieć skanonizować efekty ich badań i aktywności, mógłby nastąpić efekt „wielkiego odwrotu" ze stratą jednostek walecznych i dzielnych w sytuacji opresji. Być może część grupy straciłaby swoją energię już w momencie otrzymania potężnych grantów i posad. Znane są sytuacje w historii, kiedy młodzi, awangardowi twórcy stali się urzędnikami w garniturach na garnuszku państwa. Więc chyba cieszymy się w gruncie rzeczy, że nie zestarzał się nigdy Baczyński i nie widzieliśmy grubego Wojaczka na emeryturze.

Być może herstoria jest nieodzownie związana z tą niepoprawnością, byciem w swetrze, bez etatu. Pozostaniem kimś, kto może skomentować, ale nie musi, bo nie jest niczyim rzecznikiem. Nie ma przymusu, może ją rzucić i odejść do konstruowania zupełnie innej narracji i innej historii. Właśnie w tym poczuciu wolności i braku hierarchicznej władzy upatruję najwięcej piękna w tej herstorii. Nikt nie ma szefów i odgórnej instancji, która komuś mówi, że „herstoria jest tym i tym". Fakt, że my nieustannie wypracowujemy tę rzecz, że jesteśmy taką żywą tkanką, wydaje mi się sytuacją komfortową. Wierzę, że wiele spośród nas ceni sobie w gruncie rzeczy taką sytuację i funduje ją sobie na co dzień i w życiu, i pracy zawodowej. Chyba mogę ten stan pracy

porównać do zespołu latającej redakcji, która pozwala Sieci herstorycznej swobodnie konstruować swoje eksperymentalne opowieści i wykonywać pracę, czasem zupełnie niezrozumiałą dla innych.

Rozmowa odbyła się 2 października 2015 roku podczas spaceru Promenadą Staromiejską we Wrocławiu.

opis inicjatywy

Miasto Kobiet to jeden z modułów Breslau CV – projektu ratującego pamięć o wielokulturowej przeszłości Wrocławia. Głównym założeniem projektu jest opowiadanie historii Wrocławia ustami młodych i najstarszych jego mieszkańców i mieszkanek oraz tych, którzy w wyniku wojny musieli opuścić to miasto (Żydów i Niemców), a także tych, którzy tu przybyli (kresowiacy, lwowiacy). Historie zamknięte we wspomnieniach, pamiętnikach, listach, przedmiotach codziennego użytku, a także przebojach z dawnych lat, zostają w tym projekcie wydobyte z zapomnienia. Inicjatywa łączy pamięć dawnych mieszkańców Breslau z wyobrażeniem o historii, jakie noszą współcześni mieszkańcy i mieszkanki Wrocławia i regionu. Autorki projektu, Agnieszka Kłos i Joanna Kłos, dążą to tego, aby odsłonić pamięć o żywym, pulsującym mieście, bliskim wszystkim jego mieszkańcom bez względu na czas, w którym spędzali swoje dzieciństwo, dorastali i pracowali, lub w którym musieli opuścić miasto, wydobyć z niebytu opowieści pokoleń okaleczonych przez wojnę, bez politycznych odniesień do narodowości, wskazać wspólnotę doświadczeń, miejsc, o które na równi dbają przesiedleńcy i współcześni mieszkańcy, wreszcie – połączyć na mapie miejsca ważne, atrakcyjne dla różnych epok, tożsamości, pochodzenia i wychowania różnych kultur i narodowości, które rysowały doświadczenie miejsca.

fot. Marta Sienkiewicz

Lena Bielska – współzałożycielka i wiceprezeska Fundacji HerStory, gdzie zajmuje się historią i herstorią mówioną, edukacją antydyskryminacyjną i wielokulturową. Doktorantka Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej – swoją pracę doktorską poświęca analizie męskiego ruchu A Call To Men. Trenerka WenDo, założycielka Kolektywu Trenerskiego ZORRA. Prowadzi warsztaty herstoryczne, płeć a media, płeć a kino polskie i amerykańskie, warsztaty antydyskryminacyjne, WenDo – nieustannie szkoli się i rozwija w tych oraz nowych obszarach. Rozmawia, czyta i pisze po angielsku i rosyjsku. Współpracowała m.in. z Fundacją Teatrikon, Ośrodkiem „Brama Grodzka Teatr NN", Stowarzyszeniem Klub XXI Wieku, Fundacją Feminoteka, Stowarzyszeniem Tkalnia, Stowarzyszeniem Inicjatyw Trawnickich, Muzeum Dialogu Kultur w Kielcach, Teatrem Polskim we Wrocławiu, Center For Gender Studies University Of Wroclaw, Stowarzyszeniem Kongres Kobiet i innymi.

fot. archiwum prywatne

Julita Maciocha – wiceprezeska Fundacji HerStory, absolwentka germanistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Dzieli czas między Lublin i Wiedeń, gdzie mieszkała i studiowała Gender Studies. Do jej zainteresowań naukowych należą gender studies, disability studies, krytyka postkolonialna, teologia feministyczna i animal studies. Trenerka antydyskryminacyjna i międzykulturowa, absolwentka Szkoły Trenerów Organizacji Pozarządowych STOP. Prowadzi warsztaty równościowe ze szczególnym uwzględnieniem wrażliwości genderowej. Feministka, działaczka społeczna. Współpracowała z lubelskimi i warszawskimi organizacjami pozarządowymi, m.in z Feminoteką, Homo Faber, Amnesty International. Działaczka kolektywu feministyczno-queerowego w Wiedniu. Miłośniczka grubych książek, kotów i jedzenia. Zainteresowana szeroko pojętą kulturą współczesną. Ciekawa antropologii miasta, zależności pomiędzy przestrzenią publiczną i społeczeństwem obywatelskim. Zafascynowana ideą Formy Otwartej.

LENA BIELSKA, JULITA MACIOCHA

WDZIĘCZNOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Z Leną Bielską i Julitą Maciochą z Fundacji HerStory, współtwórczyniami Lubelskich Szlaków Herstorycznych, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Czym jest Wasza herstoryczna inicjatywa? Na czym się koncentrujecie?

Lena Bielska: Fundacja HerStory, którą założyłam razem z Katarzyną Zabratańską, skupia się na kilku tematach, ale głównie działamy wokół narracji i edukacji herstorycznej, ożywiania tego dyskursu i powoływaniu go czasem do życia po raz pierwszy. Działania w tym obszarze udało się nam rozpocząć z niewielkim grantem na wielki projekt, tj. „Nieznane herstorie Lublina. Artystyczne i kulturowe szlaki Lublinianek". To był nasz pierwszy w Fundacji projekt herstoryczny, zaczęłyśmy też prowadzić na Facebooku profil Lubelskie Szlaki Herstoryczne, gdzie edukujemy o lubelskich herstoriach. Na ten pierwszy projekt składa się kilka działań, tj. oprowadzanie po Lublinie szlakiem herstorycznym śladami lubelskich artystek i działaczek kultury, w większości już nieżyjących bohaterek. Zrobiłyśmy też publikację herstoryczną pt. *Przewodniczka po artystycznych herstoriach Lublina*, na razie tylko w wersji internetowej, ale będziemy starać się także o wydanie papierowe. Organizujemy spotkania, wieczory herstoryczne poświęcone działalności artystek żyjących. Przedstawiamy takie postaci, które są mało znane w środowisku i nie są widoczne w mainstreamie, ale ich praca jest ważna i warta uwagi. W ten sposób pokazujemy działalność kobiet i promujemy twórcze kobiety, działające w szeroko rozumianej kulturze.

Kolejnym przedsięwzięciem jest herstoryczny szlak znanych lubelskich Żydówek, kobiet już nieżyjących, które były bardzo ważnymi postaciami dla przedwojennego i wojennego Lublina. Ten wątek jest bardzo istotny lokalnie, ponieważ Lublin jest miastem o bardzo głębokiej historii i herstorii w kulturze żydowskiej, jedna trzecia osób tu mieszkających przed II wojną światową wywodziła się ze społeczności żydowskiej.

Julita: Ważne jest, aby podkreślić, że jest to pierwsza taka inicjatywa w Lublinie. Dotychczas różne organizacje przybliżały sylwetki niektórych lubelskich kobiet, natomiast nasza Fundacja jako pierwsza podejmuje działania herstoryczne, włączające perspektywę feministyczną i genderową. Naszym celem jest

nie tylko mówienie o kobietach, które dotąd były pomijane. Staramy się przede wszystkim zadawać pytania o to – co na naszym Szlaku jest bardzo obecne – jak mainstreamowa historia jest tworzona, co uznawane jest za historycznie wartościowe, jakie mechanizmy spowodowały, że kobiety były wykluczone z głównej narracji historycznej. Zwracamy też uwagę w ogóle na grupy wykluczone, stąd na naszym Szlaku np. osoba transgenderowa, transseksualna. W czasie spacerów pojawiają się pytania, czy ona powinna zostać włączona do herstorii, natomiast nasza perspektywa jest taka, że przedstawiamy perspektywę osób wykluczonych, ponieważ jeśli my tego tutaj nie zrobimy, to nikt jej nie przedstawi.

Ponieważ to był nasz pierwszy szlak, to w naszej publikacji skoncentrowałyśmy się na zgromadzeniu tego, co już zostało wypracowane przez inne organizacje czy akademiczki. Nie prowadziłyśmy same wywiadów, tylko zgromadziłyśmy w jednym miejscu to, co było dostępne, uzupełniając to o perspektywę herstoryczną. W kolejnych krokach planujemy wywiady, zbieranie herstorii i świadectw.

Natalia: Od czego dla każdej z Was zaczęło się działanie związane z historią kobiet?

Julita: Chyba nie umiem udzielić jednoznacznej odpowiedzi, to trudne pytanie. Odkąd związałam swoją aktywność z tematami feministycznymi, nieobecność kobiet w historii była dla mnie tematem, którym chciałam się zająć. To była kwestia związana z obserwowaniem wykluczania kobiet z różnych sfer życia, przede wszystkim publicznego, które jest moim zdaniem jednoznacznie związane z wykluczeniem kobiet z historii, pomijaniem ich działalności i dokonań. Kiedy zaczęła budzić się moja świadomość feministyczna, zaczęłam zauważać to, co niezauważalne, czyli nierówności. Są one częścią systemu kulturowego, dlatego mogą wydawać się przezroczyste. Zaczęłam je widzieć w życiu codziennym, w przekazie kulturowym, żartach, relacjach międzyludzkich, edukacji, a w końcu i historii. Nieobecność kobiet w przekazie historycznym kształtuje nasze myślenie o aktywności albo bierności kobiet, udziale w kształtowaniu życia społecznego, a w przypadku naszego szlaku – kulturalnego.

Lena: U mnie zainteresowanie historią kobiet rozwijało się równolegle do świadomości genderowej i feministycznej, już dobrych kilka lat temu, jeszcze na studiach licencjackich z dziennikarstwa i komunikacji społecznej. Myślę, że to wynikało z tego, jakie publikacje czytałam w tamtym czasie. Przełomowy moment to było znalezienie w biblioteczce na poddaszu u mojej

byłej dziewczyny książki *Kronika kobiet*[1]. To była gruba książka w twardej oprawie, w niej była wspaniale opisana historia kobiet od najdawniejszych, prehistorycznych czasów, do współczesności. Książka miała świetną, antropologiczną perspektywę, co dla mnie osobiście jest bardzo ciekawe, ponieważ takie spojrzenie jest dla mnie istotne także w mojej pracy naukowej. Zaczęłam się wczytywać w tę książkę i to był taki moment, w którym zrozumiałam, że można robić coś takiego jak historia kobiet. Natomiast samo słowo „herstoria" poznałam, badając drugą falę feminizmu i wczytując się w te pierwsze publikacje. Kilka lat później, już na studiach doktoranckich zaczęłyśmy z Kaśką działać jako kolektyw, a później zdecydowałyśmy się założyć organizację, Fundację HerStory. Została zarejestrowana w marcu 2014 roku. Nie miałyśmy wielkich wątpliwości, jak tę fundację nazwać i czym ona ma się zajmować. Chciałyśmy to robić, tę herstorię, robimy to i będziemy to robić dalej.

Julita: Dla mnie przełomowym momentem był artykuł, który czytałam na studiach (studiowałam filologię germańską, a potem gender studies w Wiedniu). Zmienił moje myślenie o płci jako kategorii, przy pomocy której można analizować historię. To był artykuł Joan Wallach Scott[2], która analizowała Rewolucję Francuską, biorąc pod uwagę percepcję kobiet i to, jak ten dyskurs wolnościowy był właściwie tworzony przez mężczyzn. Dla kobiet Rewolucja oznaczała coś zupełnie innego – była ograniczeniem praw, a nie ich rozszerzeniem. Dla mnie to było duże odkrycie – że jedno wydarzenie z dwóch różnych perspektyw znaczy różne rzeczy, że to są dwa różne dyskursy. To był dla mnie początek większego zastanawiania się nad płcią jako kategorią analityczną, przy pomocy której można zobaczyć więcej.

Natalia: Jak sobie tę herstorię definiujecie?

Lena: Dla mnie herstoria jest drogą do odbudowania tożsamości kobiet. Na podstawie podręczników, publikacji historycznych, w oparciu o sposoby edukowania historycznego dzieci i młodzieży budujemy świadomość własnego jestestwa, własnego bytu. Ta historia, którą znam z podręczników szkolnych i narracji historycznych, nie jest moją historią. Ja się z nią nie utożsamiam, z tym zmaskulinizowanym dyskursem, opartym na niekończących się wojnach, bitwach o ziemię, o kłótniach o wszystko, na poświęcaniu milionów niewinnych ofiar dla zaspokajania

1 *Kronika kobiet*, pod red. M. B. Michalika, M. Żmigrodzkiej-Wolskiej, J. Drabka, A. Arcimowicza, Wydawnictwo „Kronika", Warszawa 1993.
2 J. W. Scott, *Gender jako przydatna kategoria analizy historycznej*, Biblioteka Think Tanku Feministycznego, http://www.ekologiasztuka.pl/pdf/f0064scott.pdf (dostęp: 15.01.2016).

własnych ambicji. To absolutnie nie jest moja historia jako kobiety na przykład i jest wiele kobiet, które też się nią nie utożsamiają. Na taką historię mam dużą niezgodę i przeżywam ją jako niesprawiedliwość. Ona została potraktowana wybiórczo, jest pewnego rodzaju formatem, bardzo ograniczonym, patriarchalnym i przemocowym, który jest przekazywany kolejnym pokoleniom. Herstoria jest perspektywą, która pomaga ten format, tę rzeczywistość odkłamywać. Myślę, że ta rzeczywistość jest w dużej mierze zafałszowana, poprzykrywana różnymi pseudopatriotycznymi dyskursami. Herstoria pomaga od nieco innej strony pokazywać ludzkie życie, życie kobiet, tych osób, które są ukrywane, społecznie wykluczane przez wieki. Pomaga także dowiedzieć się więcej o tym, jak kobiety tamtą rzeczywistość przeżywały, co dla nich znaczyła, jak ją rozumiały. Z życiorysów różnych sławnych mężczyzn można się nauczyć, co to znaczy „być mężczyzną", zachowywać się „jak mężczyzna", i czym jest „męski honor". O kobietach i ich przeżywaniu nie wiemy wiele. Przez wieki nie miały własnego głosu, nie mogły o tym mówić, nie mogły spisywać swoich historii, a nawet jeśli, to nie mamy do tego obecnie dostępu. Herstoria jest też więc dawaniem głosu tym, którym głos przez wieki był odbierany. Możemy to dziś retrospektywnie zrobić.

Julita: Zgadzam się z tym, co powiedziała Lena. Dla mnie duże znaczenie ma herstoria jako akt emancypacyjny. Analizowanie historii kobiet pokazuje, jakim konstruktem jest płeć i cała charakterystyka płci, uświadamia, że wiele rzeczy nie wynika z natury – jak chcieliby niektórzy – tylko ze społeczno-kulturowych uwarunkowań danej społeczności, które są wytwarzane. W naszym Szlaku są kobiety, które prezentują wiele możliwych ról społecznych; nie jest to bynajmniej homogeniczna grupa bohaterek. Są kobiety, które jeździły na traktorach, walczyły, były żołnierkami...

Myślę, że herstoria to z jednej strony przywracanie kobiet historii, co rozumiem jako uzupełnienie tej znanej historii postaciami kobiet, które miały duże znaczenie, a które były pomijane. Uważam, że to bardzo ważny aspekt: pokazywanie, ze kobiety były zapominane, chociaż w rzeczywistości bardzo dużo zrobiły. Z drugiej strony, w herstorii ważne jest dla mnie zastanawianie się nad tym, jak to się dzieje, że kobiety są marginalizowane. To zakłada prześledzenie podziału na prywatne i publiczne, gdzie kobiety były przypisywane do prywatnego i tam miały być zamknięte. Ten podział właściwie utrzymuje się do dziś i do dziś ma władzę; to, co dzieje się współcześnie w polityce czy w życiu społecznym, pokazuje, że on wcale nie należy do przeszłości.

Wielka narracja historyczna domyślnie ma być uznawana za obiektywną, transparentną. Natomiast herstorie obalają to myślenie, pokazując, że historia jest tylko czyjąś – w tym przypadku

męską – perspektywą na wydarzenia historyczne, konstruktem części ludzi i że nie jest „jedyną, obiektywną prawdą", lecz taką, która została uczyniona „uniwersalną".

Poruszającym przykładem jest na przykład perspektywa kobiet i mężczyzn na rewolucję seksualną w latach 60. i 70. XX wieku na Zachodzie. W tej wielkiej narracji proces ten jest powiązany z takim kategoriami jak wolność i emancypacja. Można to oceniać bardzo subiektywnie, ale z perspektywy kobiet, które brały udział w tym procesie, jest on powiązany z opresją ze strony mężczyzn, z gwałtami. Jedno wydarzenie niesie ze sobą różne skutki i zupełnie różne asocjacje dla kobiet i dla mężczyzn.

Lena: Jeszcze dodam, że w odniesieniu do tego, czym dla mnie są herstorie, cały czas świtają mi w głowie takie słowa jak wdzięczność i odpowiedzialność. My dziś możemy mówić pełnym głosem. Może ta rzeczywistość, w której żyjemy, nie jest idealna, ale mamy możliwość mówienia swoim głosem. Mam w związku z tym dużą wdzięczność dla feministycznych, emancypacyjnych przodkiń i poczucie odpowiedzialności, żeby w jakiś sposób odwdzięczyć się tym wszystkim kobietom, które kiedyś działały, dopuszczając je dziś do głosu. To dzięki nim jesteśmy dzisiaj w tym punkcie – za to możemy się im odwdzięczyć, uwolnić głos osób, które może mówić nie mogły.

Często myślę o tym, jak niewdzięczne swoim przodkiniom są kobiety dziś, tym działaczkom, które nie miały żadnych praw obywatelskich, były zamykane w więzieniach, szpitalach psychiatrycznych, dręczone, co było ostatnio dobrze pokazane w filmie „Sufrażystka". Nie były uznawane za istoty równe mężczyznom, a i tak się nie poddawały. Mam potrzebę, żeby wdzięczność wobec nich wybrzmiała bardziej. Herstorie są jednym ze sposobów, żeby to zrobić.

Natalia: Jakiej herstorycznej zmiany chciałybyście dla Lublina, dla osób mieszkających w Lublinie?

Julita: Pierwsza rzecz, która mi przychodzi do głowy, jest bardzo materialna. Chciałabym, żeby w przestrzeni miasta znalazło się więcej tabliczek, które odwołują się do historii kobiet: „tutaj mieszkała, uczyła się" itd. Bardzo wiele nazw ulic, różnych tablic jest związanych z mężczyznami, to są takie materialne ślady po osobach. I chciałabym, żeby kobiety też materialnie zaistniały w mieście. To mógłby być początek dyskusji na temat roli kobiet w historii, ich dotychczasowej marginalizacji.

Lena: Uważam, że – tak jak powiedziała Julita – fizyczne zaistnienie tych kobiet w przestrzeni miejskiej jest ważne. Moją *idée fixe* jest sam szlak. W Lublinie istnieje kilka oznaczonych szlaków,

m.in. żydowski. Wśród nich mógłby znaleźć się też szlak herstoryczny. Choć wydaje mi się to w obecnej sytuacji politycznej dość ambitnym celem.

Poza śladami materialnymi, mam potrzebę większej dyskusji na ten temat, zwrócenia uwagi na te kwestie. Zależałoby mi, żeby herstoryczny temat nie był spłaszczany tylko do szlaków kobiet, znanych kobiet artystek, działaczek społecznych, Żydówek. Chciałabym, żeby ta narracja zaistniała z perspektywą emancypacyjną, genderową, feministyczną, z pytaniami o to, kto tworzy narracje historyczne.

Przestrzeń do takiej dyskusji widzę szczególnie z osobami z organizacji pozarządowych i instytucji kultury. To jest ta przestrzeń, w której jest szansa działania, gdzie można prowadzić takie rozmowy, zawiązać sieć organizacji i instytucji kultury, coś wspólnie stworzyć i „przelać" na miasto, wypuścić do szerszej grupy osób, więcej osób w ogóle zaprosić do takich działań. Odżegnuję się od kwestii politycznych, nie widzę gotowości i możliwości dyskutowania z osobami pełniącymi funkcje urzędnicze. Mam wrażenie, że to niczego nie buduje.

Julita: Mam marzenie, że ten temat podejmą środowiska akademickie. W Lublinie w kręgach uczelnianych mam niedosyt tego tematu. W naszych spacerach uczestniczą osoby, które przychodzą celowo, ale są też czasem osoby zupełnie przypadkowe. Dużą wartością jest dla mnie podejmowanie feministycznych kwestii, nad którymi takie osoby się zazwyczaj nie zastanawiają, i budowanie przez to być może postawy feministycznej. Właśnie to staramy się robić poza przedstawianiem biografii artystek – zadajemy pytania, które pogłębiają temat. Na przykład: z Lublinem blisko związana była rodzina Hartwigów – fotografików. Wspominamy więc o tych kobietach, które same nie były znanymi fotografkami, ale umożliwiały swoim mężom taką pracę. Zgodnie z takim założeniem, że jeżeli jakiś mężczyzna idzie na wojnę albo zostaje znanym fotografem, to znaczy, że ktoś siedzi w domu i wykonuje pracę domową na rzecz tego żołnierza czy artysty. Staramy się przemycać takie treści i mogę mieć cichą nadzieję, że one wpływają na budowanie feministycznej świadomości.

Natalia: Julita, powiedziałaś o „cichej nadziei" i „przemycaniu" feministycznych treści. Czy to oznacza, że macie taką strategię, żeby feministyczne założenia trzymać gdzieś w tle, nie na pierwszym planie i w ten sposób otwierać osoby na feministyczną perspektywę?

Julita: Taktyki mamy różne. Nie jestem zwolenniczką takiej, żeby nie nazywać feminizmu feminizmem. W ramach projektu odbywają się spotkania – Akademie Herstoryczne – gdzie to

słowo padało i nic nie było „przemycane". Jednak na spacer szlakami lubelskich artystek przychodzą też osoby, które nie mają żadnej świadomości feministycznej, a czasem są nawet negatywnie to tej perspektywy nastawione. To jest okazja, żeby pokazać feminizm, który nie musi być szokujący, nie wzbudza kontrowersji. Bo tak naprawdę feminizm przecież jest czymś bardzo naturalnym – jeśli ważna jest dla ciebie równość w życiu społecznym, to bardzo blisko ci do feminizmu. Nie mam problemu z nazywaniem naszej perspektywy feministyczną i uważam, że to powinno się robić.

Natalia: Macie jakieś kryteria doboru bohaterek?

Julita: Zaczynałyśmy z naprawdę niewieloma nazwiskami i cały czas ta lista się powiększała. W końcu musiałyśmy skoncentrować się tylko na niektórych postaciach. Miałyśmy taki plan, żeby to były artystki czy szerzej – kobiety powiązane z kulturą Lublina. Zależało nam na osobach, które odegrały bardzo dużą rolę w historii Lublina i nikt nie może temu zaprzeczyć, np. pisarki Anna Langfus, Anna Kamieńska, Julia Hartwig, Franciszka Arnsztajnowa. Z drugiej strony, chodziło nam też o odkopanie biografii tych kobiet, które dotychczas nie były uwzględniane w innych trasach historycznych.

Podam przykład: w rodzinie Hartwigów poza Julią Hartwig była również Maria, Helena i żyjąca jeszcze Ewa. Zależało nam na tym, żeby nie tylko podkreślić biografię Julii Hartwig, która jest dostępna, ale także włączyć postaci Marii i Heleny, które bardzo pomagały w tym interesie, jakim było rodzinne atelier fotograficzne. Helena też robiła zdjęcia, niektórzy uważają, że nawet lepsze niż Edward Hartwig, jej mąż, fotograf, który zyskał sławę.

Natalia: W 2008 roku byłam na spotkaniu w galerii Bunkier Sztuki w Krakowie o kobietach fotografkach pt. „Zawód: Reporterka // Dokumentalistki". Wtedy ukazała się książka pod redakcją Karoliny Lewandowskiej towarzysząca wystawie na ten temat[3]. Usłyszałam tam wypowiedź badaczki analizującej dorobek fotografujących kobiet, że Hartwig spalił negatywy swojej żony, ponieważ uznał, że one są lepsze niż jego prace. To była dla mnie wstrząsająca historia, mam ją jeszcze gdzieś zanotowaną.

Julita: Tak, Helena jest raczej zapomnianą postacią, o czym wspomina nawet jej córka Ewa Hartwig Fijałkowska, która spędza obecnie dużo czasu, odkopując i przybliżając ludziom historię matki.

3 *Dokumentalistki*, pod red. K. Lewandowskiej, Wydawnictwo BOSZ, Zachęta Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa 2008.

Natalia: Jakie są Wasze ulubione postacie?

Julita: Właściwie każdą z bohaterek, której sylwetkę opracowywałam, bardzo lubię. W wielu znalazłam takie rzeczy, które wzbudziły moją dużą sympatię. Taką osobą jest Irena Szczepowska-Szychowa, która była dyrektorką Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie. Była silną kobietą, traktorzystką, z drugiej strony, miała wielkie serce, pomagała wszystkim swoim znajomym. Była nawet w stanie zamienić się na mieszkania z potrzebującą osobą. To wielowymiarowa postać. Były też takie kobiety, których losy były tragiczne, poruszające. Doświadczyłam tego niesamowitego efektu, że przy pracy właściwie nad każdą z tych postaci z każdą z nich czułam duży związek.

Natalia: Czy któraś wzbudziła złość, wkurzenie albo wątpliwości, czy włączyć ją do Twojej trasy, do Waszych działań?

Julita: Miałam wątpliwość przy Łucji Bałzukiewicz, ponieważ znalazłam bardzo mało materiałów na jej temat. Jednak właśnie z tego powodu postanowiłam ją włączyć w szlak, po to, żeby kolejny raz nie została pominięta.

Nie nazwałabym tego antypatiami, ale miałam ambiwalentne uczucia w związku z Zofią Grzesiak, pisarką. Ona była osobą bardzo mało wierzącą w swoje możliwości, która mimo że pisała bardzo dużo, gdy tylko miała przy sobie jakiś kawałek papieru, to zaraz go zapisywała, nie wierzyła do końca, że są to wartościowe zapiski. Cały czas w relacjach o niej pojawiał się wielki brak pewności i wiary w siebie. Z drugiej strony, to się robi bardzo ciekawe, jeśli przedstawić jej historię w kontekście społeczności, która właśnie tak kształtowała jej wiarę we własne możliwości. Oczywiście przyjemniej jest czytać o kobietach, które były traktorzystkami, były silnymi postaciami, które odrzucały stereotypową kobiecość kojarzoną ze słabością, z brakiem pewności siebie. Ale nie miałam żadnych wątpliwości co do tego, że Grzesiak powinna się znaleźć na szlaku.

Lena: Trudno mi wskazać, czy mam ulubioną postać. Chyba wciąż jeszcze poszukuję i w Lublinie jeszcze takiej postaci nie odnalazłam. Bardzo dużą sympatię mam do Franciszki Arnsztajnowej i Anny Langfus, także z tego względu, że były Żydówkami, a ja zajmuję się także edukacją o społeczności żydowskiej, oprowadzaniem po szlaku żydowskim w Lublinie. Zofia Grzesiak też była Żydówką, wcześniej nazywała się Nechume Szwarcblat, pochodziła z Wołynia, gdzie urodziła się w chasydzkiej rodzinie. Jej pierwszym językiem był jidysz, dopiero później polski, w jej twórczości była jednak wyczuwalna nuta hebraizmów językowych. Oficjalnie, w czasie wojny poznała Tadeusza Grzesiaka, sąsiada

i zdaje się związała się z nim, i wyjechali z Wołynia jako polska rodzina. W tym czasie zmieniła też imię. Opowieść o Zosi Grzesiak i Franciszce Arnsztajnowej to są w ogóle dwie bardzo różne od siebie opowieści – Franciszka Arnsztajnowa zginęła prawdopodobnie w Treblince. Bardzo dużo wiemy o jej życiu przed Zagładą, o jej dokonaniach, wspaniałych spotkaniach czwartkowych, jej życiu społecznym, działactwie i niezwykłej literaturze, którą tworzyła po polsku, co zresztą nie było zbyt częste. Żydzi najczęściej tworzyli w jidysz, a tylko niewielka część zasymilowanych Żydów i Żydówek pisała po polsku. Anna Langfus jest mi bliska, ponieważ swoją twórczość poświęciła pytaniom takim jak to, czy jest życie po Zagładzie, jak to życie wygląda, jakie jest to świadectwo. Wiele refleksji na temat człowieczeństwa w kontekście wojny.

Natomiast muszę przyznać, że trochę się zastanawiam nad tymi postaciami pod kątem feministycznym. Jest we mnie silna potrzeba poszukiwania w nich wątków emancypacyjnych, których czasami albo często – nie umiem powiedzieć – po prostu nie ma, naprawdę trudno się doszukać jakiegoś sprzeciwu wobec społeczeństwa. Może tych wątków w nich nie ma dlatego, że te kobiety świadomie nie były... feministkami? Może też decydował o tym wydźwięk tamtych czasów, trochę inne narracje, inne sytuacje społeczne, inny kontekst historyczny? Czasami jednak z tych postaci wycieka bunt. I emancypacja. Ale nie ma we mnie sprzeczności, nie ma takiej postaci, co do której mam wielkie wątpliwości. Jednak cały czas, wraz z poszerzaniem się naszego katalogu bohaterek, czekam na takie, które mnie szczególnie zainspirują. Szukam takiej ówczesnej sufrażystki, może nawet niekoniecznie świadomej w swoim działaniu, ale takiej, która dałaby jasne świadectwo sprzeciwu wobec sytuacji społecznej i politycznej kobiet. Tak wyraźnej postaci jeszcze w Lublinie nie znalazłam. Liczę na to, że się pojawi.

Natalia: Organizowałyście dotąd wycieczki, przygotowywałyście trasy, jest profil na FB, jest publikacja, spotkania, pewnie jeszcze inne narzędzia stosowałyście. Czy któreś z nich okazało się szczególnie skuteczne w realizacji Waszych celów, a któreś zupełnie nie zadziałało? Czegoś jeszcze chciałybyście spróbować?

Lena: Cały czas myślę nad metodami dotarcia do szerszej publiczności. Mam takie marzenie, żeby stworzyć duży, interaktywny portal Lubelskich Szlaków Herstorycznych, z animacjami, z żywymi biografiami, do których można „wejść", z postacią, w którą wirtualnie można by się na chwilę wcielić. Poza tym bardzo chciałabym wyjść w przestrzeń miejską, myślę o instalacjach, działaniach artystycznych.

Jeśli chodzi o skuteczność narzędzi, to nasz projekt jest pilotażowy, w tym sensie, że możemy dzięki niemu rozpoznać potrzeby i nauczyć się, jak na nie odpowiedzieć, możemy sprawdzić odbiór, zobaczyć, jak nasze działania rezonują. Możemy sprawdzić, jak rozmawiać z osobami, które nie rozumieją zasadności narracji herstorycznej, jak inspirować i jak włączać ludzi w takie działania. Jesteśmy w trakcie realizacji tego projektu, mam już pewne wnioski dotyczące kontynuacji jednych wątków i rezygnacji z innych, ale jeszcze nie będę ich zdradzać [śmiech].

Julita: Ciężko odpowiedzieć na pytanie o skuteczność, ponieważ jeszcze nie przeprowadziłyśmy ewaluacji naszego projektu. Jesteśmy dopiero po inauguracyjnym spacerze, za kilka dni jest kolejny, śladami Żydówek lubelskich, więc pewnie jeszcze będzie czas, żeby usiąść i pomyśleć. Choć już teraz uważam, że nasz projekt jest sukcesem [śmiech]. Ten pierwszy spacer był prowadzony przeze mnie i Kasię Zabratańską, obie czułyśmy dużą satysfakcję z aktywności uczestników i uczestniczek.

Mam też pierwsze spostrzeżenia i kiełkuje we mnie taka myśl, żeby spróbować wykształcić grupę liderek i liderów, którzy by z nami współpracowali i mocniej zaangażowali się w temat. Może taką grupę lubelskich liderek, które by pomagały, szukały w archiwach, mogłyby oprowadzać.

Natalia: Bez czego nie można ruszyć z herstoryczną pracą? Co jest Waszym zdaniem fundamentalne w tej pracy?

Lena: Pierwsza rzecz, o której pomyślałam, to to, że trzeba mieć odpowiedź na pytanie, dlaczego to jest istotne. A żeby na nie odpowiedzieć, warto poddać refleksji, czym są herstorie, czemu służą, skąd się biorą. To mi się łączy z feministyczną refleksją i genderową perspektywą. Warto mieć też odpowiedź na pytanie, co ma być istotą tego mojego herstorycznego działania, co mnie w nim interesuje. Zdaję sobie sprawę, że istnieją projekty, pisane są prace magisterskie itp. z wątkami dotyczącymi kobiet w historii, historii kobiet, które nie mają tego feministycznego backgroundu. Czy one są herstoryczne? To jest pytanie. Dla mnie bardzo ważne jest, żeby sobie uświadomić, co jest potrzebą i istotą tej pracy.

Drugą kwestią jest wiedzieć, na czym się skupimy, mieć uporządkowany plan. Na przykład robimy szlak artystek i działaczek kultury, obok szlak Żydówek, w przyszłości szlak naukowczyń i szlak działaczek politycznych. Może odzywa się we mnie mój pedantyzm naukowy, ale uważam, że warto nie wrzucać wszystkich kobiet do jednego worka, tylko nadać szlakom odrębne ramy.

Trzecią rzeczą są źródła – jakie są, skąd, czy w ogóle są, jaki mają charakter, dlaczego ich nie ma, gdzie mogą być, jeśli

w ogóle były. Bo może zostały stracone, zniszczone, zapomniane itd. Julita wspomniała o Hartwigach – w naszym przypadku z nimi było tak, że byłyśmy z Kasią na spacerze śladami przedwojennego Lublina. To był naprawdę fajny spacer z opowieściami o ówczesnych miejscach, sławnych ludziach, znanych zakładach i instytucjach kulturalnych. W zaułku, w którym znajdował się dziś już nieistniejący zakład fotograficzny Hartwigów, osoba opowiadająca o nim cały czas mówiła o Edwardzie jako fotografie, a „rodzina Hartwigów" pojawiała się jako swoisty monolit. O Helenie pojawiło się jedno zdanie, na koniec, że ona też trochę robiła zdjęcia. To był dla nas błysk – od razu wiedziałyśmy, że to jest postać, którą trzeba zgłębić. I bardzo często do postaci kobiecych dociera się przez ich ówczesnych mężów, partnerów, męskie postaci, które towarzyszyły ich życiom i często te kobiety przyćmiewały. Istotne jest, żeby wyczulić zmysł poszukiwania herstorii, które są, tylko trzeba na nie wpaść i je odszukać.

Julita: Dla mnie ważne są dwie rzeczy. Pierwsza dotyczy tego, z kim się w ogóle podejmuje inicjatywę. Miałam to szczęście, że trafiłam na bardzo przygotowane dziewczyny. Druga kwestia to taka, że w działalności herstorycznej dużą rolę odgrywa feministyczny background teoretyczny. On nam może pomóc nie popaść w różne niebezpieczeństwa, np. żeby się nie zajmować jedynie historią „wydarzeniową", nie skupiać się na wielkich postaciach, ale też zająć się historią społeczną. Jak uprawiać herstorię, żeby nie ryzykować esencjalizacji kobiet, tj. założenia, że wszystkie kobiety mają stały, niezmienny zbiór cech, w związku z tym mają ze sobą coś wspólnego i są jedną grupą, dlatego my możemy się tą historią kobiet zajmować i o nich mówić.

Ważne jest dla mnie też, żeby nie tylko tworzyć historię kobiet, która ma charakter kompensacyjny, oznaczając tylko dołączanie postaci kobiecych do obowiązującej wersji historii. Warto się zastanawiać nad samymi mechanizmami tworzenia historii, żeby to pisanie herstorii było aktem emancypacyjnym, wręcz politycznym. Teoria i historia feminizmu, historia herstorii jest w tym bardzo pomocna.

Natalia: Co byście poradziły, jakie wskazówki dały osobie, która chce zrealizować inicjatywę herstoryczną, nie robiła tego nigdy wcześniej, nie ma jasności, od czego zacząć, nie wie, co mogłaby zrobić w pierwszej kolejności?

Julita: Warto ustalić, czym taka osoba chce się zająć. Tak jak mówiła wcześniej Lena, warto wybrać sobie jakiś konkretny obszar albo zakres czasowy – nie brać się za wszystkie biografie, które wpadną w ręce. Selekcja jest naprawdę dobrym rozwiązaniem [śmiech]. A potem szukać, zajmować się tym tematem, siedzieć

w archiwach. Jeśli ktoś jest na samym początku tej pracy, to zwykle te materiały – jakieś – są. To nie jest tak, że tych materiałów nie ma zupełnie. Z mojego doświadczenia z Lubelszczyzną wynika, że często trzeba po prostu poszukać.

Dla mnie samej pomocne było też przejrzenie innych inicjatyw, które działają w Polsce – Krakowskiego Szlaku Kobiet, Metropolitanki w Gdańsku. To było inspirujące i bardzo chciałam Was poznać.

Z kwestii praktycznych, o których czasem się zapomina: warto sprawdzić prawa autorskie publikacji, z których się korzysta, prawa do zdjęć, dobrze opisać źródła, przestrzegać zasad cytowania, tworzyć bibliografię. To jest bardzo ważne.

Lena: Ja bym takiej osobie poradziła, żeby sprawdziła, czy są w jej regionie osoby i organizacje, które już się może tym też interesują, zajmują. A może mają taki profil działalności, że mogłyby się tym zająć w przyszłości? Dobrze jest połączyć wysiłki i zrobić coś razem, mieć zaplecze ludzko-instytucjonalne, móc korzystać z zasobów danej organizacji, kontaktów, talentów, doświadczenia, umiejętności itd. Taka współpraca może być bardzo wzmacniająca dla osób, które nie zajmowały się tym wcześniej, a chciałyby.

Jak najbardziej ważne jest to, co Julita powiedziała, tzn. uporządkowanie treści. Od czego chcę zacząć, co mnie interesuje, jaka grupa mnie interesuje – to takie podstawowe kwestie. I w tym drążyć.

Chyba warto pochylić się też nad tym, dlaczego mnie interesuje taka perspektywa? Poczytać więcej, rozpoznać zagraniczne projekty, polskie projekty, zainspirować się, szukać tych inspiracji, wzorca, punktu wyjścia, od którego możemy zacząć, co możemy zrobić inaczej, rozwinąć, co możemy zakwestionować. Warto też szukać kontaktu z tymi osobami, tymi organizacjami. Bardzo stronię od postrzegania ich jako konkurencji, to jest tak ważna sprawa, że takie inicjatywy powinny być wszędzie. Mam wielką chęć wspierania osób, organizacji, instytucji, które będą chciały w tym zakresie działać.

Rozmowa odbyła się 23 listopada 2015 roku za pośrednictwem komunikatora Skype.

Fundacja HerStory W 2015 roku Fundacja HerStory rozpoczęła realizację prekursorskiego w Lublinie projektu „(Nie)znane herstorie Lublina – artystyczne i kulturowe szlaki lublinianek", stanowiącego próbę przywrócenia pamięci o wybitnych lubliniankach, o których trudno przeczytać w podręcznikach historii, a które odegrały ważną rolę w rozwoju miasta. Innymi słowy, jest to rekonstrukcja kobiecej wizji miasta, podkreślająca rolę kobiet w kreowaniu rzeczywistości zarówno w przeszłości, jak i teraźniejszości. Wśród zaplanowanych działań znalazły się:

- cykl szkoleń w ramach „Akademii Herstorii" – warsztaty merytoryczne podejmujące zagadnienie herstorii, storytelling i oral history – historie/herstorie mówione; praca z kamerą, multimediami, montaż materiału filmowego;
- stworzenie unikatowej trasy oprowadzania – fizycznie istniejącego szlaku ulicami miasta, w którym szczególny punkt zostanie położony na wkład kobiet, miejsce kobiet w przestrzeni miejskiej, ich rolę w kreowaniu Lublina – dawniej i dziś;
- organizacja 10 spotkań (wieczorów herstorycznych) – wokół biografii (nie)znanych lublinianek działających na rzecz rozwoju przestrzeni artystycznej i kulturalnej Lublina;
- przygotowanie *Przewodniczki po artystycznych herstoriach Lublina* – będącej multimedialną publikacją, w której znalazły się biografie wybranych działaczek z Lublina wraz z opisami ich działalności;
- prowadzenie kampanii internetowej na Facebooku – specjalny fanpage Lubelskie Szlaki Herstoryczne, dedykowany lubelskim herstoriom. Znajdą się na nim wspomnienia oraz noty o ważnych lubliniankach.

Twórczyniami projektu są: Lena Bielska, Julita Maciocha, Katarzyna Zabratańska. Przedsięwzięcie, dofinansowane ze środków UM Lublin zostało objęte matronatami/patronatami „Gazety Wyborczej" Lublin, Radia Lublin oraz Pełnomocniczki Wojewody Lubelskiego ds. Równego Traktowania – Pani Agnieszki Kowalskiej-Głowiak.

Strona projektu: www.fundacjaherstory.org/nieznane-herstorie-lublina-artystyczne-i-kulturowe-szlaki-lublinianek/.

fot. Dominika Dzido

Ewa Furgał – absolwentka stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Łódzkim, studiowała też gender studies i edytorstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Edukatorka herstoryczna i antydyskryminacyjna, współtwórczyni Krakowskiego Szlaku Kobiet, redaktorka m.in. pięciu tomów *Krakowskiego Szlaku Kobiet. Przewodniczki po Krakowie emancypantek* (2009–2013), *Szlaków kobiet. Przewodniczki po Polsce emancypantek* (2015) i terminarzy herstorycznych. Współzałożycielka i członkini Zarządu Fundacji Przestrzeń Kobiet, członkini-założycielka Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej. Absolwentka Szkoły Trenerów Organizacji Pozarządowych STOP (2008–2009) oraz Specjalistycznej Szkoły Facylitacji Społecznej na rzecz Równości i Różnorodności TEA (2011–2013). Laureatka nagrody Fundacji Polcul za działalność obywatelską (2012). Prowadzi Archiwum Historii Kobiet.

fot. Barbara Biskup

Natalia Sarata – socjolożka, europeistka, absolwentka gender studies na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 2002 roku zaangażowana w ruch feministyczny, w latach 2002–2007 działała w Fundacji Kobiecej eFKa, w 2007 roku wspólnie z Ewą Furgał założyła Fundację Przestrzeń Kobiet, której jest członkinią Zarządu. Edukatorka antyskryminacyjna i genderowa, prowadzi i współprowadzi autorskie warsztaty historii kobiet, absolwentka Szkoły Trenerów Organizacji Pozarządowych STOP, Szkoły Procesu Grupowego oraz Szkoły Facylitacji Społecznej na rzecz Równości i Różnorodności (poziom zaawansowany). Członkini-założycielka Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej, w latach 2009–2012 członkini Zarządu TEA, w latach 2011–2016 współkoordynatorka Koalicji na rzecz Edukacji Antydyskryminacyjnej. Autorka gry planszowej „Krakowski Szlak Kobiet", współautorka książek *Krakowski Szlak Kobiet. Przewodniczka po Krakowie emancypantek* (2009–2013) oraz *Szlaki kobiet. Przewodniczka po Polsce emancypantek* (2015). Laureatka nagrody Fundacji Polcul za działalność obywatelską w 2012 roku. Pochodzi ze Szczawnicy, mieszka w Krakowie.

EWA FURGAŁ, NATALIA SARATA

DYNAMIT, KTÓRY ROZSADZI PATRIARCHAT

Rozmowa Ewy Furgał i Natalii Saraty z Fundacji Przestrzeń Kobiet, twórczyń Krakowskiego Szlaku Kobiet

Natalia Sarata: Najpierw powiedzmy, kim jesteśmy w naszej inicjatywie i w co w jej ramach jesteśmy zaangażowane.

Ewa Furgał: Wspólnie wymyślałyśmy i rozkręcałyśmy Krakowski Szlak Kobiet, razem prowadziłyśmy warsztaty historii kobiet. Od początku zajmuję się przygotowywaniem publikacji – *Przewodniczek po Krakowie emancypantek* i terminarzy. Obecnie prowadzę też Archiwum Historii Kobiet – stronę internetową i archiwum społeczne.

Natalia: Ujmując rzecz bardzo ogólnie, jesteśmy z Ewą pomysłodawczyniami, realizatorkami i strateżkami Krakowskiego Szlaku Kobiet, obecnie przekształconego w program Herstorie. Na zmianę z Ewą koordynuję poszczególne projekty herstoryczne Fundacji, współprowadzę warsztaty historii kobiet, jestem autorką gry planszowej, jedną z ponad 50 autorek kolejnych tomów *Przewodniczki*, czasem – choć najczęściej nasze wycieczki szlakami kobiet po Krakowie oprowadzała dotąd świetna przewodniczka i współautorka *Przewodniczek* Anna Kiesell – prowadzę herstoryczne wycieczki, szczególnie te śladami emancypantek.

Obecnie, czyli niemal 10 lat po rozpoczęciu naszych pierwszych działań związanych z od-twarzaniem historii kobiet, jestem koordynatorką projektu, w ramach którego Przestrzeń zainicjowała działania Sieci herstorycznej – nieformalnego porozumienia kilkunastu inicjatyw społecznych i wolnych strzelczyń, które realizowały, realizują i będą realizować działania herstoryczne w całej Polsce. Wspieram budowanie współpracy między nami z nadzieją, że wzajemna wymiana doświadczeń i know-how, wzajemne motywowanie się do kolejnych przedsięwzięć pozwolą nam na stworzenie dla siebie środowiska, w którym historie kobiet obecne będą na różne sposoby.

Ewa: Powiedzmy o tym, kiedy i jak to się dla nas zaczęło. Historia interesowała mnie od dzieciństwa. Fascynowały mnie daty i nazwiska, nigdy nie miałam problemu z ich zapamiętywaniem. Nie widziałam innej przyszłości dla mnie niż studia historyczne. Wyleczyła mnie tzw. olimpiada historyczna w liceum. Już w drugiej klasie miałam szansę otrzymać indeks za wygranie etapu wojewódzkiego, ale panowie z komisji powiedzieli mi, że chociaż

napisałam najlepszą pracę, to jestem jeszcze młoda i mam czas, tymczasem trzeba dać szansę koledze z klasy czwartej. Z kolei w czwartej klasie ważniejszy okazał się kolega, który prawdopodobnie nie zdałby matury, więc należało go wyposażyć w indeks tą drogą. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co jest grane, miałam tylko poczucie niesmaku i niesprawiedliwości. Wybrałam więc stosunki międzynarodowe, interdyscyplinarne studia, które prawdopodobnie dają szerszy (choć niekoniecznie głębszy) ogląd rzeczywistości społecznej. Potem były podyplomowe gender studies na UJ, gdzie zajęcia z historii gender prowadziła Dobrochna Kawa. Byłam już wtedy zaangażowana społecznie, interesowały mnie prawa człowieka, szczególnie prawa kobiet i osób LGBT. Ale do zajmowania się historią wróciłam dopiero w Fundacji Przestrzeń Kobiet.

Ukłucie herstorycznego pożądania nastąpiło w trakcie lektury *Sióstr Malinowskiego* Grażyny Kubicy w 2007 roku. Był tam ledwie akapit o Marcelinie Kulikowskiej[1], ale na tyle intrygujący, że od razu wiedziałam, że to będzie moja bohaterka. A ponieważ równolegle, Natalia, też doświadczyłaś różnych ukłuć i olśnień, o których może za chwilę opowiesz, to postanowiłyśmy zająć się historią kobiet związanych z Krakowem. Nie bez znaczenia był również fakt, że mieszkałyśmy wówczas razem przy Krupniczej 22. To jest dawna kamienica Związku Literatów Polskich, tzw. Dom Literatów. To miejsce niesamowicie pobudzało wyobraźnię. Pamiętam, że zastanawiałyśmy się, które dokładnie mieszkanie zajmowała kobieta, po której nosisz imię – Natalia Gałczyńska. Ja z kolei złościłam się, że z książek, gazet, internetu można było dowiedzieć się tylko o „wielkich pisarzach", „40 wieszczach", którzy mieszkali na Krupniczej 22. Jeśli jakimś cudem odnajdywałam informacje o kobietach zamieszkujących w Domu Literatów, to była to np. opowieść o tym, jak to Halina Poświatowska miała romans z mężem Anny Świrszczyńskiej. Naprawdę, trzeba było coś z tym zrobić!

Faza obczytywania się w temacie, wykluwania się konkretnych pomysłów na działania i planowania trwała kilka miesięcy. Po raz pierwszy skonfrontowałyśmy nasze zamierzenia ze światem zewnętrznym 7 marca 2008 roku, kiedy poprowadziłyśmy warsztat gynealogiczny (tak wówczas nazwałyśmy warsztat na temat historii kobiet) w trakcie Tygodnia Feministycznego w Krakowie. Warsztat spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. Dowiedziałyśmy się więc, że historia kobiet interesuje nie tylko nas. Jeszcze w tym samym roku rozpoczęłyśmy projekt „Polki, Żydówki – krakowskie emancypantki", a w 2009 roku ukazał się pierwszy tom książki *Krakowski Szlak Kobiet. Przewodniczka po Kra-*

1 Marcelina Kulikowska (1872–1910) – poetka, pisarka, pedagożka, reporterka, nauczycielka w pierwszym prywatnym gimnazjum żeńskim w Krakowie, z którego została zwolniona za odmowę zaprowadzenia uczennic na mszę.

kowie emancypantek. A potem rozpętało się prawdziwe szaleństwo: wydawałyśmy kolejne tomy *Przewodniczki*, prowadziłyśmy warsztaty herstoryczne, organizowałyśmy wycieczki siedmioma różnymi trasami Krakowskiego Szlaku Kobiet, wyprodukowałyśmy grę planszową, wydawałyśmy terminarze *Historia kobiet*. Krakowski Szlak Kobiet został uznany za Wydarzenie Roku 2010 w plebiscycie „Kulturalne Odloty" krakowskiej „Gazety Wyborczej".

Natalia: Już tyle razy opowiadałam przy różnych okazjach moją historię o siostrach Paulinie i Dorze Wasserberg, lekarkach z Krakowa, Żydówkach, bohaterkach książki Grażyny Kubicy, że wydaje mi się to nudne. Dlatego szukam głębiej i wtedy trafiam w środek lekcji francuskiego z prof. Anną Wende-Surmiak z liceum społecznego w Zakopanem, pod koniec lat 90. XX wieku. Miałam indywidualny tryb nauczania tego języka, dostawałam od pani profesor do czytania różne teksty, m.in. o Olympii de Gouges i sufrażystkach walczących we Francji o uznanie za obywatelki. Przez długi czas to wrażenie „aha!" i towarzyszącą mu moc przypisywałam temu, że w obcym języku umiem ładnie i poprawnie opowiedzieć czytankę [śmiech]. Ale teraz myślę, że chodziło o swego rodzaju przejrzenie na oczy, zobaczenie historii walki kobiet o swoje prawa, zapisanej w podręczniku – coś zupełnie niespodziewanego, niespotykanego. A potem były *Siostry Malinowskiego* w 2006 roku – to ta anegdota opowiadana wielokrotnie. Czytałam ją w trakcie choroby, leżąc w łóżku z wysoką gorączką. W nocy, w trakcie lektury przyśniło mi się, ze Paulina i Dora, lekarki, które zginęły w Zagładzie, pochylają się nad moim łóżkiem ubrane w białe kitle. To był ten moment. Niedługo później zaczęłam biegać z aparatem fotograficznym po Krakowie, szukając adresów z książki Grażyny Kubicy i w ogóle śladów historii kobiet. Poczułam historię kobiet w ciele. Uszami wyobraźni słyszałam stukot obcasów tamtych kobiet na krakowskim bruku. Nowymi oczami patrzyłam na miasto, w którym mieszkałam już dobrych kilka lat. Znalazłam cegiełkę z 1923 roku w murze na Wawelu, gdzie obok „Leonów Wyczółkowskich" figurowali „Odon i Kazimiera Bujwidowie". Poczułam, że ona – Kazimiera – ale też wszystkie inne postacie naprawdę miały kształt na historię tego miasta i moją w nim historię.

Tamten warsztat z marca 2008 roku miał niesamowitą moc. Trwał bardzo krótko, to może były trzy godziny. Ale po nim podniosły się głosy: „musicie to robić!", „to niemożliwe, żeby o nich nie było wiadomo", „ależ to ciekawe!". Byłam wzruszona i poruszona. Wstęp do *Przewodniczki* w 2009 roku pisałam z drżeniem serca i ekscytacją. Jeszcze wtedy nie wiedziałyśmy zresztą, że ona nie będzie jedyna, że to dopiero pierwszy tom z pięciu. Jest niemal 10 lat później, od czasu wspólnej z Ewą inspiracji *Siostrami Malinowskiego* pracujemy w ramach naszego programu

herstorycznego w sposób bardziej ustrukturyzowany, powstało wiele książek, przeprowadziłyśmy kilkadziesiąt warsztatów historii kobiet w różnych miejscach w Polsce, kilka tysięcy osób przeszło po Krakowie w naszych wycieczkach, są kalendarze, planszówki... Nasze działania się rozszerzyły i nabrały dodatkowego, nowego – sieciowego – wymiaru. Ale nadal jestem wzruszona i podekscytowana, kiedy zajmujemy się historią kobiet. Na przykład teraz ogromnie ekscytuję się wieloma spotkaniami Sieci, wspólnym uczeniem się z innymi herstoryczkami z różnych miejscowości w całej Polsce. Bardzo się cieszę, że ukaże się ta książka – jest nas bardzo dużo. I mamy z tego masę frajdy.

Jeszcze innym początkiem historii kobiet dla mnie jest ten moment, w którym zaczęłam sobie zdawać sprawę, że choć już od kilku lat, od końcówki 2002 roku, działam w ruchu feministycznym, to ta jego najświeższa herstoria, działaczek feministycznych starszych o jedno pokolenie, nadal jest mi nieznana. Co więcej, że ze względów środowiskowych, napięć, konfliktów interpersonalnych pozostanie prawdopodobnie niedostępna. Podpytywałam trochę znane sobie osoby np. o to, czym było Polskie Stowarzyszenie Feministyczne, kto je w ogóle zakładał, kolejne osoby przebąkiwały, że to trudna historia, słyszałam jakieś skrawki. Dziś po nim nie ma śladu nawet w internecie. Może kiedyś przyjdzie czas, że te historie zostaną spisane? Kiedy rozmawiałam z Anią Czerwińską na użytek tej książki, zaczęłam mieć nadzieję [śmiech].

A teraz pytanie o to, czym właściwie jest dla nas herstoria. Powiesz?

Ewa: Dla mnie herstoria jest badaniem i obnażaniem relacji władzy, również wewnątrz grupy kobiet. Nie ma jednej historii kobiet, jest wiele historii kobiet, które różnią się statusem ekonomicznym, klasą, miejscem zamieszkania, kolorem skóry, orientacją seksualną, wiekiem, narodowością i wieloma innymi częściami swych tożsamości. Jeśli chcemy badać historię kobiet, musimy wystrzegać się uniwersalizacji ludzkich doświadczeń, również uniwersalizacji doświadczeń kobiet. Herstoria to dla mnie też usłyszenie głosów, których słychać nie było, i oddanie głosu tym, które nie miały szansy się wypowiedzieć, także z wrażliwością na różnice wśród samych kobiet.

Osobiście herstoria ma dla mnie jeszcze jedną funkcję: oswajania przestrzeni, w której żyję, czynienia jej moją. Pochodzę z Olsztyna, jestem trzecim pokoleniem przesiedleńców, wychowałam się w poniemieckim domu, który ktoś musiał opuścić. Moje ciało pamięta poczucie tymczasowości, nietrwałości tego miejsca. Uważam, że odziedziczyłam brak poczucia bezpieczeństwa związany z brakiem ciągłości, przynależności, zakorzenienia moich przodków. Moje możliwości uznania jakiegoś miejsca

za swoje są więc ograniczone. A jednak Kraków stał się takim miejscem i stało się tak głównie dzięki herstorii. Dzięki temu, że miasto odczytuję poprzez miejsca związane z bliskimi mi kobietami – bohaterkami Krakowskiego Szlaku Kobiet. Jednocześnie mam wrażenie, że moja przesiedleńcza „predyspozycja", spojrzenie i usytuowanie osoby z zewnątrz wytwarzają pewną wartość w badaniu historii kobiet jako grupy mniejszościowej. Niektórzy w Krakowie na pewno powiedzieliby, że nigdy nie będę tu u siebie. Widzę tu analogię do pozycji historii kobiet w „oficjalnej" historiografii.

Natalia: Dla mnie historia kobiet wiąże się z tożsamością i buntem. Ze sprzeciwem, że kobiety są tymi niechcianymi w pamięci wspólnotowej, która jest budowana w oparciu o narodowy idiom. Ten sprzeciw i bunt słychać też na warsztatach herstorycznych, na wycieczkach, kiedy uczestniczki na zakończenie dość często mówią, że nigdy wcześniej tych historii nie słyszały i że zostały okłamane – w szkole, gdzie nie było o tym mowy, we własnym mieście, którego mury, pomniki, tablice pamiątkowe, społecznościowe święta nie opowiadają historii kobiet. Robienie historii kobiet to mój sprzeciw wobec takiego stanu. Co więcej, uważam, że historia kobiet – i w ogóle grup mniejszościowych – to jest dynamit, który rozsadzi patriarchat.

Może pomoże też pozostającym w separacji od siebie kobietom z różnych grup poczuć ze sobą jakąś choćby symboliczną więź? Bo historia kobiet to dla mnie także budowanie alternatywnej wspólnoty, w odniesieniu do historii opresji i wykluczenia. Choćby tylko wspólnoty na czas warsztatu, kiedy różne uczestniczki opowiadają swoje historie, historie swoich bliskich kobiet z przeszłości i ich postaci, imiona latają nam nad głowami. To też kontakt z przeszłością, której potrzebuję, żeby lepiej zobaczyć siebie teraz.

Ewa: Trochę już powiedziałaś o celu, dlatego ja na pytanie o cel odpowiem tak: historia kobiet jest dla mnie narzędziem zmiany społecznej. Celem jest równość i sprawiedliwość społeczna. Ale historia kobiet, podobnie jak historia każdej innej grupy społecznej, pełni też funkcję tożsamościową. W tym znaczeniu chodzi o wzmocnienie kobiet i dziewcząt, dostarczenie im wzorców osobowościowych i wzorów działania, pokazanie im katalogu decyzji życiowych, wsparcie w wyborze niestereotypowych modeli życia. I wreszcie – zachęcenie kobiet do aktywności społecznej i politycznej, po to, aby również kobiety mogły decydować o sprawach ważnych dla kobiet i całych społeczności. Ta łączność między herstorią a prawami kobiet obecnie jest dla mnie kluczowa.

Natalia: To powiedz o naszych kryteriach doboru bohaterek.

Ewa: Przez kilka lat podstawowym kryterium wyboru bohaterek do *Przewodniczki* była obecność w moim czarnym notesie [śmiech]. Zapisywałam w nim nazwiska osób, co do których zdecydowałyśmy, że muszą się pojawić w którymś tomie *Przewodniczki*. Były to głównie działaczki na rzecz emancypacji kobiet oraz pisarki i poetki, również bliska mi grupa [śmiech]. Drugą grupą były kobiety zgłoszone przez osoby, które chciały napisać tekst do *Przewodniczki* i przychodziły z wybraną już postacią. Często postać ta była obecna w ich życiu od lat, ale zdarzało się też, że wybierały ją intuicyjnie, na zasadzie jakiegoś bliżej nieokreślonego poczucia bliskości. Emocje w stosunku do bohaterek były zresztą ogromnie ważne w pracy nad tekstami biograficznymi. Autorki i autorzy nie ukrywali, że bohaterka w trakcie badań stawała się im bliska niczym członkini rodziny.

Natalia: Tak, te relacje stawały się niezwykle osobiste. Bardzo istotny był także emancypacyjny rys odnaleziony przez autorkę tekstu w biografii swojej bohaterki. Zaznaczałyśmy, że nie oczekujemy tylko wybierania na bohaterki działaczek na rzecz równouprawnienia; emancypacja to nie tylko walka o prawa wyborcze i działalność w ramach ruchu kobiecego. Ważne dla nas było pokazanie bohaterki na tle oczekiwań kierowanych do kobiet, genderowo wrażliwe przyglądanie się postaciom w ramach poszczególnych społeczności, szukanie w nich sprawczości, decyzyjności. W *Przewodniczkach* zajmowałyśmy się kobietami, które już nie żyją, to także było kryterium. Natomiast w ramach *Międzypokoleniowych herstorii* – książki napisanej wspólnie przez uczestniczki jednej z serii warsztatów – postawiłyśmy po prostu na kobiety osobiście ważne dla autorek. Stąd w tej publikacji fascynujące historie relacji autorek z ich matkami, babciami, ciociami, często żyjącymi.

Ewa: Myślę, że to jest dobry moment, żeby opowiedzieć o tym, bez czego naszym zdaniem nie da się ruszyć z herstoryczną pracą. Jest coś takiego Twoim zdaniem?

Natalia: Bez ciekawości byłoby trudno. Mam na myśli w ogóle zaciekawienie historią kobiet, konkretnej kobiety czy ich grupy, szczególnie taki jego rodzaj, w którym mieści się też świadomość własnych klisz, a także stereotypów i uprzedzeń. Jaka jest moja perspektywa na prawa kobiet? Czy mam jakiś stereotyp Żydówki? Jakie jest moje nastawienie do osób z klas innych niż moja? Jak oceniam lesbijki, a jak kobiety hetero? Często jest tak, że wybieram taką postać, do której jest mi blisko, bo uważam ją za podobną do mnie. Czy jest tak, że z opracowywanej postaci „wycią-

gam" takie wątki, które mnie do niej zbliżają, a inne – których się np. obawiam – pomijam? Ciekawość osoby, tak jak w zwykłej rozmowie, ale też uważność na własne kalki i nie zawsze ujawniane oceny są moim zdaniem bardzo ważne.

Ewa: Dla mnie nie ma herstorii bez feminizmu. Historia kobiet bez feministycznej perspektywy staje się zbiorem anegdot i plotek, rejestrem romansów, żurnalem. Ewentualnie – apelem poległych. Nie ma w niej dokonań kobiet, są ich związki, dzieci, uroda, ubiór i obowiązkowe odniesienia do mężczyzn. Dopiero kiedy traktujesz kobiety podmiotowo, widzisz ich dokonania, zainteresowania, intelektualny dorobek. Ale to wszystko trzeba umieć też zobaczyć na tle epoki, w historycznym kontekście. Podstawowa wiedza historyczna, w tym dotycząca miejsca, w którym żyły twoje bohaterki, jest więc niezbędna. Bardzo przydaje się również umiejętność wyszukiwania informacji i źródeł oraz umiejętność krytyki źródła historycznego.

Natalia: Opowiedz o tym, jakie stosujemy narzędzia i czy wszystkie działają tak, jak chcemy.

Ewa: Myślę, że największy potencjał zmiany postaw u osób uczestniczących mają warsztaty herstoryczne ze względu na metodę „uczenia się przez doświadczenie". Kiedyś fajnie byłoby zebrać relacje od osób, u których nasze warsztaty coś uruchomiły – wiem, że jest ich sporo i że korzystają z tego doświadczenia w swojej pracy, działalności, że wdrażają herstoryczne treści do tego, czym się zajmują. Natomiast największy zasięg oddziaływania mają z pewnością publikacje, także dlatego, że rozsyłamy je m.in. w miejsca, w których może korzystać z nich wiele osób, a więc do bibliotek i organizacji.

Natalia: Mamy doświadczenie z bardzo różnorodnymi narzędziami: organizujemy spotkania tematyczne, warsztaty herstoryczne, oprowadzamy wycieczki po mieście, wydajemy książki, kalendarze, opracowałyśmy grę planszową, nagrałyśmy audio wycieczki po mieście, prowadzimy wirtualne Archiwum Historii Kobiet. Wycieczki są niezwykle popularne i robią wrażenie – miasto wchodzi w ciało. Wiele osób jest nimi zainteresowanych i wierzę, że za jakiś czas będziemy mieć nową energię do tego, by organizować je regularnie.

Bardzo skuteczne są książki – dla nas samych jest zaskoczeniem, że w którymś momencie *Przewodniczki* stały się swoistym rocznikiem. Jest to jednocześnie niezwykle wyczerpująca praca, wymaga energii, by zaangażować różne osoby do indywidualnych, czasem archeologicznych poszukiwań, koordynować i wspierać tę pracę, w ogóle zdobyć na nią środki... Te narzędzia działają,

stają się lekturami w programach akademickich, inspiracją dla innych osób. Ale jednocześnie wykańczają [śmiech]. Dwa lata temu uznałyśmy, że na razie zawieszamy działania przewodniczkowe i wyskakujemy z koleiny „jeden rok, jedna *Przewodniczka*". Chciałyśmy zebrać nowe pomysły, może wymyślić inną formułę, zregenerować się. Stąd koncepcja innego narzędzia – może jeszcze bardziej ambitnego? [śmiech] – Sieci herstorycznej, w której nie zajmujemy się już poszczególnymi postaciami, ale wspieraniem poznawania się i budowania współpracy inicjatyw herstorycznych z całej Polski. Sieć działa, spotykamy się często, rozmawiamy o wspólnej strategii, o działaniach, które chcemy razem zrealizować, razem się uczymy podstaw rzemiosła historycznego, dokładamy swoją feministyczną i intersekcjonalną rozkminkę. Wierzę, że to będzie dobra i trwała współpraca. Widzę to choćby po wspólnej książce, jaką są *Szlaki kobiet*.

Jeśli chodzi o działania, które mogłyby być bardziej skuteczne, to przypominam sobie warsztaty herstoryczne dla nauczycieli i nauczycielek, na które nie przyszła żadna taka osoba i pracowałyśmy w efekcie wyłącznie z edukatorkami i edukatorami spoza systemu edukacji formalnej. To było w 2009 lub 2010 roku, zainteresowania nie było kompletnie, kuratoria nie przekazywały informacji o naszej ofercie, nauczycielki i nauczyciele nie chcieli poświęcać całego weekendu na uczenie się nowej perspektywy. To był dla mnie zawód. Wtedy ta oferta nie zadziałała, dlatego stworzyłyśmy planszówkę, która mogłaby stać się namacalną pomocą pedagogiczną na lekcjach w szkole. Rozeszło się niemal 300 egzemplarzy, zamawiały ją nie tylko osoby prywatne, ale także szkoły i instytucje, poprowadziłam kilka warsztatów pokazowych z uczniami i uczennicami. Gra pewnie nie jest szeroko używana, ale mam nadzieję, że raz na jakiś czas wspiera pracę nauczycielek i nauczycieli zmotywowanych do uczenia o prawach kobiet.

Natalia: Myślisz, że jest różnica między herstorią robioną w akademii a herstorią oddolną?

Ewa: Mogę tylko fantazjować na ten temat, bo nigdy nie zajmowałam się herstorią w akademii. Wydaje mi się, że działacka herstoria ma większy kontakt z rzeczywistością społeczną, że jest narzędziem do zmiany tej rzeczywistości, a nie celem samym w sobie. Na pewno ma też większy potencjał do zmiany postaw u osób, do których dociera, a więc większe możliwości edukacyjne. Projekty herstoryczne w ogóle zakładają kontakt ze społecznością lokalną, społeczność może je współtworzyć, dzięki czemu poza przeprowadzeniem badań występują również inne efekty. Akademickie narzędzia, takie jak artykuły naukowe, konferencje czy choćby sam język opisu rzeczywistości, wydają mi

się jednak bardzo hermetyczne i dostępne dla stosunkowo niewielkiej grupy osób.

Natalia: Czy Twoim zdaniem nośny jest podział na amatorki i profesjonalistki w historii kobiet?

Ewa: Kompletnie nie rozumiem tego podziału. Mówimy oczywiście o akademiczkach-profesjonalistkach i działaczkach-amatorkach. Cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że uważam herstorię za interdyscyplinarną dziedzinę wiedzy, dla badania której wykształcenie socjologiczne, kulturoznawcze, filologiczne, politologiczne czy etnologiczne ma równie dużą wartość co wykształcenie historyczne. Powiedziałabym nawet, że kluczowa tu jest (ponownie) feministyczna perspektywa, która pozwala na refleksję nad stosowaną zgodnie z wykształceniem metodologią. Tej refleksji często brakuje „profesjonalistkom" wychowanym na patriarchalnych narzędziach historycznych. Odkrywcze mogłyby okazać się gender studies, jeśli osoby potrzebują uczelnianego poświadczenia swojej wiedzy. W każdym razie takie studia polecam, jeśli ktoś chciałby postudiować przed zajęciem się herstorią.

Natalia: Czasem spotykam się ze słowem „amatorka", które ma określać nas i naszą pracę w dziedzinie historii kobiet, ono pada szczególnie od osób związanych z akademią. Z jednej strony, trochę mnie ono gniecie – bo czy nie robimy tej roboty naprawdę dobrze? Z drugiej strony jednak, staram się tego słowa nie traktować oceniająco, uznając, że zapisana jest w nim miłość do obszaru mojej pracy, w związku z tym nie jest ono deprecjonujące. Jednocześnie uważam, że jak na „amatorki" jesteśmy świetnie przygotowane i uczymy się od najlepszych profesjonalistek. Czasem też one uczą się od nas.

Ewa: Może opowiesz o wyzwaniach i dylematach? Miałaś jakieś?

Natalia: Na początku ważnym dla mnie dylematem, chyba etycznym, było to, czy my samozwańczo i arbitralnie możemy nazywać bohaterki Krakowskiego Szlaku Kobiet naszymi przodkiniami, najchętniej przez duże „P" [śmiech]. Przodkinie były mi potrzebne, odwoływanie się do silnych kobiet z przeszłości, z którymi czułam zbieżność celów, wspierała moje działania. Nie mam pojęcia, czy one same by się na to zgodziły. Dodatkowo, szczególnie te kobiety, które nie były działaczkami kobiecymi – czy one by się same nazwały „emancypantkami"? Teraz przyjmuję, że to jest mój gest nadania sobie czy przyjęcia dla siebie ideowych korzeni, zakotwiczenia się w pamięci o nich i ten temat wybierania sobie ideowych babek już nie jest dla mnie tak problematyczny. Pozwalam sobie [śmiech].

Ewa: Dla mnie wyzwaniem są kwestie tożsamościowe. Pierwszym przykładem są relacje miłosne pomiędzy kobietami, dla których opisu nie ma odpowiedniego języka, a charakteru relacji często nie da się potwierdzić w źródłach. Druga sprawa to asymilacja Żydówek. Zastanawiałam się wielokrotnie, jakie mamy prawo podczas wycieczki śladami krakowskich Żydówek opowiadać o osobie, która określała się jako Polka, a do getta trafiła na podstawie nazistowskich ustaw norymberskich. Im bardziej zagłębiamy się w biografie kobiet, tym więcej podobnych dylematów. Nie da się mówić i pisać o przeszłości językiem przeszłości, którego nie znamy, nie mamy go we własnym doświadczeniu. Siłą rzeczy określamy nasze bohaterki przy pomocy własnych filtrów, ograniczonej wiedzy, własnych poglądów i pozycji społecznej. Tego się nie da wyłączyć, można mieć tylko mniej lub więcej na to uważności. Można ewentualnie ujawnić pozycję, z której się wypowiadasz, to jest chyba rozwiązanie najbardziej *fair*.

Natalia: Opowiedzmy o naszych planach i marzeniach, bo przecież jeszcze nie wszystkie są zrealizowane, prawda? [śmiech]

Ewa: W planach jest rozbudowa naszego archiwum społecznego, a konkretnie – kolekcji Archiwum Przodkiń. Moim marzeniem jest Archiwum Historii Kobiet jako instytucja z dużym zasobem archiwalnym, stałym finansowaniem, zespołem pracowników, pracowniczek i najchętniej własnym budynkiem.

Natalia: Marzysz o budynku na te wszystkie materiały archiwalne, tak? [śmiech]. Ja chciałabym sprawdzić, jak historię kobiet robi się za granicą, trochę się poinspirować nie tylko w Sieci, ale także poza Polską, zobaczyć z zewnątrz własną „herstoryczną koleinę", utarty sposób myślenia o naszej pracy, który od środka naszej narracji jest przezroczysty. Chciałabym zebrać dziewczyny z Sieci i wybrać się gdzieś poza polski kontekst.

Poza tym – ale to już wiadomo – marzę o podręczniku do historii kobiet, który wszedłby do szkół. Wierzę, że wspólnie z akademiczkami możemy taką rzecz stworzyć, z towarzyszącym jej programem edukacyjnym. Wiem, że są realizowane różne projekty dotyczące kobiet i historii kobiet w podręcznikach – bardzo mi się ten kierunek badań podoba, wierzę, że taką książkę można razem napisać i wprowadzić do systemu edukacji. Pewnie nie w najbliższym czasie, ale właśnie dlatego jest to rzecz w kategorii marzenia – czyli jeszcze nie plany [śmiech].

Ewa: Co mogłabyś poradzić osobom, które chciałyby takie działania podjąć, a nie wiedzą, od czego zacząć?

Natalia: Najbardziej radziłabym iść za swoją ciekawością – to najlepsza sytuacja, kiedy pojawia się postać, wspomniana na marginesie jakiegoś artykułu albo w trzecim rzędzie starej rodzinnej fotografii, albo przywołana podczas rodzinnego spotkania. Jeśli ktoś cię zainteresuje, jakaś historia szczególnie ci rezonuje, idź za tym.

Poza tym historia kobiet może się wydawać obszarem niezwykle rozległym. Dlatego warto się nie bać, wybrać sobie mały kawałek i go eksplorować. Potem być może zataczać coraz większe kręgi, od historii jednej kobiety przez historię jej koleżanek ze szkoły albo z pracy, do historii grup kobiet, społeczności, miejscowości.

Może się też okazać, że szukamy, szukamy i jeszcze raz szukamy, a docieramy do jednej i tej samej informacji – postać się nam nie odsłania, nie ma danych, brak szczegółów, poza tym, że „wielką postacią była". Tak bywa, kobiety przez lata były pozbawiane swojego miejsca w historii i ni stąd ni zowąd nie znajdą się tak po prostu w książce czy internecie. Czasem na trop postaci wpada się przypadkiem, czasem jej ślad pojawia się nieoczekiwanie w miejscu niespodziewanym. Dlatego warto poszerzać horyzonty, dowiadywać się więcej o czasie, w którym żyła bohaterka, o jej przestrzeni, o wyzwaniach jej współczesnych. Nawet jeśli ostatecznie nie trafimy na jej trop, może odnajdziemy dla siebie inną bohaterkę?

Można też skontaktować się z nami, szukać innych inicjatyw, które zajmują się historią kobiet, innych osób, które ten temat interesuje. Warto podzielić się pytaniami, pogadać o trudnościach. Warto sprawdzić, jakie działania są realizowane, ale jeśli żaden model nam nie odpowiada, jak najbardziej wymyślić swój własny, na swoją własną skalę i zasoby energii – wielki lub mały.

Ewa: Moim zdaniem, na samym początku trzeba zdobyć jak najwięcej wiedzy na temat kontekstu – czasu i miejsca, w którym żyły bohaterki, czyli przede wszystkim czytać, uczyć się, chodzić po bibliotekach i archiwach. Potem można zacząć zgłębiać tematy i postaci, które osobiście najbardziej interesują. Na pewno warto wyznaczyć sobie cele i planować kolejne działania. Dobrze też poszukać sojuszników i sojuszniczek. I – jeśli jest taka możliwość – nie działać w pojedynkę. W chwilach kryzysu, zwątpienia, braku motywacji czy energii, współpracująca osoba lub grupa może uratować inicjatywę.

Natalia: Jaką przeszłyśmy Twoim zdaniem drogę od lektury *Sióstr Malinowskiego*?

Ewa: Na początku bardziej byłyśmy zwrócone ku miastu, lokalności, takie mam przynajmniej wrażenie. Teraz

zarzuciłyśmy badania biografii kobiet związanych z Krakowem na rzecz zbierania śladów, głosów, dokumentowania herstorii osobistych, rodzinnych. Stąd zwrot ku archiwum społecznemu.

Natalia: Herstorie rodzinne to jeden z filarów naszych działań obecnie. Jest jeszcze drugi: w 2008 roku odkrywałyśmy biografie Bujwidowej, Kulikowskiej, Reiter, Witkowskiej, Szenirer. Bardzo mocno koncentrowałyśmy się na poszczególnych biografiach układających się w opis życia kobiet w tym mieście. Pewnie nie wszystkich, niemniej opowieść niosła i energię, i odpowiedzialność – by przypomnieć i nie ustawać w działaniach na rzecz praw kobiet. Wiemy, że nasze działania były inspirujące dla wielu inicjatyw, dostawałyśmy też zaproszenia do współpracy w innych miastach. W którymś momencie poczułyśmy jednak, że wydając książki rok po roku, kręcimy się w kółko; że to działanie zaczyna być rutynowe. Produkujemy wiedzę, tworzymy miejsce dla autorek i autorów do opowiadania o ich bohaterkach, ale nie używamy tego materiału – on nie wybrzmiewa tak, jak powinien, by w działaniach została ta energia z samego początku. Postanowiłyśmy chwilę odsapnąć… i niemal natychmiast zainicjowałyśmy Sieć herstoryczną. Odpoczywanie jest trudne [śmiech]. Nasze działania przez te ostatnie lata, praca przy organizacji herstorycznego modułu II Akademickiego Kongresu Feministycznego w Krakowie w 2011 roku, zaproszenia z różnych miejsc do współpracy spowodowały, że znałyśmy wiele inicjatyw, które jednocześnie nie były ze sobą w kontakcie, nie znały się nawzajem. Udało się nam wspólnie zacząć budować wspólną strategię, Sieć rośnie, w najbliższym czasie przed nami kilka spotkań… Działania ponadlokalne, budowanie współpracy między inicjatywami, wspólne przyglądanie się narzędziom, metodologii, dyskusje strategiczne na temat robienia herstorii i jej efektów, uczenie się od siebie i współpracujących z nami akademiczek – to jest miejsce, w którym jesteśmy teraz.

Rozmowa odbyła się 23 października 2015 roku w biurze Fundacji Przestrzeń Kobiet przy ul. Słowiańskiej 3 w Krakowie.

Krakowski Szlak Kobiet / Herstorie to program prowadzony przez Fundację Przestrzeń Kobiet od 2008 roku. Celem programu jest wzmocnienie zaangażowania obywatelskiego, zaangażowania na rzecz demokracji, społeczeństwa obywatelskiego oraz równości kobiet i mężczyzn poprzez edukację o historii kobiet, procesach emancypacyjnych i walce kobiet o równouprawnienie jako elemencie walki o demokrację. Aby przypomnieć o walce kobiet, naszych Przodkiń, o prawa kobiet, prowadzimy działania badawcze i edukacyjne, starając się odzyskać zapomnianą historię i dorobek krakowskich emancypantek dla wspólnej pamięci mieszkanek i mieszkańców Krakowa i Polski.

W ramach programu m.in. wydałyśmy pięć tomów *Przewodniczki po Krakowie emancypantek,* kalendarze osobiste *Historia kobiet* na lata 2012, 2013, 2014, wyprodukowałyśmy grę planszową Krakowski Szlak Kobiet, zapraszamy na wycieczki po trasach Krakowskiego Szlaku Kobiet: śladami krakowskich emancypantek, krakowskich Żydówek, wybitnych krakowianek, krakowskich sióstr Virginii Woolf, edukacji kobiet, Marceliny Kulikowskiej i kobiet nieheteroseksualnych, prowadzimy warsztaty i seminaria historii kobiet, organizujemy spotkania w Czytelni dla Kobiet, prowadzimy blog Herstorie i społeczne Archiwum Przodkiń.

Od 2014 roku koordynujemy prace Sieci herstorycznej. W 2015 roku wydałyśmy publikacje Sieci: *Szlaki kobiet. Przewodniczka po Polsce emancypantek* i *Terminarz Herstoryczny 2016*. Zorganizowałyśmy również warsztaty strategiczne Sieci i warsztaty metodologiczne z historyczkami: dr Dobrochną Kałwą i dr Barbarą Klich-Kluczewską. Prowadzimy internetowe Archiwum Historii Kobiet.

Strona Archiwum Historii Kobiet: http://www.herstorie.pl/.

fot. archiwum prywatne

dr Dobrochna Kałwa – historyczka, adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2000–2013 pracowała w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego jest absolwentką. Stypendystka Fundacji Fulbrighta, GWZO w Lipsku, gościnnie wykładała na uniwersytetach w Erfurcie, Halle, Konstancji. Członkini redakcji „Aspasia. The International Yearbook of Central, Eastern, and Southeastern European Women" i „Roczników Antropologii Historii". Zajmuje się historią kobiet w Polsce i Europie Środkowej w XX wieku, oral history, metodologią historii gender, migracjami kobiet. Redaktorka zbiorów, autorka książek i licznych artykułów poświęconych historii kobiet, metodologii historii gender, oral history i migracji kobiet, m.in. *Kobieta aktywna w Polsce międzywojennej. Dylematy środowisk kobiecych*, Kraków 2001; *Historia zwyczajnych kobiet i zwyczajnych mężczyzn. Dzieje społeczne w perspektywie gender*, red. D. Kałwa, T. Pudłocki, Przemyśl–Kraków 2007; *Rodzina – prywatność – intymność. Dzieje rodziny polskiej w kontekście europejskim*, red. D. Kałwa, A. Walaszek, A. Żarnowska, Warszawa 2006; *From mentalities to anthropological history. Theory and methods*, red. B. Klich-Kluczewska, D. Kałwa, Kraków 2012. Obecnie przygotowuje książkę o metodologii historii mówionej.

DOBROCHNA KAŁWA

OPOWIEŚĆ O DOBRYCH SIOSTRACH JUŻ MI NIE WYSTARCZA

Z Dobrochną Kałwą, pracowniczką Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, współpracowniczką Sieci herstorycznej, rozmawia Natalia Sarata

Natalia Sarata: Poprosiłam Cię o rozmowę, ponieważ jako akademiczka i recenzentka naukowa towarzyszysz naszym działaniom w Krakowskim Szlaku Kobiet niemal od samego początku, a obecnie merytorycznie wspierasz pracę także Sieci herstorycznej. O ile wiem, herstoria nie jest bardzo popularnym wątkiem w pracach akademii. Jak ten temat zaczął się dla Ciebie?

Dobrochna Kałwa: Jeśli chodzi o mnie prywatnie, to odpowiedź będzie bardzo prosta, natomiast naukowa jest trochę bardziej skomplikowana. Do historii kobiet trafiłam przez wybór tematu pracy magisterskiej. Pisałam ją w momencie wielkiej debaty o karalności aborcji w 1991 roku i postanowiłam przyjrzeć się debatom na temat karalności aborcji w dwudziestoleciu międzywojennym. Czyli najpierw była lektura *Piekła kobiet* Boya-Żeleńskiego[1], a potem drążenie tematu i patrzenie, analizowanie, odtwarzanie stanowisk i argumentów. Taką właśnie pracę napisałam, z zachowaniem wszystkich reguł sztuki historycznej. Mój promotor stwierdził, że gdyby nie wiedział, jakie mam poglądy, to by się z tekstu nie domyślił. Traktowałam to wówczas jako pozytywny aspekt, tzn. że byłam w stanie opisać w sposób neutralny poglądy, z którymi się nie zgadzam. W związku z tym „sukcesem" zachowania dystansu wobec poglądów, które są mi bliskie, promotor zaproponował, żebym zajęła się historią kobiet i skontaktował mnie z Anną Żarnowską[2], matką-założycielką współczesnych badań historii kobiet w Polsce.

Zajęłam się aktywnością kobiet w dwudziestoleciu międzywojennym i odkryłam, że polskie działaczki feministyczne tego okresu, a i wcześniejsze także, cały czas posługiwały się historią jako argumentem politycznym. W ich poglądach tematy polityczne – wielkie kobiety, słynne przodkinie – są obecne; one myślały o historii jako narzędziu walki politycznej. Okazało się, że od kobiet, które piszą o innych kobietach, w kontekście historycznym się nie ucieknie, że historia kobiet ma długą tradycję.

1 T. Boy-Żeleński, *Piekło kobiet*, wyd. Jirafa Roja, Warszawa 2013.
2 Anna Żarnowska (1931–2007), profesorka Uniwersytetu Warszawskiego, historyczka, badaczka historii kobiet i polskiego ruchu robotniczego, wraz z Andrzejem Szwarcem redaktorka naukowa serii wydawniczej „Kobieta i...", która ukazywała się w latach 1990–2006.

Już w okresie międzywojennym historyczka Łucja Charewiczowa[3] postulowała rozwój badań nad historią kobiet. Ten temat wraca co jakiś czas i mam poczucie, że ciągle powtarzamy ten postulat, mniej więcej co 50 lat.

Kiedy zaczęłam zajmować się historią kobiet, to oczywiście środowisko badaczek i badaczy było niewielkie. Anna Żarnowska przyjęła strategię – która do dziś się utrzymuje – że w badania należy włączać także historyków, których obecność legitymizuje w jakimś sensie badania, chroniąc przed zarzutem ideologizacji, podporządkowania celom politycznym – oczywiście ten argument pojawiał się zawsze. Kiedy przedstawiałam się jako badaczka historii kobiet, to niemal zawsze pojawiało się kolejne pytanie o to, czy jestem feministką. W ich przekonaniu nie ma mowy o wartościowych badaniach, gdy historią kobiet zajmuje się kobieta, a tym bardziej feministka. Z drugiej strony, te same osoby mówiły, że płeć nie ma znaczenia przy badaniach... Jakoś im się to nie kłóciło, że w historii płeć i ma, i nie ma znaczenia. Na początku posądzanie o subiektywizm i ideologizację trochę mnie martwiło, teraz już nie. Wraz z przybywaniem doświadczenia i drążeniem tematu, a także w związku tym, że na etapie doktoratu dowiedziałam się, że istnieje coś takiego, jak płeć kulturowa (szybko się douczyłam), dostrzegałam coraz bardziej, że historia niezaangażowana i obiektywna jest rodzajem mitu, który na świecie został zakwestionowany w latach 60., a u nas ciągle jeszcze trwał.

Przez historię kobiet trafiłam do historii mówionej, a to dzięki międzynarodowemu projektowi feministycznemu „Pamięć kobiet"[4]. Wtedy po raz pierwszy robiłam wywiady – bardzo złe – i zobaczyłam, że jest to bardzo ciekawe narzędzie poznawania historii zwyczajnych kobiet. Te historie nie były obecne w dyskursie publicznym i nie wpływały na potoczne wyobrażenie PRL. To był dość ciekawy czas, koniec lat 90., kiedy ciągle jeszcze debata nad tym, czym był PRL, była w miarę istotna. Panie, z którymi robiłam wywiady, mówiły bardzo ciekawe rzeczy, ich pozornie nieważne historyjki, anegdotyczne epizody nadawały zupełnie nowy kontekst historii.

3 Łucja Charewiczowa (1897–1943) – historyczka i działaczka społeczna, związana z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie, za działalność konspiracyjną w czasie II wojny światowej osadzona w więzieniu na Pawiaku w Warszawie, zmarła na tyfus w Auschwitz-Birkenau.

4 Projekt „Women's Memory" („Pamięć kobiet") realizowany w latach 1996–2004 przez czeską organizację Gender Studies w międzynarodowym zespole badaczek z Czech, Słowacji, dawnej NRD, Polski, Chorwacji, Serbii i Czarnogóry oraz Ukrainy. Więcej o projekcie pod adresem: http://www.womensmemory.net/english/project.asp (dostęp 17.01.2016).

Natalia: Gdzie jesteś z historią kobiet teraz?

Dobrochna: Wracam do niej na dobre, choć tak naprawdę historia kobiet nigdy mnie nie opuściła. Od czasu projektu „Pamięć kobiet" moje zainteresowania zwróciły się ku historii mówionej, która była kolejnym dziwnym, kontrowersyjnym obszarem z perspektywy klasycznych badań historycznych: rozmowa z drugą osobą to zupełnie inny sposób myślenia o przeszłości i inne cele badawcze. Pochłonęła mnie historia mówiona, ale przecież jeśli ktoś już raz jest genderowo uwrażliwiony, to jest już zawsze, dlatego historia kobiet cały czas mi towarzyszyła. Pracowałam i nadal pracuję w zasadzie dwutorowo, zajmując się historią kobiet i historią mówioną. Teraz wracam do korzeni, porzucając w jakimś sensie historię mówioną, głównie ze względu na dylematy etyczne.

Natalia: Jakiego rodzaju dylematy?

Dobrochna: Mam problemy nie tyle ze zbieraniem i kolekcjonowaniem opowieści czy spotykaniem się z drugą osobą – to są i tak najczęściej kobiety – ale z kolejnym etapem: akademicką analizą źródeł, dzięki której wiem o moich rozmówczyniach i rozmówcach znacznie więcej, niż oni chcieli o sobie powiedzieć. Już w trakcie rozmowy można zobaczyć więcej i można zachęcić ludzi do mówienia więcej, niż oni sami chcą. A to mi się kłóci z postulatem podmiotowości w badaniach feministycznych, zgodnie z którym mam uwzględniać interesy i perspektywę tej drugiej osoby. Jak to robić, żeby to nie było jej kosztem?

Natalia: Nazwać je, zinterpretować w sposób, który nie musi być zgodny z rozumieniem ich sytuacji.

Dobrochna: W dodatku rozmówczynie i rozmówcy mogą czuć się oszukani przeze mnie, bo „moi tubylcy" już umieją czytać i teoretycznie mają dostęp do analiz. Nawet jeśli wiem, że moi rozmówcy nie będą tego czytać, to myślę o tym jako o pewnym rodzaju sprzeniewierzania się. Dlatego teraz wolę, jak „porządna historyczka", wykorzystać istniejące już wywiady, czyli żerować na zaufaniu do innej osoby, a nie do mnie. Dlatego rozstaję się z historią mówioną jako z narzędziem badań, natomiast herstorycznie to narzędzie jest fantastyczne. Czyli chętnie pozbieram, niekoniecznie zinterpretuję.

Natalia: Jaką masz swoją operacyjną definicję historii kobiet?

Dobrochna: Swego czasu napisałam taki tekst[5], w ramach zmagania się z tym, jak historycy definiują historię kobiet, jak badaczki gender definiują historię. Wokół historii gender jest moim zdaniem mnóstwo nieporozumień. Na potrzeby uporządkowania poszczególnych tekstów, nurtów, badań, refleksji na temat przeszłości rozróżniam: po pierwsze, historię kobiet, po drugie – historię o kobietach. Historia kobiet powinna być jeśli nie feministyczna, to co najmniej zbudowana na głębokim fundamencie genderowym, czyli rozumieniu koncepcji płci kulturowej i późniejszych refleksji wokół płci jako takiej, np. Judith Butler[6], której sposób myślenia w środowisku historycznym ciągle jest nieznany.

Natomiast historia o kobietach to pożyteczna, ale mało twórcza – w sensie nowych interpretacji – dziedzina, w której historycy i historyczki na podstawie analizy źródeł rekonstruują fakty historyczne, a te w dalszej kolejności powinny być jeszcze zawsze interpretowane, także w duchu genderowym. Dowiedzenie się tych wszystkich rzeczy, o których nie wiemy, to jest jednak najbardziej żmudna część pracy, ale potrzebna, ponieważ historia jako nauka bez źródeł i ich krytycznej analizy nie istnieje. Ktoś zatem do tych archiwów musi pójść, zajrzeć, znaleźć, sprawdzić ich autentyczność, odszyfrować treść (co nie zawsze jest takie proste), ocenić wiarygodność przekazu, konfrontując z wiedzą pozaźródłową i potem, na samym końcu, przedstawić je w postaci historiograficznego opisu. I to jest historia o kobietach dostarczająca bazy informacji szczegółowych.

Na pograniczu historii kobiet i historii o kobietach rozwija się, może niezbyt dobrze znana, refleksja nad warsztatem, która odpowiada na pytania, gdzie, w których źródłach są informacje (i jakie) na temat kobiet, co już zostało opisane, co nie. Wszystkie te monografie szczegółowe, słowniki biograficzne kobiet, wydawnictwa źródłowe – włączam do nurtu „historii o kobietach".

Trzecią dziedziną jest historia gender, która jest interesującym i inspirującym, ale słabo rozpoznanym w Polsce obszarem badań, który wymaga poszerzenia pytań badawczych o relacje płci, konfiguracje różnych układów normatywnych, nienormatywnych itd. To jest dopiero przed nami. Na razie historia gender jest z mojej perspektywy zawłaszczona przez badaczki gender. Im jednak – nadal z mojej perspektywy historycznej – brakuje

5 D. Kałwa, *Historia kobiet* versus *studia* gender – *o potrzebie interdyscyplinarnego dialogu*, [w:] *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*, pod red. E. Domańskiej, R. Stobieckiego, T. Wiślicza, Kraków 2014, s. 115–126.
6 Judith Butler – profesorka Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, filozofka feministyczna, autorka m.in. konstytutywnej dla teorii queer książki *Uwikłani w płeć* (tytuł oryg. *Gender Trouble*), Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008.

doświadczenia archiwum, warsztatu historycznego, który każe iść do archiwum i dokonać podstawowych zabiegów, jakie każdy historyk i każda historyczka robią: analizy źródeł, wyłuskiwania poszczególnych rzeczy, które się w tych źródłach znajdują, weryfikacji poprzez inne źródła i inną wiedzę. To jest jednak bardzo skomplikowany proces intelektualny, o którym historycy nie piszą i to jest grzech dyscypliny. Ten proces jest nieznany badaczkom gender i bardzo często się stykam z takim przesądem, że to, co jest podane w książkach historycznych, to jest dane, samo się skądś bierze.

Obecnie w Polsce rozwija się historiografia feministyczna, taką pracę prowadzi Maria Solarska[7] w Poznaniu, trochę ja to robię albo na przykład Monika Bobako[8], która działa na pograniczu antropologii i też się interesuje historią. Zatem refleksja nad tym, jak badać historię, żeby kobiety wypłynęły, jest podejmowana. Obecnie jest prowadzony taki wielki projekt edukacyjny[9], badanie podręczników pod kątem obecności kobiet. Jego celem jest, żeby do tych podręczników kobiety trafiły – tym się zajmowały historyczki z Poznania. Rośnie w siłę młode pokolenie trzydziestoletnich badaczek, które w różnych ośrodkach już znalazły swoje miejsce i są widoczne, to jest też chyba trochę efekt otwarcia na świat. Nawet bardzo konserwatywni historycy dostrzegają, że tematy dotyczące kobiet, seksualności, relacji płci są ważne i że są na nie granty. Jest zapotrzebowanie, więc jest też większe przyzwolenie na tego typu badania.

Natalia: Twoim zdaniem, po co jest historia kobiet?

Dobrochna: To jest w ogóle pytanie o cele historii jako takiej. Myślę, że im więcej teorii w ramach dyscypliny naukowej, które pozwalają wyjaśnić zróżnicowanie polityczne, społeczne, kulturowe, tym lepiej, bo poszerza pole oglądu współczesnych problemów o perspektywę historyczną. Kanoniczna triada kategorii: rasa – klasa – płeć, swobodnie rozszerzana o kolejne kategorie, powoduje, że lepiej rozumiemy analizowaną

7 Maria Solarska – dr historii, w Instytucie Historii UAM zajmuje się m.in. metodologią historii i historii historiografii, autorka książki *S/Przeciw-historia. Wymiar krytyczny historii kobiet*, Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2011. Książka jest dostępna pod adresem: http://www.ekologiasztuka.pl/pdf/Solarska_2011_rozdz2.pdf (dostęp: 15.01.2016).

8 Monika Bobako – doktor filozofii, adiunkt w Pracowni Pytań Granicznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zajmuje się problematyką feministyczną, multikulturalizmu, islamofobii, a także świata postkolonialnego. Autorka książki *Demokracja wobec różnicy: multikulturalizm i feminizm w perspektywie polityki uznania*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2010.

9 Chodzi o międzynarodowy projekt „Niegodne historii", realizowany na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Strona projektu: http://www.historiawszkole.amu.edu.pl/new/cel-badan.html (dostęp: 15.01.2016)

rzeczywistość, przeszłą, ale też teraźniejszą – historia opisuje większe tematy i procesy, rzadko dotyczy wyłącznie konkretnej postaci. Żeby zrozumieć, trzeba znaleźć klucze do tego zrozumienia. I podobnie, kiedy pytamy o pochodzenie etniczne, społeczne, konfesję, rasę, wszystkie inne elementy, należy zadać też proste pytanie: „Czy fakt bycia kobietą miał znaczenie, czy nie miał?". Czasem ma znaczenie, czasem nie ma. Apriorycznie trzeba jednak założyć, że miał, tak jak inne czynniki nierówności społecznej. Warto to uwzględniać, żeby wyobrażony świat przeszłości był różnorodny i różnobarwny.

Historia zawsze miała potencjał narzędzia budującego tożsamość. Dawniej także, w jakimś stopniu dostarczania gotowych wzorców postępowania – to jest ten najwcześniejszy sposób myślenia o przeszłości: „Jak postępować? Ano spójrzmy w przeszłość, tutaj władca taki robił to i tamto". Wraz z nowoczesnością, historia stała się głównie narzędziem kształtowania tożsamości dużych wspólnot wyobrażonych, nie tylko narodowych. W zasadzie każda grupa, która się tworzyła wokół jakiejś idei, szukała legitymizacji także w przeszłości i właściwie każda wielka idea miała swoje historyczne argumenty. Mam wrażenie, że współcześnie w Polsce w pewnym momencie historia przestała być potrzebna, chociaż pozwala nam zrozumieć, porządkować i oswoić rzeczywistość, teraźniejszość.

Natalia: Towarzyszysz różnym społecznym inicjatywom herstorycznym, które organizują się nie wokół akademii, ale w ramach ruchu feministycznego, czy szerzej, kobiecego. Jak widzisz cel tej oddolnej herstorii?

Dobrochna: Bardzo się ucieszyłam, że oddolna herstoria wraca. Na uniwersytecie historia kobiet znajduje się na marginesie studiów gender, bo to jest trudna działka. Studentki raczej się zniechęcają do pisania prac z zakresu herstorii czy historii gender, ponieważ łatwiej jest zrobić analizę socjologiczną, tak mi się wydaje, albo kulturoznawczą, albo analizę dyskursu medialnego. Nie do końca wiem, skąd się bierze potrzeba wiedzy o przeszłości, zainteresowanie nią, ale jest to naprawdę fantastyczne. Dobrze, że dzieje się według własnych reguł, a nie reguł historii akademickiej.

Być może to jest przejaw potrzeby sprawdzenia, jak wyglądały zjawiska historyczne, które w globalnej wiedzy o feminizmie są znane i się nam oswoiły. Wszystkie wiemy o Emmeline Pankhurst[10], znamy wspaniałe anglosaskie sufrażystki – a jak

10 Emmeline Pankhurst (1858–1928) – brytyjska sufrażystka, założycielka Ligi Wyzwolenia Kobiet, współzałożycielka i bojowniczka Społeczno-Politycznej Unii Kobiet. Walczyła o prawa wyborcze dla kobiet w Wielkiej Brytanii. Wielokrotnie aresztowana, prowadziła strajki głodowe, była poddawana przymusowemu karmieniu.

było u nas? To pierwsze pytanie, które się pojawia. Dodatkowo świadomość feministyczna sprzyja krytycznemu osądowi tego, co w ramach historii funkcjonuje jako „uniwersalne" wzorce kobiecości, dopytywaniu o to, gdzie są kobiety, których losy składają się na naszą własną tradycję. W historiach anglosaskich trudno się odnaleźć, chociaż one są budujące i bardzo fajne, ale nie pasują do naszych realiów i trudno w tym momencie do nich sięgać jako do wzorów do naśladowania. W tym sensie badania herstorii są poszukiwaniem własnych przodkiń, co jest naturalnym mechanizmem psychologicznym i socjologicznym.

Natalia: Własną pracę tożsamościową łatwiej oprzeć na lokalnej historii kobiet niż historii kobiet z innych krajów, innych uwarunkowań społecznych. Nośne jest to, co bliskie – także geograficznie.

Dobrochna: Dlatego nie jestem zaskoczona, że Wasz projekt, Krakowski Szlak Kobiet, ma taki zasięg oddziaływania. To jest jeden z najlepszych feministycznych projektów społeczno-politycznych, bo teraz wszystkie chcą robić lokalną historię właśnie w ten sposób.

Wy oswajacie przestrzeń miasta przez badanie przeszłości, a to przecież można robić wszędzie. Inną rzeczą jest to, w jaki sposób to jest robione.... Jednak sam pomysł, że historia jest wszędzie i warto ją poznawać, jest bardzo, bardzo popularny i bardzo potrzebny.

Natalia.: A jak to jest robione? Co masz na myśli?

Dobrochna: Na pewno różnie. Afirmacja przeszłości kobiet jest fantastycznym pomysłem, jednocześnie trudno mi zaakceptować sytuację, gdy ta afirmacja przybiera postać romantycznych mitów i zamiast dekonstruować pewne mitologie, umacnia je. Przykładem jednocześnie pozytywnym i negatywnym jest Dionizja Wawrzykowska-Wierciochowa[11]. Wszystkie czytamy jej książkę *Od prządki do astronautki*, bo to jak dotąd jedyna synteza dziejów kobiet, jaka powstała w Polsce. Wawrzykowska-Wierciochowa jest przy tym irytująca w swej romantycznej egzaltacji; jej historie o Emilii Plater, o innych dziewczętach i kobietach są tak naiwne, aż serce boli. Martwi mnie ta naiwna afirmacja przeszłości, martwi mnie, że tworzymy następne Matki Polki, następne dziewice, co to szły do boju z bronią. Mity są potrzebne, jednak od feministek oczekiwałabym, żeby krytycznie patrzyły na naiwne

11 Dionizja Wawrzykowska-Wierciochowa (1908–1997) – historyczka, pisarka, autorka takich książek, jak *Z dziejów kobiety wiejskiej. Szkice historyczne 1861-1945*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1961 oraz *Od prządki do astronautki. Z dziejów kobiety polskiej, jej pracy i osiągnięć*, Wydawnictwo Związkowe CRZZ, Warszawa 1963.

afirmacje i opowiadały o prawdziwych kobietach, bo to one zasługują na podziw i naszą pamięć.

Druga rzecz jest chyba bardziej skomplikowana i trudna. Jako historyczka mam wdrukowane, że ludzie w przeszłości, kobiety i mężczyźni, byli inni i inne niż my dzisiaj. Odczuwam wewnętrzny opór wobec wszelkich prób esencjalizacji i mówienia, że tamte kobiety i my mamy wspólne doświadczenia i takie same problemy. Ze źródeł i kontekstów historycznych wynika, że nie możemy budować takich prostych asocjacji. Na przykład macierzyństwo dla kobiety, która rodziła przed wprowadzeniem zwyczaju mycia rąk przez lekarza, a macierzyństwo i poród dzisiaj to nie to samo. Nam nie grozi już śmierć przy okazji porodu, w przeszłości to doświadczenie było bardzo powszechne. Pomijam fakt, że nie było środków przeciwbólowych, co też nam się nie mieści w głowie. Inna sprawa dotyczy dyskryminacji w społeczeństwach tradycyjnych: to były zupełnie odmienne konfiguracje władzy, bo nie każdy mężczyzna hierarchicznie był ponad kobietą. Ziemianka rządziła swoimi chłopami bez względu na to, czy to byli mężczyźni, czy to były kobiety. Szlachcianka, inaczej niż mieszczka, była objęta przywilejem zakazującym uwięzienia bez wyroku sądowego... Mam zatem problem z prostymi przełożeniami, jak również z budowaniem ahistorycznej opowieści o wspólnocie doświadczeń wszystkich kobiet, bo kobiety się różnią, nie zawsze pasują do naszych wyobrażeń, nie zawsze spełniają nasze oczekiwania. Czy w herstorii jest miejsce na przykład dla Krystyny Pawłowicz, czy też chcemy ją z herstorii wyłączyć?

Natalia: Po co byśmy chciały włączać postać, która nie pasuje do jakiejś opowieści, naszej opowieści o wspólnej przeszłości – to jest to pytanie?

Dobrochna: To pytanie, na ile chcemy tworzyć swoją opowieść w pewnym sensie na wzór nacjonalistycznych dziejów narodu: mamy tylko dobre bohaterki, mamy w tym wypadku także ofiary, których znajdziemy całkiem sporo. Kobieta jako ofiara przemocy, nigdy sprawczyni. I budujemy taki bardzo wyraźnie wzmacniający i potrzebny pozytywny wzorzec, mit.

Natalia: W jakim celu?

Dobrochna: Chyba chcemy czuć dumę. Szukam swoich korzeni, wskazuję na konkretne postaci, które były wzorem do naśladowania. Mam takie wrażenie, że niektóre herstoryczne projekty są takimi opowieściami o fantastycznych kobietach. O tym, że wszystkie jesteśmy dobre. Ja jednak wolę bardziej zróżnicowany obraz przeszłości, w którym jest miejsce dla różnych kobiet, w którym są konflikty i problemy, ale też sposoby ich

przezwyciężania. To dziedzictwo musi być bardziej skomplikowane i sproblematyzowane, żeby miało jakikolwiek sens. Proste budowanie opowieści o siostrzaństwie, bezrefleksyjne, już mi nie wystarcza, nie zadowala. Wizja jedności, spójności jest ładna, ale przez to prosta i nieprawdziwa.

Natalia: W Krakowskim Szlaku Kobiet wielokrotnie stawałyśmy przed dylematami ujmowania w przedstawieniach bohaterek tych cech, które się nam podobają i są nam bliskie i tych, które się nam nie podobają osobiście albo stoją w poprzek ze strategiami ruchu. Same autorki różnie te kwestie rozwiązywały, dużo dyskusji w zespole Fundacji także mamy za sobą. Również w Sieci herstorycznej dużo rozmawiamy o tym, jak poszczególne osoby i grupy definiują to, czym jest historia kobiet. Pojawiały się bardzo różne głosy dotyczące budowania spójnej opowieści o przeszłości. Spójnej w kontekście udźwignięcia skomplikowania sytuacji, kiedy kobiety jako grupa nadal są mniejszościową grupą interesu i mnóstwo jest jeszcze do uzyskania współcześnie. Jest to trudne, ponieważ to odbiera historii kobiet użyteczność narzędzia feministycznego, ponieważ się okazuje, że gdzie nie dotknąć, tam ta opowieść się rozpada w rękach. Tyle jest różnic, skrzyżowań tożsamości, przynależności, na które trzeba zwrócić uwagę, żeby dostrzec różnorodność tej grupy.

Dobrochna: Dlatego wolę myśleć o herstorii w kategoriach pamięci zbiorowej, która zakłada, że wspólnota pamięci podziela pewną wizję przeszłości, która powstaje w efekcie doboru treści zgodnych z systemem wartości... Selektywność zapewnia spójność pamięci, a przy okazji także zgodność z celami politycznymi. Herstoria rozumiana jako projekt pamięciowy nie budzi, nie powinna budzić zastrzeżeń. Natomiast kiedy traktujemy herstorię jako element wiedzy historycznej, efekt badań, to – przynajmniej w polskim dyskursie – pojawia się zarzut tendencyjności, pomijania rzeczy niewygodnych i trudnych, selektywności, podporządkowania celom politycznym. Jeżeli feministyczne badaczki zaczynają unikać trudnych tematów, niewygodnych pytań, to tym samym potwierdzają część zarzutów.

Natalia: Szeroko zdefiniowana historia kobiet jest robiona także przez kobiety (i nie tylko), które nie określają się jako feministki. Są takie działania, projekty, całe opowieści o konkretnych miejscach i bohaterkach, które z jednej strony odcinają się wprost od założeń feminizmu czy perspektywy emancypacyjnej, a z drugiej – opowiadają historie o kobietach w takim nurcie „dodamy jeszcze tę postać, bo ona była wielką Polką i zasługuje na docenienie, tak jak inni wielcy Polacy".

Jednak nie towarzyszy temu krytyczna refleksja: właściwie to dlaczego jej do tej pory nie było w tej narracji? Dlaczego została z niej wyłączona albo w niej się nie znalazła? Jakie też mechanizmy do tego doprowadziły?

Dobrochna: Wydaje mi się, że to jest problem pozostałości po peerelowskiej epoce. Historycy i historyczki ciągle nieufnie odnoszą się refleksji metodologicznej, która kojarzy im się z odgórnie narzuconym, „przymusowym" marksizmem. Mechanizmem obronnym swobody i autonomii badawczej stał się wtedy wypracowany dystans do metodologii i teorii wszelakiej. W efekcie ciągle jeszcze wielu historyków i wiele historyczek jest negatywnie nastawionych do pytania o ramy teoretyczne swoich badań, o metodologię, nie w sensie warsztatu badań, tylko paradygmatów. Pojęciami z tego obszaru kolejne pokolenia historyków i historyczek posługują się słabo, trochę się ich boją i w ramach tego odcinania się, traktowania teorii jako zarazy, chętnie deklarują, że ich celem jest szukanie „obiektywnej prawdy". Obawiają się zarzutu, że ich ogląd rzeczywistości historycznej jest naznaczony poglądami.

Natalia: A to jest fakt.

Dobrochna: Większość nie potrafi zaakceptować faktu, że nie ma czegoś takiego jak obiektywne spojrzenie i że pozytywistyczny, a także modernistyczny paradygmat zostały już dawno zakwestionowane. Moim zdaniem, potrzebna jest inna perspektywa i mówienie: „ta interpretacja jest tak a nie inaczej ulokowana w takich a nie innych paradygmatach i poglądach, i celach". To byłoby w porządku. Dodatkowy problem dotyczy potocznej wiary podzielanej przez środowisko naukowe, wiary w jednolitą wizję przeszłości. Jeśli historycy i historyczki nie mówią jednym głosem, czy to miałoby znaczyć, że historia jest źle robiona? Czy naukowcy i naukowczynie w ogóle mówią jednym głosem? Z mojej perspektywy dyskurs historyczny, ten akademicki, powinien być zróżnicowany, na tym polega nauka.

Natalia: Mówienie różnymi głosami byłoby być może nośnym rozwiązaniem dla polityczności projektów herstorycznych.

Dobrochna: Sądzę, że tak. Na marginesie, zauważyłam, że w polskim kontekście problemem jest używanie na przykład pojęcia „polityczności" w kontekście projektów badawczych albo społecznych. Swego czasu analizując nurty historii mówionej, wyróżniłam obok akademickiego i archiwalnego także działania edukacyjne, które są nurtem politycznym. Większość moich pierwszych odbiorców tego tekstu miała z tym słowem kłopot,

ponieważ polityczność kojarzyła im się z działalnością partyjną. Stąd w końcu wybrałam nazwę „obywatelski" [śmiech].

Natalia: Jako osoba zaangażowana w herstoryczną inicjatywę, często spotykam się z takim zarzutem o upolitycznienie i zideologizowanie ze strony badaczy, badaczek albo ze strony osób, które po prostu przychodzą się dowiedzieć o naszych działaniach, dostać książkę, pójść na wycieczkę, w jakiś sposób zbliżają się do tematu herstorii. Jaka byłaby Twoja odpowiedź na taki zarzut, że historia kobiet, którą my robimy w ramach społecznych inicjatyw, jest zideologizowana i upolityczniona czy polityczna, w przeciwieństwie do tej historii uczonej w szkołach, kanonicznej historii narodowej?

Dobrochna: Ależ historia narodowa JEST historią polityczną. „My, Polacy" jesteśmy dumni z historii własnego narodu. To jest bardzo polityczne i ideologiczne zdanie i współczesna historia od tego nie ucieknie, choć bardzo trudno się do tego przyznać.

Nie wiem, czy to jest kwestia wieku, a może za dużo przebywam z feministkami, żeby się tego bać – dla mnie wymiar ideologiczny historii nie jest problemem. Ważna jest tutaj oczywiście deklaracja, że moje poglądy i cele polityczne nie mogą zaważyć na wynikach badań, muszą zostać zweryfikowane przez wstępne hipotezy. To znaczy nie mogę „nie widzieć" różnych rzeczy dlatego, że one są niezgodne z moim światopoglądem, który może i powinien ewoluować. Z mojej perspektywy, nie ma w zasadzie takiej dziedziny historii, która by nie była jakoś ulokowana ideologicznie bądź politycznie. Nawet modernistyczny paradygmat ma swoje własne demony w postaci kwantyfikacji i dominacji danych liczbowych nad humanistycznym podejściem. Wiara w obiektywną naukę też jest przecież rodzajem dogmatu i ideologii, choć pewnie większość historyków i historyczek by się ze mną nie zgodziła.

Mam też wrażenie, że wiele badaczek, właśnie kobiet-badaczek, nie chce mówić o tym, że są w zasadzie zorientowane feministycznie. Czasami taka postawa daje specyficzne, nawet komiczne efekty, gdy odżegnująca się od feminizmu historyczka wygłasza seksistowskie opinie, np. o naturalnej wyższości etycznej kobiet. Całe szczęście rośnie nowe pokolenie, które prezentuje już trochę inne podejście. Myślę też – a to dzięki Wam – że dziewczyny, które zajmują się herstorycznymi projektami, same dostrzegają potrzebę zdobywania nie tylko wiedzy o przeszłości, ale też umiejętności i narzędzi przydatnych w zajmowaniu się przeszłością. I to jest bardzo, bardzo pozytywne podejście: czegoś się trzeba douczyć, trzeba się pytać, trzeba trenować w żmudnym „wyszywaniu igiełką" historycznego obrazu.

Natalia: Trafiasz w moje następne pytanie: jak historycy, historyczki zajmujące się historią kobiet w jej różnych nurtach mogą przydać się działaczkom herstorycznym, zakotwiczonym poza akademią, w ramach lokalnych inicjatyw i organizacji? I odwrotnie: w jaki sposób to, co robimy lokalnie, w ramach projektów społecznych, może się przydać akademii?

Dobrochna: Z kooperacji zawsze wychodzą dobre rzeczy. Nawet jeżeli nieuniknione są napięcia i spory, bo one uświadamiają nam różnorodność stanowisk, konwencji pracy z historią, pozwalają dojrzeć, że nauka ma swoje ograniczenia, a projekty społeczne też mają swoją specyfikę. Kontakty z „Innymi", czy to naukowczyniami, czy działaczkami feministycznymi, zawsze czegoś mnie uczą o mnie jako historyczce i moim myśleniu o przeszłości i warsztacie badawczym.

W społecznych inicjatywach niezwykle mnie urzeka i fascynuje wysoki poziom refleksji nad pytaniami fundamentalnymi: czym jest przeszłość, czym może być historia, czym jest produkcja wiedzy, jaka jest jej funkcja społeczna i polityczna. To jest doświadczenie gdańskich spotkań z dziewczynami z Metropolitanki, to też, rzecz jasna, spotkanie z Wami w Przestrzeni Kobiet. Uczę się, inspiruję, czerpię całymi garściami z takich spotkań, bo te spotkania są bardzo wysublimowane, wymagające intelektualnie i emocjonalnie. Takie spotkanie nigdy nie spływa po mnie jak po kaczce [śmiech].

Czasem temu bardzo wysokiemu poziomowi refleksji na poziomie meta, ideologicznym, metodologicznym towarzyszy brak wiedzy o podstawach warsztatu historycznego – to pytania o źródła, zasoby archiwalne, zasady krytyki wewnętrznej. To trochę tak, jakby ktoś potrafił posługiwać się na najwyższym poziomie komputerem, ale nie radził sobie z pisaniem ołówkiem. Warsztat historyczny traktuję właśnie jako umiejętność pracy z kartką papieru i ołówkiem, jeszcze nawet przed epoką maszynopisania. Podczas spotkań herstorycznych przekonuję się, że coś, co dla mnie jest oczywistością, dla innych oczywistością nie jest.

Z drugiej strony, widzę też, że historycy do dyskusji o niektórych tematach nie są przygotowani. Nie mamy tego przemyślanego, przepracowanego. Mówię „historycy", bo historyczki są już dalej w refleksji metodologicznej, tu płeć ma znaczenie. Część historyków nie jest przygotowana do refleksji nawet na najprostszym poziomie.

W dialogu, jeśli się oczywiście chce słuchać, zawsze może się udać chociażby to ustalenie takiej „mapy drogowej" własnej wiedzy: czego nie wiem, czego powinnam się dowiedzieć, o co od razu wprost zapytać, bo ktoś już będzie mógł podać gotową wiedzę, a przy okazji być może postawić nowe pytania i pokazać nowe punkty widzenia, które wynikają z dialogu. Komunikacja

jest podstawową sprawą. Problemem akademii jest tendencja, by przy okazji interdyscyplinarnych spotkań pouczać innych, traktując własny obszar kompetencji jako fundament wiedzy. Akademicy walczą o władzę i zakres ich kompetencji staje się narzędziem wywalczania sobie obszaru władzy nad innymi. Takie nastawienie prowadzi do napięć i konfliktów. Natomiast w przypadku projektów społecznych normą jest wzajemne dopytywanie się, wymiana, kooperacja samokształcenia.

Natalia: Mówisz o refleksyjności po obu stronach. Spotkanie z osobami, dla których nie jest oczywiste to, co dla Ciebie jest jasne, im – nam – pozwala lepiej zobaczyć, czego nie wiemy i tę lukę wypełniać. Ta możliwość spotkania działa w obie strony, w Tobie też coś budzi, zadajesz sobie nowe pytania albo widzisz coś lepiej. Możesz podać jakiś przykład tego, co dały Ci te spotkania?

Dobrochna: Dopiero przy okazji projektów herstorycznych zdałam sobie sprawę z wagi pytania o cel zajmowania się przeszłością, po co o przeszłość pytać i jej szukać na różne sposoby. Zobaczyłam na własne oczy, że samo poszukiwanie przeszłości jest użytecznym i atrakcyjnym narzędziem. Najczęściej o historii myślałam w kategoriach abstrakcyjnej wiedzy, która niekoniecznie musi mieć jakiś sens. Na pewno z tych projektów czerpię świadomość, jak sama bezrefleksyjnie jestem częścią dominujących dyskursów. Z projektów mniejszościowych czerpię więc bolesną nauczkę. W trakcie projektów i warsztatów edukacyjnych zdałam sobie sprawę, jak bezrefleksyjnie używam uogólnień, języka dominacji, nie dostrzegając tego, co jest mniejszościowe. To doświadczenie dotyczy nie tylko herstorii, ale wszelkich projektów dziejących się na różnego rodzaju pograniczach, gdzie nie ma prostych odpowiedzi i które są bardzo dalekie od tego, co mamy wyuczone, zautomatyzowane, zinternalizowane. I na dodatek z ludźmi, którzy entuzjazmują się przeszłością, zawsze jest przyjemnie [śmiech].

Natalia: Czy wyobrażasz sobie takie spotkanie, współpracę między środowiskiem herstorycznym a akademią?

Dobrochna: Jak najbardziej. Po pierwsze: herstoryczne projekty przyniosły książki, które są wykorzystywane w badaniach i w edukacji. Teraz już nie można powiedzieć, że nie ma z czego uczyć historii kobiet, ponieważ materiały już są i w dużej mierze są one zasługą projektów herstorycznych. Natomiast to, że one są lokalne i inaczej skonstruowane niż te akademickie projekty historii kobiet, czasem nie do końca udane, to już zupełnie inna sprawa.

Druga kwestia, o której chciałabym wspomnieć, dotyczy wzajemnej inspiracji. W projektach herstorycznych chętnie korzysta się z pomocy akademii, taka potrzeba jest sygnalizowana. Natomiast pojawia się pytanie, czy transfer wiedzy może płynąć też w drugą stronę, jak do akademii mogą wkroczyć i zostać wykorzystane doświadczenia pracy w projektach społecznych, politycznego znaczenia edukacji, nie tylko historycznej? Nie do końca wiem, jak to zrobić, ale robić trzeba. Tak się dzieje na przykład na studiach w Krakowie, w ramach specjalizacji antropologii historycznej, gdzie studenci i studentki historii były zobowiązane do przygotowania projektu edukacyjnego albo kulturalnego z wykorzystaniem w nim swojej kompetencji historycznej. Części osób ten pomysł wyszedł, części nie, ale niektóre propozycje były bardzo ciekawe i ludzie się zaangażowali. Teraz z tych projektów czerpią przyjemne korzyści, widząc także przy okazji, że na ich wiedzę i na przeszłość w wersji bardziej atrakcyjnej jest zapotrzebowanie. Nie wszyscy lubią szkolne lekcje historii, ale udział w projektach „szalonych" edukatorek i edukatorów już tak.

Natalia: Znasz różne oddolne inicjatywy herstoryczne. Czy widoczne są dla Ciebie różne rodzaje narracji, strategii?

Dobrochna: Z wiadomych względów[12] najlepiej znam powstające w duchu dialogu teksty z *Przewodniczki*, gdzie widzę wyjściową formację intelektualną autorek i ich ewolucję. Historyczki piszą inaczej, ich teksty są z mojej historycznej perspektywy najmniej problematyczne, bo warsztatowo zgodne z tym, czego się sama nauczyłam. Dodam jeszcze na marginesie, że wskutek kontaktów z projektami herstorycznymi przestaje mnie irytować inne myślenie o przeszłości, dostrzegam coraz mocniej źródła i motywy innych sposobów patrzenia na przeszłość.

Jeśli chodzi o strategie, to nie wszystkie projekty znam, ale mam wrażenie, że na razie to jest przede wszystkim poszukiwanie pozytywnych bohaterek. Paradoksalnie, w części projektów, gdzie kontestacja męskiej wizji historii i to szukanie kobiet, odzyskiwanie kobiet jest bardzo często podbudowane bardzo jednak tradycyjną narracją historiograficzną i całe schematy narodowej historii zostają włożone do historii kobiet. Może inaczej niż w przypadku *Przewodniczki*, bo ona od początku była uwikłana w inną niż narodowa narrację w związku z obecnością krakowskich Żydówek.

Dobrym przykładem narodowej sztancy jest jeden z feministycznych mitów fundacyjnych, według którego emancypacja kobiet w Polsce jest efektem powstania styczniowego: mężczyźni

12 Dobrochna Kawa konsultowała naukowo pięć tomów książki *Krakowski Szlak Kobiet. Przewodniczka po Krakowie emancypantek* pod red. E. Furgał (Fundacja Przestrzeń Kobiet, Kraków 2009–2013).

zostali wywiezieni na Sybir albo zginęli, a osamotnione przez nich kobiety musiały zająć się walką o byt swój i rodziny. To jest piękny mit, który niewiele ma wspólnego z rzeczywistością większości kobiet: naród polski walczył o niepodległość, w ramach tej walki kobiety stają się ofiarami. Taka szkolna wiedza historyczna staje się ramą, w której się buduje kontestacyjny wizerunek kobiet.

Uważam, że jeśli kontestować, to totalnie. Dostrzegać, że ta narodowa rama także jest produktem, który – podobnie jak męskocentryczna perspektywa historii – wymaga problematyzacji, a następnie postawienia nowych pytań, na przykład o rzeczywiste źródła emancypacyjnej historii kobiet.

Natalia: Powiedziałaś o naiwnej opowieści o dobrych kobietach. W takim razie jaki byłby kolejny krok? Jak te naiwne historie rozsadzić?

Dobrochna: Dla mnie najciekawsze poznawczo są sytuacje, te wydarzenia i sytuacje, opisane w źródłach, które wywołują zdziwienie, a nawet pewien dyskomfort, bo nie pasują do dotychczasowych wyobrażeń. Kiedy nie rozumiemy, dlaczego kobiety tak a nie inaczej się zachowywały, kiedy dokonywały niezrozumiałych dla nas wyborów, wyrażały takie opinie, które nam burzą fundamenty wiedzy o przeszłości, z którymi się nie utożsamiamy. Warto poszerzać swoją perspektywę, zająć się także tymi wyborami, postaciami, w ogóle zobaczyć je. Czy analiza zła nas jakoś wzmacnia etycznie? Sądzę, że tak. Naiwna wizja przeszłości, taka właśnie optymistyczna i sielska, nie prowadzi do krytycznej refleksji budującej łącza między przeszłością a teraźniejszością (i przyszłością).

Mówiąc tylko o historii dobrych kobiet, o przeszłości siostrzańskiej, zamazujemy w ogóle pytania o źródła konfliktów, w tym konfliktów między kobietami, pytania o sposoby ich przezwyciężania. Zamazujemy to, że kobiety należą do różnych grup interesów, że są grupy kobiet uprzywilejowanych i dyskryminowanych, że także cele feministyczne zmieniają się w zależności od kontekstu historycznego. Z tego można czerpać wiedzę i inspirację. W przypadku polskim to jest chociażby pytanie o konflikty w środowisku feministycznym z okresu I wojny światowej. Idylliczny obraz przeszłości jest mało przydatny, gdy staramy się zdiagnozować dzisiejsze problemy, gdy szukamy sposobów radzenia sobie z rzeczywistością. W dodatku sprzyja frustracji teraźniejszością i nostalgicznemu eskapizmowi. To jest bardzo niebezpieczna tendencja. Z drugiej strony, w historii powinniśmy szukać także powodów do dumy. Też mam swoje idolki z przeszłości, ale staram się pamiętać o ich ludzkim wymiarze, by nie zamienić kobiety z krwi i kości w symboliczny fantazmat.

Już to zrobiłyśmy Marii Skłodowskiej-Curie, która stała się wzorem cnót wszelakich – mądrą kobietą, wybitną naukowczynią, wielką patriotką i świetną matką. Nie wiem, skąd się bierze to przekonanie, że wielka kobieta musi być ideałem w każdym aspekcie swego życia. Same sobie robimy krzywdę, bo godząc się na takie totalne idealizacje, nie tylko pozbawiamy kobiety humanistycznej miary, ale ignorujemy również napięcia i trudności, które były ich udziałem. Kiedy myślę o polskich (i nie tylko polskich) emancypantkach, zastanawiam się, jak traktowały na przykład swoje służące (to jedna z moich nowych fascynacji). Jeśli jest mowa o gwałtach wojennych, to zastanawiam się, jaka była reakcja i co myślały kobiety, które – jak choćby żołnierki Armii Czerwonej – stały z boku, były biernymi uczestniczkami gwałtów zadawanych przez „naszych mężczyzn" „ich kobietom", na przykład Niemkom. W książce Swietłany Aleksijewicz[13] nikt o to nie pyta, to temat tabu. Mnie to interesuje nie tylko jako badaczkę – myślę, że warto dostrzegać, że kobiety nie są takie idealne i lepsze. Mit sufrażystek o wyższości moralnej kobiet nad mężczyznami okazał się nieprawdziwy.

Natalia: Twoją rekomendacją byłoby w związku z tym poszukiwanie pęknięć.

Dobrochna: Jestem na takim etapie, że obsesyjnie wręcz szukam sfer niejasnych, rozmytych, takich, które nie zamykają się w prostych pytaniach i prostych odpowiedziach. Te mnie już nie zadowalają.

Skoro historia kobiet sama w sobie jest nastawiona na kwestionowanie oczywistości dyskursu, pojawia się pytanie, co zrobić, żeby stała się propozycją przekonującą, ale nie zmieniła się w niepodważalny mit. Bardzo bym się cieszyła, gdyby herstoria weszła do mainstreamu. Do tego jeszcze daleko, ale kto wie? Kobiety zaczynają być obecne w dyskursach pamięciowych, powstał na przykład projekt Muzeum Powstania Warszawskiego „Morowe panny". To nie projekt herstoryczny, ale sam fakt, że pojawiła się idea włączenia kobiet do narodowej narracji, jest – jak sądzę – zapowiedzią zmiany.

Natalia: Dziesięć dni temu odbyło się jedno ze spotkań Sieci herstorycznej, tam bardzo dużo dyskutowałyśmy o tym, czy każda historia o kobietach to jest historia kobiet. Czy potrzebujemy dookreślić, że chodzi o feministyczną perspektywę, że chodzi o intersekcjonalność, że chodzi o wskazywanie grup mniejszościowych czy osób z mniejszości w tej mniejszości? Czy chodzi o przeczesywanie kolejnymi radarami tego, czym

13 S. Aleksijewicz, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010.

my się zajmujemy? „Morowe panny" też się pojawiły w tej dyskusji jako przykład tego, czego my w tym gronie nie nazywamy historią kobiet. Silnie podkreślane było znaczenie feministycznej perspektywy. Wydaje mi się, że dużym zagrożeniem dla radykalnego celu historii kobiet jest wpisanie jej, uwięzienie w narodowych narracjach i przypięcie do wydarzeń już ogłoszonych jako ważne dla „wszystkich Polaków". Kobiety przypięte anegdotami, ciekawostkami. Taki suplement, którego celem będzie zaangażowanie emocjonalne kolejnej grupy, tym razem kobiet, do tej opowieści o powstaniu, do historii narodowej.

Dobrochna: Stąd ważny jest stale obecny subwersywny wymiar herstorii, jej zdolność ujawniania tego, co kryje się pod powierzchnią pozornie emancypacyjnych haseł. „Morowe panny" nie mają nic wspólnego ani z historią jako taką, ani z herstorią. To jest z jednej strony włączanie kobiet do głównej narracji, ale równocześnie praktyka wykluczenia ze względu na wiek – tam nie ma miejsca dla kobiet w innym wieku niż panny 19-, 20-letnie. Swoją drogą, grupą wykluczoną w ramach narracji o powstaniu warszawskim są także cywilni mężczyźni, dla nich również nie ma miejsca w tej historii.

Gdy się już raz spojrzy przez pryzmat grup wykluczonych, to pojawia się pytanie, czy przypadkiem włączanie pewnych grup, niech to będą kobiety, nie oznacza wykluczenia innych, nie prowadzi do rozmywania granic, nie rodzi nowych pól konfliktów. Dotychczas historia kobiet w Polsce to jest przede wszystkim historia kobiet z elit, z grup uprzywilejowanych, wykształconych, inteligentek, ziemianek, kobiet władzy. Nic albo prawie nic nie wiemy o innych grupach społecznych.

Natalia: Dlaczego tak się dzieje?

Dobrochna: Elity jest łatwiej zbadać, bo zostawiają najwięcej źródeł. Nasze matki-feministki, babki-feministki dużo pisały na temat feminizmu, pisały o sobie, korespondowały. Dlatego o nich wiemy dużo. Robotnice pisały niewiele, podobnie jak gospodynie domowe, analfabetki zaś to już grupa kompletnie niezauważana.

Jak to badać i usłyszeć ich głos? Oczywiście znajdziemy księgi parafialne i różnego rodzaju opowieści o kobietach z niższych grup, ale przecież trudno uznać tego typu informacje za ślad ich własnego głosu. Badanie zaczyna się od żmudnego odgrzebywania informacji, poszukiwania śladu śladów. Ten typ pracy jest czasochłonny, trudny i frustrujący. Inaczej jest w przypadku historii najnowszej, kiedy jeszcze można pójść do takiej osoby i ją o to zapytać.

Natalia: Odnosząc się do *Krakowskiego Szlaku Kobiet. Przewodniczki po Krakowie emancypantek*, wspomniałaś, ze pisanie i zajmowanie się już nieżyjącymi kobietami z przeszłości, jest trudne. Czy właśnie z tego powodu, że nie ma jak zapytać?

Dobrochna: Przede wszystkim, badania z zakresu biografii historycznej są szalenie trudne, ponieważ polegają najpierw na poszukiwaniu śladów. Im mniej znana postać, tym mniej śladów, tym trudniej je odnaleźć. Część tekstów w *Przewodniczce* pokazywała, że efektywną drogą jest rozpoczynanie wędrówki herstorycznej od źródła, które staje się fundamentem budowanej opowieści o kobiecie. W drugą stronę znacznie trudniej już się szuka – kiedy jest postać i potrzeba źródeł.

Drugi problem pojawia się wtedy, kiedy mamy źródło, ale nie jesteśmy w stanie zadać odpowiednich pytań, bez których źródła po prostu milczą. Cała sztuka interpretacji historycznej polega w zasadzie na wymyśleniu sensownych pytań, bo każde źródło coś powie, o ile postawi się odpowiednie pytania. To jest czasami trudne do zrobienia.

Czasem proste z pozoru pytania wymagają badań tak czasochłonnych i żmudnych, że od razu odpuszczamy. Nawet nie wiesz, jak trudne jest ustalenie takiej prostej rzeczy, jak to, kiedy w czasie rewolucji obyczajowej w czasach PRL współżycie pozamałżeńskie stało się może nie normą, ale powszechnym obyczajem. Sprawdzenie tego na źródłach historycznych wymaga szalonej, benedyktyńskiej pracy: trzeba by sprawdzić, kiedy konkretna para brała ślub, kiedy urodziło im się pierwsze dziecko, by w ten sposób uzyskać informację o ślubach z powodu ciąży przedmałżeńskiej. Drugim wyjściem jest po prostu chodzić i pytać, to jeszcze w XX wieku jest możliwe. Zupełnie poza naszym zasięgiem pozostają takie rzeczy jak pytania o seksualność chłopek w XIX wieku. Są narzędzia, ale to ponownie bardzo trudne badania dotyczące tego, jak kobiety traktują seksualność, praktyki życia seksualnego. Wiemy tyle, ile napisały inteligentki, a one już pisały o swojej własnej, autorepresyjnej moralności. W przypadku badań historycznych jesteśmy skazani na istniejące źródła, a to czasem jest frustrujące.

Natalia: Na zakończenie mam pytanie do Ciebie jako historyczki bliskiej społecznym projektom herstorycznym. Gdybyś miała zarekomendować pierwsze kroki osobom, które w ramach projektów społecznych chcą się zajmować historią kobiet, to bez czego Twoim zdaniem nie da się ruszyć?

Dobrochna: Warto by poczytać o różnicach między historią, która się wydarzyła, historią, która jest opisana w źródłach, historią, która jest opisana w podręcznikach i w tekstach historyków. Na pewno warto dowiedzieć się, jak się bada źródła historyczne, zaprosić historyczkę, żeby o tym opowiedziała[14]. To niekoniecznie jest ciekawe i intrygujące, ale przynajmniej daje wyobrażenie, na czym polega praca historyczna i pozwala uniknąć frustracji, kiedy coś idzie nie tak.

Na samym początku warto sobie zadać pytanie, do czego ta historia jest nam potrzebna i co nas zaintrygowało w przeszłości. Odpowiedzi na te pytania nieco porządkują oczekiwania wobec historii, bo są szczególnie ważne w przypadku projektów zespołowych. Może się bowiem okazać, że każda osoba ma trochę inny pomysł na to, do czego historia służy i czego od niej oczekuje. Na przykład ci, którym potrzebne jest emocjonalne doświadczenie, działają w grupach rekonstrukcyjnych. Nie wiem, czy są takie herstoryczne projekty rekonstrukcyjne. Słyszałam o grupie studentek z Warszawy, które się przebierają w stroje międzywojenne.

Natalia: Wiem o sesjach fotograficznych i wycieczkach śladami kobiet w strojach z epoki.

Dobrochna: Tu się mieszczą obszary słabo w ramach herstorii rozpoznane, tj. historia kultury materialnej. A one są bardzo pouczające, chociażby w związku z tym, że to doświadczenie jest bardzo cielesne i można sobie, nie wiem, dźwigać worek ziemniaków. To jest może mało przyjemny sposób rekonstrukcji, ale o tym się dużo pisze, że historia kobiet oznacza także myślenie o obszarach codzienności, którą zajmują się kobiety, w kategoriach obcowania z przedmiotami, z czynnościami, które się w tym mieściły. Mnie osobiście rekonstrukcje nie pociągają w ogóle, ale może czasami warto się tym przedmiotom przyjrzeć od strony użytkowej i spróbować szycia na maszynie Singera.

Rozmowa odbyła się 8 września 2015 roku na warszawskim Żoliborzu.

14 Dla Sieci herstorycznej takie warsztaty poprowadziły: dr Dobrochna Kałwa w czerwcu 2015 r. w Gdańsku i w listopadzie 2015 r. w Poznaniu oraz dr Barbara Klich-Kluczewska z Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego w listopadzie 2015 r. w Warszawie.

SIEĆ HERSTORYCZNA

Sieć herstoryczna to ogólnopolska sieć inicjatyw realizowanych w obszarze historii kobiet w większych i mniejszych miejscowościach w Polsce przez organizacje pozarządowe i grupy nieformalne oraz niezależne badaczki. Sieć działa od 2014 roku i tworzy przestrzeń do wzajemnego uczenia się, inspirowania i wymiany doświadczeń w obszarze badania i upowszechniania feministycznej historii kobiet.

Główne filary sieci to: edukowanie i prace badawcze w obszarze historii kobiet, samorozwój i budowanie środowiska oraz popularyzacja wiedzy na temat historii kobiet. Sieć zwiększa widzialność i słyszalność głosów i doświadczeń wykluczonych z dominującej narracji historycznej oraz pokazuje różnorodność tożsamości i doświadczeń kobiet.

Do Sieci należy obecnie kilkanaście inicjatyw i badaczek herstorycznych. Zasoby sieci gromadzimy w internetowym Archiwum Historii Kobiet działającym pod adresem: http://www.herstorie.pl/.

Herstoryczki to trzecia publikacja Sieci herstorycznej. W 2015 roku wydałyśmy następujące pozycje: *Szlaki kobiet. Przewodniczka po Polsce emancypantek* oraz *Terminarz herstoryczny 2016*.

Publikacja została opracowana i wydana w ramach projektu Fundacji Przestrzeń Kobiet *Historia kobiet narzędziem przeciwdziałania dyskryminacji* finansowanego ze środków Funduszy EOG w ramach programu Obywatele dla Demokracji.

ISBN 978-83-937130-8-0